

SŁAWOMIR KOPER

PPRL

Wielcy szpiedzy

BRAWUROWE AKCJE
I TAJNE OPERACJE



SŁAWOMIR KOPER

PRRL

Wielcy szpiedzy



HARDE
WYDAWNICTWO

Spis treści

Od autora

Rozdział 1. Zamiast wstępu

Niebezpieczna profesja

Prawda i legenda o szpiegowskiej robocie

Ze szpiegowskiej kuchni

Najdziwniejszy z uciekinierów

„Carewicz Aleksy”

Nie tylko pułkownik Kukliński

Rozdział 2. Wywiad nie wybacza zdrady

Ambitny milicjant

W szeregach wywiadu

Cherchez la femme

Pytania bez odpowiedzi

Czas zdrady

Zemsta

Największa porażka wywiadu w dziejach PRL-u

Rozdział 3. Francuski szpieg

Yvonne Bassaler

Skomplikowana młodość agenta

Warszawa

Szczecin

André i kobiety

Okęcie

Proces

Wyrok

Rozdział 4. Operacja „Żelazo”

Bracia Janoszowie

Początek afery

Złoty interes

Podział łupu

Kramik na Rakowieckiej

„Żelazo II”

Nietykalni
Zabić Adama Michnika
Gangsterzy i politycy
Rozdział 5. Hans Kloss PRL-u
Nielegałowie i wtórniki
Heinz Peter Arnold
Porucznik Jerzy Kaczmarek
Spotkanie po latach
Brema
Śmierć Heinza Arnolda
Ostatnia wymiana szpiegów
Międzynarodowe Targi Poznańskie
Rozdział 6. Mistrz szabli
Dziwny wyrok
Szablista wszech czasów
Finanse mistrza
Współpraca z Urzędem Bezpieczeństwa
W służbie wywiadu
Archiwalne niedyskrecje
Agent „Paweł”
Problemy
Zakład karny w Barczewie
Ostatnia walka
Rozdział 7. Rzekomy as wywiadu
Student historii
W poszukiwaniu azylu
Rozgłośnia z Monachium
Na szpiegowskiej drodze
Trucizny agenta
Prywatne życie szpiega
Medialny show
Człowiek, który uwierzył w swoją wielkość
Rozdział 8. Szpieg za Spiżową Bramą
„Ignacy” i inni
Ojciec Konrad Hejmo
Edward Kotowski
Student z Krakowa

Dylematy
Wśród jezuitów
W Watykanie
W pobliżu Jana Pawła II
Raporty
Paryż
Kontrowersje
Pytania bez odpowiedzi
Rozdział 9. Zdrada za pieniądze
Szkola Główna Służby Zagranicznej
Współpracownik Służby Bezpieczeństwa
Indochiny
Agent CIA
Ryzyko i kalkulacja
Helsinki
Coraz ważniejszy agent
Przypadek i rutyna
W oczekiwaniu na egzekucję
Rozdział 10. Najskuteczniejszy szpieg PRL-u
Młodość agenta
Kontrowersji część pierwsza
Na szerokie wody
Zamrożenie
Szpiegdy i technologie
Tenis i drinki
William Bell
Szpiegostwo i finanse
Kontrowersji ciąg dalszy
Dożywocie
Wymiana
Emerytura agenta
Rozdział 11. Wszystkie kobiety pułkownika
W rodzinie Kuklińskich
Wietnam
Pod żaglami
Kobiety w życiu pułkownika
Basia

Finanse Ryszarda Kuklińskiego
Kamuflaż i samotność
Dyskusje i spory
Ucieczka
Stany Zjednoczone
Rozdział 12. Najgroźniejszy uciekinier
Ambicje czołgisty
Kariera przede wszystkim
Żona, teściowa i szwagierka
Kariera i małżeńskie kłótnie
Najważniejsza decyzja
Błąd za błędem
Maluchem do Austrii
Jak kamień w wodę
Rozdział 13. Szkoła szpiegów
6 października 1972 roku, Warszawa
Stare Kiejkuty
Selekcja
Kandydaci
Kuźnia agentów
Metody werbunku
Prymusi i zdrajcy
Operacja „Samum”
Zakończenie
Ważniejsza bibliografia

Copyright © by Sławomir Koper, 2014
Wydanie drugie, zaktualizowane i rozszerzone, 2024

ISBN 978-83-8343-259-5

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska
Redaktor prowadzący dział: Michał Zarzycki, mzarzycki@grupazpr.pl
Redaktor nadzorująca: Anna Sperling
Redakcja: Katarzyna Litwinczuk
Korekta: Małgorzata Ablewska
Zdjęcie na okładce: Wojtek Łaski/East News

Zdjęcia w środku: Wojtek Łaski/East News, IPN (4), Kałuszyner/PAP, archiwum prywatne Jerzego Pawłowskiego/reprodukcja Tomasz Radzik/Super Express, Cezary Langda/PAP, Stefan Maszewski/Reporter, Tomasz Radzik/Super Express, Piotr Liszkiewicz/Super Express, Piotr Płaczkowski/Reporter

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2024

Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

Więcej o naszych autorach i książkach:

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

OD AUTORA

„Ordery mam dla żołnierzy, a dla szpiegów tylko złoto” – mawiał Napoleon Bonaparte, co doskonale ilustruje ówczesną opinię o pracownikach wywiadu. Działalność szpiegowską przez wiele stuleci uważano za niehonorowy sposób prowadzenia wojny. Nie bez powodu schwytyanych wywiadowców przeciwnika z reguły karano śmiercią, często bardzo okrutną.

Szpiegostwo towarzyszyło jednak ludzkości od zarania dziejów. Już w czasach antycznych ogromną wagę przywiązywano do rozpoznania sił i zamiarów wroga, a piękny literacki opis takich działań możemy znaleźć w *Iliadzie* Homera, w której Odyseusz w przebraniu przekrada się za mury Troi. Właściwie nikt nie wyobrażał sobie prowadzenia wojny bez działań wywiadowczych, a skoro wywiad był może niezbyt chlubną, ale jednak normą, to nieuchronną konsekwencją tego stanu rzeczy było pojawienie się kontrwywiadu. I tak już miało pozostać.

Obiegowe i niepochlebne opinie na temat działań szpiegowskich zaczęły się zmieniać dopiero wraz z rozkwitem literatury sensacyjnej. A gdy literaturze w sukurs przyszła kinematografia, funkcjonariusze wywiadu stali się bohaterami masowej wyobraźni. Ich losy intrygowały bez względu na to, czy byli oni postaciami autentycznymi, czy też wytworami fantazji autorów i scenarzystów. Czasami granice te ulegały zresztą zatarciu, w efekcie czego nieudolne działania wywiadowcze Margarethy Geertruidy McLeod (lepiej znanej jako Mata Hari) urosły do rangi jednego z ważniejszych wydarzeń I wojny światowej, a postać tancerki do dzisiaj fascynuje miliony ludzi.

Zachodni widzowie i czytelnicy w napięciu śledzili przygody bohaterów powieści Iana Fleminga, Toma Clancy'ego czy Roberta Ludluma, nad Wisłą zaś triumfy święcili szpiegowie działający na szkodę III Rzeszy. Hans

Kloss i Max Otto von Stirlitz osiągnęli status bohaterów kultowych, a widzowie nie zwracali uwagi na to, czyim interesom oni służyli.

Gdy w filmie *Agent nr 1* werbowano Jerzego Iwanowa-Szajnowicza, z ekranu padły słowa, że zostanie wysłany na najtrudniejszy front. I jest w tym dużo racji, bo życie agenta wywiadu z reguły było krótkie i kończyło się na szubienicy albo przed plutonem egzekucyjnym. A o szpiegowskich sukcesach opinia publiczna dowiadywała się niezwykle rzadko, bo wywiady z reguły nie zdradzają swoich tajemnic. Nie bez powodu wokół Krystyny Skarbek przez wiele lat panowało całkowite milczenie, a postać pięknej hrabianki dopiero niedawno zaistniała w zbiorowej świadomości.

Książka, którą mają Państwo przed sobą, jest nieco inna niż moje dotychczasowe publikacje. Z racji tematu więcej tu polityki. Ale nie byłbym przecież sobą, gdybym pominął życie prywatne moich bohaterów. Tam, gdzie było to możliwe i potrzebne, podaję szczegóły natury osobistej. Podejrzewam, że czasami zaskoczą one Czytelników – szczególnie mocno w przypadku Ryszarda Kuklińskiego. Bo choć życiorys pułkownika jest Państwu dość dobrze znany, to pewne informacje na jego temat mogą się okazać niespodzianką. I to chyba niemałą...

Dużo w tej książce znaków zapytania. Wywiad rządzi się bowiem swoimi prawami i do wielu informacji nie udało mi się dotrzeć. Tam, gdzie było to możliwe, uzupełniałem luki własnymi hipotezami, które niniejszym oddaję pod osąd Czytelników.

Częściej niż kiedykolwiek dotąd korzystałem ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej. Myślę, że jest to zupełnie zrozumiałe z uwagi na poruszaną tematykę. W archiwach IPN-u natrafiłem na nieprawdopodobne bogactwo informacji obyczajowych, które znacząco urozmaiciły tę opowieść. Można tylko żałować, że dokumenty dotyczące niektórych postaci nadal pozostają w zbiorze tajnym i nie można z nich korzystać.

Z oczywistych względów nie zdecydowałem się ujawnić części nazwisk, choć poznałem je, czytając akta IPN-u. Dotyczy to osób prywatnych, szczególnie kobiet związanych z pułkownikiem Kuklińskim. Nie chciałem ingerować w życie prywatne tych osób oraz ich rodzin, co zapewne Czytelnicy zrozumieją.

Poza tym jak zwykle sięgałem do pamiętników, dzienników i wywiadów. Dużą rolę odegrały również ówczesne źródła prasowe. Wprawdzie nacechowane są charakterystyczną propagandą, ale znakomicie oddają realia epoki.

Książka nie bez powodu nosi tytuł *Wielcy szpiedzy*, przedstawiam bowiem zarówno funkcjonariuszy służb specjalnych Polski Ludowej, jak i tych, którzy działali w Polsce na rzecz obcych wywiadów. Aby urozmaicić zestaw bohaterów, przedstawiłem najróżniejsze aspekty działań wywiadowczych. Nie zabrakło tu zatem dyplomaty będącego rezydentem obcego wywiadu (André Robineau), szpiegowskiego wtórnika działającego pod cudzym nazwiskiem (Jerzy Kaczmarek), gangsterskiej afery z udziałem polskich służb (operacja „Żelazo”), „nielegalnego” agenta realizującego zadania w habitacie zakonu jezuitów (Tomasz Turowski) czy też szpiegowskiej elity w osobach Mariana Zacharskiego i Ryszarda Kuklińskiego. Nie odmówiłem sobie przyjemności zaprezentowania największej mistyfikacji polskiego wywiadu (Andrzej Czechowicz), a także z pewnym niesmakiem opowiedziałem o człowieku, który z powodu wad charakteru stracił powszechną sympatię i szacunek (Jerzy Pawłowski). Przybliżyłem także jedyną udokumentowaną egzekucję na szpiegu uciekinierze (Władysław Mróz) oraz postać Jerzego Sumińskiego, którego ucieczka na Zachód wyrządziła być może więcej szkody niż dezercja pułkownika Kuklińskiego. Pozostaje on jednak postacią praktycznie nieznaną, nigdy nie był swojego rodzaju szpiegowskim celebrytą jak Kukliński. Moja opowieść stanowi więc dość urozmaicony i ciekawy przegląd metod działania agentów. Tym ciekawszy, że również ich życie prywatne bardzo często odbiegało od utartych stereotypów.

Jak zwykle nie oceniam moich bohaterów, nie próbuję ich też usprawiedliwiać czy atakować. Niech podejmą się tego Czytelnicy, albowiem moim zadaniem – jako historyka i autora – jest wyłącznie zaprezentowanie zebranego materiału. Mam nadzieję, że udało mi się to zrobić w sposób interesujący.

I na koniec jeszcze jedna refleksja. Przywykliśmy uważać, że Służba Bezpieczeństwa, której część stanowił wywiad cywilny, to banda degeneratów i półgłówków, którzy swoją przewagę zawdzięczali wyłącznie terrorowi. Nie wdając się w szczegóły metod działania SB, warto zauważyć, że szefowie i funkcjonariusze wywiadu nie byli nieudacznikami. To ludzie znakomicie przygotowani do realizacji określonych zadań i wykonujący je na ogół w sposób profesjonalny. Inna rzecz, że w ostatecznym rozrachunku służyli sprawie komunizmu, a w konsekwencji – interesom Kremla.

Sławomir Koper



Stanisław Mikulski jako Hans Kloss, najszlachetniejszy filmowy wtórnik

ROZDZIAŁ 1

ZAMIAST WSTĘPU

Zapewne wszyscy widzowie filmu *Jack Strong* w reżyserii Władysława Pasikowskiego zapamiętali jego pierwsze sceny – egzekucję Olega Pieńkowskiego w piecu hutniczym. Pułkownik GRU (sowieckiego wywiadu wojskowego), który współpracował z CIA, został uznany za zdrajcę, a szczególną furję na Kremlu wzbudziła waga informacji, jakie przekazał na Zachód. To właśnie dzięki nim władze USA dowiedziały się prawdy o potencjale nuklearnym ZSRR i mogły prowadzić odważniejszą politykę. Dlatego też podczas kryzysu kubańskiego w USA nie obawiano się wybuchu III wojny światowej.

NIEBEZPIECZNA PROFESJA

Pieńkowskiego aresztowano jesienią 1962 roku, osądzono podczas pokazowego procesu w Moskwie i skazano na karę śmierci. Według oficjalnych informacji został rozstrzelany, ale w kręgach wywiadowczych krążyła opowieść o wrzuceniu agenta do pieca hutniczego. Niektórzy twierdzili, że egzekucja była jeszcze bardziej okrutna, bo Pieńkowski spłonął żywcem w piecu krematoryjnym, a jego śmierć sfilmowano dla celów szkoleniowych.

„Kamera ukazuje w zbliżeniu twarz żywego człowieka – pisał Wiktor Suworow. – Twarz zlaną potem. Gorąco przy piecu. Twarz filmowana jest ze wszystkich stron bezgranicznie długo. Wreszcie kamera oddala się, ukazując całą postać. Człowiek nie nosi fartucha. Jest ubrany w drogi

czarny garnitur, co prawda straszliwie wymięty. Krawat na szyi skręcony jak sznur. Przywiązano go stalową linką do noszy, które oparto o ścianę na tylnych uchwytach, tak aby mógł widzieć wlot pieca” ¹.

Wprawdzie aresztowanie szpiega zawsze uważano za mniejszy sukces niż jego odwrócenie (zwerbowanie), to jednak w przypadku własnych funkcjonariuszy sytuacja była inna. I jeśli tylko udało się ich zatrzymać, z reguły stawali przed sądem, a wymierzona im kara musiała być odstrasżającym przykładem.

„I oto nosze płynnie ruszyły w stronę pieca. Drzwiczki pieca rozsunęły się na boki, rzucając na podszwy dawno nieczyszczonych lakierków snop białego światła. Oto stopy zbliżają się do ognia. Człowiek stara się zgiąć nogi, podkurczyć kolana, zwiększyć odstęp między stopami i szalejącym ogniem” ².

Wszystkie szczegóły pokazowej egzekucji były perfekcyjnie dopracowane i nic nie pozostawiono tu przypadkowi. Miał to być przerażający dowód na potwierdzenie tezy, że zdrada zawsze zostanie ukarana. Dlatego film ten pokazywano każdemu adeptowi służby wywiadowczej.

„Słyszę ten bezdźwięczny krzyk, który mógłby zrywać drzwi z zawiasów. (...) Po prostu człowiek nie chce iść do pieca i stara się w jakiś sposób dać temu wyraz. A jakże to wyrazić, jak nie krzykiem? No więc krzyczy. Na szczęście ów krzyk nie został uwieczniony. Oto lakierowane buty poszły w ogień. Poszły, niech to wszyscy diabli.

Ogień szaleje. Pewnie tłoczą tlen. Dwaj pierwsi palacze odskakują, dwaj ostatni mocno popychają nosze w głąb. Drzwiczki paleniska zamykają się i ucicha terkot aparatu projekcyjnego” ³.

PRAWDA I LEGENDA O SZPIEGOWSKIEJ ROBOCIE

Wbrew powszechnym wyobrażeniom służba funkcjonariuszy wywiadu wcale nie przypominała filmów o Jamesie Bondzie. Nie spędzali oni czasu w eleganckich lokalach w towarzystwie pięknych kobiet, nie wydawali dużych sum na swoje utrzymanie. Ich zadaniem było jak najlepsze wtopienie się w otoczenie, co oznaczało rezygnację z wszelkiego rodzaju

ekstrawagancji. Dotyczyło to zresztą nie tylko agentów przebywających za granicą, bo funkcjonariusze wywiadu również we własnym kraju pozostawali pod stałą obserwacją.

„Wbrew obiegu opinii na temat esbeków mocno pilnowano »resortowej moralności« – twierdzi dziennikarz śledczy Cezary Gmyz. – Posiadanie kochanki, publiczne upijanie się, rodzinne awantury – to nie były rzeczy tolerowane i akceptowane. Oczywiście zdarzały się, jak wszędzie, ale tego typu sytuacje były szybko wyłapywane przez tzw. zofkę (ZOF – Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy) i nieraz kończyły się wydaleniem ze służby albo przesunięciem na inne, z reguły podrzędne stanowisko. Zwykle przypadki naruszania owego esbeckiego certyfikatu moralności były surowo tępiące. (...) Kiedy ktoś zaczynał za dużo pić albo obnosić się z kochanką, to po prostu wylatywał ze służby” ⁴.

Ważną rolę w werbowaniu kandydatów na etatowych oficerów wywiadu odgrywał ich wygląd zewnętrzny, w rzeczywistości bowiem daleko odbiegał on od opisów przedstawianych w literaturze sensacyjnej. Funkcjonariusz wywiadu (lub kontrwywiadu) podczas wypełniania zleconego zadania wcale nie nosił ciemnych okularów czy kapelusza nasuniętego na oczy, nie stawiał również kołnierza płaszczu i nigdy nie trzymał rąk w kieszeniach. Zgodnie bowiem z podstawową zasadą branży miał pozostać człowiekiem, na którego nikt nie zwraca większej uwagi. Nie mógł też mieć żadnych znaków szczególnych, nie powinien wyróżniać się wzrostem czy budową ciała, a jego twarz i sylwetka miały być trudne do zapamiętania.

Kolejną legendą jest sprawa uzbrojenia agentów wywiadu. Wcale nie dysponowali najnowszymi modelami broni osobistej, nie mówiąc już o specjalnych wynalazkach mających służyć do walki wręcz. Albowiem w pracy szpiega najbardziej skuteczne są inteligencja i opanowanie.

„Niech tylko zdarzy się wam popełnić błąd – tłumaczono słuchaczom w szkole GRU – z miejsca kontrwywiad przeciwnika rzuci przeciwko wam śmigłowce, gaz, psy, supernowoczesną technikę, sto samochodów, trzystu zawodowych policjantów. Na nic nie zda się wtedy pistolecik. Stwarza tylko złudne poczucie bezpieczeństwa. Pragniemy pozbawić was wszystkich złudzeń. Możecie liczyć tylko na własną głowę, na własną inteligencję” ⁵.

Agenci wprawdzie często dostawali broń i przechodzili odpowiednie szkolenie strzeleckie, ale traktowano to marginalnie. Efektowne pościgi

i strzelaniny są bowiem takim samym atrybutem literatury szpiegowskiej jak czarne okulary czy elegancki garnitur.

To wszystko nie dotyczyło jednak informatorów i współpracowników wywiadu. Jeżeli wcześniej przejawiali upodobanie do rozrywkowego trybu życia, to po ich zwerbowaniu nadal miało tak pozostać – nie powinni zmieniać swoich przyzwyczajzeń. Idealnym tego przykładem jest jeden z bohaterów tej książki, Jerzy Pawłowski. Znakomity polski szablista w ciągu wielu lat nie zmienił swojego trybu życia; identycznie zachowywał się zarówno jako współpracownik polskiego kontrwywiadu, jak i amerykański szpieg.

Od wielu lat nie zmieniały się też metody werbowania współpracowników. Jak zwykle w cenie był szantaż – wykorzystywano różne ludzkie grzeszki.

„Każdy ma jakieś słabości – potwierdzał Czesław Kiszczak. – Mało jest ludzi, których nie dałoby się zwerbować. Jeden lubi pieniądze, drugi wódkę lub dziewczyny. Jedno pijaństwo, drugie pijaństwo, jedna rozmowa przy wódce, druga rozmowa przy wódce, coś tam nieopatrznie powiedział, to się dokumentuje...”⁶

Najważniejszą rolę w szantażu odgrywały sprawy intymne, albowiem potencjalni współpracownicy, a więc ludzie na odpowiednich stanowiskach, z reguły byli mężczyznami żonatymi. Z wielu powodów nie chcieli rozbijać swoich związków, co skrzętnie wykorzystywano przy werbunku.

„Przykładowo – kontynuował Kiszczak. – Żonaty mężczyzna. Boi się żony, bo żona pochodzi z bogatej i wpływowej rodziny. Kariera jego jest oparta na małżeństwie, bo teść jest znanym politykiem. Żona nie jest najładniejsza, ożenił się dla kariery. Sam jest przystojniakiem. Na ulicy spotyka dziewczyny jak marzenie. Podskoczył raz, drugi raz, nadział się na agenturę, zainstalowano mu podsłuch, podgląd, sfilmowali sceny miłosne, nagrali te jego wszystkie rozmowy... A jak jeszcze coś brzydkiego o tej żonie powiedział... Pokazuje się delikwentowi zdjęcia, taśmy... Mówi mu się: »Jesteś skończony, teść ma długie ręce«”⁷.

ZE SZPIEGOWSKIEJ KUCHNI

Jednym z ulubionych motywów twórców filmów sensacyjnych jest zamiana aktówek z dokumentami – miał to być najczęściej stosowany sposób dostarczania zdobytych informacji do centrali. W rzeczywistości było zupełnie inaczej.

„Błyskawiczne przekazanie materiałów – tłumaczył polski szpieg w Watykanie, Tomasz Turowski – czyli idzie się w tłumie i nagle przechodzi obok kogoś i ociera się o niego – i materiał jest już przekazany (...). Niekoniecznie do kieszeni. Tak się wkłada, żeby nikt tego nie zauważył. Żadnego wymachiwania rękami, bo nawet najgłupsza obserwacja to wyłapie. Zamiana obiektów, na przykład jednakowych teczek, też nie wchodzi w rachubę. To dobre w filmach akcji kategorii C. Bardzo dobrym miejscem jest metro, gdzie jest tłok; podsuniecie skrawka papieru w ciągu ułamka sekundy nie jest problemem”⁸.

Ten rodzaj łączności miał jednak pewne ograniczenia – wykluczał przekazywanie większych ilości materiałów szpiegowskich. Do tego celu wykorzystywano martwe skrzynki kontaktowe, czyli odpowiednio spreparowane miejsca, w których można było złożyć materiały.

„To wybrane miejsce, w którym deponuje się materiał informacyjny – wyjaśniał Turowski. – Kredą się zaznacza, że skrzynka zawiera materiał do odebrania. Nazywa się »martwa«, dlatego że nie ma tu czynnika ludzkiego”⁹.

Do kraju zdobywcze przierzucali specjaliści kurierzy, a przesyłki miały status poczty dyplomatycznej. Jednak podczas wojny wywiadów nieraz zdarzyło się, że nawet poczta dyplomatyczna nie była wystarczającym zabezpieczeniem. Dlatego też stosowano szczególne środki ostrożności.

„Kurier bagaż ma przypięty do ręki łańcuchem z ogniwoami (...) i przez całą drogę się z nim nie rozstaje – opowiadał Marian Zacharski. – W tej »osobistej« walizeczce znajduje się ładunek, który – w razie otwarcia jej przez osobę niepowołaną – spopieli całą zawartość. (...) Kurierzy latają we dwójkę, na wypadek gdyby któremuś z nich przytrafiły się kłopoty zdrowotne”¹⁰.

Z niewiadomych powodów powszechnie uważa się, że wywiad PRL-u był zacofany w stosunku do służb innych państw. To nieprawda – w bloku wschodnim istniał podział zadań wywiadowczych, a polskie służby w swojej specjalności odnosiły znaczące sukcesy. Inna sprawa, że sukcesy te nie były tak spektakularne jak osiągnięcia wywiadu sowieckiego czy NRD-owskiego.

„W wywiadzie politycznym byliśmy zdecydowanie słabsi głównie dlatego, że byliśmy za biedni – mówił Czesław Kiszczak. – Natomiast w wywiadzie technologicznym (zwłaszcza elektroniczno-maszynowym, chemicznym i farmaceutycznym) byliśmy, jak sędzę, bardzo dobrzy. Do dziś powinny znajdować się w MSW pisma z różnych ministerstw zamawiających różne technologie i późniejsze podziękowania wraz z wyliczeniem, ile to zysków przyniosło Polsce. To były dziesiątki, a nawet niekiedy setki milionów dolarów rocznie” [11](#).

Wykorzystywano najnowsze zdobycze techniki, a między służbami państw komunistycznych funkcjonowała wymiana technologiczna. Świadczone wzajemne usługi mające ułatwić współpracę – w laboratoriach „bratniego” kraju nieraz realizowano specjalne zamówienia polskiego wywiadu. Największe znaczenie miały badania nad rozwojem przekazu informacji i technik fotograficznych.

„Mieliśmy przystawkę – wspominał Turowski – która pozwalała na zapamiętanie tysiąca grup, czyli pięciu tysięcy znaków, bo grupa szyfrogramu składa się z pięciu znaków-cyfr. Żeby nadać informację i nie pozwolić służbom pelengacyjnym przeciwnika na określenie miejsca nadawania, sygnał musi iść błyskawicznie, przez ułamek sekundy. I powinien być nadawany z punktu przemieszczającego się szybko, czyli na przykład z samochodu” [12](#).

Meldunki nadawano, wkładając odpowiedni kabel do gniazdka zapalniczki samochodowej i rozwijając antenę przypominającą zwykłą antenę radiową. Przechwycenie takiej depechy było praktycznie niemożliwe, bo emisja trwała zbyt krótko, a jej źródło błyskawicznie zmieniał swoje położenie.

Wiadomości zwrotne otrzymywano drogą radiową poprzez zaszyfrowane komunikaty nadawane na odpowiednich częstotliwościach. Ze względów bezpieczeństwa do ich odbioru używano standardowych odbiorników radiowych normalnie dostępnych w sklepach.

Klasyczny szpiegowski atrybut, czyli miniaturowy aparat fotograficzny, to urządzenie rzadko używane i raczej legendarne. Dobrej jakości zdjęcia można było wykonać zwykłym aparatem (na przykład praktyką), pod warunkiem że istniała możliwość zabrania ze sobą dokumentów. Normalny aparat fotograficzny nie rzucał się w oczy i nie wzbudzał podejrzeń w przypadku rewizji. Ogromne znaczenie miał natomiast pewien wynalazek naukowców z NRD.

„Niemcy stosowali go przy najważniejszych sprawach – relacjonował Zacharski. – Był to film do kamery filmowej, dlatego można było na nim robić około 1800 zdjęć. To był duży postęp, bo dotychczasowe aparaty dawały nam szansę na 36-60 zdjęć. Klisza była umieszczana w oryginalnej kasecie kupowanego filmu Agfa czy Kodak. Przygotowywano to tak, że pozostawiano oryginalną taśmę, mniej więcej 1,5 metra na początku i na końcu szpuli. Między te odcinki wklejano film specjalny, o dużej rozdzielczości, odpowiedni do fotografowania dokumentów” [13](#).

Nie rezygnowano również z metod stosowanych od dziesiątków lat. Szpiegzy posługiwali się czasami nawet atramentem sympatycznym, jednak przy przesyłaniu informacji za pomocą zwykłej poczty bardziej skuteczna okazywała się nowsza technologia.

„Znajomość chemii w pracy operacyjnej, jeśli się przesyła meldunki, jest niezbędna – potwierdzał Turowski. – To była głównie kwestia fotografii i ukrytego przesyłania informacji. Tzw. technika mikrokropki, mikropunktu. Robi się zdjęcie mikrofilmowe, po czym przez obróbkę kliszy filmowej zdejmuje się miękką część, która jest elementem nośnym obrazu, z podłoża plastikowego, a potem z tego się formuje malusieńką kropkę i podkleja na przykład pod znaczek na kopercie. Albo pod słowami: »Droga Ciociu, pięknie tutaj, słońce świeci«. I się wysyła” [14](#).

Możliwości techniczne ówczesnego wywiadu były nadspodziewanie duże. W latach 70. Turowski kopiował watykańskie dokumenty za pomocą skanera (!) ukrytego w brewiarzu. Wystarczyło, że przesunął go nad księgą, nie musiał nawet wyjmować urządzenia na zewnątrz. Jedyne problem stanowiło to, że skaner miał ograniczoną pojemność – mógł skopiować zaledwie kilka dokumentów.

Działalność szpiegowska zawsze pozostawała domeną ludzi o stalowych nerwach. Najgorsza była stała niepewność, bo w ten zawód od zawsze wpisany był brak zaufania. I pod tym względem zapewne nic nie zmieniło się do dziś.

„W służbach specjalnych niektórzy dowcipkują – ironizował Turowski – że nigdy nie wiadomo, kto cię bije w zęby, czy to twój, żeby zobaczyć, kiedy się złamiesz, czy to naprawdę wróg. Więc to szkolenie przygotowuje na sytuacje właśnie tego typu” [15](#).

NAJDZIWNIEJSZY Z UCIEKINIERÓW

Najwyższy rangą oficer wywiadu PRL-u, który zbiegł na Zachód, to podpułkownik Michał Goleniewski, były zastępca dowódcy polskiego kontrwywiadu i naczelnik Wydziału VI (wywiadu naukowo-technicznego) Departamentu I MSW.

Dezercja Goleniewskiego wywołała w kraju konsternację, podpułkownik uchodził bowiem za zaufanego człowieka KGB w strukturach polskiego wywiadu. Był niezwykle inteligentny i ambitny, uważano go za oficera o dużych zdolnościach organizacyjnych. Nigdy też nie powątpiewano w jego właściwą postawę ideową.

„Ambicją podpułkownika Goleniewskiego jest być zawsze widocznym i sprzedać jak najlepiej osiągnięcia zarówno własne, jak i Wydziału – pisano w opinii służbowej. – Ponieważ jednostka nie zawsze jest należycie znana i oceniana, należy to uznać za plus pomagający w robocie” [16](#).

Współpracę z Amerykanami podjął na dwa lata przed ucieczką. Wówczas też zaczął przekazywać na Zachód dokumenty polskiego wywiadu.

„W kwietniu 1958 roku w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Bernie podrzucona została paczka listów i dokumentów – wspominał Jan Nowak-Jeziorański. – Nieznany osobnik, występujący pod niemieckim pseudonimem Heckenschütze [snajper – S.K.], przedstawiał się w załączonym liście jako wysoki funkcjonariusz polskiego wywiadu. Dostarczone informacje dotyczyły sieci wywiadu sowieckiego i polskiego w Europie Zachodniej. Do anonimowego informatora odniesiono się z należytym sceptycyzmem” [17](#).

Amerykanie dokładnie sprawdzili przesyłkę, wykonali nawet badania papieru, na którym skopiowano dokumenty. Analizy potwierdziły polskie pochodzenie nadawcy, co raczej wykluczało prowokację sowieckiego wywiadu.

„Po starannym zbadaniu przekazanych informacji znaleziono ich potwierdzenie – kontynuował Nowak-Jeziorański. – Pakiety podrzucane tą metodą w ciągu następnych 33 miesięcy były już traktowane bardzo poważnie” [18](#).

Michał Goleniewski do końca 1960 roku przekazał 14 przesyłek. Wobec CIA zachowywał jednak pełną anonimowość, a kwestia jego tożsamości

stała się przedmiotem dociekań Amerykanów. W pierwszych dniach 1961 roku przesłał informację, że zamierza zbiec do Berlina Zachodniego. I faktycznie, 4 stycznia dotarł do amerykańskiego konsulatu w towarzystwie obywatelki NRD, Irmgard Kampf.

Trudno jednoznacznie określić motywy decyzji Goleniewskiego. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak podejrzewać, że decydującą rolę odegrało jego nieudane życie rodzinne.

„Znałem go bardzo dobrze – mówił pułkownik Stefan Antosiewicz. – Dlatego jestem głęboko przekonany, że do ucieczki skłoniło go nieszczęśliwe małżeństwo. Żona – Rosjanka – była podczas wojny wywieziona na roboty do Rzeszy. Tam poznała swojego pierwszego męża – Polaka. Mieli wspólnie dziecko. Po wojnie osiedlili się w Nowym Tomysłu. Niestety, wkrótce wskutek choroby zmarł jej pierwszy mąż. Po jego śmierci wyszła ponownie za mąż, właśnie za Michała. Wspólnie wychowywali trójkę dzieci. Z biegiem czasu zaczęła popadać w chorobę nerwową. Prawdopodobnie przyczyną były jakieś wojenne przeżycia, od których nie mogła się uwolnić. Wiem, że Goleniewski bardzo to przeżywał. W końcu chyba nie wytrzymał. Poznał młodszą od siebie Niemkę. Właśnie z nią wyjechał” [19](#).

Sytuacja rodzinna Goleniewskiego nie była tajemnicą dla jego przełożonych, bo podpułkownik pisał o niej w swoich raportach. Twierdził, że żona od sześciu lat cierpi na schizofrenię urojeniową, co całkowicie zniszczyło ich życie rodzinne. Leczenie bowiem nie przynosiło żadnych efektów.

„Za radą lekarza – pisał Goleniewski – już w trakcie mocno rozwiniętej nerwicy spowodowanej przeżyciami osobistymi, półtora roku temu wyprowadziłem się z domu – dokładniej wypędzony zostałem z domu poprzez popędzaną urojeniami żonę i zamieszkałem wspólnie z matką, pozostawiając na użytek rodziny mieszkanie wraz z umeblowaniem i całym gospodarstwem domowym” [20](#).

Żona zamierzała wraz z dziećmi wyjechać do Związku Radzieckiego, zapowiadała też wystąpienie o rozwód i przywrócenie jej sowieckiego obywatelstwa. Natomiast Goleniewski podczas służbowego pobytu w Berlinie Wschodnim poznał 28-letnią Irmgard Kampf, z którą nawiązał romans. Miał o swojej partnerce jak najlepszą opinię, o czym lojalnie meldował przełożonym:

„Miła powierzchowność wiązała się u niej z pozytywnymi cechami charakteru – kulturalne zachowanie się, skromność, szczerłość, przywiązanie do rodziny, gotowość pomocy, czystość, troskliwość i oszczędność. Twierdziła, że pochodzi z biednej, robotniczej rodziny – mimo to jednak wychowana została dobrze (...). Nie tailem przed nią, że posiadam żonę, z którą nie żyję, co było dla niej na początku kłopotliwe, nie zrezygnowała jednak ze znajomości. Było rzeczą oczywistą, że IK jest jak najbardziej po ludzku zakochana” ²¹.

Irmgard namawiała partnera do ucieczki na Zachód, twierdząc, że pod rządami komunistów nie mają żadnej przyszłości. Goleniewski uległ jej sugestiom, dezercja rozwiązywała bowiem jego problemy rodzinne, a dodatkowo liczył na to, że dobrze sprzeda swoją wiedzę Amerykanom.

Pobierał z kasy resortu coraz większe sumy, oficjalnie na potrzeby częstych podróży służbowych, i wpłacał je dyskretnie na konto Irmgard. Pieniądze te miały stanowić zabezpieczenie ich wspólnej przyszłości. Funkcjonariusze niemieckiej Stasi przeoczyli ten proceder, chociaż Irmgard zarabiała tylko 300 marek wschodniemieckich i nie mogła zgromadzić tak dużych oszczędności. Nie zwrócono również uwagi, że ta skromna pracownica sekretariatu berlińskiej szkoły średniej nosi szwajcarską biżuterię, francuskie futro i ubrania renomowanych brytyjskich marek. Wszystko to przysyłał jej ze swoich podróży służbowych zakochany Goleniewski.

Podpułkownik starannie przygotował się do emigracji. Przekazywane przez niego informacje okazały się niezwykle cenne, co gwarantowało mu azyl polityczny i wygodne życie. Tuż przed ucieczką rozmieścił w kilku skrytkach na terenie Warszawy dodatkowe klisze z fotokopiami dokumentów, które CIA niebawem przetransportowała do USA. Następnie pobrał ostatnią zaliczkę na służbowy wyjazd do Berlina (16 300 marek zachodniemieckich oraz 300 dolarów) i zniknął razem z Irmgard.

„CAREWICZ ALEKSY”

Następnego dnia przewieziono ich do amerykańskiej bazy lotniczej w Wiesbaden, a tydzień później byli już w Stanach Zjednoczonych. Tam Goleniewskiego poddano przesłuchaniom, które trwały ponad dwa lata.

Uzyskane informacje pozwoliły na skazanie kilkunastu agentów państw komunistycznych działających na terenie USA, Wielkiej Brytanii, Republiki Federalnej Niemiec, Szwecji oraz Izraela.

Najcenniejsze były jednak wiadomości o zasadach pracy wywiadu i kontrwywiadu państw bloku wschodniego. Goleniewski zdradził nawet, jakie metody podsłuchu stosuje się w ambasadach amerykańskich w Europie Wschodniej.

„To, co wiemy – przyznał przełożony Goleniewskiego, pułkownik Witold Sienkiewicz – to jest minimalna częśćka tego, co faktycznie zostało sprzedane przeciwnikowi. Dorobek tego odcinka pracy przez jakieś 5 lat musimy spisać [na straty] i zaczynać wszystko od nowa. Niezależnie od strat operacyjnych będą straty natury obronności” [22](#).

Goleniewski miał znakomitą pamięć, co było dla CIA prawdziwym darem losu. Podpułkownik potrafił przypomnieć sobie szczegóły niemal każdej narady służbowej i niemal każdej decyzji przełożonych. Niestety, z upływem czasu zaczął zdradzać objawy choroby umysłowej. Pewnego dnia oświadczył osłupiałym Amerykanom, że tak naprawdę nie nazywa się Goleniewski, tylko Aleksy Nikołajewicz Romanow i jest synem ostatniego cara Rosji. Nie przeszkadzało mu, że oryginalny carewicz urodził się 18 lat wcześniej niż on (w 1904 roku), i z uporem twierdził, że jest Aleksym, który podczas rewolucji zbiegł do Polski.

„W czasie naszych rozmów z Goleniewskim CIA zaczęła go podejrzewać o poważne zaburzenia umysłowe – opowiadał funkcjonariusz angielskiego wywiadu, Peter Wright. – Zaczął mieć przywidzenia, że jest potomkiem cara. Mimo to jego informacje wywiadowcze nadal były nadzwyczaj dokładne” [23](#).

Gdy mówił tylko o sprawach zawodowych, pozostawał „dokładny, błyskotliwy” i przedstawiał „szczególnie owocne” informacje na temat „konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem”. Jednak sprawa „Romanowów” zawsze pojawiała się pod koniec długich dyskusji”. Nie poprzestawał zresztą na rozmowach, bo w 1964 roku oficjalnie zwrócił się do sądu w Hamburgu z powództwem o uznanie jego roszczeń. Przy okazji ogłosił, że inni członkowie carskiej rodziny również przeżyli rewolucję:

„Matka moja, Aleksandra Fiodorowna Romanowa, z domu Alice Hessen-Darmstadt, zmarła w 1924 roku w Warszawie (Polska). Ojciec mój, imperator Rosji (Mikołaj Aleksandrowicz Romanow) zmarł w 1952 roku

w mieście Poznań (Polska). Proszę sąd o potwierdzenie moich praw do dziedziczenia po moich nieżyjących rodzicach” [24](#).

Sąd oczywiście oddalił powództwo, co wcale nie zniechęciło Goleniewskiego. We wrześniu poślubił Irmgard Kampf, ślub odbył się w nowojorskiej katedrze prawosławnej, a podpułkownik występował jako Aleksy Romanow. Przy tej okazji część rosyjskich emigrantów obwołała go następcą carskiego tronu...

Goleniewskiego zapraszano do udziału w programach radiowych, udzielał też wywiadów prasowych, opowiadając w nich historię swojego „cudownego uratowania” z rąk bolszewików. Doszło wreszcie do sytuacji, że dyrektor CIA z obawy przed kompromitacją odmówił zgody na przesłuchanie podpułkownika przez senacką Podkomisję Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Z upływem czasu Goleniewski stawał się zupełnie nieprzewidywalny, a jego zeznania wprowadzały śledczych w coraz większe zakłopotanie. Zarzucił współpracę z KGB Henry’emu Kissingerowi oraz szefowi brytyjskiego kontrwywiadu, Michaelowi Hanleyowi. Nigdy jednak nie zakwestionowano informacji przekazanych przez niego w dwóch pierwszych latach współpracy. Dlatego obecnie badacze przychylają się do tezy, że od pewnego momentu polski agent stał się nieświadomym narzędziem dezinformacji. A przy okazji nie wytrzymał ciśnienia i zaczął przejawiać oznaki choroby umysłowej.

„Moim zdaniem Goleniewski był wariatem – twierdził pułkownik Henryk Wendrowski. – Ale nie aż tak wielkim, żeby się od razu można było na nim poznać. (...) Sygnął wiele ważnych spraw dotyczących naszych działań na terenie Niemiec, Wielkiej Brytanii i Izraela. Aby zneutralizować szkody wynikłe z tej ucieczki, wymyślono wiele historyjek na jego temat i »sprzedano« je na Zachód (...). Z naszych informacji wynikało, że Amerykanie »kupili« dezinformacje. Pomógł w tym sam uciekinier, zgłaszając pretensje do tronu rosyjskiego. Ale nawet jeśli nie »kupili«, to i tak było sporo zamieszania i wywiad Stanów Zjednoczonych do końca nie miał pewności, co jest naprawdę grane” [25](#).

Goleniewski do końca życia mieszkał w USA (w Polsce skazano go na karę śmierci), zmienił nazwisko i przeszedł operację plastyczną. Prawdopodobnie służby PRL-u usiłowały go odnaleźć, by wykonać na nim wyrok.

„W 1969 roku oficer naszego wywiadu trafił w USA i Brazylii na ślad »carewiczka« Goleniewskiego – wspominał Franciszek Szlachcic. – Nie udało się jednak do niego dotrzeć. Ze wstępnych informacji wynikało, że wywiad USA ma rozbudowany i mocno utajniony ośrodek, w którym zatrudnieni są szpiegzy i renegaci. Nadal zajmują się działalnością szpiegowską przeciwko krajom socjalistycznym” [26](#).

Michał Goleniewski, który do końca życia uważał się za następcę tronu carskiego, zmarł w Nowym Jorku w lipcu 1993 roku.

NIE TYLKO PUŁKOWNIK KUKLIŃSKI

Funkcjonariusze wywiadu po ucieczce na Zachód byli dobrze chronieni. Poddawali się operacjom plastycznym, zmieniano im personalia. Życie jednak potrafi pisać najdziwniejsze scenariusze.

W czerwcu 1959 roku na Zachód zbiegł pułkownik Paweł Monat, którego pół roku później skazano zaocznie na karę śmierci. Jednym z sędziów orzekających w tym procesie był pułkownik Włodzimierz Ostaszewicz, który w listopadzie 1981 roku sam wybrał wolność. Wiele lat później stał się pierwowzorem postaci majora Ostaszewskiego, sąsiada Ryszarda Kuklińskiego, w filmie *Jack Strong* w reżyserii Władysława Pasikowskiego. Panowie oficerowie rzeczywiście się przyjaźnili, a przez pewien czas prowadził ich nawet ten sam pracownik CIA...

Wprawdzie największe szkody powodowały ucieczki wysokich oficerów wywiadu dysponujących rozległą wiedzą, jednak duże problemy stwarzała także dezercja funkcjonariusza niższego stopniem. Tak stało się w przypadku porucznika Andrzeja Kopczyńskiego, którego zniknięcie wstrząsnęło całym resortem.

„Był on stosunkowo młodym oficerem, absolwentem pierwszego rocznika Ośrodka Kształcenia Kadr Wywiadowczych w Kiejkutach – pisał Cezary Gmyz. – Ten rocznik był oczkiem w głowie kierownictwa Departamentu I. Kolegami z roku Kopczyńskiego byli m.in. Gromosław Czempiński i Bogdan Libera. Rocznik ten liczył 56 kursantów – najlepszych z najlepszych. (...) Mimo stosunkowo niskiego stopnia Kopczyński wyrządził komunistycznemu wywiadowi gigantyczne szkody. W sierpniu 1976 roku urwał się z kursu niemieckiego w RFN i poprosił

o azyl. (...) Ujawnił personalia około 150 oficerów i czynnych agentów Departamentu I i z tego powodu musiano ściągać na gwałt do kraju oficerów oraz zmieniać numerację poszczególnych wydziałów” [27](#).

Sprawa Kopczyńskiego miała swój epilog już w wolnej Polsce. Oficer wrócił bowiem do kraju i zajął się biznesem. Nie odniósł jednak sukcesu, a podobno zadbali o to jego dawni koledzy z Kiejkut. Wreszcie poszedł prosić o pomoc Gromosława Czempińskiego. Ten jednak wyzwał go od zdrajców i wyrzucił ze swojego gabinetu.

Każdy dezerterski kierował się innymi motywami, można jednak zauważyć, że z reguły uciekali ludzie, którzy wcześniej poznali zachodnie standardy życia. Wprawdzie zawsze deklarowali nienawiść do komunizmu i Związku Radzieckiego, ale prawdą jest, że w zamian za swoje informacje mogli liczyć na przyzwoitą emeryturę fundowaną przez zachodnie demokracje. Przecież nawet żona i córka Goleniewskiego podkreślały po śmierci podpułkownika ideologiczne motywy jego ucieczki, w co raczej trudno uwierzyć...



Agent Władysław Mróz został zastrzelony za zdradę przez funkcjonariuszy wywiadu PRL

ROZDZIAŁ 2

WYWIAD NIE WYBACZA ZDRADY

Niebezpieczeństwo jest wpisane w zawód szpiega. Wprawdzie w razie wpadki agentów na ogół się nie zabija, a kontrwywiad stara się wydobyć z nich wszystkie informacje, ale często latami siedzą w więzieniu, czekając na wymianę. Zdarzają się jednak inne sytuacje – szczególnie wtedy, gdy agent zostanie przewerbowany i zaczyna pracować na dwie strony. W przypadku dekonspiracji jego dawni przełożeni i koledzy z reguły nie mają litości, a ceną za zdradę jest życie.

Właśnie taki los spotkał kapitana Władysława Mroza zastrzelonego z zimną krwią przez funkcjonariuszy wywiadu PRL-u. Czy zabójstwo miało być przestrogą dla jego kolegów, czy też wynikało z konieczności wyeliminowania źródła przecieków? Na pewno nie odbył się żaden formalny sąd nad Mrozem. Z dnia na dzień na Rakowieckiej zdecydowano o likwidacji zdrajcy, co miało się okazać jednym z najbardziej mrocznych i jednocześnie najbardziej spektakularnych epizodów w dziejach polskiego wywiadu.

„Byłem już od czterech lat wicedyrektorem Departamentu I – wspominał pułkownik Henryk Sokolak. – W czerwcu 1960 roku otrzymaliśmy absolutnie pewną informację o zdradzie Władysława Mroza, nielegalnego oficera naszej służby we Francji. Obowiązywała zasada, iż pracownik kadrowy nie może być zdrajcą. Wydano rozkaz zlikwidowania go” [28](#).

AMBITNY MILICJANT

„Urodziłem się w 1926 roku, dnia 19 stycznia – pisał w swoim życiorysie Władysław Mróz – w miejscowości Skalat w rejonie tarnopolskim. Pochodzę z rodziny inteligencji pracującej, gdyż mój ojciec był urzędnikiem w poszczególnych biurach, a matka zajmowała się gospodarstwem domowym. Wybuch wojny przerwał mi naukę, ojciec został powołany do Wojska Polskiego. W 1940 roku zostałem wraz z rodziną przesiedlony do ZSRR, gdzie przebywałem w Jakuckiej Republice. Do 1943 roku uczęszczałem do 6, 7 i 8 klasy, ucząc się w języku rosyjskim. Następnie wstąpiłem do pracy w kopalni złota, zdając jednocześnie egzamin na mechanika przy wózkach elektrycznych” [29](#).

Rodzina Mrozów doświadczyła typowego losu Polaków na Kresach. Sowieci, którzy we wrześniu 1939 roku zajęli połowę naszego kraju, niebawem przystąpili do planowej eksterminacji polskich elit. W czterech turach do Kazachstanu i północnej części Rosji deportowano około 350 tysięcy osób. Wywożono całe rodziny urzędników państwowych do szczebla referenta, ziemian, kupców, dziennikarzy, harcerzy, studentów, członków różnych partii, duchownych, a nawet filatelistów i osoby znające esperanto.

„W 1944 roku wstąpiłem do Związku Patriotów Polskich – kontynuował Mróz – i staraniem tejże organizacji wyjechaliśmy do centralnej Rosji do sowchozu Nowolipowka rejonu sowieckiego obwodu saratowskiego. W sowchozie Nowolipowka pracowałem jako siła biurowa. Zarazem byłem instruktorem Kół Młodych przy Związku Patriotów Polskich na rejon sowiecki. Na mocy umowy polsko-radzieckiej wyjechałem do ojczyzny wraz z rodziną w maju 1946 roku. Po przyjeździe do kraju przyjechaliśmy do Inowrocławia, gdzie dotychczas zamieszkuję przy ulicy Marszałka Józefa Stalina numer 5 przez 20 wraz z rodziną” [30](#).

Jeszcze podczas pobytu w Związku Sowieckim odnalazł się ojciec rodziny – przesłał list, że walczy w szeregach Ludowego Wojska Polskiego. Niestety, nie było mu jednak dane spotkać żony i dzieci. Zginął pod Kołobrzegiem w ostatnich miesiącach wojny. Nigdy też nie ustalono, jakie były jego wcześniejsze losy. Zapewne po klęsce Polski we wrześniu 1939 roku trafił do odległego sowieckiego łagru, skąd nie udało mu się wyrwać do armii Andersa formującej się w 1941 roku na Powołu.

Czy rzeczywiście młody Władysław Mróz szczerze uwierzył w nowy ustrój? Przecież on i jego rodzina doświadczyli stalinowskich represji. Wstąpienie do Związku Patriotów Polskich można uznać za wybór czysto pragmatyczny, gdyż była to jedyna szansa na powrót do Polski. Być może ten właśnie fragment życiorysu wyjaśnia późniejsze postępowanie Mroza jako oficera wywiadu komunistycznej Polski.

Bez wątpienia chciał jednak zrobić karierę. W lutym 1947 roku wstąpił w szeregi Polskiej Partii Robotniczej, następnie został członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Uznał też, że służba w Milicji Obywatelskiej będzie dobrym sposobem na życie, i bez większych problemów został przyjęty w szeregi MO, gdyż w miejscu zamieszkania cieszył się znakomitą opinią.

„Towarzysz Mróz Władysław – oceniano w opinii partyjnej – znanym nam jest jako towarzysz od czasu wstąpienia do Partii, to jest od 28 lutego 1947 roku. W tym czasie jako członek Partii był zawsze zdyscyplinowanym i obowiązkowym jak w pracach zawodowych, tak i w pracy społecznej. Posiada również pewne wyrobienie polityczne, gdyż na każdym niemal zebraniu brał żywy udział w dyskusji. Moralne oblicze wyżej wymienionego jest bez zarzutu” [31](#).

W Komendzie Powiatowej w Inowrocławiu służył niewiele ponad rok, przeniesiono go bowiem do Wydziału Śledczego Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy. Bez wątpienia był to awans, a przełożeni uznali, że młody funkcjonariusz dobrze rokuje na przyszłość. Jednocześnie uzupełniał edukację w gimnazjum ogólnokształcącym dla dorosłych, matury jednak ostatecznie nie zdał. Ale – jak powszechnie mawiano w tamtych czasach – „nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera”.

Warto jednak pamiętać, że do 1947 roku sito selekcyjne kandydatów do służby w milicji było dość słabe i zdarzało się, iż nawet do pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa dostawali się żołnierze czy oficerowie podziemia niepodległościowego. Standardem było jednak, że do podania o przyjęcie do służby kandydat musiał dołączyć swój dokładny życiorys, który następnie sprawdzano. Na spisany życiorysie Mroza zachowały się nawet kolorowe podkreślenia fragmentów, które wzbudziły wątpliwość weryfikującego go oficera. Jeżeli bowiem Mróz napisał, że w 1940 roku wraz z rodziną wyjechał do ZSRS, oznaczało to lakoniczną informację o zsyłce, którą należało sprawdzić.

Weryfikacja przebiegła jednak pomyślnie, a Mróz musiał być zdolnym funkcjonariuszem, gdyż w lipcu 1949 roku uzyskał stopień sierżanta i skierowano go do Rocznej Szkoły Oficerskiej działającej pod auspicjami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nie zawiódł pokładanych w nim nadziei i ukończył szkołę z dobrymi wynikami, po czym dostał awans na podporucznika.

Opinia jego przełożonych pochodząca z tego okresu brzmi wręcz jak laurka. Uznano, że był „dobrze wyrobiony politycznie i do rządu ustosunkowany lojalnie”, natomiast zdecydowanie wrogo do nacjonalizmu. Nieźle wypadło też przygotowanie zawodowe, gdyż „zasady pracy opanowywał szybko”, a do tego „posiadał własną inicjatywę i podjętą pracę wykonywał sumiennie, szybko i z pewnym wyczuciem”. Podkreślano jego zdyscyplinowanie i umiejętność dochowania tajemnicy służbowej, ale dostrzeżono, że „w pracy z agenturą posiada jeszcze pewne braki i nie posiada odpowiedniego przeszkolenia”. Uznano zatem, że „wymaga ścisłej kontroli”. Bez wątpienia jednak Mróz zapowiadał się na dobrego pracownika wywiadu. Należało go tylko poddać specjalistycznemu przeszkoleniu.

W SZEREGACH WYWIADU

Koniec II wojny światowej oznaczał początek dwubiegunowego podziału świata i perspektywę kolejnego globalnego konfliktu. Przed wywiadem PRL-u stanęły nowe zadania: już nie tylko walka z opozycją, lecz także infiltracja dawnych sojuszników, którzy znaleźli się po drugiej stronie barykady. Poszukiwano młodych, zdolnych funkcjonariuszy, tym bardziej że ofiarami czystek partyjnych padało coraz więcej kadrowych pracowników. W tej sytuacji najbardziej ceniono ludzi, którzy przychodzili do służby bez żadnej protekcji. Wierzono, że jest to dodatkowa gwarancja ich lojalności.

W sierpniu 1950 roku Mroza przekazano do dyspozycji VII Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Początkowo pracował w Wydziale II do spraw Emigracji, a rok później trafił do Samodzielnej Sekcji Specjalnej. Jego zadaniem była praca operacyjna wśród załóg polskich statków handlowych. Mróz poważnie traktował swoje

obowiązki, jednak serce nie służy – znalazł też czas na romans z koleżanką z pracy, mężatką Leokadią Denisiuk. W teczce osobowej Mroza zachowała się opinia służbowa na jej temat.

„Denisiuk Leokadia, córka Stanisława, urodzona 6 września 1928 roku w Paryżu, narodowość i obywatelstwo polskie, pochodzenie – robotnicze, wykształcenie 3 klasy szkoły handlowej, członek PZPR. W 1946 roku przyjechała do Polski i zaczęła pracować jako instruktor Zarządu Dzielnicowego ZMP. W grudniu 1946 roku przeniesiona do pracy w wydziale zagranicznym KC PPR. W 1948 roku wyszła za mąż za oficera Wojska Polskiego Stanisława Denisiuka, po kilkumiesięcznym pożyciu rozeszła się z mężem i w lipcu 1954 roku uzyskała rozwód. W sierpniu 1953 roku została przyjęta do pracy w Departamencie VII Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na stanowisko tłumacza, gdzie pracuje do obecnej chwili” [32](#).

Ślub oficera wywiadu zawsze jest poważną sprawą, a jeżeli przyszły pan młody nie chciał złamać sobie kariery, musiał uzyskać zgodę przełożonych. Sprawa zrobiła się jednak pilna, gdyż Leokadia zaszła w ciążę. Chociaż również była pracownicą resortu, to ją i jej rodzinę dokładnie prześwietlono. Pewne zaniepokojenie budził fakt, że urodziła się i wychowała we Francji, ale uznano, że jej postawa ideowa jest bez zarzutu. Wobec tego przełożeni Mroza wyrazili zgodę i ślub odbył się 5 sierpnia 1954 roku w Warszawie, gdzie świeżo poślubiona para zamieszkała.

W związku ze zmianami politycznymi po śmierci Stalina zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, powołując na jego miejsce Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Departament I miał się odtąd zajmować działalnością wywiadu i właśnie tam trafił awansowany na stopień porucznika Władysław Mróz. Młody mąż i ojciec cieszył się też coraz lepszą opinią wśród swoich przełożonych.

„Jest niekiedy przesadnie wrażliwy na punkcie zaufania. Wyrobienie polityczne dość dobre. Opanowuje powierzony mu odcinek pracy, posiada dość wyrobiony zmysł operacyjny, orientuje się dość szybko. Zapowiada się na samodzielnego pracownika. Zdolny, uczy się dość dobrze, stara się o dalsze podniesienie poziomu. Zajmowanemu stanowisku odpowiada w pełni, ma perspektywy rozwoju” [33](#).

Nie wiadomo, czym dokładnie zajmował się w tym okresie Mróz. Według zachowanych informacji czasami wcielał się w rolę kuriera

dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i podróżował do Wielkiej Brytanii oraz Izraela, gdzie spotykał się z polskimi agentami. Jako kurier przewoził do kraju w poczcie dyplomatycznej zdobyte przez nich materiały. Przez pewien czas pełnił też obowiązki oficera do zadań specjalnych szefa I Departamentu, pułkownika Witolda Sienkiewicza. W przyszłości funkcja ta miała zaprocentować.

Można uznać, że kariera ambitnego porucznika rozwijała się znakomicie, jednak nie wszyscy byli zgodni w ocenie jego pracy. W teczce personalnej przechowywanej w archiwach IPN-u znajdujemy bardzo ciekawe wiadomości, być może zapowiadające późniejszą katastrofę.

„Niekiedy postępuje lekkomyślnie. (...) Ma charakter wybuchowy i jest przesadnie ambitny. Brak mu wytrwałości i uporu. Na krytykę reaguje boleśnie, niekiedy niepoważnie. (...) Mimo szeregu wad jest pracownikiem dobrym, oddanym i z perspektywą” ³⁴.

Jeszcze większe zainteresowanie wzbudza opinia o Mrozie z 1958 roku, w której zarzucano mu, że „jest niekiedy przesadnie wrażliwy na punkcie zaufania: gdy niekiedy zaistniały w przeszłości wypadki, że nie był osobiście poinformowany o jakimś przedsięwzięciu, czuł się bardzo dotkniętym” ³⁵. Jednak mimo tych zastrzeżeń i niedociągnięć charakteru ocena zaangażowania ideologicznego Mroza nie budziła większych uwag.

CHERCHEZ LA FEMME

Na temat przebiegu służby Władysława Mroza narosło wiele nieporozumień. Nie jest prawdą – jak twierdzili niektórzy badacze – że był słuchaczem szkoły NKWD w Kujbyszewie i odpowiadał za organizację siatki wywiadowczej w krajach skandynawskich. Z zachowanych dokumentów wynika, że od 1954 roku pracował w Wydziale I zajmującym się nielegalnymi rezydenturami, gdzie kierował Grupą Legalizacyjną. Jego komórka przygotowywała fałszywe dokumenty dla polskich agentów, dzięki czemu Mróz miał okazję dobrze poznać ich personalia.

Już sam fakt, że zajmował się wywiadem nielegalnym, świadczy o zaufaniu, jakim darzyli go przełożeni. To najbardziej skomplikowana, czasochłonna i kosztowna dziedzina sztuki wywiadowczej. Częścią tego rodzaju działań były przecież operacje wtórnikowe, czyli podstawianie

jednego człowieka za innego. Na miejsce realnie żyjącej osoby wysyłano oficera wywiadu, wykorzystując sfałszowane dokumenty, a operacje tego typu przeprowadzano przez inne państwa, unikając przybycia agenta bezpośrednio z kraju jego pochodzenia. To podstawowa zasada sztuki wywiadowczej, od której nie było odstępstw. Niebawem miała się okazać bardzo ważna również dla Władysława Mroza.

Istotny wpływ na błyskawicznie rozwijającą się karierę porucznika miała jego urodzona we Francji żona. Zniechęcona surowymi warunkami życia w PRL-u tęskniła do swojej pierwszej ojczyzny. Często wspominała Paryż, uczyła też męża języka francuskiego i chętnie opowiadała mu o tamtejszych zwyczajach.

Nie bez powodu w pracy w wywiadzie nielegalnym preferowano oficerów stanu wolnego. Władysław Mróz nie dość, że był żonaty, to na towarzyszkę życia wybrał sobie repatriantkę z Francji, rozwódkę z córką z pierwszego małżeństwa. Na dodatek w 1954 roku na świat przyszło ich pierwsze wspólne dziecko, a niebawem drugie.

Rodzina Mrozów powiększała się, potrzebne były coraz większe środki finansowe. Władysław nie mógł jednak narzekać – gdy w 1957 roku awansował do stopnia kapitana, otrzymał znaczną podwyżkę. Wraz z dodatkami zarabiał 3810 złotych, podczas gdy średnia krajowa wynosiła 1348 złotych. Sprawa wygląda jednak inaczej, gdy weźmiemy pod uwagę, że miał na utrzymaniu żonę i troje dzieci. Z powodu opieki nad nimi Leokadia Mróz musiała zrezygnować z pracy zawodowej, co obniżyło poziom życia rodziny.

Wynagrodzenie Mroza stanowiło trzykrotność średniej krajowej, do tego dochodziły jeszcze służbowe mieszkanie i dostęp do dobrze zaopatrzonych, resortowych sklepów. Warto jednak pamiętać, że nasz kapitan poza żoną i dziećmi opiekował się jeszcze chorą matką. Nic zatem dziwnego, że Leokadia coraz częściej myślała o powrocie do Francji. Zapewne pod jej wpływem Mróz wpadł więc na pomysł, jak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: nadal pracować w resorcie i wyjechać na Zachód.

Pomysł kapitana wydawał się absurdalny. Władysław Mróz nie spełniał żadnych kryteriów na nielegala, nie miał wyuczonego zawodu, był za to mężem i ojcem. Poza tym rozpracowały go już zachodnie służby, gdyż przez pewien czas spotykał się z marynarzami, którzy byli kontaktami

wywiadu PRL-u. Jego rysopis zapewne znali już funkcjonariusze z za żelaznej kurtyny.

Plany Mroza mogły stanowić poważne zagrożenie dla całej siatki wywiadu nielegalnego PRL-u. Przecież kapitan doskonale znał personalia sieci agentów – oficer o tak rozległej wiedzy bezwzględnie nie powinien zostać wypuszczony z kraju. Tym bardziej że francuskie służby miały opinię bardzo sprawnych i słynęły z tego, że nie cofają się przed używaniem brutalnych metod.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Władysław Mróz zaproponował przełożonym, że wyjedzie wraz z rodziną do Francji, by podjąć się misji nielegalnej. Początkowo jego prośbę odrzucono, ale kapitan był uparty. Wykazywał tak wielką determinację, że – by ukryć swoje problemy zdrowotne, które mogły uniemożliwić mu realizację planów – wysłał na prześwietlenie płuc zaufanego kolegę. W końcu, w listopadzie 1958 roku, prośby Mroza przyniosły efekt, dostał zgodę na wyjazd. Popełniono przy tym kolejny poważny błąd w sztuce wywiadowczej: udzielając zgody, nie odseparowano go od pracy w centrali. Dzięki temu otrzymywał informacje o jej bieżących działaniach, co w przypadku zdrady mogło mieć tragiczne konsekwencje.

Cała ta sytuacja nawet po latach wydaje się mocno niezrozumiała. Pewne jest tylko to, że w połowie 1959 roku do Francji wysłano bombę z opóźnionym zapłonem, której eksplozja mogła na wiele lat zniweczyć cały wysiłek polskiego wywiadu nielegalnego. Czy nikt na Rakowieckiej nie zdawał sobie z tego sprawy? Przecież nawet standardowe szkolenie nielegala prowadzono poza gmachem ministerstwa, a za koordynację przygotowań agenta odpowiadał wyłącznie jeden funkcjonariusz. W przypadku Mroza stało się zupełnie inaczej.

W 1957 roku polski wywiad miał na Zachodzie tylko siedmiu operacyjnych pracowników. W większości byli to oficerowie mało doświadczeni, a ich kompetencje pozostawiały wiele do życzenia. Niektórzy zmagali się z cywilizacyjnym szokiem, inni z kłopotami materialnymi. Rok później udało się wysłać kolejnych sześciu, a w 1959 roku – jeszcze trzech. Właśnie wśród nich był Władysław Mróz. Pod koniec

tego samego roku za granicą przebywało w sumie 13 nielegalów. Natomiast w 1960 roku na rzecz Wydziału I Departamentu I MSW pracowało ponad 20 osób.

W przypadku agentów nielegalnych jedną z najważniejszych kwestii było dokładne przygotowanie ich legendy, czyli fałszywej tożsamości. Dlatego przez pierwszy okres po przerzucie nielegal nie działał operacyjnie, lecz poświęcał czas na aklimatyzację w nowych warunkach, znajdował miejsce zamieszkania oraz pracę. Do tego należało jeszcze zalegalizować swój pobyt, czyli zdobyć miejscowe papiery. Czasami agent zgłaszał do miejscowych organów administracji zgubienie dokumentów (oczywiście fałszywych), po czym otrzymywał oryginalne – i wtedy przebywał na Zachodzie już zupełnie pełnoprawnie.

Mróz jako szef działu legalizacyjnego zwracał na to szczególną uwagę, jednak w przypadku własnej osoby zaniedbał sprawę, co zresztą zaakceptowali jego przełożeni. Do Francji miał wyjechać z żoną i dziećmi w ramach akcji łączenia rodzin. A co najważniejsze – osiedlić się nad Sekwaną pod prawdziwym nazwiskiem, które zapewne znał tamtejszy wywiad.

Czy był to przypadek? Czy mamy do czynienia z nierozwagą Mroza i jego przełożonych, czy też zdecydowały o tym inne względy? Trudno uwierzyć, że całą akcję puszczono na żywioł. Niewykluczone, że utajniono ważny element tej układanki. Wszak wywiad ma swoje tajemnice, których nigdy nie poznamy.

CZAS ZDRADY

Po przyjeździe do Paryża Mrozowie zatrzymali się u rodziny Leokadii w Colombes na przedmieściach stolicy. Po dwóch miesiącach wynajęli mieszkanie w XVII Dzielnicy, skąd przenieśli się do Dzielnicy VII. Latem następnego roku zamieszkali w domu czynszowym przy 37 Rue de Dunkerque w Épinay-sur-Seine, 12 kilometrów od centrum Paryża. Był to budynek pozostający w gestii francuskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, co Mróz zataił wobec swoich przełożonych w Warszawie.

Leokadia wkrótce znalazła pracę jako sekretarka, natomiast Władysław został magazynierem w firmie Klasser. Potem zmienił pracodawcę,

przenosząc się do atelier fotograficznego przy Saint Augustin w Paryżu. Choć zarabiał 600 nowych franków miesięcznie, rodzina zgromadziła na rachunku bankowym oszczędności w wysokości 30 tysięcy nowych franków, czyli około 60 tysięcy euro.

Nie wiadomo, skąd biedna rodzina emigrantów z Polski miała tak duże pieniądze. Wprawdzie Leokadia Mróz wspominała w swoich zeznaniach, że rzekomo przed wyjazdem sprzedali jakieś nieruchomości w Warszawie, ale można to włożyć między bajki. Zapewne była to kwota ze specjalnego funduszu przeznaczona na osadzenie Mroza i jego rodziny we francuskiej rzeczywistości.

„Poczta operacyjna wysyłana przez MW – wspominał pułkownik Sokolak – była wykonywana cyklicznie i starannie. Szyfr, jak i mikrofotografia nie wzbudzały zastrzeżeń. Treść dotyczyła warunków po przyjeździe do Francji, okres aklimatyzacji, poszukiwanie pracy, dane o miejscu pracy i o wynajętym mieszkaniu, informacje o rodzinie jego żony. Wszystkie te informacje były przekonujące i naturalne” ³⁶.

Ciekawe światło na całą sytuację rzucają zeznania kolegi z pracy Mroza, Bernarda Lugo. Pracował on z kapitanem w atelier fotograficznym przy Rue Saint-Augustin 17. Lugo zeznał, że Mróz zawsze wracał punktualnie z pracy do domu i – poza rodziną żony – właściwie z nikim nie utrzymywał kontaktów towarzyskich. Zauważył jednak, że kapitan nie sprawiał wrażenia ubogiego emigranta z Europy Wschodniej.

„Jeśli chodzi o wydatki, pan Mróz nie odmawiał sobie niczego. Wydawało się, że żyje na luzie, miał zawsze banknoty po 5 i 10 tysięcy starych franków i nosił ze sobą książeczkę czekową wystawioną przez Credit Lyonnais w Colombes. Raz pożyczyłem od niego sumę tysiąca franków, którą przekazał mi w gotówce. Oddałem dwa dni później” ³⁷.

Lugo był pomocnikiem Mroza, ich praca polegała głównie na wywoływaniu filmów. Pracowali z reguły do godziny 19, czasami Mróz wychodził gdzieś na godzinę lub nieco dłużej. Zawsze też kupował polską prasę.

Nie wiadomo, kiedy Mróz znalazł się w orbicie zainteresowania Direction de la Surveillance du Territoire, czyli francuskiego kontrwywiadu. Do dzisiaj nie ustalono, czy sam się zgłosił zaraz po przyjeździe, czy też wezwano go na przesłuchanie. Czy działał z własnej inicjatywy, czy też realizował jakiś plan? Niewykluczone, że Leokadia

zadenuncjowała męża, by zmusić go do pozostania we Francji i spalić drogę powrotu do Polski.

Niektórzy uważają, iż do zdekonspirowania Mroza przyczynił się jakiś oficer polskiego wywiadu, który uciekł do Stanów Zjednoczonych. Miał przekazać Amerykanom informację, że Mróz jest funkcjonariuszem wywiadu i w przeszłości pracował jako kurier dyplomatyczny. Gdy francuscy policjanci odwiedzili Mroza, ten miał poprosić o osobistą rozmowę z kierownictwem DST, po czym przyznał, że jest funkcjonariuszem MSW. Następnie mniej więcej co dwa tygodnie odbywał konspiracyjne spotkania z oficerami DST, podczas których udzielał dalszych informacji.

W czasie zimnej wojny przejście Władysława Mroza na drugą stronę stanowiło dla DST prawdziwy dar niebios. Okazał się najcenniejszym łupem francuskiego kontrwywiadu od wielu lat. Mógł przekazać bezcenną wiedzę operacyjną, a także zdekonspirować agentów PRL-u czy szpiegów KGB ulokowanych w państwach Zachodu, o których działalności dużo przecież wiedział.

Mróz złożył formalny wniosek o przyznanie mu azylu politycznego. W czasie przesłuchań ujawnił wiele informacji na temat kadry, aktywów operacyjnych i metod działania Departamentu I. Opowiedział między innymi o opracowanym przez wywiad PRL-u wykazie paryskich budynków użyteczności publicznej, które miały dwa wejścia i były wykorzystywane przez oficerów do zgubienia śledzących ich funkcjonariuszy francuskich służb obserwacyjnych. Przedstawił też wykorzystywany przez wywiady bloku komunistycznego sposób przeprowadzania spotkań z agenturą umożliwiający wykrycie ewentualnej obserwacji. Polegał on na dwukrotnym wyjściu naprzeciw siebie oraz minięciu się przez pracownika operacyjnego i agenta, którzy szli kolejno po dwóch równoległych ulicach, na trzeciej zaś się spotykali. Francuscy oficerowie byli zaskoczeni, gdy Mróz oznajmił im, że zdjęcie szefa sowieckiej sekcji DST Andrégo Guérina wisiało w pokoju kierownika Sekcji Francuskiej Departamentu I.

ZEMSTA

Pierwsze podejrzenia pod adresem Mroza zaczęto wysuwać w Warszawie po ośmiu miesiącach. Latem 1960 roku Departament I otrzymał informację od KGB, że we Francji nastąpił poważny przeciek. Wprawdzie początkowo nie brano pod uwagę zdrady kapitana, ale sytuacja się zmieniła, gdy wyszło na jaw, że mieszka pod innym adresem, niż podawał, i to w budynku zarządzanym przez francuskie służby.

„Wszyscy byliśmy jednak zdziwieni – wspominał pułkownik Sokolak – gdy wciąż opóźniał swój przyjazd do kraju, usprawiedliwiając się różnorodnymi przyczynami: chorobą żony, ciążą itp. Pomimo nadzwyczajnej sytuacji operacyjnej – zawodził, ignorował większość rozkazów centrali” [38](#).

Rutynowy przegląd własnych agentów nielegalnych zaniepokoił szefostwo w Warszawie. Okazało się, że wszyscy nielegalowie, którzy podczas przygotowań do przerzutu otarli się o Mroza, zostali w niebudzący podejrzeń sposób sprawdzeni przez francuskie władze pod kątem meldunków i podatków. Jediną pominiętą osobą był właściwie tylko kapitan. W czerwcu 1960 roku na Rakowieckiej uznano, że Mróz dopuścił się zdrady.

Trudno oprzeć się jednak wrażeniu, że w całej tej sprawie nie wiemy o czymś bardzo istotnym. Całość wygląda bowiem niezwykle dziwnie – począwszy od wysłania Mroza do Francji, poprzez błędy popełnione przez niego samego i francuski kontrwywiad. Szczególnie absurdalny jest fakt zamieszkania w budynku zarządzanym przez DST. Przecież to niemożliwe, by tak doświadczeni funkcjonariusze po obu stronach popełniali uczniowskie pomyłki. A może faktycznie ówczesnym służbom po obu stronach daleko było do profesjonalizmu?

W Warszawie podjęto decyzję: Mróz powinien zostać zlikwidowany, „zanim zdradzi wszystko i wszystkich”. Jednak pierwsza próba otrucia go za pomocą cyjanku potasu nie powiodła się. Gdy Mróz rozpoznał na ulicy swoich dwóch dawnych kolegów, którzy przypadkowo go spotkali i zaprosili na kawę, natychmiast uciekł. Wobec tego podjęto kolejną próbę morderstwa, również nieudaną. Nic bliższego o niej jednak nie wiadomo.

„We wtorek, 25 października – zeznawał Lugo – kiedy jedliśmy razem obiad, Władysław powiedział o swoim zamiarze wysłania żony samolotem do jakiegoś niemieckiego portu. Sądzę, że chodziło o Hamburg. Pani Mróz miała spotkać się ze swoim bratem, nawigatorem, który miał jej przekazać sumę dwóch milionów starych franków pochodzącą z Polski. Dwa dni

później, czyli w czwartek 27 października, pokazał mi wizję do Niemiec. Wtedy uściślił, że ma zamiar polecieć samolotem do Niemiec, a żona miała podążyć niedługo za nim. Wyjazd był ustalony na poniedziałek 31 października” [39](#).

Dwa miliony starych franków to 20 tysięcy nowych, czyli 40 tysięcy euro. Leokadia nie miała żadnego brata, a cała historia opowiedziana w pracy służyła tylko temu, by uwiarygodnić niespodziewany zastrzyk gotówki. Ale od kogo i za co? I dlaczego na terenie RFN-u? Ostatecznie jednak do podróży do Niemiec Zachodnich nie doszło.

„Po dwóch nieudanych przymiarkach dano mi wolną rękę – relacjonował pułkownik Sokolak. – Sięgnąłem po znajomych z okresu wojny, dla których słowa »rozkaz – zabić« znaczyły tyle, co dla mnie. W przeddzień akcji wyjechałem z Warszawy. O 23.00 na lotnisku w Brukseli znalazłem znak, że już wszystko biegnie. Ode mnie oczekiwano już tylko wykonania akcji eliminacyjnej. Uruchomiłem ją o 5 rano. Przekazałem dokumenty, ostatnie elementy rozeznania, samochody, broń, środki pomocnicze. Od tej pory pozostało już tylko 12 godzin czekania. A akcja? O godzinie 17.30 był telefon, że udana” [40](#).

Tragedia rozegrała się na ulicy Route de Saint-Gratien w Argenteuil pod Paryżem. W 1960 roku była to okolica podmiejska, mieściło się tam zwałowisko odpadów z pobliskiego kamieniołomu. 27 października, tuż po godzinie 20, jeden z mieszkańców zobaczył dwa stojące samochody: peugeota 403 i citroëna 2 CV. Gdy zbliżył się do nich, do peugeota wsiedli dwaj mężczyźni i natychmiast odjechali, pozostawiając na miejscu drugi pojazd. W środku znajdowało się ciało kapitana Władysława Mroza, który zginął od dwóch strzałów w głowę z przyłożenia, czyli po przytknięciu mu lufy do głowy.

Nigdy nie wyjaśniono przebiegu wypadków tego wieczoru. Władysław Mróz wyszedł z pracy o zwykłej porze, wsiadł do metra i w Argenteuil miał się przesiąść do autobusu. Kierowca rozpoznał Mroza na pokazanym przez policję zdjęciu. Znał Władysława z widzenia, ale nie potrafił stwierdzić, czy feralnego wieczoru również przemieszczał się jego pojazdem. Autopsja nie wykazała żadnych śladów fizycznej przemocy, najwyraźniej kapitan wsiadł do citroëna, nie stawiając oporu, zajął przednie siedzenie i został zabity strzałami w tył głowy. Oba samochody biorące udział w akcji zostały wcześniej skradzione.

„Na egzekutora wyznaczono jednego z oficerów, Zdzisława Pachowskiego – wspominał były oficer wywiadu, Jan Bisztyga. – Pachowski opowiedział mi, że sam opracował metodę wykonania wyroku. Wyszli z samochodu, ogłosili wyrok, potem strzelił do niego dwa razy. Mróz się nie bronił wcale, nie było żadnych dramatycznych scen. Pachowski opowiadał to z przejęciem, ale też z poczuciem, że taka jest procedura. Jeżeli się zdradzi w wywiadzie, to takie są konsekwencje” ⁴¹.

Do dzisiaj nie wyjaśniono jednak pewnych nieścisłości. Opisując likwidację Mroza, pułkownik Sokolak stwierdził, że powiedział, iż nielegalowie z terenu Europy zostali ewakuowani tego samego dnia, gdy zamordowano kapitana. Tymczasem wrócili do kraju już wcześniej. Ponadto zupełnie nie zgadzają się godziny akcji – kapitan zginął po 19, a tymczasem Sokolak już o 17.30 miał dostać telefon o powodzeniu akcji.

Relacje pracowników wywiadu PRL-u dotyczące sprawy Mroza były spisywane po latach, gdy na wydarzenia patrzono już z innej perspektywy. Pojawiły się stwierdzenia, że „wywiad nie puszcza płazem zdrady” czy też, że „agent może zdradzić, ale nie wolno mu pozwolić się cieszyć owocami zdrady”. Trzeba jednak pamiętać, że o całej sprawie poinformowano zaledwie kilku pracowników resortu, a do pozostałych przez lata docierały różnego rodzaju plotki.

NAJWIĘKSZA PORAŻKA WYWIADU W DZIEJACH PRL-U

Wprawdzie oficerowie wywiadu w swoich wspomnieniach starali się przedstawić sprawę kapitana Mroza jako sukces, twierdząc, że ukarano zdrajcę, a nielegalów udało się ewakuować, jednak była to największa klęska służb PRL-u w ich dotychczasowej historii. Zdekonspirowano bowiem metody działania wywiadu i zniszczono całą siatkę nielegalnych agentów. Mróz zdążył nawet spotkać się w Paryżu z wysłannikami Mosadu, by udzielić im informacji na temat sądanego w Izraelu polskiego szpiega Lucjana Leviego. Nie bez powodu jeden z oficerów peerelowskich służb stwierdził, że po zdradzie Mroza w Departamencie I zapanowała atmosfera jak po ucieczce Jerzego Świątły na Zachód kilka lat wcześniej.

Czy jednak chodziło wyłącznie o kwestię zdrady i kary, jaka dosięgła szpiega, który przeszedł na drugą stronę? Czy Władysław Mróz okazał się tylko zwykłym zdrajcą, który z pobudek osobistych dał się przewerbować, czy może był elementem większej gry, której zasięgu właściwie nie znamy i zapewne nigdy nie poznamy jej szczegółów?

Śmierć Mroza to także klęska Francuzów – nie potrafili zapewnić bezpieczeństwa człowiekowi, który im zaufał. Osoba taka jak Władysław powinna dostać wyjątkową ochronę, tymczasem pozwolono, by oficerowie wywiadu PRL-u zamordowali agenta. Francuzi działali w sposób wyjątkowo nonszalancki i stracili najważniejszą zdobycz tamtych lat. Polskie służby okazały wielką determinację i poradziły sobie z trudną akcją likwidacyjną. Nie zmienia to jednak faktu, że nielegalny wywiad PRL-u na dłuższy czas stał się bezsilny.

Wydawać by się mogło, że ukaranie Mroza za zdradę powinno być odstrasżającym przykładem dla innych. Zachował się jednak pewien dokument, który kompletnie temu zaprzecza. Niebawem po zabójstwie kapitana wykreślono go na Rakowieckiej z ewidencji jako zmarłego za granicą. Jednak trzy lata później matce Mroza przyznano rentę po synu w standardowej wysokości jednej trzeciej jego ostatnich krajowych poborów. Trudno to uznać za odstrasżający przykład dla naśladowców kapitana, gdyż matka zdrajcy raczej powinna zostać pozbawiona środków utrzymania.

Dzisiaj – mimo odtajnienia przez IPN dokumentów kapitana – wielu aspektów tej tragicznej historii nie da się wyjaśnić i pewnie już nigdy nie dowiemy się, dlaczego właściwie zginął Władysław Mróz. Początek lat 60. stanowił kulminacyjny moment zimnej wojny, za kilka miesięcy rozpoczęto budowę muru berlińskiego. Właśnie wtedy, gdy bezpieczeństwo komunistycznej Polski było niezwykle zagrożone, służby wywiadowcze zostały kompletnie sparaliżowane. A wszystko za przyczyną zdrady jednego oficera. I nawet jego śmierć nic w tej kwestii nie zmieniła...



Luty 1950 roku, drugi dzień procesu André Robineau

ROZDZIAŁ 3

FRANCUSKI SZPIEG

Początek zimnej wojny był w krajach komunistycznych okresem narastającej obsesji szpiegowskiej. Zgodnie ze sprawdzonymi wzorcami sowieckimi o agenturalną działalność na rzecz zachodnich wywiadów oskarżano praktycznie wszystkich: działaczy niepodległościowych, przedwojennych urzędników i oficerów, przedstawicieli prywatnej inicjatywy, duchownych, arystokratów. Identyczny zarzut stawiano również działaczom komunistycznym reprezentującym inne frakcje partyjne, toteż trudno było w tamtych czasach znaleźć proces sądowy, w którym nie wypłynąłby wątek agenturalny.

Szpiegostwo uważano za najcięższą zbrodnię (obok trockizmu i różnego rodzaju odchyłeń ideologicznych), agentami obcych wywiadów mieli być aresztowani konkurenci do władzy: László Rajk (Węgry), Koçi Džodze (Albania), Trajczko Kostow (Bułgaria), Rudolf Slánský (Czechosłowacja). A ponieważ zdrajcom i szpiegom nigdy nie okazywano litości, przegrani aparaczczyki kończyli życie na szubienicy.

I chociaż w Polsce ostatecznie nie doszło do dużego procesu politycznego w obrębie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, to jednak wątki szpiegowskie przewijały się w śledztwach przeciwko Władysławowi Gomułce i Marianowi Spychalskiemu. Bez zahamowań wykorzystywano również oskarżenia o współpracę z obcym wywiadem podczas rozpraw sądowych rzeczywistych i domniemanych przeciwników nowego ustroju. W efekcie władze osiągnęły swój cel – zapanowała ogólna histeria, a szpiedzy byli podobno wszędzie: w kopalniach, hutach, jednostkach wojskowych, szkołach, urzędach, sklepach...

W tym okresie największe zainteresowanie polskiego kontrwywiadu wzbudzali obywatele Francji. Polska tradycyjnie miała z tym krajem liczne kontakty, był to również okres powrotów nad Wisłę wielu górników, którzy od dawna pracowali we francuskich kopalniach. Imigranci osiadali najczęściej na Ziemiach Odzyskanych – to właśnie oni stanowili załogi kopalń Dolnego Śląska. Wśród repatriantów znajdowali się również współpracownicy francuskiego wywiadu. Uczciwie bowiem należy przyznać, że – mimo całej szpiegowskiej historii – PRL rzeczywiście była infiltrowana przez wywiady państw zachodnich.

YVONNE BASSALER

Pierwsze wyroki w sprawach o szpiegostwo na rzecz Francji zapadły już w 1948 roku, na kary kilkuletniego więzienia skazano wówczas dwóch urodzonych we Francji obywateli polskich. Były to jednak sprawy marginalne, na które opinia publiczna nie zwróciła większej uwagi. Dopiero rok później wybuchła afera szpiegowska z dyplomatami francuskimi w rolach głównych.

Pracownicy ambasady i konsulatów francuskich w Polsce faktycznie prowadzili działalność wywiadowczą, tak zresztą do dziś postępują dyplomaci na całym świecie. Wywiad francuski w Polsce opierał się na sieci przedwojennych kontaktów, a kierował nim attaché wojskowy ambasady w Warszawie, generał Georges Teyssier.

„Na jego nieszczęście przyjął do pracy w attachacie młodą francuską sekretarkę – pannę Zuzannę Schott – wspominał ówczesny szef kontrwywiadu MBP, pułkownik Stefan Antosiewicz. – Miała ona dostęp do wpływających na biurko Teyssiera raportów wywiadu i okresowych sprawozdań z rezydentur w konsulatach w Gdańsku, Szczecinie, Krakowie i [we] Wrocławiu. Częściowo udało się nam również skorzystać z podsłuchu” [42](#).

Z perspektywy czasu trudno jednoznacznie ustalić, co było prawdą, a co zostało sfingowane przez polski kontrwywiad. Służby PRL-u musiały się wykazać skutecznością działania, albowiem władze pilnie potrzebowały zachodnich szpiegów i ich procesów.

„Szeroką działalność wywiadowczą – opowiadał późniejszy szef Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW, generał Władysław Pożoga – prowadził wicekonsul francuski w Gdańsku, René Bardet, kierujący siecią szpiegowskich informatorów obszaru północnego w Polsce. Pan wicekonsul w szeregach swych szpiegowskich informatorów chętnie widział osoby przebywające podczas wojny we Francji, które po jej zakończeniu powróciły do ojczyzny. Wywiadem agenturalnym zajmował się również attaché wojskowy ambasady francuskiej, major Humm [następca Teyssiera – S.K.], a także szef francuskiej misji poszukiwań i repatriacji, kapitan Raymond Pallandre. Jednak najintensywniejsze elementy profrancuskie i proniemieckie wykorzystywał rezydent wywiadu francuskiego na Pomorzu Zachodnim, sekretarz konsulatu francuskiego, André Robineau, i Yvonne Bassaler, kierująca siatką we Wrocławiu. Na szpiegowskich usługach tej pani był między innymi Wilhelm Hild, były członek NSDAP. Ubiegał się on o wyjazd do Francji, a zbierał informacje o obiektach przemysłowych Dolnego Śląska. Szczególnie interesowała go kopalnia uranu w Kowarach” [43](#).

Jako pierwsza w marcu 1949 roku została aresztowana Yvonne Bassaler, sekretarka konsulatu we Wrocławiu. Razem z nią zatrzymano jeszcze pięć osób, w tym wspomnianego członka NSDAP, Wilhelma Hilda. Niebawem liczba aresztowanych wzrosła do prawie 30 osób, a państwowa propaganda wykorzystwała sprawę do wykazywania wrogich zamiarów Francji wobec miłującej pokój PRL.

„Przeciętny uczciwy człowiek – mówiła na antenie polskiego radia dziennikarka Wanda Odolska – nie może opanować uczucia obrzydzenia, gdy dowiaduje się, w jaki zbrodniczy i brutalny sposób szpiegowska szajka, zamaskowana dyplomatycznym szyldem, usiłowała rujnować na naszej ziemi ład wszystkiego, co znalazło się w polu jej widzenia” [44](#).

Naczelną propagandystką epoki ze szczególną nienawiścią potraktowała jedyne go Polaka w pierwszej grupie aresztowanych, Jana Kubisiaka. Obrzucając go wyzwiskami, używała typowo sowieckiej retoryki.

„Jedyny w tym procesie Polak, szpieg Kubisiak, jest zjawiskiem politycznie umotywowanym. Droga na ławę oskarżonych poprowadziła go przez etapy AK, WiN, V-2. Kubisiak razem z siostrą redagował i kolportował tajną, szkalującą Polskę prasę, następnie siostrę tę urządził w konsulacie francuskim we Wrocławiu, gdzie wkrótce została pojętą uczennicą mademoiselle Bassaler. Kubisiak wciągnął w działalność

szpiegowską również brata i żonę. I wkrótce konsul wrocławski miał niepowszednią pociechę szpiegowską z całej rodziny Kubisiaków. Nic dziwnego, że oskarżony otrzymał pseudo »V-2«. Kubisiak umiał być szpiegiem. Początkowo płatny od kawałka, od planu lotniska czy koszar, po 3-4 tysiące zł, później przeszedł na stały etat i drążył dla swoich celów, tzn. dla obcego wywiadu, wszystko, co się dało. Węszył nastroje w okresie zjednoczenia partii, penetrował zagadnienia młodzieżowe. Żył, ma się rozumieć, dostatnio” [45](#).

Proces był farsą – zaledwie jeden z obrońców mówił po francusku, natomiast adwokata dla Bassaler wyznaczono na 24 godziny przed rozprawą. Na salę sądową nie wpuszczono przedstawicieli francuskiej ambasady, a w roli publiczności występowali milicjanci i delegaci zakładów pracy (w tym górnicy w galowych mundurach). Po ośmiu dniach zapadły wyroki: Bassaler skazano na dziewięć lat więzienia, podobny wyrok usłyszał Kubisiak, natomiast Hild otrzymał karę sześciu lat pozbawienia wolności.

Gdy we Wrocławiu trwał proces Yvonne Bassaler, przygotowywano już znacznie większą imprezę. Miesiąc wcześniej aresztowano bowiem sekretarza konsulatu francuskiego w Szczecinie, 25-letniego André Robineau, a jego proces miał się stać koronnym dowodem na wrogą działalność Francuzów. Inna sprawa, że młody dyplomata faktycznie był funkcjonariuszem służb specjalnych swojego kraju i w jego przypadku rzeczywiście chodziło o działalność szpiegowską.

SKOMPLIKOWANA MŁODOŚĆ AGENTA

André Simon Robineau pochodził z mieszanego małżeństwa – jego ojciec (także André), nauczyciel Liceum Francuskiego w Warszawie, ożenił się z Polką, Eugenią Ciechanowską. Przyszły agent urodził się wprawdzie w Paryżu, ale młodość spędził w Polsce, uczył się w szkole, w której pracował ojciec.

W tym miejscu nasuwają się pewne analogie z biografią Stanisława Dygata, również pochodzącego z polsko-francuskiej rodziny. Zarówno Robineau, jak i Dygat posiadali obywatelstwo francuskie, ale dorastali w Warszawie i wychowywali się w tym samym kręgu kulturowym. Czy

znali się osobiście? Wprawdzie była między nimi znaczna różnica wieku (dziesięć lat), ale nie jest to wykluczone. Tym bardziej że po wybuchu wojny obaj przechodzili podobne koleje losu.

We wrześniu 1939 roku Robineau senior opuścił Warszawę i przez Rumunię przedostał się do Francji. W Warszawie zostali natomiast jego najbliżsi (żona i dzieci), którzy jako obywatele francuscy trafili w kwietniu 1940 roku do obozu dla internowanych w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. Do tego samego, w którym od kilku miesięcy znajdował się już Dygat.

Wprawdzie pisarz niebawem został zwolniony z obozu, ale przez pewien czas przebywał tam równocześnie z młodym Robineau. I jeżeli nie poznali się wcześniej w Warszawie, to teraz mogło do tego dojść z dużym prawdopodobieństwem. Internowano tam bowiem tylko kilkaset osób, a każdorazowe pojawienie się nowych pensjonariuszy było szeroko komentowane przez osadzonych.

Pobyt w obozie z pewnością wywarł duży wpływ na André. Miał niespełna 16 lat, był chłopcem pełnym energii, a teraz został skazany na przymusową bezczynność. I chociaż więźniów traktowano dość przyzwoicie, to jednak codzienna rutyna i wszechogarniająca nuda niszczyły psychikę internowanych. Znakomicie zilustrował to Dygat w swojej powieści *Jeziro Bodeńskie*:

„Ludzie w obozie z dnia na dzień gorzej wyglądają. Skarżą się na złe jedzenie, ale mnie się zdaje, że zabija ich powoli świadomość, iż każdy nadchodzący dzień nie może nic ponadto, niż przyniósł poprzedni” [46](#).

Do obozu trafił dość osobliwy zestaw osób, bo oprócz zwykłych obywateli Francji czy Wielkiej Brytanii osadzono tam potomków mieszanych małżeństw i ludzi o wyjątkowo poplątanych życiorysach.

„Salę [jadalnię – S.K.] wypełnia dziesięć olbrzymich stołów, przy każdym siedzi około trzydziestu osób; najniezwyklejsza zbieranina z całej Europy: niby Anglicy i Francuzi, ale wiele wśród nich poczwarnych wybryków natury paszportowej i narodowościowych bękartów. Dwie szczególnie odróżniające się grupy tworzy siedemdziesiąt guwernantek francuskich z Warszawy i angielscy marynarze wyłowieni z handlowego statku koło brzegów Norwegii: dwóch oficerów, dziesięciu brodatych Neptunów i piętnastu rozwydrzonych chłopców okrętowych” [47](#).

W takim miejscu jakakolwiek odmiana w codziennej nudzie była atrakcją, osadzeni zresztą starali się wykorzystywać każdą okazję do

urozmaicenia rutyny obozowego życia.

„Po śniadaniu można wyjść na podwórko: od 8 do 10 dla mężczyzn, od 10 do 12 dla kobiet. Podwórko jest dosyć obszerne, z dwóch stron otoczone skrzydłami gmachu szkolnego, z dwu pozostałych drewnianym płotem, za którym wznosi się kilkaset metrów na zachód szary gmach koszar. Wokół są ogrody i domki, dalej widać pola i wzgórze, na którym stoi coś, o co toczą się stałe spory, czy jest to wieża ciśnień, czy pomnik Hindenburga. Nikomu jeszcze nie przyszło na myśl zapytać po prostu policjanta czy żołnierza. Nie sądzę jednak, żeby była to bezmyślność. Jest to raczej celowe. Ostateczne rozstrzygnięcie nie jest aż tak ważne, a za to cała sprawa daje okazję do toczenia sporów, do dzielenia się na obozy i do interesujących konfliktów, w czasie których można wypowiedzieć pod adresem przeciwników najrozmaitsze ogólne zarzuty i wypominać urazy dotyczące nieumiejętności ofiarnego współżycia gromadnego. Obecnie spór wygasa, tracąc swą siłę atrakcyjną, ale przez pewien czas był bardzo ostry: zdarzyło się, że przez dwa i pół dnia więzowcy z hindenburczykami nie przemawiali do siebie ani słowem i odmawiali podawania sobie ręki” [48](#).

Niewykluczone, że właśnie pobyt w obozie wpłynął na późniejszą postawę życiową André. Trwała przecież wojna, a on był tylko nastolatkiem zmuszonym do zupełnej bezczynności. Nic zatem dziwnego, że gdy po klęsce Francji zwolniono go wreszcie z obozu, za wszelką cenę chciał działać. Przez Lizbonę trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie zaciągnął się do Wolnych Francuzów generała de Gaulle’a. Skierowano go do marynarki, pływał na brytyjskiej jednostce, a potem służył we flotyli ścigaczy. Po zakończeniu wojny podjął studia z zakresu dekoratorstwa wnętrz, nigdy ich jednak nie ukończył. Natomiast gdy ojca mianowano sekretarzem generalnym Instytutu Francuskiego w Warszawie, razem z nim wrócił do Polski. I tutaj niebawem miała się zacząć jego szpiegowska kariera.

WARSZAWA

„Po przyjeździe do Polski latem 1947 roku – zeznawał Robineau kilkanaście miesięcy później – mieszkałem przez około 6 miesięcy w ambasadzie. Poznałem cały szereg osób tam zatrudnionych, między nimi zapoznałem też komendanta Humma. Po kilku rozmowach z nim poprosił

mnie o spotkanie w jego prywatnym biurze. Po kilku tygodniach poszedłem do niego i on szczerze, tak bezpośrednio zapytał mnie, czy chciałbym pracować dla francuskiej służby wywiadowczej. Odpowiedziałem, że tak. Na tym zakończyła się ta nasza rozmowa, po czym zostałem przez niego zawezwany po raz drugi. Poznałem wtedy wicekonsula francuskiego Bardeta, który został mi przedstawiony jako mój przyszły zwierzchnik” ⁴⁹.

Czy była to prawda? Trudno uwierzyć, by André został zwerbowany do pracy w wywiadzie dopiero w Polsce. Wychowany nad Wisłą, z chwalebną wojenną przeszłością, zapewne już wcześniej stał się obiektem zainteresowania francuskich służb specjalnych. Tym bardziej że jego ojciec miał objąć eksponowane stanowisko w Warszawie, natomiast André znał nad Wisłą wiele osób jeszcze z okresu przedwojennego.

Dziwny też wydaje się półroczny okres niemal całkowitej beczynności na terenie ambasady francuskiej w Warszawie. Wprawdzie Robineau oficjalnie pracował jako bibliotekarz w Instytucie Francuskim, ale tę posadę można uznać wyłącznie za przykrywkę dla jego prawdziwej działalności.

Niewykluczone, że tamto pół roku André poświęcił na odnawianie starych znajomości i zapoznawanie się z charakterem nowej, komunistycznej Polski. Niebawem zresztą wyjechał do Gdyni, gdzie został zatrudniony jako sekretarz francuskiego towarzystwa klasyfikacyjnego statków handlowych Bureau Veritas. Można to uznać za kolejny etap budowania życiorysu. Zapewne wtedy też zapoznał się ze specyfiką życia na polskim Pomorzu, co miało mu istotnie pomóc w następnych miesiącach. Jego przeznaczeniem był bowiem Szczecin – największe miasto zachodniego Pomorza i stolica pomorskich Ziem Odzyskanych.

SZCZECIN

W tym czasie prężnie działało tam skupiające prawie 200 członków Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Organizacja utrzymywała bliskie kontakty z miejscowym konsulem francuskim, co nie uszło uwadze funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

„Bezpieka interesowała się zarówno konsulem, jak i TPPF od początku ich istnienia – mówił historyk ze Szczecina, Radosław Ptaszyński. – Początkowo zbierała informacje dotyczące kontaktów członków

towarzystwa z placówką, ale z biegiem czasu pod obserwacją znalazły się wszystkie osoby przychodzące do konsulatu” [50](#).

Robineau pojawił się w Szczecinie w czerwcu 1948 roku i objął posadę sekretarza miejscowego konsulatu. Jego przyjazd szybko okazał się lokalną sensacją. 24-letni dyplomata (mówiący po polsku!), przystojny i wysportowany, dysponujący dużą gotówką, błyskawicznie nawiązał kontakty towarzyskie. Bywał w miejscowych lokalach, dużo wydawał, uwodził (skutecznie!) szczecińskie piękności. Pozował na playboya, ale nie zapominał o głównym celu swojej działalności. Błyskawicznie poznał ludzi chętnych do współpracy, wrogów nowego ustroju i osoby będące w tarapatkach finansowych. Tych było znacznie więcej niż jawnych antykomunistów, a jednym z nich okazał się pracownik Instytutu Francuskiego, Kazimierz Rachtan.

„Rachtan w Paryżu był portierem w drugorzędnym hotelu Baltimore – mówiła Wanda Odolska – i na tym stanowisku obsługiwał gości tak, jak należy się gościowi, który pragnie zabawić się po parysku. Uznał, że to jednak nie daje mu dostatecznego dochodu, i zjawił się w Polsce. Tu okazało się, że wino było droższe, więc uczęstowany winem po uszy przez Robineau wdał się z nim w konwersacje na tematy szpiegowskie. Pohulali, poszli na dziewczynki i ubili interes. Pan wicekonsul Bardet podarował mu stary rower i doświadczony rajfur, awansowany na stanowisko żigolaka francuskiego wywiadu, pracowicie pedałowal od lotniska do lotniska. Siadywał w wagonie, brał do wagonu rower i jeździł. Tylko w soboty i niedziele, gdyż przez resztę dni tygodnia pracował jako woźny w Instytucie Francuskim” [51](#).

Innym współpracownikiem Robineau został obywatel francuski, Gaston Druet. Podczas wojny trafił do obozu jenieckiego pod Słupskiem, a po uwolnieniu pozostał w Polsce, nawiązując jednocześnie romans z miejscową Niemką. Na co dzień zajmował się naprawą odbiorników radiowych (z zawodu był radiotechnikiem), planował jednak wyjechać na Zachód razem z przyjaciółką. Współpraca z Robineau miała im zapewnić potrzebne dokumenty wyjazdowe.

Zdeklarowanym wrogiem ustroju komunistycznego okazał się natomiast Bronisław Sokół-Klimczak – były współpracownik kontrwywiadu II Rzeczypospolitej, a podczas okupacji członek podziemia niepodległościowego i więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W chwili poznania Robineau pracował w paramilitarnej Powszechnej

Organizacji „Służba Polsce”, której działalność stanowiła obiekt zainteresowania obcych wywiadów.

Robineau nie gardził żadnym źródłem informacji. W jego siatce znaleźli się również pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych, którzy w związku ze specyfiką swojego zawodu często przemierzali się w terenie, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Z perspektywy czasu zaskakuje rozległość zainteresowań francuskiego agenta. Oprócz celów typowo militarnych (lotniska, jednostki wojskowe, baterie artylerii nadbrzeżnej) interesowały go również aspekty gospodarcze. Zwracał dużą uwagę na działalność sklepów mięsnych, bo doskonale wiedział, że w czasach PRL-u mięso było tematem wybitnie politycznym...

Nie zauważył jednak, że znajduje się pod ścisłą obserwacją polskiego kontrwywiadu. O jego losach zdecydowała wspomniana już sekretarka ambasady kopiująca raporty i przesyłająca te kopie na Rakowiecką. Młody agent nie przypuszczał, że cała jego działalność znajduje się pod kontrolą, a jego aresztowanie jest już tylko kwestią czasu.

ANDRÉ I KOBIETY

Dużą rolę w rozpracowywaniu Francuza przez służby PRL-u odegrały kobiety, z którymi związał się podczas pobytu w Szczecinie. Preferował mężatki, zapominając zupełnie, że z reguły są one znacznie bardziej podatne na szantaż ze strony kontrwywiadu. Początkowo nawiązał romans z żoną sekretarza konsulatu, René Bertina, występował wobec niej w roli pocieszyciela, gdyż pan sekretarz porzucił swoją małżonkę i wyjechał do Francji z inną kobietą. Przy tej okazji posłużył się paszportem żony (później go odesłał), co było już poważnym przestępstwem. Polskie władze uznały, iż jest to znakomity powód do skłonienia pani Bertin do współpracy, udało się to zresztą tym łatwiej, że Robineau zdążył się nią już znudzić. Kochliwy Francuz porzucił żonę sekretarza i zainteresował się kolejną mężatką, Jadwigą Sarnowską.

„Robineau zapoznała przypadkowo w 1948 roku – pisano w aktach jej sprawy – na terenie kawiarni Symphonia w Szczecinie, gdzie pracowała jako kelnerka. Utrzymywała z Robineau kontakty natury intymnej, będąc jego kochanką. Wyjeżdżała często wraz z nim do Poznania, Warszawy,

Opoczna, Międzyzdrojów. W czasie jednego z takich wyjazdów do Warszawy Robineau schował w jej torebce dwa zalakowane listy, tłumacząc, że w kieszeni pieczęcie mogą się pokruszyć. Rzekomo nie znała treści dokumentów przewożonych w tych kopertach. Twierdzi, że nie była zorientowana o wywiadowczej działalności prowadzonej przez Robineau, co jednak w świetle bliskich kontaktów, jakie utrzymywali, oraz zeznań innych osób nie wydaje się być prawdą” [52](#).

Sarnowska była mężatką, zdecydowano się zatem na szantaż. Funkcjonariusze kontrwywiadu śledzili ją, podczas spotkań z Robineau robiono jej zdjęcia, które miały później służyć do werbunku.

Jadwiga nigdy nie przyznała się do współpracy z francuskim wywiadem, a sądząc z jej zeznań, starała się chronić swojego partnera. Nie wiadomo, czy z Robineau łączyło ją coś więcej niż seks. Na pewno jednak nie zeznawała na jego niekorzyść.

Jadwiga Sarnowska stanęła przed sądem w maju 1950 roku i została skazana na trzy lata więzienia. Jej dalsze losy są nieznane.

OKĘCIE

W 1949 roku Robineau postanowił wyjechać na urlop do Francji. Na lotnisko odprowadzał go ojciec, on też był świadkiem zaginięcia syna. Polskie służby uznały bowiem, że agent może już nie wrócić z Paryża, i zdecydowały się go zatrzymać, by planowany proces imperialistycznych szpiegów mógł się odbyć zgodnie z planem.

18 listopada o godzinie 7 rano obaj panowie Robineau pojawili się na Okęciu, gdzie w trakcie odprawy André junior został poproszony do pokoju celników.

„Towarzyszyłem mu aż do drzwi tego pomieszczenia – relacjonował ojciec – tam pożegnałem i poszedłem oczekiwać go w okolicach miejsca wylotów” [53](#).

Inni pasażerowie kolejno zajmowali miejsca w samolocie, natomiast André zniknął. Na pokład nie zabrano również jego bagażu, tymczasem celnicy upierali się, że Francuz wszedł do maszyny.

Było to typowe zachowanie dla służb krajów komunistycznych. Ludzie nagle znikali i nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Kilka miesięcy

wcześniej w Krakowie zaginął francuski stypendysta Étienne Decaux, a polskie władze twierdziły, że nic nie wiedzą o jego losach. Dopiero po upływie pół roku stypendysta odnalazł się w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa – oficjalnie zarzucano mu handel dewizami i próbę nielegalnego przekroczenia granicy z Czechosłowacją.

Tymczasem zdesperowany Robineau senior pojechał do swojej ambasady, a niedługo później na Okęciu pojawił się jej pierwszy sekretarz, Raymond Laporte. Dyplomata nie uwierzył w historię o odlocie André do Paryża bez bagażu. Następnie otrzymał listę pasażerów z wykreślonym nazwiskiem swojego podwładnego. Przy okazji sekretarz skontaktował się z lotniskiem w Brukseli, gdzie samolot miał międzylądowanie. Tam potwierdzono, że Robineau nie było na pokładzie, co rozwiało ostatnie wątpliwości. Następnego dnia strona polska oficjalnie przyznała, że młody Francuz został zatrzymany za działalność szpiegowską. Razem z nim aresztowano jego współpracowników – śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, sprawę uznano za rozwojową i już niebawem zamieszanych było w nią prawie sto osób. To okazja, której polskie władze nie mogły nie wykorzystać.

Aresztowanie dyplomaty stało się przedmiotem obrad francuskiego parlamentu. W połowie grudnia prawicowy poseł Edmond Barrachin nie ukrywał oburzenia, gdy relacjonował wydarzenia w Warszawie:

„Polskie władze nakazały aresztowanie pana Robineau na warszawskim lotnisku. Dopiero 19 listopada wieczorem, jakieś 29 godzin po zniknięciu pana Robineau, rząd polski, w odpowiedzi na zabiegi ambasadora francuskiego pana Baelen, wydał notę, w której utrzymywał, że »organizacja szpiegowska była kierowana w Polsce przez wysokich urzędników ambasady i konsulatów Francji«. (...)

Polskie władze zezwoliły na wysłanie mu artykułów żywnościowych. Paczki miały być ekspediowane na wskazany przez policję adres prywatny. Zostały one odrzucone przez pana Robineau, który napisał dwulinijkowy bilecik, zapewniając, że niczego mu nie brakuje.

Podziękujmy mecenasowi Nordmannowi [obrońca aresztowanego we Francji polskiego wicekonsula w Lille, Józefa Szczerbińskiego – S.K.] za udowodnienie, że we Francji, ziemi wolności, kiedy się jest aresztowanym, można wybrać sobie adwokata i można nawet za pośrednictwem swojego obrońcy zwracać się do opinii publicznej. Tymczasem pan Robineau nie

mógł tego zrobić. Wręcz przeciwnie – w ciszy i mroku więziennej celi przyznaje się do winy, jak nam powiadają” (tłum. W. Grzechnik) ⁵⁴.

Pierwsze przesłuchanie Robineau nie przyniosło jednak większych efektów. Francuz nie przyznawał się do winy.

„Zaprzeczam kategorycznie – oświadczył dyplomata – jakobym miał się zajmować działalnością wywiadowczą w Polsce. (...) Nie znam nikogo, kto by z Francuzów tak w placówkach dyplomatycznych, jak i z osób niezwiązanych z placówkami zajmował się działalnością wywiadowczą w Polsce” ⁵⁵.

Jednak opór Robineau trwał tylko jedną dobę, bo już następnego dnia rozpoczął wzorową współpracę z prokuraturą, zeznając wszystko, czego przesłuchujący sobie życzyli. Nie wiadomo, jakie były przyczyny takiego postępowania, nie wydaje się bowiem, by Francuz był torturowany. Niewykluczone, że przedstawiono mu niepodważalne dowody działalności szpiegowskiej i w tej sytuacji walczył już tylko o złagodzenie wyroku. Wiedział bowiem, że z komunistami nie ma żartów, i wizja szubienicy stała się nagle bardzo realna.

Zapewne na postawę Robineau wpłynęło również dziwne zachowanie nowego konsula w Szczecinie, Maurice’a Rivoire’a. Francuski dyplomata na łamach polskiej prasy odciął się bowiem od swojego podwładnego, pozostawiając go na łasce losu.

„Po moim przybyciu do konsulatu – oświadczył Rivoire – (...) byłem zaskoczony obecnością w charakterze gościa pewnego młodego człowieka nienależącego do personelu konsulatu, nazwiskiem André Robineau. Gdy okazałem swoje zdziwienie, odpowiedziano mi, że ten chłopiec o wyglądzie paryskiego łobuziaka jest synem szanowanego sekretarza generalnego naszego Instytutu Francuskiego w Warszawie. Powiedziano mi ponadto, że był on zawsze bardzo ruchliwy, że był odważnym ochotnikiem Francuskich Wolnych Sił podczas wojny, że przyzwyczał się do samowoli i zuchwalstwa i zwyczajnie te nadal zachowuje oraz że dotąd nie posiada żadnego zawodu. (...) Ponieważ młody człowiek miał niezadługo powrócić do Francji, postanowiłem poczekać, nie bacząc na to, że, jak to nazywamy, »niesforny dzieciak« przeszkadzał w sprawnym funkcjonowaniu i w dyscyplinie pracy naszej placówki. O ile chodzi o jego postępowanie poza konsulatem, jest ono, jak i jego osoba, zupełnie nieznanne konsulatowi. Podobno wykazywał on wiele fanfaronady i łobuzerstwa” ⁵⁶.

Pan konsul w odróżnieniu od swojego poprzednika, Bardeta, nie był bezpośrednio zaangażowany w pracę wywiadu. Ponadto okazywał zawsze dużo serdeczności krajom demokracji ludowych i Związkowi Radzieckiemu, co wiele tłumaczy. Komuniści mieli bowiem zawsze duże wpływy nad Sekwaną.

PROCES

Razem z „niesfornym dzieciakiem” przed sądem w Szczecinie stanęło pięciu jego współpracowników. Władze starannie dobierały ich z grona osób aresztowanych, toteż na ławie oskarżonych zasiedli przedstawiciele różnych odmian wrogów Polski. A zatem „sanacyjny oficer kontrwywiadu i obozowy kapo” w jednej osobie (Bronisław Sokół-Klimczak), „dezterter z Ludowego Wojska Polskiego” (Stefan Pielacki), „kosmopolita i sutener” (Kazimierz Rachtan). A do tego jeszcze jeden Francuz (Gaston Druet) mieszkający od lat z niemiecką partnerką w Słupsku i okazujący wielką niewdzięczność wobec swojej nowej ojczyzny. Wśród świadków nie zabrakło również oczekującego na swój proces „członka Hitlerjugend”, a nawet „białego Rosjanina”.

Proces był wielką pokazową imprezą. Na ulicach Szczecina ustawiono ogromne głośniki, przez które transmitowano przebieg rozprawy. Sprawozdania z sądu pojawiały się codziennie w ogólnopolskim programie radiowym, a także w centralnej i regionalnej prasie.

„Dziś w Szczecinie – mówił sprawozdawca Polskiego Radia – rozpoczął się proces przeciwko André Robineau, który pełnił obowiązki kierownika sieci szpiegowskiej wywiadu francuskiego w składzie przeszło 100 osób, działającej na terenie północno-zachodniej części Polski. Sala Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie zapełniona jest szczerze obserwującymi przebieg procesu przedstawicielami miejscowego świata pracy. Obecni są obserwatorzy z ramienia ambasady francuskiej. (...) Przybyli przedstawiciele prasy krajowej oraz ponad dwudziestu przedstawiciele prasy zagranicznej: Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych, krajów demokracji ludowej i Związku Radzieckiego” [57](#).

Migawki z procesu, opatrzone – oczywiście – odpowiednimi komentarzami, trafiły również do Polskiej Kroniki Filmowej. Na

szczególną uwagę zasługują zgodne samooskarżenia podsądnych, które bardzo przypominały moskiewskie rozprawy z lat 30. Na ich twarzach można było dostrzec ślady tortur, a wyjątek stanowił tylko Robineau, który uśmiechał się i sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Jakby był zupełnie spokojny o swój los.

Salę sądową, do której dało się wejść wyłącznie za okazaniem specjalnego zaproszenia, szczelnie wypełnił „aktyw robotniczy”.

„Wszystkie duże zakłady pracy musiały oddelegować jednego obserwatora – wspominała była pracownica wodociągów, Zofia Pieniak. – No i mnie wybrali. Z każdego dnia procesu robiłam notatki, a później musiałam zdawać relację na masówce. Widownia była pełna, a na zewnątrz tłumy słuchały przy głośnikach” [58](#).

Proces toczył się przed sądem wojskowym, a jego przewodniczący, podpułkownik Alfred Janowski, znany był z częstego orzekania kary śmierci (w latach 1946–1956 zdarzyło mu się to 13 razy). Zachowywano jednak pozory praworządności – oskarżeni Francuzi dostali adwokatów z wyboru, zapewniono im również tłumaczy. Robineau bowiem, chociaż dobrze znał język polski, wolał zeznawać po francusku. Zresztą po pierwszym dniu tłumacza, bo używał on zbyt prostego języka i nie potrafił odpowiednio barwnie oddać specyfiki szpiegowskiej działalności Robineau...

Nie ograniczono się zresztą do przekładu z francuskiego – gdy zeznawała narzeczona Drueta, na sali pojawił się tłumacz z niemieckiego. Nic przecież nie mogło ujść uwagi publiczności.

Centralną postacią procesu był oczywiście Robineau, który już pierwszego dnia przyznał się do winy:

„Ja przyznaję się do dowodów winy, które zostały mi odczytane w akcie oskarżenia, przyznaję się do tych faktów, przyznaję się do winy w stosunku do Państwa Polskiego, ale robiłem to jako Francuz” [59](#).

Mimo że szefem siatki był Robineau, sprawozdawcy z największą nienawiścią wypowiadali się o Sokole-Klimczaku. Rzeczywiście był łakomym kąskiem dla propagandy – sanacyjny oficer działający jako francuski szpieg.

„Nie mniej ciekawym okazem rodzimej tym razem kreatury, która poszła na szpiegowski żołądek, jest oskarżony Bronisław Klimczak – relacjonowała niezawodna Wanda Odolska. – Stary szpiegowski wyga, który swoje wyszkolone za czasów sanacji dwójkarskie umiejętności oddał

na usługi (...) Robineau. Były podporucznik Klimczak w 1937 roku zdobył absolutorium specjalnej szkoły kontrwywiadu w Brześciu nad Bugiem, toteż jego szpiegowskie osiągnięcia i jego obecne zeznania miały wagę specjalną. To już nie chałupnik, ale majster i rzemieślnik. (...) Wysoko ceniony i opłacany przez francuski wywiad, ten dwójkarz rozwinął technikę specjalnej pracy. Werbował nowych agentów (...), usiłował się nawet wcisnąć do partii” [60](#).

Głównym celem oskarżenia było udowodnienie, że francuskie przedstawicielstwa dyplomatyczne stanowiły w rzeczywistości rezydentury wywiadu. Było to zresztą zgodne z prawdą, jednak dokładnie tak samo postępowali polscy dyplomaci nad Sekwaną. Nie bez powodu z Francji co chwila wydalano polskich urzędników, a w przypadku wspomnianego już wicekonsula Józefa Szczerbińskiego zastosowano nawet areszt. Między rządami obu państw trwała próba sił, toteż gdy z Polski wydalano profesorów Instytutu Francuskiego, Francuzi odpowiedzieli usunięciem nauczycieli szkolnictwa konsularnego i zakazem działalności organizacji polonijnych. Napięcie osiągnęło takie rozmiary, że w ambasadzie Francji w Warszawie szykowano się już do ewakuacji i palono tajne dokumenty. W tej sytuacji w Szczecinie musiały zapaść wyroki skazujące, a oskarżeni powinni oficjalnie się przyznać do działalności szpiegowskiej.

Innym elementem wojny psychologicznej była konferencja prasowa zorganizowana w polskiej ambasadzie w Paryżu. Przybyłym dziennikarzom rozdano kopie dokumentów pisanych rzekomo własnoręcznie przez Robineau, w których miał się on przyznać do zarzutu szpiegostwa. Dokumenty wzbudziły duże zainteresowanie, a spotęgował je fakt, że zawierały rażące błędy ortograficzne. Prowadzący konferencję Jerzy Putrament (polski ambasador w Paryżu) nie dał się jednak zbić z tropu i ripostował:

„To chyba najlepszy dowód, że są autentyczne. Czyżby Pan sądził, że nie ma w Polsce nikogo, kto by znał poprawnie francuski? Jakbyśmy mieli fałszować, znaleźlibyśmy lepszych stylistów niż Robineau” [61](#).

WYROK

„Obserwatora procesu zadziwia i przeraża szerokość zagadnień, które przez francuskie konsulaty oplecione były szpiegowską siecią – mówiła Odolska po kolejnym dniu procesu. – Ta sieć wobec wielu dziedzin naszego życia wysubtelniała się do lekkości woalki, takiej zwiewnej i gęstej, że nawet klimat i atmosferę potrafiła chwytać. (...) Robineau, agent francuskiego wywiadu i sekretarz francuskiej placówki konsularnej, funkcjonariusz wielkiej faszystowskiej maszyny, mógł znaleźć oparcie i zrozumienie tylko wśród innych kółek i elementów tej samej faszystowskiej maszyny. Korzystał ze świadomej współpracy dwójkarzy, hitlerowców i kosmopolitów oraz nieświadomej ludzi ciemnych, nieostrożnych i gadatliwych” [62](#).

Prawdziwy popis stalinowskiego krasomówstwa dał jednak dopiero prokurator, podpułkownik Kazimierz Golczewski. Był to naprawdę właściwy człowiek na właściwym miejscu. Według niego wszystko w dotychczasowym życiu Robineau było wstrętne i wrogie postępowi. Towarzysz prokurator bez wątpienia znalazł również analogie z niedawnej historii Polski:

„Członek partii gaullistowskiej, faszysta z przekonania, a szpieg z zawodu. To ten sam typ złotego młodzieńca, jakiego w Polsce przedwojennej widzieliśmy w dekle korporanckim z laską w ręce i z kastetem w zanadrzu. To jest ten sam typ pałkarza uniwersyteckiego, wroga postępu, a zwolennika ciemnoty. Gaullistowski Robineau i oenerowiec [członek prawicowego Obozu Narodowo-Radykalnego – S.K.] to ten sam rodowód. I oni stanowią dziś glebę, na której opierają się knowania imperialistycznych podżegaczy wojennych” [63](#).

Jednak największym zbrodniarzem miał się okazać nie Francuz, lecz Polak: Sokół-Klimczak. Wobec byłego oficera II Rzeczypospolitej, który z patriotycznych pobudek przystąpił do współpracy z Robineau, prokurator nie miał litości:

„Wyzuty z wszelkiego poczucia uczciwości, który za pieniądze sprzedaje własny kraj i własny naród (...). Ojczyznę tego człowieka nie jest Polska Ludowa. Ojczyznę jego jest zdegenerowana emigracja londyńska i stamtąd on pochodzi, ten zawodowy szpieg. Kupczący własnym krajem, sprzedający Polskę za judaszowe srebrniki” [64](#).

Golczewski zażądał surowych wyroków: kary śmierci dla Sokoła-Klimczaka i Stefana Pielackiego oraz długoletniego więzienia dla pozostałych. W odpowiedzi Robineau zaskoczył wszystkich i w swoim

ostatnim słowie zadeklarował „podziw dla gigantycznego wysiłku Polaków w dziele rekonstrukcji” kraju. Nie prosił o litość – zapewne wiedział, że nie dostanie kary śmierci. Niewykluczone zresztą, że strategia przyjęta przez niego podczas procesu oraz przyznanie się do winy miały osłonić nieco jego podwładnych. Nie na wiele się to jednak zdało.

Najwyższy wymiar kary orzeczono wobec Klimczaka (wyrok wykonano), a pozostali oskarżeni zostali skazani na długoletnie więzienie. Robineau dostał 12 lat, co może sugerować, że władze dotrzymały układu zawartego z Francuzem.

André Robineau spędził w polskim więzieniu tylko trzy lata. W grudniu 1953 roku został ułaskawiony – prawdopodobnie doszło do tego w ramach polsko-francuskiej wymiany szpiegów. Inna sprawa, że po śmierci Stalina powoli normalizowano stosunki z dawnym sojusznikiem i nie dążono już do konfrontacji.

„Niegrzeczny chłopiec” po powrocie do kraju pozostał w służbie wywiadu. Wiadomo również, że w latach 70. działał w Afryce Zachodniej. Podobno do końca życia miło wspominał lata spędzone nad Wisłą, ale nigdy nie wypowiadał się na temat swojej działalności, sprawy sądowej i pobytu w więzieniu. W 1982 roku zmarł na chorobę nowotworową, zabierając do grobu tajemnicę swojego dziwnego zachowania podczas szczecińskiego procesu...



Bracia Janoszowie dokonywali kradzieży na zlecenie polskiego MSW

ROZDZIAŁ 4

OPERACJA „ŻELAZO”

Każda służba wywiadowcza – bez względu na ideologię czy flagę, pod którą funkcjonuje – potrzebuje pozabudżetowych środków na finansowanie swojej działalności. Oficjalnie otrzymywane pieniądze najczęściej nie gwarantują pełnego pokrycia wydatków, a poza tym poważną część kosztów trudno jest rozliczyć. Z tego powodu niemal każdy wywiad zaangażowany jest w różnego rodzaju nielegalne interesy. Trzeba jednak przyznać, że projekt finansowania służb, jaki opracowano w latach 60. przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, przekroczył wszelkie dopuszczalne granice. Nie była to zresztą samowolna inicjatywa SB, aprobowali ją bowiem najwyższe czynniki partyjne i rządowe.

„W latach 60. i 70. – mówił generał Józef Osek – w zakresie działań służby wywiadu uwzględniono temat, który można by zdefiniować stwierdzeniem: przy okazji realizacji działań statutowych wykorzystać nadarzające się sytuacje, które mogą dać uzyskać pozaoperacyjne dla kraju lub służby wywiadu. W ramach takiego podejścia zrealizowana została operacja »Żelazo«” [65](#).

BRACIA JANOSZOWIE

Polski wywiad miał więc zorganizować na zachodzie Europy grupę przestępczą dokonującą napadów na sklepy jubilerskie i banki. Zdobywcą byłaby dzielona po połowie między gangsterów i SB, a do realizacji zadania wytypowano przebywających od kilku lat w Republice Federalnej Niemiec braci Janoszków: Mieczysława, Kazimierza i Jana.

„Była to operacja nietypowa, operacja taka, w której »śmierdziało« – mówił ówczesny wiceminister spraw wewnętrznych, generał Mirosław Milewski. – Stąd trzeba było mieć zgodę określonego wyższego szczebla. Na ogół ja sobie nie przypominam, żeby poza sprawami jakimiś szczegółowymi, operacjami, żeby sekretarz KC czy premier coś akceptował. Więc widocznie uznana była ta sprawa za tej skali, wagi. Brało się to z tego, że wówczas to zapotrzebowanie na pieniądze było wielkie i stąd szukało się wszelkich sposobów” [66](#).

Rekonstrukcja wydarzeń jest utrudniona, ponieważ w ramach czyszczenia archiwów u schyłku PRL-u zniszczono większość dokumentów dotyczących tej akcji. Relacje uczestników jeszcze bardziej zaciemniają jej obraz – inna jest bowiem wersja wykonawców, a inną przedstawiają oficerowie wywiadu. Kolejna natomiast wyłania się z zachowanych archiwaliów.

Bracia Janoszowie pochodzili z bardzo zamożnej rodziny z Siennej koło Żywca, a na początku lat 50. mieszkali na Śląsku.

„Byłem przecież prokuratorem wojewódzkim we Wrocławiu – opowiadał Mieczysław Janosz. – Nie dlatego, że chciałem nim być, tylko byłem do czegoś przydatny. Byłem człowiekiem (...), który miał swój rozum (...) i umiał każdą sprawę załatwić. Jan miał duży zakład hydrauliczny w Jeleniej Górze, Kazimierz miał hutę szkła, prowadził bardzo zyskowny przemysł. Tylko myśmy mogli sobie pozwolić na wyjazd samochodem do Paryża na 14 lipca – zburzenie Bastylli, za pieniądze, które opłaciliśmy w sposób legalny, na wycieczkę organizowaną przez Polski Związek Motorowy” [67](#).

Mieczysław Janosz rzeczywiście ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim i pracował jako prokurator, a jego dwaj bracia prowadzili bardzo intratne przedsięwzięcia. Od dawna też współpracowali ze Służbą Bezpieczeństwa, a Kazimierz Janosz starał się nawet o etat w resorcie. I gdy w lipcu 1960 (lub 1961) roku bracia wyjechali do Francji, nie była to wcale prywatna wycieczka. Na Zachód trafili jako współpracownicy wywiadu w celu prowadzenia konkretnej działalności.

„Od wiosny 1960 roku zostałem przeszkolony na wyjazd do krajów kapitalistycznych – potwierdzał Kazimierz Janosz. – Tuż przed wyjazdem przeszedłem powtórne przeszkolenie w Warszawie. (...) Na wyjazd zostałem przygotowany do Francji, a później wyjechałem do RFN. W czasie przebywania za granicą miałem współpracę z pracownikami MSW za pomocą kurierów oraz korespondencji szyfrowej. Wszystkie prace wykonywałem na polecenie Centrali” [68](#).

Początkowo planowano, że bracia zajmą się rozpracowywaniem środowiska polskich emigrantów i „połączą interesy prywatne z operacyjnymi”. Mieli „rozkrećć w Niemczech lokal barowy i rozwinąć firmę handlową w oparciu o kapitał własny”.

Janoszowie wywieźli na Zachód dużą ilość gotówki, zapewne otrzymywali też pieniądze ze Służby Bezpieczeństwa. Ostatecznie osiedli w RFN, gdzie uznano ich za uchodźców politycznych, szybko też zorganizowali własny biznes.

„Jan i Kazimierz prowadzili najgłośniejsze restauracje i hotele w Hamburgu – opowiadał Mieczysław Janosz. – Cała Polonia i wszyscy zejmani [marynarze – S.K.] świata zjeżdżali się tu i załatwiali różne interesy. Była też znana restauracja, czyli bar Orkan. (...) Tam przyjeżdżali wszyscy marynarze z Polski, z Rosji, z Litwy, z Ukrainy, z Białorusi, z Ameryki i Polonusy. Działał, powiedzmy po niemiecku, jako treffpunkt [miejsce kontaktowe – S.K.]. Zostawisz list, zostawisz wiadomość. Bracia w tych kontaktach pośredniczyli, marynarze dostarczali do baru różne towary, różne materiały z Polski. Na przykład przywozili kiełbasę, nawet kapustę i ci biedni marynarze sprzedawali to od razu na pniu u Kazimierza i Jana w restauracjach” [69](#).

W rzeczywistości były to podejrzane spelunki w osławionej dzielnicy St. Pauli, a handel nie ograniczał się wyłącznie do kiełbasy. Do Polski wysyłano (oczywiście nielegalnie) hurtowe ilości odzieży (koszule non-iron, płaszcze, dzinsy), a właściciele lokalu byli gwarantami różnego rodzaju podejrzanych transakcji. Do tego dochodziły jeszcze handel narkotykami i prostytutka, lokal zapewne był również pralnią pieniędzy.

„Marynarze masowo przychodzili do baru Orkan – kontynuował Mieczysław. – Przewijały się tam wszystkie wywiady. Tam odbywały się kontakty, przemyt i oczywiście różne rzeczy” [70](#).

POCZĄTEK AFERY

„Początkowo prowadzenie tej sprawy ukierunkowane było na pozyskiwanie kandydatów do werbunku – relacjonował podpułkownik Tadeusz Drzewiecki – ponieważ agentura ta zamieszkiwała na terenie RFN, a konkretnie w Hamburgu, gdzie Janosz prowadził nocny bar i kasyno gry” [71](#).

Bracia Janoszowie nie byli ludźmi, których trapiły dylematy moralne. Nie mieli żadnych zahamowań i doskonale odnajdywali się w świecie przestępczym.

„Co się będziecie martwić? – mówił Kazimierz Janosz do funkcjonariuszy wywiadu. – Ja wam Adenauera zabiję i w skrzynce przywiozę do kraju. Zadanie wykonam w stu procentach” [72](#).

Mokra robota również nie stanowiła problemu, więc gdy Kazimierz dostał odpowiednie zlecenie z centrali, wykonał je bez wahania.

„Na Hans Albers Platz w Hamburgu podszedł jakiś pan do mojego dzwonnika – wspominał po latach. – Zadzwoił trzy razy krótko, jeden długi sygnał. Podał hasło, nie pamiętam, jakie ono było, bo się zmieniało, i po wzajemnej identyfikacji upewniłem się, że on jest pracownik z centrali. Powiedział, że natychmiast trzeba wykonać mokrą robotę. No to wziąłem pistolet. Miałem go schowany w kloszu lampy w holu. Wsiadliśmy do czarnego mercedesa 220 SE. (...) Dojechaliśmy tam, gdzie witają statki. Taki dom na podniesieniu. Flaga. Samochód schowaliśmy z tyłu, za żywoplotem” [73](#).

Akcja została starannie zaplanowana, oficer wywiadu spotkał się w umówionym miejscu z nieznanym Janoszowi mężczyzną i wystawił go zabójcy.

„To było nad samym morzem, 50, może 100 metrów – kontynuował gangster. – Pistolet miałem pod lewą pachą. W pewnym momencie do pracownika centrali, z którym przyjechałem, zbliżył się umówiony facet. Potem poszli w stronę obszaru zalesionego. Schowałem się w rododendronach i obserwowałem ich, a po upewnieniu się, że nikogo nie ma, przyspieszyłem kroku, oni szli razem, a po zrównaniu się strzeliłem mu w głowę z lewej strony. Przewrócił się do morza, a ja za nim rzuciłem pistolet. Szybko wróciliśmy do samochodu” [74](#).

W barze Janoszków zaginęła pracująca tam kelnerka, a choć nikomu nic nie udowodniono, istnieją podejrzenia, że została zamordowana. Mokrej roboty nie unikał również inny z braci, Mieczysław. Podczas zorganizowanego przez niego napadu na bank doszło do zabójstwa kasjera.

„Napad na Bank Narodowy w Reinbek dokonany w dniu 30 grudnia 1964 roku – pisała niemiecka prasa – zaplanowano do ostatniego szczegółu w barze na St. Pauli. (...) Jako szefa tej pięcioosobowej bandy, która dokonała wspomnianego napadu, poszukuje się 34-letniego Polaka, Mieczysława Janosza. Podczas napadu zastrzelono 59-letniego kasjera banku. Mieczysław Janosz, który ostatnio mieszka u swego brata w barze przy placu Hansa Albersa, uciekł. Janosza ściga także Interpol. Jak wynika z materiałów śledztwa hamburskiej policji kryminalnej, Janosz przybył latem ubiegłego roku do Hamburga. Polak rozbił kwaterę u swego brata, który prowadzi bar na placu Hansa Albersa, stąd wyruszał na zwiady, kiedy w drobnych szczegółach opracował plan napadu na bank w Reinbek, wezwał czterech gangsterów z Monachium. Byli to Jugosłowianie. W dniu 29 grudnia odszukali Janosza i przenocowali u niego. Mieczysław Janosz (...) zawiózł gangsterów samochodem do Reinbek, gdzie dokonali morderstwa. (...) Jeden z Jugosłowian zginął podczas ucieczki bezpośrednio po dokonaniu napadu, pozostali znajdują się w więzieniu. Sąd wydał nakaz aresztowania Janosza, który zbiegł. Policja przypuszcza, że Polak schronił się we Francji. Janosz podaje się za prawnika i twierdzi, że był w Polsce prokuratorem” ⁷⁵.

Mieczysław Janosz schronił się w Polsce, niemiecka policja nie podejrzewała zresztą, że był współpracownikiem wywiadu PRL-u. Przebywając w kraju, odgrywał rolę pośrednika pomiędzy SB a braćmi w Hamburgu. Przy okazji sugerował przełożonym nowe przedsięwzięcia na terenie RFN, podsuwał propozycje porwania ludzi dla okupu, a „nawet dokonywania morderstw osób, które są wrogami naszego kraju”.

W tej sytuacji w centrali uznano, że Janoszowie będą idealnymi wykonawcami operacji „Żelazo”. Wywiad zobowiązał się do znacznych inwestycji w przestępczy interes, obie strony obiecywały sobie ogromne zyski z tego procederu.

„Plan sprawy »Żelazo« polegał na tym – zeznawał w latach 80. pułkownik Mieczysław Schwarz – że bracia Janoszowie otworzyli fikcyjny sklep jubilerski w Hamburgu, ściągali wyroby ze złota z różnych hurtowni, nie płacąc za nie lub płacąc symboliczne zaliczki. Po zgromadzeniu

odpowiedniej ilości towar mieli przewieźć do Polski i tu, zgodnie z podpisaną umową, połowę złota mieli przekazać Skarbowi Państwa” [76](#).

ZŁOTY INTERES

Uruchomienie jubilerskiego biznesu wymagało jednak rozwiązania kilku problemów. Firma musiała posiadać zapasy gotówki, a do tego eleganckie, budzące zaufanie biuro oraz odpowiednich pracowników. Kłopot stwarzał również emigrancki status Janoszków w Niemczech, toteż konieczne stało się znalezienie osoby, na którą można by zarejestrować działalność.

SB nie spieszyła się z finansowaniem przedsięwzięcia. Ostatecznie sam Kazimierz Janosz zainwestował w interes 200 tysięcy marek, co dobrze pokazuje, jak wielkimi kwotami już wówczas dysponował.

Nie miał również problemów ze znalezieniem rodowitego Niemca, na którego zarejestrował firmę. Był nim Jens Keilholz, kelner z baru Orkan, a następnie z Trojki, czyli z lokalu prowadzonego przez Jana Janosza.

„W Trojce chodziłem w smokingu i w lakierkach – wspominał były kelner. – Tam też mieszkałem. Miałem tam swój pokój. I tak całe lata było. Z Kazimierzem siadaliśmy czasem razem i gadaliśmy. Powiedział kiedyś niespodziewanie: »Będę cię potrzebował. To tutaj, to główniana robota. Mój brat jest taki głupi. Z nim nie mogę robić interesów«. Oczywiście nadstawiłem uszu, bo pieniądze też tam były i to duże. Pytam: »Co to ma być?«. »Bizuteria, handel hurtowy bizuterią«” [77](#).

Keilholz bez problemów otrzymał koncesję, wynajęto pomieszczenia w reprezentacyjnym biurowcu Hamburga. Zamówiono mosiężne tablice z napisem „Keilholz i spółka – handel bizuterią”, zatrudniono odpowiednią sekretarkę.

Janosz od samego początku stosował metodę piramidy finansowej, obroty firmy generowano ze środków klientów. Podstawę funkcjonowania stanowił długi termin płatności za zamawianą bizuterię.

„Warunki zapłaty to było w większości wypadków 90 dni po otrzymaniu towarów – tłumaczył Keilholz. – Trzeba było przedłożyć referencje firmom, które nas przecież nie znały. Od czasu do czasu kupowaliśmy coś za 20-30 tysięcy marek płatne w gotówce. Było też trochę pieniędzy na koncie w banku” [78](#).

Nawet po latach dziwi łatwowierność kontrahentów, bo wcześniej nikomu nieznaną firmą nagle zaczęła obracać dużymi pieniędzmi.

„Przychodziły pierwsze zamówienia. Próbkę towarów od firm. Na zasadzie komisji. Firmy przysyłały produkty, które produkowały. (...) I po otrzymaniu próbek był zamawiany towar. Przychodziły pierścionki, zapalniczki, sztucce, inna biżuteria, łańcuszki, korale z pereł, spinki do mankietów, zegarki. Tak więc interes szedł znakomicie i bardzo dobrze się tam czułem” ⁷⁹.

Janosza nie interesowały jednak dochody uzyskiwane z handlu. Planował zdobycie zaufania kontrahentów, stopniowe powiększanie zasobów magazynowych firmy, a następnie ucieczkę z towarami do Polski.

Szybko też znalazł sposób na dodatkowe zarobki, dopuszczając do współpracy miejscowych przedsiębiorców:

„Pozorowane włamania do sklepów jubilerskich organizowali fabrykanci mający odpowiednie ubezpieczenie – tłumaczył wiele lat później. – Taki fabrykant kazał mi przyjść o określonej porze. Organizowałem to sam lub we dwóch. Fingowaliśmy napad, terroryzowaliśmy personel i zabieraliśmy towar, który był specjalnie przygotowany, oraz kasę. Następnie fabrykant zgłaszał policji, wystawiał faktury na milion dolarów, podczas gdy faktycznie było tego za 10 tysięcy dolarów. Od tej wartości dostawałem, zgodnie z umową, swoją pulę” ⁸⁰.

Z relacji Jensa Keilholza wynika również, że Janosz blisko współpracował z dyrektorem hamburskiego oddziału Bank für Gemeinwirtschaft prowadzącego rachunek firmy. To właśnie ten bank gwarantował niektóre transakcje, a nazwisko Janosza otwierało wszystkie drzwi tej instytucji.

Gangster nie ograniczał się zresztą wyłącznie do kosztowności, w magazynach firmy zgromadził hurtowe zapasy towarów deficytowych w Polsce. Znalazły się wśród nich: skórzana odzież, dzinsy, koszule, żyletki (!), meble. Ich wartość szła w setki tysięcy marek.

W kwietniu 1971 roku Kazimierz uznał, że sytuacja jest już zbyt niebezpieczna. Dysponował ogromną fortuną, która po przewiezieniu do kraju zabezpieczała jego rodzinę na całe pokolenia. Dlatego z dnia na dzień postanowił zlikwidować swoje interesy.

„Nadałem depezę do centrali, że pali mi się grunt pod nogami i nie mogę czekać dalej. Podałem, aby mnie przez dwa dni w maju 1971 roku oczekiwali na granicy. Nocami i dniami przez tydzień ładowałem, co się

dało, do wagonów. Przekupiłem celników, były to dwa albo trzy wagony. Dodatkowo pojemniki kolejowe (kontenery)” [81](#).

Do wagonów załadował również dwie walizki wypełnione wyrobami jubilerskimi, większość biżuterii postanowił jednak osobiście przewieźć przez granicę.

„Przerabiałem samochód Mercedes 200, całe siedzenia, bagażnik, nie mogłem tego pomieścić. Pakowałem to w cienki papier, żeby było jak najmniej opakowań, w szmaty i tak dowaliliśmy, że samochód pod ciężarem usiadł. Wziąłem jeszcze pistolet, miałem go nielegalnie. Modelu nie pamiętam. Miałem kilka pistoletów, zachodnie modele, po każdym działaniu wyrzucałem pistolet, żeby nie było śladu” [82](#).

Bez większych problemów pokonał granicę między RFN i NRD, a dalej znalazł się już pod opieką SB. Funkcjonariusze wywiadu czekali na niego na przejściu granicznym w Słubicach, by umożliwić mu bezproblemowy wjazd do kraju. Tymczasem nieuprzedzony o niczym Jens Keilholz popadał w coraz większe tarapaty:

„Przyjeżdżam z powrotem do Hamburga. Otwieram biuro – nic nie ma. Rozejrzałem się za stemplem Kazimierza Janosza. Jak wyjeżdżał, zawsze brał go ze sobą. Stempel był, wystawa i witryna były puste. Otworzyłem sejf, klucz tkwił w zamku. Pusto. W Altonie, w takiej piwnicy (...) leżały ciuchy za 380 tysięcy marek. Pognałem tam. Czy są tam jeszcze ciuchy? Tylko wieszaki, a on zniknął. I to wszystko na moje nazwisko” [83](#).

Oficjalnie to on był właścicielem firmy i na nim też ciążył obowiązek uregulowania zobowiązań wobec kontrahentów i urzędu skarbowego. Sam tylko należny podatek opiewał na kwotę prawie 100 tysięcy marek...

PODZIAŁ ŁUPU

„Na naszej granicy oczekiwali mnie pracownicy centrali – wspominał Janosz. – Znałem tylko pana Strzemienia [major Marek Strzemień – S.K.]. W skrytkach samochodu, bez opakowania, przywiozłem do kraju około 200 kilogramów wyrobów ze złota o wartości około jednego miliona marek zachodnioniemieckich. No, w tym towarze były najwyższego gatunku różnego rodzaju wyroby ze złota, takie jak zegarki z bransoletkami, ze

dwadzieścia kilo, łańcuszki w belach około pięćdziesięciu kilo, pierścionki damskie, męskie z naturalnymi kamieniami” [84](#).

Razem ze Strzemieniem w Słubicach czekał też Józef Laszczak, oficer wywiadu z komendy Milicji Obywatelskiej w Zielonej Górze. I gdy wreszcie mercedes Janosza przekroczył granicę, niezwłocznie został wprowadzony do specjalnego garażu. Tam Strzemień przystąpił do akcji, z samochodu wyciągał kosztowności, „wysypywał te wyroby jubilerskie jak kartofle”.

„Z rozmowy Strzemienia z osobnikiem [Janoszem – S.K.] – wspominał Laszczak – zorientowałem się, że złote przedmioty pochodzą z kradzieży w różnych sklepach jubilerskich we wszystkich państwach Europy Zachodniej. Załadowaliśmy to do dwóch walizek, które przewiązaliśmy sznurkami i zalakowaliśmy. Odcisk na laku zrobił Janosz kluczykiem swojego samochodu” [85](#).

Zdobycz dowieziono do Warszawy na Rakowiecką, a Strzemień osobiście wniósł walizki do gabinetu pułkownika Schwarza. Według ich oceny biżuterii było jednak mniej, niż deklarował Janosz (około 130 kilogramów). Obaj panowie narzekali zresztą, że większość wyrobów była „niechodliwej w Polsce próby 333”.

To stanowiło jednak zaledwie preludium awantury o podział zysków z bandyckiego procederu. Na Rakowieckiej zapadła bowiem decyzja, że zdobycz zostanie podzielona inaczej, niż było to wcześniej ustalone. Inna sprawa, że właściwie nikt nigdy nie przeprowadził jej dokładnej inwentaryzacji, a do określania wartości łupów używano kilogramowych odważników sklepowych...

Przy okazji zainteresowano się także wagonami kolejowymi, które Janosz wysłał do Polski. Wprawdzie ich zawartość nie była równie cenna, ale uznano, że jest to znakomity materiał przetargowy do dalszych rozliczeń z gangsterami.

„Ten towar dotarł koleją do Bytomia – wspominał Mieczysław Janosz. – Wagony stały na dworcu kolejowym przez dwa tygodnie. Oczywiście Kazimierz zadzwonił z Hamburga, że wszystko wysłał do siostry, ale nie podał adresu. Panowie z MSW nie wiedzieli: do której siostry? Jakiej siostry? Więc wpadli we wściekłość, że towar był już w Polsce, a oni nic o nim nie wiedzieli. Istniało ryzyko, że złoto z wagonów wykradną kolejarze” [86](#).

Oficerowie wywiadu ustalili wreszcie, gdzie znajduje się przesyłka, i od tej pory już nic nie pozostawiali przypadkowi. Strzemię w towarzystwie Drzewieckiego i pułkownika Zygmunta Nikła przeprowadził wagony do Zebrzydowic.

„Podjechała ciężarówka z MSW z Katowic – wspominał Mieczysław Janosz – i zabrała z wagonów towar do magazynu, gdzie miał być spisany protokół, wyliczone ilości tego, co przywieziono. Umówili się, że to zrobią w następnych dniach. Oczywiście było tu ogromne zaufanie Kazimierza, że się na coś takiego zgodził. Nikt nie przypuszczał, że go potem wykolegują panowie z MSW i KC. Nikt nie zrobił spisu” [87](#).

Kosztowności zrabowane w Niemczech wywołały prawdziwą sensację na Rakowieckiej. Pułkownika Schwarza odwiedzili jego przełożeni, generałowie Mirosław Milewski i Jan Słowikowski. Nie ukrywali dumy ze zdobyczy, nazwali ją łupami wojennymi, twierdząc, że to przejaw sprawiedliwości dziejowej za niemieckie rabunki podczas II wojny światowej.

Podział łupów nastąpił po kilku dniach. Gdy Kazimierz Janosz pojawił się na Rakowieckiej, zastał tam otwarte już walizki. Poinformowano go również, że razem z braćmi otrzyma tylko jedną trzecią łupu. Motywowano to „większym wysiłkiem operacyjnym pracowników MSW”.

„Siedziałem na dole w poczekalni – zeznawał gangster kilkanaście lat później – było to już wszystko rozpakowane na biurkach, wyjęte z walizek. Zabrałem swoją porcję, i to się skończyło. (...) To było już posortowane. Coś tam pisali, ale już nie wiem, co pisali. Jak miałem zaufanie do kogoś, to co mnie obchodzi, co pisali, tajnie pisali (...). Nie byłem obecny przy otwarciu walizek ani przy ważeniu. Z każdej kupki coś mi dali. Ja spisu nie brałem, powiedzieli, że dostanę to później. Ja się upomniałem o obiecane 60 tysięcy dolarów. Odpowiedziano, że jeszcze decyzja nie zapadła, zostaną powiadomiony, abym się nie martwił, mam z czego żyć, życzyli zdrowia: »Jedźcie do sanatorium«” [88](#).

Podziału dokonywano według wagi i na podstawie walorów wizualnych biżuterii, chociaż oficerowie wywiadu nie potrafili nawet określić nazw kamieni szlachetnych zdobiących misterne wyroby. O sukcesie zdążono już powiadomić najważniejsze osoby w państwie.

„O wynikach operacji »Żelazo« informowałem Kanię – zeznawał generał Milewski – i osobiście nie wierzę, aby nie poinformował on o tym ówczesnego I sekretarza KC Edwarda Gierka. Potwierdza to między innymi

fakt, że po tej operacji wielu towarzyszy z kierownictwa KC składało nam gratulacje” [89](#).

Na gratulacjach się nie skończyło. Gierek, Jaroszewicz i Szlachcic postanowili przekonać się osobiście o wartości łupów zdobytych przez Janoszków. Podobno zachowywali się przy tym jak dzieci w sklepie z zabawkami, „przypinali złote kolie, chodzili po sali i śmiali się”. Zresztą towarzysze z KC mieli już własne plany co do dalszych losów zdobyczy.

Pozostał jeszcze problem ładunku z Zebrzydowic, który trafił do magazynów MSW przy ulicy Czerniakowskiej w Warszawie.

„To były meble, sztuce, srebro, platery Sterlingsilver, drogocenne rzeczy i sztuce Hart Vergoldet, zapalniczki połączone – relacjonował Kazimierz Janosz. – Tego było bardzo dużo. Dlaczego miałem tego nie zamówić? Nawet żyletki zamówiłem. Dużo rzeczy ze skóry, płaszczy, kurtek, swetrów. To było w tych wagonach i dwie walizki pierścionków 18-karatowych, były to walizki czarne, około półmetrowej długości. Były one w wagonie. Nie mogłem tego zmieścić w samochodzie” [90](#).

Bizuteria ostatecznie trafiła na Rakowiecką, natomiast pozostałą zdobycz podzielono mniej więcej po połowie. Służba Bezpieczeństwa zachowała jednak najlepsze żyletki(!), przekazując Janoszowi te gorszej jakości.

„Po miesiącu przywieziono to do mnie. (...) Żona rozdzieliła te sztuce dla dzieci, dla innych. Z tego złota, co było w dwóch czarnych walizkach, nic nie otrzymałem, zatrzymała je centrala w całości. Szacunkowo z tego transportu kolejowego – nie wiem, ile dostałem. Miałem dostać połowę, ale trzeba było to porządnie spisać. Pozycji było bardzo dużo” [91](#).

KRAMIK NA RAKOWIECKIEJ

Gdy w 1984 roku resortowa komisja badała tę aferę, w magazynach MSW znajdowało się już niewiele kosztowności. Ustalono, że zaginęło co najmniej „75 kilogramów złota, kamieni szlachetnych o ogromnej wartości, duże ilości wyrobów ze srebra oraz znaczne ilości luksusowych towarów”. Prawdopodobnie jednak zniknęło znacznie więcej złota, niż podawali członkowie komisji.

„Skarbiec zgromadzony w wyniku rabunku – twierdził Marian Orzechowski, członek komisji – był także jakby podręcznym magazynem, z którego nagradzano zasłużonych pracowników MSW” ⁹².

Podpułkownik SB Zofia Niedziałek opowiadała, że złote zegarki wręczano funkcjonariuszom z okazji rocznicy urodzin czy ślubów, nie prowadząc przy tym żadnej ewidencji. Faktyczny stan rzeczy prezentował się jednak znacznie gorzej.

„Dokonałiśmy wyboru przedmiotów ze złota i zegarków – wspominał Marek Strzemiń. – Tak zwanych okazowych. Przedmioty te [były] przeznaczone dla kierownictwa ministerstwa – Jana Słowikowskiego i wiceministra Mirosława Milewskiego. Do dużych kopert zapakowaliśmy zegarki ręczne, z białego złota, gładkie i wysadzane kamieniami, brylancikami. Dołączyliśmy na pewno sztabki złota” ⁹³.

To nie był jednostkowy przypadek – najcenniejsze przedmioty (sztabki złota, złote monety, kamienie szlachetne i efektowne wyroby) pakowano do szarych kopert i wysyłano bezpośrednio do gmachu KC PZPR. Podobno z tego źródła pochodziły diety dla dostojników przed wyjazdami na zachód Europy, a wśród osób odbierających bezpośrednio łupy wymieniano Jana Szydłaka i Zdzisława Grudnia (następcę Gierka na stanowisku szefa partii w Katowicach). Niektóre z tych wyrobów przeznaczano na okolicznościowe prezenty – z okazji urodzin złoty zegarek miała otrzymać choćby Alfreda Moczar, żona Mieczysława. Co istotne, regularną odbiorczynią kwot pochodzących ze sprzedaży zrabowanych przedmiotów miała być towarzyszka Stanisława Gierek. Czyżby w ten sposób finansowała swoje zakupy za żelazną kurtyną? Ostatecznie w tym właśnie celu raz na kwartał wybierała się wraz z rodziną do Wiednia...

Pozostałe precjoza trafiły do kramiku na Rakowieckiej, gdzie oficerowie wywiadu mogli je nabywać po okazjnych cenach.

„Sklepik to zawsze istniał – potwierdzał pułkownik Tadeusz Fiećko. – Jak był zakaz kupna towarów zagranicznych, towary po prostu sprowadzano z Berlina [Zachodniego – S.K.]. Sklepik był dla pracowników wywiadu. Kiedy chciałem, powiedzmy, urządzić jakieś przyjęcie (...), udawałem się i kupowałem, za marki oczywiście, za waluty obce. Najdogodniejsze okazywały się marki, bo w takiej walucie robiono zakupy dla sklepiku, więc łatwo się było rozliczyć w markach” ⁹⁴.

Pozostaje pytanie, jak wyceniano towar dostarczony przez Janosza. Przecież gangster nie przywiózł faktur, a SB nic mu za te kosztowności nie

zapłaciła. Przy sprzedaży nie pobierano żadnych pokwitowań. Można wręcz odnieść wrażenie, że kramik służył jako przykrywka dla machinacji, których przedmiot stanowiły zdobyczne gangsterów.

„System był działaniem celowym – ustaliła komisja badająca aferę. – Od początku operacji »Żelazo« robiono wszystko, aby określoną ilość złota i innych kosztowności ukryć poza jakąkolwiek ewidencją. Mirosław Milewski był w tym czasie dyrektorem departamentu I, a następnie nadzorującym ten departament wiceministrem. I jeśli sam tej praktyki nie wprowadził, to ją kontynuował i sankcjonował” ⁹⁵.

„ŻELAZO II”

Chociaż Janoszowie dostali tylko około 40 kilogramów złota, nie osłabiło to ich zapału do dalszej współpracy z wywiadem. Za swoje zasługi zostali bowiem otoczeni ochroną prawną i gdy w Polsce pojawił się Richard Zaiser, pełnomocnik pokrzywdzonych biznesmenów z Niemiec – nic nie osiągnął. Prokuratura kompletnie go zignorowała, oświadczając, że „takie sprawy należy załatwiać kanałami dyplomatycznymi” ⁹⁶.

Już kilka miesięcy później Kazimierz Janosz spotkał się z Mieczysławem Schwarzem i Tadeuszem Drzewieckim. Omawiano sprawę przerzutu do Polski kradzionych na Zachodzie samochodów dla resortu i wojska. W grę miały wchodzić również luksusowe pojazdy dla wyższych oficerów wywiadu. Janosz dobrze znał mieszkające w Hamburgu małżeństwo Burnickich, które prowadziło tam komis samochodowy. Od lat łączyły go z Burnickimi różne niejasne interesy.

Gangster wyjechał do Berlina Wschodniego, gdzie omówił sprawę ze swoim bratem, Janem, który nadal przebywał w Hamburgu. Po powrocie oznajmił, że sprawa „Żelazo” niemal „już zupełnie ucichła i na ten temat nic się nie mówi”, natomiast koszt przemytu samochodów ustalił na jedną trzecią ich rynkowej ceny. Do współpracy ostatecznie nie doszło, chociaż wydaje się, że kilka pojazdów trafiło jednak do I Departamentu MSW. Zofia Niedziałek wspominała, że w 1973 roku na jego stanie znajdowały się cztery samochody (w tym mercedesy 220 D i 230 D) niemające odpowiedniej dokumentacji. Najwyraźniej kierownictwo tego departamentu

nie potrafiło oprzeć się pokusie skorzystania z odrobiny nielegalnego luksusu...

Innym projektem Janoszków była sprawa napadu na jeden z zachodnioeuropejskich banków. Kradzież, która miała przynieść zysk w wysokości 15 milionów marek, zaplanował Jan Janosz. Skradzione pieniądze przekazałby MSW w zamian za część zdobyczy i ochronę prawną po ucieczce do kraju. Nowe plany snuł również inny członek gangsterskiej rodziny.

„Mieczysław Janosz robił pozytywne wrażenie – wspominał podpułkownik Jan Rodak. – Oczytany, elokwentny. Miał niesamowite pomysły na interesy. Prosił nas o paszport, na przykład na Indie, do Birmy. Chciał nawiązać kontakty handlowe i otwierać przedsiębiorstwa. Spotykałem się z nim w Świteziance. Mieczysław mówił, że Jan ma do nas żal, bo nie robimy z nim interesów, a on ma jakieś zamrożone pieniądze, duże pieniądze w złocie, w precjozach. Włosy mi się na głowie zjeżyły, to były sumy niewyobrażalne. Dzisiaj Janoszowie by robili biznes, ale wtedy mieli ograniczenia, bo urząd skarbowy trzymał ich za pyski. Zwrócili się do departamentu, żeby w jakiś sposób wyprał te środki. Ale departament odmówił. Mieczysław do mnie dzwonił. Musiałem zrelacjonować problem kierownictwu. Kazano mi trzymać język za zębami i go zwodzić” [97](#).

Ale czy tak było rzeczywiście? Wydaje się, że Rodak nie powiedział całej prawdy. Wywiad zaaprobował bowiem jeden z gangsterskich projektów, a plan dostał nawet akceptację premiera Jaroszewicza. Tym razem miał być to przerzut ze Szwecji 80 kilogramów złota i trzech kilogramów kamieni szlachetnych. Środki te pochodziły z napadu na bank, podczas którego zabito dyrektora placówki.

Wprawdzie oficjalnie do realizacji projektu nie doszło, ale pewien dokument zachowany w zbiorach IPN-u wydaje się sugerować coś zupełnie przeciwnego. Gdy bowiem major Strzemiń sporządzał notatkę służbową z rozmowy z Janem Janoszem, zaznaczył, że gangster chciał, by w „rozliczeniu stosować zasady praktykowane w I i II etapie zrealizowanych już akcji w ramach sprawy kryptonim »Żelazo«” [98](#). Pierwszy etap oznaczał hamburski proceder Kazimierza, ale co rozumiano jako drugi etap? Czy był to przemyt złota i kamieni szlachetnych ze Szwecji, czy też inna operacja, której dokumentację starannie zniszczono?

NIETYKALNI

Chociaż pułkownik Rodak twierdził, że centrala odmówiła legalizacji majątku Janoszków, prawda była zupełnie inna. Potwierdził to nawet Mieczysław Janosz, który uważał zresztą, że wywiad okradł jego i braci z dorobku życia:

„Kazimierzowi nie dano żadnego kwitka, że to wwiózł. On tego nigdzie nie mógł sprzedać, gdziekolwiek by się z tym ujawnił, od razu urząd celny czy komisje zażądałyby, skąd on to ma. Pozostała konieczność opylenia tego, w związku z tym Kazimierz zwrócił się do centrali MSW, żeby, no, umożliwiono mu sprzedaż części towaru, no i to załatwiono” [99](#).

Kazimierz Janosz otrzymał zgodę na legalną sprzedaż złota, nikt nie stwarzał mu również problemów w handlu innymi zrabowanymi przedmiotami. W zamian jednak podpisywał potwierdzenia odbioru sum, których nigdy nie otrzymał. Być może w ten właśnie sposób oficerowie wywiadu zapewniali sobie pokrycie na zdefraudowane pieniądze pochodzące ze sprzedaży skarbu Janoszków.

„Wystawiałem pokwitowanie na dewizy – potwierdzał Kazimierz. – Na przykład kiedy prowadziłem restaurację Czerwony Kapturek w Bielsku-Białej, dałem pokwitowanie pracownikowi centrali na około 5 tysięcy dolarów amerykańskich. Kiedy to przebywałem u brata (...), odnalazło mnie tam dwóch pracowników centrali. Jeden imieniem Tadeusz, pokazał mi legitymację z MSW. Oświadczyli, że do rozliczenia ze mną centrala potrzebuje pokwitowania na sumę ponad 700 tysięcy złotych w jednym kwiecie. Natomiast na dewizy w sumie ponad 3 tysięcy dolarów amerykańskich w trzech kwitach. Pokwitowania były pisane w pokoju na poddaszu przez pracownika z centrali. Wszystkie pokwitowania podpisałem własnoręcznie, ale i w tych wypadkach pieniędzy na wystawione pokwitowania nie otrzymałem” [100](#).

Ostatecznie Kazimierz Janosz dostał jeszcze od MSW ponad 2 miliony złotych jako dodatkowe wynagrodzenie za swoje usługi (pokwitował jednak odbiór wielokrotnie wyższej kwoty). Nie zaprzestał też gangsterskiego rzemiosła i korzystając z ochrony władz, otworzył w Bielsku-Białej wspomnianą restaurację Czerwony Kapturek. Lokal cieszył się wyjątkowo złą sławą. W rzeczywistości była to tylko przykrywka dla bandyckiej działalności rodziny.

„Tam kawałek wyżej był ośrodek MSW – opowiadał Mieczysław Janosz. – Ośrodek szkoleniowy i instruktazowy, kogo załatwić, kogo zlikwidować. Jak ten zrobił taki Kapturek, to jak budowano fabrykę samochodów, to wszyscy frajerzy tam w tej knajpie siedzieli i pili. Tam się wódka lała strumieniami. I w pewnym okresie przyjeżdża tam Dzięwulski ze swoimi oprychami, proszę pana, i w tym barze urządził sobie, rozumie pan, mały jubel. Zaczął strzelać, wyciągnął pistolet, zaczął się zachowywać w sposób, no, niesamowity, więc chłopcy go związali, rozbroili, tych jego kompanów to samo. Wzięli mu pistolety, rozumie pan, i zadzwonili, i puścili. Trochę im tam wpieprzyli chyba też” [101](#).

Podobno w knajpie można było wszystko kupić i sprzedać albo zostać pobitym i okradzionym przez personel. Opowiadano także, że nieznani sprawcy zamordowali tam jedną z pracownic. Ale Janoszowie pozostawali pod ochroną warszawskiej centrali i byli niemal całkowicie bezkarni. Bracia publicznie szczylic się znakomitymi układami w stolicy, twierdząc, że gdy ktoś im zaszkodzi, to „zdejmą mu głowę”.

W Kapturku wielokrotnie interweniowała milicja, wysyłano tam nawet specjalne patrole. Jednak na dłuższą metę działania te okazywały się bezskuteczne.

„Janoszowie to była mocna rodzina w Bielsku-Białej – wspominał jeden z milicjantów. – Pojechaliśmy do nich na rewizję, w pięciu funkcjonariuszy z kałasznikowami w 1981 roku. Otrzymaliśmy sygnały, że z wódką w restauracji Kazika są jakieś przekręty. W jednym z pokoi znaleźliśmy kufer zamknięty na kłódkę. Podważyliśmy zawiasy kufra i podnieśliśmy pokrywę, zobaczyliśmy złote sztaby, złote łańcuchy, pierścionki, monety. Nogi się pod nami ugięły, bo czegoś takiego nie widzieliśmy wcześniej. Złote monety poupychane były w butach, w tapczanie leżały sterty złotych z dolarami. Kazik rzucał się, kłął, gdy zabieraliśmy całe złoto. Po pewnym czasie w naszej komendzie pojawili się panowie z centrali wywiadu w Warszawie. Musieliśmy po ich interwencji wszystkie precjoza oddać Kazikowi. Janosz sprawdzał ze spisem i odbierał wszystko po kolei. Naczelnik ze złością powiedział: »Teraz, panie Janosz, to bogactwo jest na pana głowie, nie na naszej«. W wydziale przestępstw gospodarczych zorganizowano spotkanie i tłumaczyli naczelnik z komendantem, dlaczego złoto oddano Janoszom. Mówili, że to wywiad, sprawy nad naszymi głowami, a wydział liczył 40 funkcjonariuszy i wszyscy trzęśli się z oburzenia, że przestępcy są nietykalni” [102](#).

ZABIĆ ADAMA MICHNIKA

Uważano, że Janoszowie są pod bezpośrednią opieką ówczesnego wiceministra MSW, generała Mirosława Milewskiego. Dygnitarz odwdzięczał się im za akcję „Żelazo”, a przy okazji rodzina nadal świadczyła resortowi gangsterskie usługi. Tym razem na pierwszym planie był Jan Janosz. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że na zlecenie wywiadu specjalizował się w mokrej robocie. Potwierdza to raport Jana Rodaka ze spotkania z najmłodszym z braci.

„Przedstawiłem mu sytuację, w której należałoby zwinąć i przerzucić przez granicę, np. do NRD, interesującego nas osobnika. (...) Natychmiast zadał pytanie, wykazując znajomość rzeczy: »Czy za jego zgodą, czy bez«. Wyjaśniłem mu, co rozumiemy pod pojęciem »zwinąć«. Natychmiast replikuje: »Żywy czy martwy«. Wyjaśniłem, że lepiej zawsze żywy, bo nie cuchnie. Jeśli zacznie cuchnąć, to już szkoda ryzyka w przewożeniu przez granicę” [103](#).

Wywiad wyznawał ideologię, że „zasady moralne przestrzegane w kraju nie obowiązują za granicą, łącznie z likwidowaniem fizycznym ludzi”. Jan Janosz miał podjąć się zadania „zwijania” osób wskazanych przez SB, co zresztą nie kolidowało z jego zwykłymi gangsterskimi interesami. W 1977 roku udowodniono mu kradzież w Hamburgu, w tym samym roku został postrzelony przez policję. Potem było podobnie – cztery lata później skazano go w Szwecji za przemyt amfetaminy, z tych samych powodów został zatrzymany później w RFN.

„Sprawa zabójstw (...), w które zamieszani byli Janoszowie – mówi Witold Bagieński z IPN-u – jest wciąż bardzo niejasna. Nie ma dokumentów, które jednoznacznie potwierdziłyby, kogo i kiedy zabito, natomiast o tym, że takie sytuacje miały miejsce, zeznawali sami Janoszowie. Zresztą nie bez przyczyny – jeden z funkcjonariuszy indagowanych w sprawie afery »Żelazo« oświadczył później, że sprawą braci zajmowano się ze względu na ich skłonność do wykonywania tzw. mokrej roboty” [104](#).

Pułkownik Rodak zlecił Janoszowi sprawę przebywającego wówczas na Zachodzie Adama Michnika („Trutnia”). Podobno gangster miał zorganizować napaść na niego i zabrać mu paszport, co uniemożliwiłoby opozycjoniście powrót do kraju. Przy okazji planowano przejąć dokumenty posiadane przez Michnika oraz „nieco” go poturbować.

„[Janosz] zapytany, ile chce za realizację sprawy »Truteń« – kontynuował Rodak – (...) zaczął się zastanawiać i zapytał, ile dam (miałem do dyspozycji 20 tysięcy DM). Podałem 10 tysięcy, uważając tę sumę przy tego typu sprawie za wystarczającą. Odparł, że doświadczenia wykazują, iż mamy różne pojęcie o tym, co jest wystarczające, a co nie. Po prostu operujemy innymi sumami. Odparłem, że w tym przypadku możemy zrekompensować jeszcze faktyczne wydatki, pod warunkiem że nie przekroczą one 50% wynagrodzenia. (...) Powiedział, że do tej sprawy jeszcze powrócimy, jak uda mu się pozytywnie załatwić »Trutnia« i dostarczyć dokumenty” [105](#).

Wydaje się jednak, że raport Rodaka na temat sprawy Michnika nie zawiera całej prawdy. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby SB planowała akcję, której skutkiem miałyby być tylko utrata paszportu.

„Wywiad PRL – uważał Jerzy Morawski, autor książki o aferze »Żelazo« – nie wysyłał wysokiego oficera do Berlina z dwudziestoma tysiącami marek w kieszeni (w tych czasach była to fortuna), aby opłacić kradzież paszportu opozycjoniście. Bezpieka mogła, kogo tylko chciała, aresztować po przylocie na Okęcie i przetrzymać pod byle pozorem, by nie uczestniczył we wrogiej demonstracji. Podawany przez Rodaka powód kradzieży paszportu Adamowi Michnikowi – aby nie wziął udziału w akcji opozycji w kraju – jest absurdalny. To wykręt, by zamazać prawdziwy cel działań wymierzonych w opozycjonistę” [106](#).

Faktycznie, w dokumentach SB nie ma śladu planowania morderstw, chociaż takie działania podejmowano. I tak zapewne miało być również w przypadku Adama Michnika...

Jan Janosz nie zrealizował jednak zlecenia i podczas kolejnego spotkania z Rodakiem dość mętnie tłumaczył przyczyny rezygnacji z akcji.

„W Paryżu »Truteń« został przez jego ludzi namierzony i dwa dni był obserwowany – informował pułkownik. – Czekano na dogodny moment, bo »Truteń« zawsze i wszędzie chodził przynajmniej w towarzystwie dwóch osób. »Komteja« [pseudonim Jana Janosza – S.K.] utrzymuje, że w tej sytuacji jego »chłopcy« nie tyle stchórzyli, co zaczęli rozumować, iż tu idzie nie tylko o rozbój, ale o jakąś sprawę polityczną. Stąd działali jego zdaniem zbyt mało energicznie, bo można było (pomimo obecności innych osób) sprawę pomyślnie załatwić. Gdyby on był wtedy sprawny, nie byłoby problemu” [107](#).

Wydaje się jednak, że Jan Janosz z rozmysłem zrezygnował ze zlecenia na Michnika. Nie wiadomo, jakie były tego powody. Niewykluczone, że gangster faktycznie nie chciał mieszać się w rozgrywki polityczne. Nie wiemy zresztą, komu jeszcze wówczas służył i z czyjej ochrony korzystał. Zachowały się bowiem informacje, że interesowali się nim Sowieci, miał także niejasne kontakty z wywiadem jugosłowiańskim (wielu obywateli tego kraju pracowało legalnie w RFN). Możliwe również, że jego gangsterską działalność nadzorowali sami Niemcy. Gdy bowiem w 1990 roku prokuratura RP zwróciła się do Niemieckiego Urzędu Kryminalnego o wiadomości na jego temat, otrzymała wyjątkowo skromne informacje. Tak jakby Niemcy nie zamierzali dekonspirować swojego agenta...

Najbardziej prawdopodobna wersja wypadków jest jednak taka, że gangster pozostawał na usługach wielu wywiadów. Na każdym zleceniu starał się zarobić, a gdy uważał, że potencjalne zyski nie równoważą strat (jak w przypadku Michnika), rezygnował z jego wykonania.

„Jest również zastanawiające – pisał w swoim raporcie z 1984 roku generał SB, Władysław Pożoga – że doszło do tego, że aktywny członek grupy przestępczej, Jan Janosz, mógł przez szereg lat w zasadzie oficjalnie i bezkarnie działać na terenie RFN i we Francji, dopuszczając się między innymi poważnych przestępstw kryminalnych, w tym napadów rabunkowych z bronią w ręku. (...) Jest zastanawiające tym bardziej, że nadal mieszka on i prowadzi interesy w Hamburgu. Z tych względów można uznać za wysoce prawdopodobne, że zgromadzone przez zachodnie służby specjalne i policję *dossier* braci Janoszków stanowiło wystarczający powód do ich przewerbowania” [108](#).

W odróżnieniu od swoich braci Jan Janosz osobiście niczego już nie wyjaśni, zmarł bowiem w Hamburgu w 2002 roku.

GANGSTERZY I POLITYCY

Poważne problemy rodziny Janoszków zaczęły się w 1981 roku, gdy generał Milewski stracił stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Jego następcą, Czesław Kiszczak, był zajadłym przeciwnikiem poprzednika, nie brał też udziału w operacji „Żelazo”.

W lipcu 1981 roku przeciwko Kazimierzowi Janoszowi ruszyło dochodzenie prokuratorskie. Zarzucano mu spekulacje przy sprzedaży alkoholu i papierosów, nielegalną produkcję wódki, handel dewizami oraz posiadanie broni bez zezwolenia. Rok później został skazany na 18 miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata oraz 130 tysięcy złotych grzywny. Dodatkowo miał również zapłacić 78 tysięcy złotych kosztów sądowych.

Zainteresowali się nim również urzędnicy skarbowi, oskarżając o zatajanie dochodów. Z tego powodu wymierzono mu kolejne domiary, czyli podatki uznaniowe. W 1984 roku Janosz został ponownie aresztowany i osadzony w więzieniu w Wadowicach.

„Przychodzą do mnie z płaczem dzieci Kazimierza – opowiadał jego brat, Mieczysław – i mówią: »Wujku, ratuj ojca«. On miał od kilku lat w domu stale rewizje, ciągle kradzieże, ciągle rabunki robione przez zwykłych stupajków, milicjantów. Prowadzili jakieś dochodzenia w sprawie rzekomej, takiej czy innej. Wszystko po to, aby go sczyścić do końca” [109](#).

Mieczysławowi tupetu nigdy nie brakowało, pojechał zatem do Warszawy, by zażądać spotkania z Czesławem Kiszczakiem. Do ministra się nie dostał, ale przyjęli go jego współpracownicy. Od nich też domagał się uwolnienia brata, grożąc ujawnieniem szczegółów operacji „Żelazo”.

Po kilkunastu dniach do Warszawy przewieziono Kazimierza, którego osobiście przesłuchiwał Kiszczak w towarzystwie generałów Władysława Pożogi (wiceministra spraw wewnętrznych i szefa wywiadu) oraz Zdzisława Sarewicza (dyrektora I Departamentu MSW).

Początkowo oficerowie nie mogli uwierzyć w rewelacje Janoszków. Ich wersja wypadków znajdowała jednak potwierdzenie w dokumentach i relacjach pracowników resortu. Dlatego też uznano, że cała sprawa wykracza poza kompetencje MSW i stanowi znakomity pretekst do ostatecznego skompromitowania Milewskiego.

Powołano specjalną komisję pod przewodnictwem generała Pożogi, jej członkowie drobiazgowo badali całą aferę, a przy okazji starali się wyjaśnić losy kosztowności zrabowanych przez Janoszków.

„W trakcie działań komisja (...) napotkała znowę milczenia przestępców z MSW – relacjonował Piotr Gontarczyk – ale mimo to opisała wiele szczegółów operacji – napady, strzelaniny i morderstwa. Wiele innych faktów skrzętnie zatuszowano. Z dokumentacji usunięto nazwiska niemal wszystkich zamieszanych w sprawę członków KC PZPR poza

Mirosławem Milewskim. Mimo to końcowy raport komisji wspominał o tym, że (...) w samej akcji brało udział kilkudziesięciu oficerów MSW, w tym czterech czy pięciu generałów. Komisja nie miała wątpliwości, kto był mózgiem przestępczych operacji. Jak wynika z wyżej przedstawionych ustaleń, operację »Żelazo« na wszystkich jej etapach organizował, kierował i nadzorował towarzysz Milewski jako dyrektor Departamentu I, a następnie podsekretarz stanu oraz minister spraw wewnętrznych” [110](#).

Rewizja przeprowadzona w domu Milewskiego wykazała posiadanie przez niego znacznych ilości wyrobów jubilerskich, nie dało się jednak udowodnić, że pochodziły one z operacji „Żelazo”. Sam zainteresowany początkowo zasłaniał się niepamięcią, a potem okazywał niezwykłą butę. I jeszcze miał pretensje, że z powodu śledztwa nie dostał odznaczenia na przypadającą w lipcu 1984 roku rocznicę 40-lecia PRL-u.

Przy okazji zainteresowano się też osobistym majątkiem Milewskiego. Generał bowiem od lat umiejętnie wykorzystywał swoją pozycję w resorcie.

„Sprawa mieszkania Milewskiego – notował z niesmakiem Mieczysław Rakowski. – W 1979 roku wziął willę (155 m⁴⁷) po aresztowanym przez MSW człowieku. Dom został luksusowo wyposażony, »nikt dotąd w MSW tak się nie urządził, żaden minister«. Za to wszystko płaci ministerstwo. Milewski płaci czynsz w wysokości 861 złotych miesięcznie, w tym opłata za garaż wynosi 237 złotych” [111](#).

Kiszczak i jego współpracownicy doskonale jednak wiedzieli, że Milewskiemu nie mogą zrobić nic poważnego. Ujawnienie afery groziło niewyobrażalnymi konsekwencjami na arenie międzynarodowej, a opozycja nie zaprzepaściłaby okazji do wykazania zgnilizny moralnej aparatu władzy PRL-u. W efekcie aferę należało maksymalnie „uszczelnić”, co w praktyce oznaczało całkowite jej zatuszowanie.

Milewski jednak doskonale znał metody pracy resortu i miał prawo obawiać się o swoje życie.

„Zaszokowało mnie twierdzenie – powiedział Kiszczak – że »będzie się bronił, na ile go będzie stać. Bez względu na to, że może skończy jak Popiełuszko«. Towarzysz Milewski jest człowiekiem, który bardzo starannie dobiera słowa, określenia. Potrafi i zawsze panuje nad tym, co mówi. Dlatego słowa, straszne słowa, jakich użył na poprzednim Biurze

Politycznym, nie mogą być traktowane jako zwyczajne, ludzkie przejęzyczenie” [112](#).

U schyłku PRL-u partia nie była jednak wobec swoich członków równie brutalna jak wobec opozycjonistów. Milewskiemu nie spadł nawet włos z głowy, został tylko usunięty z szeregów PZPR-u. Nagany partyjne dostali Franciszek Szlachcic, Józef Osek i Jan Słowikowski, natomiast pułkownika Mieczysława Schwarza ukarano upomnieniem. Inny bohater afery, major Strzemień, od kilku lat nie był już pracownikiem resortu i po przeniesieniu do rezerwy pracował w Polskiej Agencji Prasowej.

A chociaż Kiszczak narzekał, że musi „gimnastykować się, jak uchronić bandziora przed zasłużoną karą, aby kupić jego milczenie”, to jednak Kazimierza Janosza wypuszczono z więzienia. O aferze stało się głośno dopiero po upadku komunizmu, na krótko aresztowano wówczas jej głównych aktorów. Ale ostatecznie nie doszło do rozprawy sądowej i cała sprawa pozostała wyłącznie medialną sensacją.

Gdy w 2005 roku Kazimierza Janosza odwiedził Jerzy Morawski, schorowany gangster skarżył się na niesprawiedliwość, jaka go dotknęła. Tak bardzo zasłużył się dla Polski, a w zamian zniszczono go domiarąmi i kontrolami...

Inaczej potoczyły się natomiast losy jego brata, Mieczysława. W latach 80. stanął na czele Stowarzyszenia Ofiar Wojny, a następnie wsławił się kolportażem antyżydowskich ulotek. Udzielał się również gorliwie podczas afery ze stawianiem krzyży na Żwirowisku na terenie KL Auschwitz, często wówczas występował w towarzystwie Kazimierza Świtonia i Leszka Bubla. Kilka lat później założył Bank Słowiańskich Ofiar Wojny, a według opinii miejscowych miał to być przykład, że „kolejny raz chce naciągnąć ludzi”. Inna sprawa, że kolportowane przez niego ulotki podawały w wątpliwość sprawność umysłową ich autora:

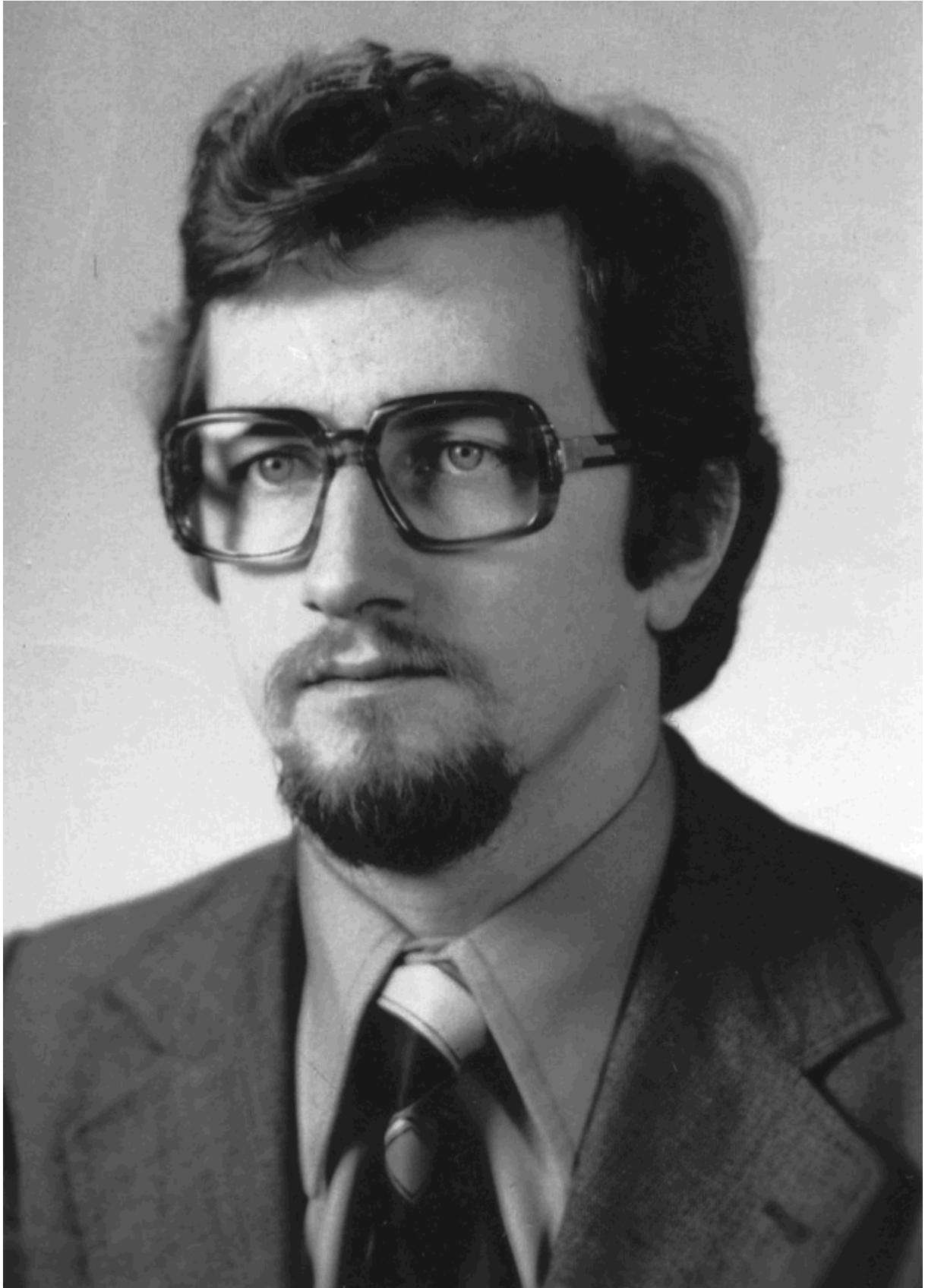
„Polacy!!! Powstał Bank Słowiańskich Ofiar Wojny (...). Zarządy Główne Stowarzyszenia Ofiar Wojny i Związku Weteranów Wojny w porozumieniu z Komitetem Narodowym Polskim zapraszają członków SOW i ZWW oraz członków ich rodzin, a także wszystkich Polaków (ofiary i następców prawnych ofiar zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości) do nieodpłatnego nabywania świadectw udziałowych Banku Słowiańskich Ofiar Wojny. (...) Bank ten powstał w wyniku porozumień pomiędzy organizacjami pozarządowymi krajów słowiańskich (...) na

mocy uchwały Komitetu Narodowego Polskiego w Bielsku-Białej z 31 sierpnia 2002 roku” [113](#).

W zamian za wkład w wysokości 100 złotych do banku mogli przystępować wszyscy prawdziwi Polacy bez względu na wiek i płeć. Oferowano nawet udziały dla nienarodzonych jeszcze obywateli RP...

Przy okazji instytucja ta świadczyła bez odpowiednich zezwoleń takie usługi, jak prowadzenie rachunków bankowych, udzielanie i zaciąganie kredytów, prowadzenie rachunków osobistych. A jej szef twierdził, że działa zgodnie z „orzeczeniami Międzynarodowego Trybunału Słowiańskiego oraz na mocy uchwał Komitetu Narodowego Polskiego, Wydziału Oświecenia Narodowego w Bielsku-Białej” [114](#).

Żaden z braci Janoszków nigdy nie okazał cienia skruchy czy refleksji na temat swojej gangsterskiej przeszłości. Kazimierz beznamiętnie opowiadał o wyłudzeniach, kradzieżach i zabójstwach, natomiast Mieczysław w ogóle zaprzeczał większości faktów. Gdy w 2006 roku realizowano film o aferze, stwierdził przed kamerą, że nigdy nie doszło do żadnej operacji „Żelazo”, a jedynym problemem jest wyłącznie niesprawiedliwe pozbawienie jego brata oszczędności życia. Uważał też, że „nigdy nie było żadnej afery”, a towar Kazimierza „nigdy nie pochodził z żadnego przestępstwa”. Oczywiście nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić, w jaki sposób brat wszedł w posiadanie tak imponującego majątku...



Jerzy Kaczmarek w 1978 roku, tuż przed wyjazdem do RFN-u jako
Heinz Arnold

ROZDZIAŁ 5

HANS KLOSS PRL-U

Jedną z najbardziej spektakularnych metod działania wywiadu była kradzież tożsamości, czyli podszywanie się agentów pod inne żyjące osoby. Doskonałym filmowym przykładem zastosowania tak zwanego wtórnika był serial *Stawka większa niż życie*, gdzie Polak z Pomorza Stanisław Kolicki (w wersji książkowej Stanisław Moczulski) został podstawiony na miejsce oficera Abwehry Hansa Klossa. Dzięki fizycznemu podobieństwu przejął jego tożsamość, a drobiazgowa znajomość życiorysu pierwowzoru umożliwiła mu wychodzenie obronną ręką z różnego rodzaju prób i niebezpieczeństw.

Opracowanie zasady działania wtórników przypisuje się Sowiecom, którzy po krwawej wojnie domowej dysponowali ogromną liczbą tożsamości zamordowanych lub uwięzionych przeciwników reżimu. Nie było zatem problemu, by na ich miejsce podstawić agentów i wyekspediować ich do zagranicznych środowisk emigracyjnych. W przypadku osób dorosłych istniało jednak poważne ryzyko dekonspiracji, zatem najczęściej wykorzystywano dane osobowe dzieci pozostawionych w Rosji przez ich rodziny. Wyposażeni w wiarygodne biografie agenci – już jako dorośli ludzie – po udanej „ucieczce” ze Związku Sowieckiego odnajdywali na Zachodzie swoich „bliskich” i rozpoczynali szpiegowską działalność.

NIELEGAŁOWIE I WTÓRNIKI

Z czasem proceder ten został udoskonalony – porywano nieletnich obywateli państw kapitalistycznych. Były to działania zaplanowane na dłuższy okres – od chwili porwania do czasu „cudownej ucieczki” musiało bowiem upłynąć co najmniej kilka lat. Agent „wracał w rodzinne strony” już jako dorosły człowiek, nikogo zatem nie dziwiły zmiany w jego wyglądzie i charakterze, zresztą przeżycia w sowieckiej niewoli wiele tłumaczyły. Przy okazji, by zminimalizować możliwość dekonspiracji, po wydobyciu wszystkich potrzebnych informacji porwane oryginały likwidowano.

Nowe możliwości używania wtórników przyniosły II wojna światowa i zmiany granic, które w jej wyniku nastąpiły w Europie. Do sierocińców państw komunistycznych trafiły tysiące niemieckich sierot, które uznano za potencjalnych dawców tożsamości. Zwrócił na to uwagę również polski wywiad, widząc w tych dzieciach znakomitą sposobność do budowy własnej agentury.

„Uplasowanie nielegała w obecnym okresie za pomocą tradycyjnych metod (najczęściej wykorzystywanie tożsamości fikcyjnej lub osoby nieżyjącej) jest praktycznie niemożliwe – pisał w notatce służbowej pułkownik Mirosław Wojciechowski. – Chodzi tu oczywiście o takie uplasowanie, które w perspektywie stworzy możliwości wywiadowcze (praca na eksponowanym stanowisku, w wojsku, aparacie państwowym, przy tajnych dokumentach itd.).

Osoby ubiegające się o tego typu pracę muszą wypełnić 60-stronicową ankietę personalną (USA), podając wszystkie szkoły i miejsca dotychczasowej pracy wraz z nazwiskami przełożonych, kolegów, adresy zamieszkania itd. Dane z ankiety sprawdzane są następnie przez kilka miesięcy przez FBI. W tej sytuacji »luka w życiorysie« człowieka dorosłego jest nie do ukrycia, co niemożliwym czyni plasowanie nielegała metodami tradycyjnymi” [115](#).

Najłatwiejsze wydawało się ulokowanie agentów na terenie Republiki Federalnej Niemiec, gdyż po objęciu rządów przez ekipę Edwarda Gierka nastąpiła normalizacja dwustronnych stosunków. Władze PRL-u pozwoliły na emigrację ponad stu tysiącom Ślązaków i Mazurów, w efekcie czego kierunek niemiecki zaczął odgrywać coraz większą rolę w działaniach wywiadu. Uznano, że konieczne stało się rozpracowywanie środowisk polskiej emigracji w RFN-ie oraz jej powiązań w kraju.

„Z jednej strony obserwujemy zbliżenie polityczne i gospodarcze między Polską a Republiką Federalną Niemiec, liczne wyjazdy do Niemiec – tłumaczył historyk Władysław Bułhak. – Ale było łatwiej też prowadzić operacje czysto wywiadowcze” [116](#).

Wywiad PRL-u miał ułatwione zadanie, w polskich domach dziecka prowadzono bowiem skrupulatną dokumentację niemieckich sierot. Archiwa te przechowywano przez wiele lat, co umożliwiało obserwację wychowanków także po opuszczeniu przez nich placówek. A przy okazji prowadzono działania mające zidentyfikować ich krewnych za żelazną kurtyną.

„Ta płaszczyzna – tłumaczy historyk Sławomir Cenckiewicz – ten obszar znalazły się od razu na celowniku służb wojskowych i cywilnych. To właśnie przez to, że to dawało możliwości legalnego przerzucania ludzi na Zachód” [117](#).

HEINZ PETER ARNOLD

Historia najgłośniejszego wtórnika wywiadu PRL-u rozpoczęła się u schyłku II wojny światowej w Lęborku. Po zajęciu miasta przez Sowieców jeden z oficerów Armii Czerwonej zainteresował się urodziwą Hildegardą Arnold. Niemka miała 25 lat i samotnie wychowywała córkę, podczas gdy jej mąż przebywał na froncie. Sowiecki oficer nawiązał z nią romans, którego owocem był nieślubny syn urodzony rok później. Otrzymał nazwisko matki oraz imiona Heinz Peter. Pierwsze po poległym bracie Hildegardy, drugie po swoim biologicznym ojcu.

Rosjanin wkrótce zniknął z życia Hildegardy, niebawem też wrócił z wojny jej małżonek. Nie był zachwycony pozamałżeńskim dzieckiem żony i gdy rok później rodzina została wysiedlona do Niemiec, nie zabrała ze sobą chłopca. Mały Heinz trafił do sierocińca w Lęborku, gdzie nadano mu nowe, polskie imię Janusz. Niebawem został adoptowany przez bezdzietne małżeństwo H. (szczegółowe dane znajdują się w aktach IPN-u) i przyjął ich nazwisko [118](#). Dorastał, nie zdając sobie sprawy ze swojego pochodzenia, mieszkał w Sopocie, z czasem ożenił się i miał dwoje dzieci.

„Był wysoki, przystojny, bardzo rodzinny, pedantyczny – wspominała żona Janusza, Alicja. – U niego wszystko musiało być w kosteczkę złożone.

Każda skarpetka pod kolor do butów. Chwilami to mnie aż denerwowało. Chwilami był taki inny – dokładny. Domyślał się, że był adoptowany. Takim momentem kluczowym było, gdy byliśmy małżeństwem, znalazł dokument, który mówił o jego niemieckim pochodzeniu, na tej podstawie dowiedział się, że jest adoptowany. Odbył wtedy z matką rozmowę na ten temat. Co jakiś czas był wzywany do wojskowości i ciągle był wypytywany o matkę, czy będzie szukał prawdziwej matki. Najdziwniejsze było to, że on nikomu nie powiedział, że był adoptowany i ma korzenie niemieckie” [119](#).

Janusz nie zdawał sobie sprawy, że od dawna znajduje się pod czujną obserwacją polskiego wywiadu. Wytypowano go bowiem na potencjalnego dawcę tożsamości. Jego matka wraz z mężem żyła bowiem w RFN-ie, a jej rodzina miała powiązania z miejscową sceną polityczną. Z tego też powodu na wszelki wypadek starano się nie dopuścić do jakiegokolwiek wyjazdu Arnolda za granicę, nawet do krajów bloku wschodniego.

„1977 rok to był dla mojego taty rok przełomowy, gdzie zaczęły wychodzić dziwne rzeczy z jego życia – opowiadała córka Janusza, Dorota Bergmann. – Po pierwsze to były czasy, że dużo osób wyjeżdżało wtedy na wycieczkę gdzieś za granicę i między innymi tato również chciał gdzieś wyjechać. Złożył wniosek o paszport, który został odrzucony. Nie podano powodów odrzucenia i to było dla mojego taty zagadką” [120](#).

Niepokój wywiadu PRL-u wzbudzał również fakt, że Trójmiasto podtrzymywało kontakty z RFN-em, a do Gdańska, Gdyni i Sopotu przybywało wielu niemieckich turystów. Centrala w Warszawie obawiała się kontaktów Janusza z Niemcami, dlatego przez cały czas go inwigilowano.

„Mój tata zawsze lubił słuchać niemieckiej muzyki – wspominała córka Janusza. – Bardzo go to poruszało, jak słyszał w radiu piosenkę chłopca, który śpiewał piosenkę do mamy” [121](#).

Wydaje się jednak, że dużo większe znaczenie miało dla niego odrzucenie przez biologiczną matkę. Niemieckie korzenie wydają się tu tylko dodatkiem.

„To matka adopcyjna dała mu do zrozumienia, że prawdziwa matka go porzuciła. Miał zadrę w sercu. Zawsze w święta Bożego Narodzenia płakał i zadawał sobie pytanie, dlaczego matka biologiczna go porzuciła” [122](#).

PORUCZNIK JERZY KACZMAREK

„Wyszukiwanie kandydatów do pracy w wywiadzie było powierzone Samodzielnej Sekcji Kadr obsługującej I Departament – pisał jego były oficer prowadzący, Henryk Bosak. – Zadanie to realizowali jednak wszyscy funkcjonariusze wywiadu, zwłaszcza młodszy, którzy często rekomendowali swoich kolegów z uczelni [Wyższej Szkoły Oficerskiej im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie – S.K.]. Czasami kandydatów do pracy w wywiadzie polecali funkcjonariusze innych jednostek, znajdując ich wśród członków rodziny lub synów przyjaciół. Rzadkie to były jednak przypadki, gdyż wiceminister Milewski był niechętny przyjmowaniu do wywiadu synów notabli państwowych czy partyjnych. Nawet synowie oficerów I Departamentu pracowali w innych jednostkach MSW, a do pracy w wywiadzie przychodzili, gdy ich ojcowie wycofali się na emeryturę” [123](#).

Podstawowym problemem w działaniach szpiegowskich na terenie RFN-u był brak germanistów. Wprawdzie potencjalny wtórnik jako człowiek wychowany w Polsce mógł nie mówić po niemiecku, ale skuteczna działalność wymagała jednak perfekcyjnej znajomości języka. Dlatego też za duży sukces uznano zwerbowanie do służby w SB absolwenta germanistyki, Jerzego Kaczmarka.

Wydaje się, że ten werbunek nie stwarzał większych problemów. Chłopak pochodził bowiem z resortowej rodziny – jego ojciec, Stanisław, był oficerem Urzędu Bezpieczeństwa. Po śmierci Stalina, w połowie lat 50., odszedł ze służby, jednak pozostał „ideowym członkiem PZPR-u”. W dokumentach na temat Kaczmarka zawsze podkreślano „właściwe poglądy” jego rodziców.

Przyszły agent studiował germanistykę w Poznaniu, a po pierwszym roku przeniósł się na Uniwersytet im. Karola Marksa w Lipsku. Podobnie jak rodzice wykazywał niezwykle ideową postawę, co podkreślano w raportach Służby Bezpieczeństwa.

„Począwszy od szkoły podstawowej, Kaczmarek jest działaczem młodzieżowym. Należał do ZHP, ZMS i SZMS [SZSP? – S.K.]. W organizacjach tych pełnił różne kierownicze funkcje. W listopadzie 1972 roku został przyjęty w poczet kandydatów PZPR” [124](#).

Wprawdzie według zachowanych dokumentów Kaczmarka zwerbowano dopiero w 1974 roku, ale niewykluczone, że przeznaczono go do służby już wcześniej, a studia filologiczne były tylko kolejnym etapem przygotowania

do pracy w wywiadzie. SB miała bowiem zwyczaj selekcjonowania potencjalnych kandydatów już w bardzo młodym wieku.

„Operacje plasowania należy przeprowadzić o wiele staranniej, rzecz by można, w sposób organiczny, zaczynając od uchwycenia (wytypowania) tożsamości przyszłego nieleżała w okresie stosunkowo wczesnej młodości – zalecał wspomniany już pułkownik Wojciechowski. – Innymi słowy, należy wybrać do wykorzystania tożsamość młodego człowieka (lat 14) rzeczywiście żyjącego” [125](#).

Sam Kaczmarek twierdził natomiast, że przy podjęciu decyzji największą rolę odegrały dla niego sprawy materialne i zwyczajna młodzieńcza chęć przeżycia przygody.

„Byłem pracownikiem wywiadu – tłumaczył po latach – zostałem zwerbowany i wyposażony w inną tożsamość. Czułem się jak w filmach szpiegowskich. Pracując dla mojego kraju, mogę pracować w jakiś taki sposób fantastyczny, realizować marzenia, być jak superagent, James Bond. Nie miałem perspektyw, by w przeciągu 2, 5 czy 10 lat zarobić i kupić mieszkanie, dom, to było absolutnie nierealne i w związku z tym zgodziłem się na to właśnie” [126](#).

Niezwykle ważny wydaje się dłuższy pobyt Kaczmarka na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Mimo że był to kraj komunistyczny, agent miał okazję poznać specyfikę charakteru Niemców i ich sposób myślenia. Pewien problem stanowił natomiast wiek szpiega, Kaczmarek był bowiem o pięć lat młodszy od oryginalnego Arnolda (Janusz miał 31 lat, Kaczmarek 26). Z problemem uporano się dzięki odpowiedniej charakteryzacji – agent zapuścił bródkę, odpowiednio też dobierano mu okulary. W efekcie wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości.

Po latach Kaczmarek nie ukrywał, że zamierzał związać swoje życie ze służbami PRL-u. Twierdził, że udana akcja w charakterze wtórnika miała mu zapewnić pozycję „agenta perspektywicznego, wpływowego później”, żałował również, że został zdekonspirowany.

„Towarzysz Jerzy Kaczmarek pracuje w naszym aparacie od sierpnia 1974 roku – pisano we wniosku personalnym agenta. – Od tego czasu przygotowany jest do pracy »N« za granicą. Ukończył z powodzeniem cykl szkolenia indywidualnego, a obecnie pracuje nad realizacją legendy. Towarzysz Jerzy Kaczmarek jest pracownikiem inteligentnym, zdolnym i zdyscyplinowanym. W pracy systematyczny i dociekliwy. Cechuje go

skromność i pewność siebie. Robi również postępy w nauce języka angielskiego. Do partii należy od listopada 1972 roku. Jest aktywistą partyjnym. Obecnie pomimo oderwania od organizacji partyjnej żywo interesuje się życiem partyjnym” [127](#).

SPOTKANIE PO LATACH

„Z centrali służb specjalnych w Warszawie wyszła instrukcja – opowiadał Władysław Bułhak – żeby skupiać się na wyszukiwaniu osób, o których wyrażano się jako o potencjalnych »dawcach tożsamości«, których dane można było skopiować lub przejąć. W szczególności dotyczyło to sierot lub dzieci, które zmarły w czasie wojny” [128](#).

Nie wiadomo, kiedy zapadła decyzja o podstawieniu Kaczmarka za oryginalnego Arnolda. W takich sprawach nie można wierzyć nawet dokumentom przechowywanym w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, wiele decyzji zapadało bowiem ustnie i znali je tylko najbardziej zaufani. Nie wiadomo też, kto i kiedy skojarzył, że Kaczmarek może udawać Janusza. Ale całą operację przygotowano bezbłędnie.

W pracy wywiadu nic bowiem nie może być pozostawione przypadkowi. Oryginalnego Arnolda odcięto od kontaktów z zagranicą, a jego wtórnik przechodził intensywne szkolenie. Zapoznawał się z dokumentacją na temat „swojej” rodziny, odnalezienie jej miało zresztą nosić cechy naturalnych działań. Przy okazji zadbano również, by poszukiwania zapoczątkowane przez Hildegardę (Niemka również chciała odnaleźć syna) zakończyły się niepowodzeniem.

W ramach budowania odpowiedniego życiorysu Kaczmarek podjął pracę w szkole średniej w charakterze nauczyciela języka niemieckiego. Jego przełożeni z warszawskiej centrali okazywali zadowolenie ze swojego podwładnego.

„W realizacji czynności operacyjno-legalizacyjnej przejawia dużo inwencji i własnej inicjatywy. Posiada łatwość nawiązywania kontaktów oraz umiejętność przystosowania się do sytuacji. Wykazuje duży hart i odporność na trudne warunki wyłaniające się w trakcie realizacji legendy. Jest taktowny, kulturalny, skromny” [129](#).

Wprawdzie Hildegarda mieszkała na terenie RFN-u, ale ustalono, że członkowie jej rodziny przebywają również na obszarze bratniej NRD. To znacznie ułatwiło sprawę, ponieważ Kaczmarek „odnalazł” ich, przedstawił się jako Heinz Arnold, oni zaś powiadomili Hildegardę.

„Droga Ciociu Hildo – pisała jej kuzynka – prawdopodobnie będziesz zaskoczona, gdy to przeczytasz, i woleliśmy powiadomić Ciebie inaczej, ale chcemy zrobić to jak najszybciej. W sobotę, 12 lutego 1977 roku, przystojny, młody mężczyzna, w wieku około 30 lat zapukał do drzwi naszego mieszkania. Powiedział, że ma na nazwisko Arnold i że szuka swojej rodziny. Możesz sobie wyobrazić nasze zaskoczenie...” [130](#).

Na bezpośrednie spotkanie Hildegarda musiała jednak poczekać jeszcze rok – nie mogła wyjechać do NRD, trwała przecież zimna wojna. Formalności paszportowe Kaczmarka w Polsce trwały kilka miesięcy, nic nie przyspieszano, wszystko miało wyglądać jak najbardziej naturalnie. Na początku lutego 1978 roku agent otrzymał dwutygodniową wizę i pojechał do Sauerlandu.

„Moja babcia odebrała go nawet z pociągu i spędzili ze sobą cały dzień – opowiadała Dorota Bergmann. – Po kolacji on został u jej córki, a babcia pojechała do domu. To było zaledwie kilka minut w ciągu całego dnia, kiedy była sama. Jechała taksówką. Wsiadając z taksówki, zasłabła i upadła. Zmarła przed drzwiami własnego domu. Lekarz stwierdził, że to był zawał serca i dlatego zmarła” [131](#).

Wprawdzie zdarzają się przypadki ataku serca wywołane ogromnym wzruszeniem, ale wydaje się dziwne, że Hildegarda zmarła w chwili, gdy została tylko w towarzystwie taksówkarza. Znane są bowiem specyfiki, które mogą spowodować zawał serca w odpowiedniej chwili. Oczywiście mógł to być tylko przypadek, ale w świetle późniejszych wydarzeń cała sprawa wygląda na podejrzaną. Czyżby wywiad PRL-u obawiał się instynktu matki? Czegoś nieuchwytnego, czego nie można określić i czym nie da się manipulować? To jednak tylko luźne dywagacje niepoparte żadnymi dowodami.

BREMA

„Po śmierci Hildegardy rodzina matki nastawiona była do niego nieprzyjaźnie – opowiadała polska dziennikarka Rosalia Romaniec. – Nie miał szans, aby tam zostać. Ale na pogrzeb przyjechał brat Hildegardy i zainteresował się losem siostrzeńca” [132](#).

Kaczmarek po mistrzowsku rozegrał sytuację. Udawał wstrząśniętego i przejętego tragicznym losem matki, sprawił też dobre wrażenie na swoim rzekomym wuju. Pomogły mu w tym znakomita znajomość języka niemieckiego i odpowiednie przeszkolenie. Przy okazji Kaczmarek musiał mieć niezłe umiejętności aktorskie.

„Stwierdził, że nie może zostać, bo rodzina go zawiodła – opowiadała bratanica Hildegardy, Petra Frings. – On miał dwutygodniową wizę, wyłącznie w celu wizyty u matki. Był cały czas przygnębiony, nic nie jadł. Martwił się, powiedział też, że zerwał wszystkie kontakty w Polsce i chciałby zostać w Niemczech.

Mój dziadek był członkiem SPD [Socjaldemokratyczna Partia Niemiec – S.K.], miał wiele kontaktów i załatwił mu pracę na państwowym stanowisku w budżetówce w Bremie, generalnie przyjął go z otwartymi rękami” [133](#).

Dzięki poparciu „wuj” Kaczmarek błyskawicznie dostał obywatelstwo RFN-u, od razu też mógł podjąć pracę, i to na stanowisku wyjątkowo przydatnym w szpiegowskiej robocie.

„Z reguły przesiedleńców w kilka tygodni po przybyciu do Niemiec wysyłano na kurs językowy, gdyż zazwyczaj w ogóle nie znali lub znali bardzo słabo język niemiecki – mówił Siegmund Loppe z Urzędu ds. Przesiedleńców i Emigrantów w Bremie. – W przypadku Arnolda nie było to konieczne, ponieważ w dokumentach zapisany został jako nauczyciel języka niemieckiego i z tego powodu mógł rozpocząć pracę (...) w urzędzie do spraw późnych przesiedleńców, a ponieważ okazywał duże zaangażowanie, to przyjęto go tam na stałe. On posługiwał się nawet urzędniczym żargonem, który nie jest szczególnie piękny, ale znał [go] perfekcyjnie” [134](#).

Kaczmarek został zatrudniony w instytucji zajmującej się emigrantami z PRL-u, przyjmował i zapoznawał się z ich wnioskami. Była to prawdziwa kopalnia informacji dla polskiego wywiadu – przesiedleńcy pisali o sprawach prywatnych, powoływali się też na opinie ludzi pozostałych w kraju. A szpieg miał znakomitą pamięć, starał się zresztą sukcesywnie poszerzać swoją wiedzę.

„Kiedy rozpocząłem moją pracę w urzędzie do spraw przesiedleńców, on już tam pracował – wspominał Axel Toth. – (...) Zwróciłem tylko na to uwagę, że w bardzo krótkim czasie udało mu się zrobić świetną karierę. Arnold pracował wtedy w dziale odpowiadającym za wnioski przesiedleńców, którzy starali się o status uchodźcy politycznego, i był osobą przyjmującą podania. I uważam, że były tam sprawy i dane, które były bardzo delikatne, gdyż mógł tam się z tych dokumentów dowiadywać różnych rzeczy, o których ci ludzie pisali.

Mieliśmy ogromne archiwum przy ulicy Hansa Böcklera i on tam często bywał, bardzo często musieliśmy mieć wgląd do złożonych tam akt i on chętnie tam chodził. Wyszukiwał i potem analizował akta” [135](#).

Agent umiejętnie unikał dekonspiracji, a podczas kontaktów z centralą zachowywał odpowiednią ostrożność. Gdy zachodziła potrzeba spotkania się z kurierem, wyjeżdżał do Jugosławii, na co nikt nie zwracał większej uwagi. Był to bowiem modny kierunek turystyczny i podobnie postępowali tysiące obywateli RFN-u. Udało mu się również nawiązać rozległe kontakty towarzyskie, był bardzo lubiany w gronie nowych przyjaciół.

„Często spędzaliśmy wspólne wieczory, jedząc i rozmawiając o wszystkim i o niczym – mówił Axel Toth. – Heinz Arnold wyciągał wtedy harmonijkę i grał. Pomędzy 1978 a 1985 rokiem był osobą, z którą spędzałem najwięcej czasu. Był jak przyjaciel. Dlatego wciąż nie mogę o tym wszystkim zapomnieć” [136](#).

Zaadaptował się również w otoczeniu rodziny Hildegardy. Szczególnie lubił go jej brat, często go odwiedzał, spędzali razem dużo czasu.

„Arnold stał się praktycznie członkiem naszej rodziny – wspominała Petra Frings – spotykaliśmy się, by coś zjeść, wypić kieliszek wina czy piwa. Razem z moim dziadkiem siedzieli i razem płakali. Dziadek był smutny, bo stracił żonę. Arnold też zaczynał płakać i mój dziadek myślał, że on płacze, bo stracił matkę” [137](#).

ŚMIERĆ HEINZA ARNOLDA

Tymczasem prawdziwy syn Hildegardy nie zapomniał o swojej prawdziwej matce. Od marzeń przeszedł do czynów i w 1984 roku zajął się sprawą na poważnie.

„Jak zaczął poszukiwać, to pojechał do Lęborka – wspominała żona Janusza. – Do urzędu, do kościoła. Dowiedział się, że jego dziadek Ernst zgłosił jego narodziny. Zaczął poszukiwać dokumentów i snuć plany, że odnajdzie matkę i rodzinę. Bardzo chciał mieć rodzeństwo” [138](#).

Dalej pomógł przypadek. W domu znajomych poznał turystów z Niemiec, których poprosił o pomoc. Przekazał im swoją metrykę urodzenia, po powrocie do kraju mieli rozpocząć poszukiwania za pośrednictwem tamtejszego Czerwonego Krzyża.

W tym czasie jego wtórnik odnosił coraz większe sukcesy. Warszawska centrala awansowała go na porucznika, powoli też wchodził w środowisko związane z bremeńskim oddziałem SPD. Uważano, że rysuje się przed nim interesująca polityczna kariera.

„Bardzo mocno wtopił się w polityczne środowisko i działał, pracując aktywnie w partii, funkcjonował w życiu politycznym – potwierdzał burmistrz Bremy, Franz Koschnik. – (...) Traktowaliśmy go jako jednego z naszych przyjaciół i współpracowników” [139](#).

W tym czasie niemieccy znajomi oryginalnego Heinza Arnolda dotrzykali słowa i rozpoczęli poszukiwania jego rodziny w RFN-ie. I niebawem okazało się, że istnieje dwóch synów Hildegardy.

„Sprawdzono dokumenty i stwierdzono, że już wcześniej zgłosił się człowiek z Europy Wschodniej z taką samą tożsamością – mówił Klaus-Peter Mittermaier, kierownik służb poszukiwawczych Niemieckiego Czerwonego Krzyża. – To było to samo nazwisko, imię, data urodzenia. Więc jedna z tych osób jest fałszywa, jedna z nich ma fałszywą tożsamość, więc jedna z nich była najprawdopodobniej agentem” [140](#).

To była prawdziwa sensacja – człowiek od kilku lat pracujący w państwowym urzędzie, aktywny działacz SPD okazał się polskim szpiegiem.

„Szpieg zdemaskowany w Bremie, oto wiadomość dnia – podawała miejscowa rozgłośnia radiowa. – W Urzędzie dla Przesiedleńców kontrwywiad ma pełne ręce roboty. Porucznik polskiego wywiadu znalazł w tym urzędzie ciepłą posadę. Na razie jest pewne, że szpieg używał nazwiska »Heinz Arnold«. W rzeczywistości naprawdę nazywał się K., prawdziwy Arnold dalej żyje w Polsce” [141](#).

Natychmiast wydano nakaz aresztowania i w połowie marca 1985 roku Kaczmarek znalazł się w więzieniu. Przesłuchano członków rodziny

i znajomych, przeszukano też jego mieszkanie. Znalaziono odbiornik radiowy służący do przejmowania szyfrowanych informacji, „laboratorium fotograficzne i aktówki ze specjalnymi skrytkami”. Natomiast szyfry zostały schowane w „nostalgicznym dziadku do orzechów zrobionym na specjalne zamówienie polskiego wywiadu”.

Informacje z Niemiec dotarły do prawdziwego syna Hildegardy i wywarły na nim wstrząsające wrażenie. Nie chciał uwierzyć w to, co usłyszał.

„Mój tato nie miał pojęcia, że w Niemczech złapano szpiega, który ma taką samą tożsamość – mówiła córka Janusza. – Dopiero okreśną drogą od Niemieckiego Czerwonego Krzyża dowiedzieliśmy się, że poszukiwana przez ojca kobieta żyła w RFN, ale już umarła, za to jest też człowiek, który już jakiś czas temu podał się za jej zaginionego syna, legitymując się danymi osobowymi mojego taty” [142](#).

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść, bo kilka tygodni później Janusz H. niespodziewanie zmarł w pracy na atak serca. Nie przeprowadzono sekcji zwłok, w protokole zapisano jednak, że wcześniej przebył już dwa zawały. Tymczasem córka kategorycznie zaprzeczała tym informacjom, twierdząc, że jej ojciec nigdy nie chorował na serce.

„Nie wiem, naprawdę nie wiem, czy mógł przeżyć, czy mu ktoś dopomógł – opowiadała żona Janusza. – Nie chcę nikogo oskarżać, ale to jest dziwne, że on tak szybko umiera. Tamten się zgłasza i matka też tak szybko umiera. To jest bardzo dziwne” [143](#).

Niestety, niemiecka prokuratura nigdy nie wszczęła śledztwa w sprawie śmierci Hildegardy. Członkowie rodziny i znajomi snuli własne podejrzenia, funkcjonariusze byli jednak nieugięci.

„Wszystko jest oczywiście możliwe, ale to podejrzenie było zbyt słabe – mówił oficer niemieckiej policji politycznej, Gerd Seeberg. – Poza tym nie było żadnej wskazówki, nikt nie znał przypadku w Niemczech, że służba wywiadowcza coś takiego jest w stanie zrobić, to byłby precedens. Ale ja też nie byłem o tym przekonany, że ona zmarła śmiercią nienaturalną. Dlatego zakończyłem dochodzenie w tej sprawie.

Ale szefem postępowania jest zawsze prokurator generalny i gdyby był innego zdania, podjąłby też inną decyzję. Ale nie zdecydował inaczej” [144](#).

OSTATNIA WYMIANA SZPIEGÓW

Centrala w Warszawie nie zapomniała o swoim oficerze. Został awansowany do stopnia kapitana, a najwyższe czynniki zwróciły się do bratniego wywiadu NRD. Służby wschodnioniemieckie okazały daleko idącą pomoc, poleciły też odpowiedniego prawnika do reprezentowania agenta przed sądem.

„Pan Kaczmarek przyznał się, że jest polskim oficerem – pisał do polskiego konsula w Bremie adwokat, Heinrich Hannover – jednak nie będzie, za moją radą, składał dalszych wyjaśnień w tej sprawie. (...)

O szczegóły dotyczące przebywania w areszcie troszczyć się sam. I tak, na życzenie pana Kaczmarka, zaprenumeruję kilka czasopism (»Spiegel«, »Stern«, »Zeit«, »Frankfurter Rundschau«, »Frankfurter Allgemeine«, »Weser Kurier« zamówił pan Kaczmarek sam). Ponadto zamówiłem dla niego małe radio, które uzyska od zakładu karnego. Odpowiednie zezwolenia sędziego Trybunału Federalnego zostały już wydane. Pan Kaczmarek może otrzymywać na zakupy 80 DM tygodniowo. Obecnie posiada jeszcze własne pieniądze. Gdy te się wyczerpią, będę mu przekazywał 80 DM tygodniowo lub 320 DM miesięcznie.

Pan Kaczmarek jest opanowany, znajduje się w dobrym stanie psychicznym i fizycznym” [145](#).

Agent faktycznie nie mógł zbyt narzekać na warunki w areszcie. Wprawdzie radio pozbawiono możliwości odbioru fal krótkich i UKF-u (na tych częstotliwościach przekazywano informacje szpiegowskie), ale w zamian mógł spokojnie słuchać innych zakresów, dużo również czytał. I czekał na działania warszawskiej centrali.

Wiadomo było, że stanie przed sądem, śledztwo musiało jednak potrwać dłuższy czas. W Polsce zapadła już decyzja o wymianie go na szpiegów państw zachodnich, przy okazji przeprowadzono również kwerendę na temat „obywateli RFN aktualnie przebywających w polskich zakładach karnych i aresztach śledczych za przestępstwa drogowe, dewizowe, celne, fałszerstwa itp.” [146](#). Zapewne była to forma nacisku na niemieckie władze.

„Od 1978 roku kapitan Kaczmarek – pisał Czesław Kiszczak do ministra spraw wewnętrznych NRD, Ericha Mielkego – prowadził aktywną służbę wywiadowczą, koncentrując się na problematyce pracy UOK [kontrwywiad RFN-u – S.K.] skierowanej przeciwko państwom naszej wspólnoty. Do chwili aresztowania przekazał wiele ważnych politycznie

i operacyjnie informacji. Część z nich została przesłana w ramach współpracy właściwym resortom bezpieczeństwa państw naszego obozu, w tym także Waszej służbie. Informacje te, pochodzące z lat 1980-1983, dotyczyły sześciu osób z NRD przebywających na terenie RFN (między innymi rodziny Behnke, Kappes oraz Petera Mayera), którymi interesowały się organa UOK.

Kapitan Jerzy Kaczmarek dostarczył także informacji o 84 osobach objętych działaniami UOK i będących w zainteresowaniu KGB ZSRR. (...) Jestem przekonany, iż dobrze się on zasłużył naszej wspólnej walce. Stąd też zwracam się do Towarzysza Ministra z prośbą o wykorzystanie możliwości Waszego resortu dla doprowadzenia do wymiany naszego oficera, gdyż aktualnie nie dysponujemy odpowiednimi osobami do wymiany bilateralnej” [147](#).

Sojusznicy nie zawiedli, dzięki czemu kapitan Jerzy Kaczmarek został wymieniony na moście Glienicke w lutym 1986 roku podczas ostatniej znanej wymiany szpiegów. Nigdy też nie stanął przed niemieckim sądem, by odpowiedzieć za szpiegowską działalność.

MIĘDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE

Kaczmarek pozostał w służbie do lutego 1990 roku. Po upadku komunizmu nie zamierzał się poddać weryfikacji i został zwolniony (przynajmniej oficjalnie) na własną prośbę [148](#). Szybko też odnalazł się w nowej rzeczywistości i zrobił znakomitą karierę biznesową w spółce Międzynarodowe Targi Poznańskie. Założył również rodzinę i doczekał się dwójki dzieci.

W spółce sprawował wiele eksponowanych stanowisk, zawsze jednak zatrzymywał się na funkcji dyrektora i nigdy nie awansował do zarządu czy rady nadzorczej. Nie wydaje się to przypadkiem.

„Mam wrażenie, że zawsze był szarą eminencją tej firmy – mówiła Rosalia Romaniec. – Zajmował rozmaite stanowiska, ale zawsze były to funkcje drugiego szeregu. Gdyby wszedł do zarządu, to wówczas musiałby poddać się lustracji, a tego chyba chciał za wszelką cenę uniknąć” [149](#).

Faktycznie, 60 proc. udziałów w spółce Międzynarodowe Targi Poznańskie posiada Skarb Państwa (pozostałe są własnością miasta), a to

narzuca obowiązek lustracji władz firmy. Czy właśnie dlatego w czerwcu 2011 roku Kaczmarek – jako przewodniczący Rady Pracowników – nawoływał do komunalizacji, czyli przejęcia przez miasto całości udziałów spółki [150](#)? Czy miało mu to umożliwić dalszą karierę?

Funkcja przewodniczącego Rady Pracowników stanowiła jednak wyłącznie niewiele znaczący dodatek, albowiem były agent szczególnie zasłużył się dla firmy na stanowisku dyrektora Targów Poligrafia. Dzięki temu stał się postacią znaną w świecie drukarzy i wydawców, gdzie faktycznie ceniono jego fachowość i zaangażowanie. Toteż gdy w 2011 roku odchodził do realizacji innych projektów związanych z MTP (Zespół Sprzedaży i Obsługi Wystawców), uhonorowano go najbardziej prestiżową nagrodą w świecie polskiej poligrafii – Złotym Gryfem. Statuetkę wręczył mu osobiście Edward Dreszer, prezes Polskiej Izby Druku.

W karierze nie przeszkodziło mu również ujawnienie jego szpiegowskiej przeszłości przez Rosalię Romaniec. Dziennikarka, kuzynka żony Heinza Arnolda, przeprowadziła własne śledztwo na temat wtórnika swojego wuja, czego efektem był film *Meine Familie und der Spion (Moja rodzina i szpieg)* wyemitowany przez niemiecką stację ARD. Podczas pracy nad filmem reżyserka odwiedziła Kaczmarka w Poznaniu, a były agent zgodził się na rozmowę. Uznał, że w ten sposób będzie mógł przedstawić własny punkt widzenia na sprawę.

Rosalii Romaniec towarzyszył Axel Toth, przyjaciel agenta z czasów Bremy.

„Minęło już prawie 30 lat – tłumaczył motywy swojego postępowania – i sam zauważyłem, że ta cała historia w dalszym ciągu mnie interesuje. I zażyczyłem sobie, abym jeszcze raz mógł spotkać się z Arnoldem.

Zapytałbym go, jak to właściwie było z naszą przyjaźnią? Czy to było szczerze? Mam wrażenie, że było to szczerze, ale chciałbym to usłyszeć od niego. Interesuje mnie też, dlaczego ktoś szpieguje? I jak on sam się z tym wszystkim czuł, przecież musiał żyć podwójnym życiem” [151](#).

Axel miał okazję porozmawiać w cztery oczy z byłym przyjacielem. Rozpoznał go zresztą bez problemu – wystarczyło jedno spojrzenie i wymiana kilku słów. Nie miał wątpliwości, że faktycznie spotkał człowieka, który kiedyś podawał się za Heinza Arnolda.

„Myślę, że mnie samemu ulżyło – mówił po spotkaniu – kiedy uznałem, że nasza przyjaźń w Bremie nie była udawana. Z drugiej strony on powiedział: nikogo wówczas nie skrzywdziłem, ale trzeba wiedzieć, że

przecież jest coś takiego jak zawiedzione zaufanie i to także może być bolesne” [152](#).

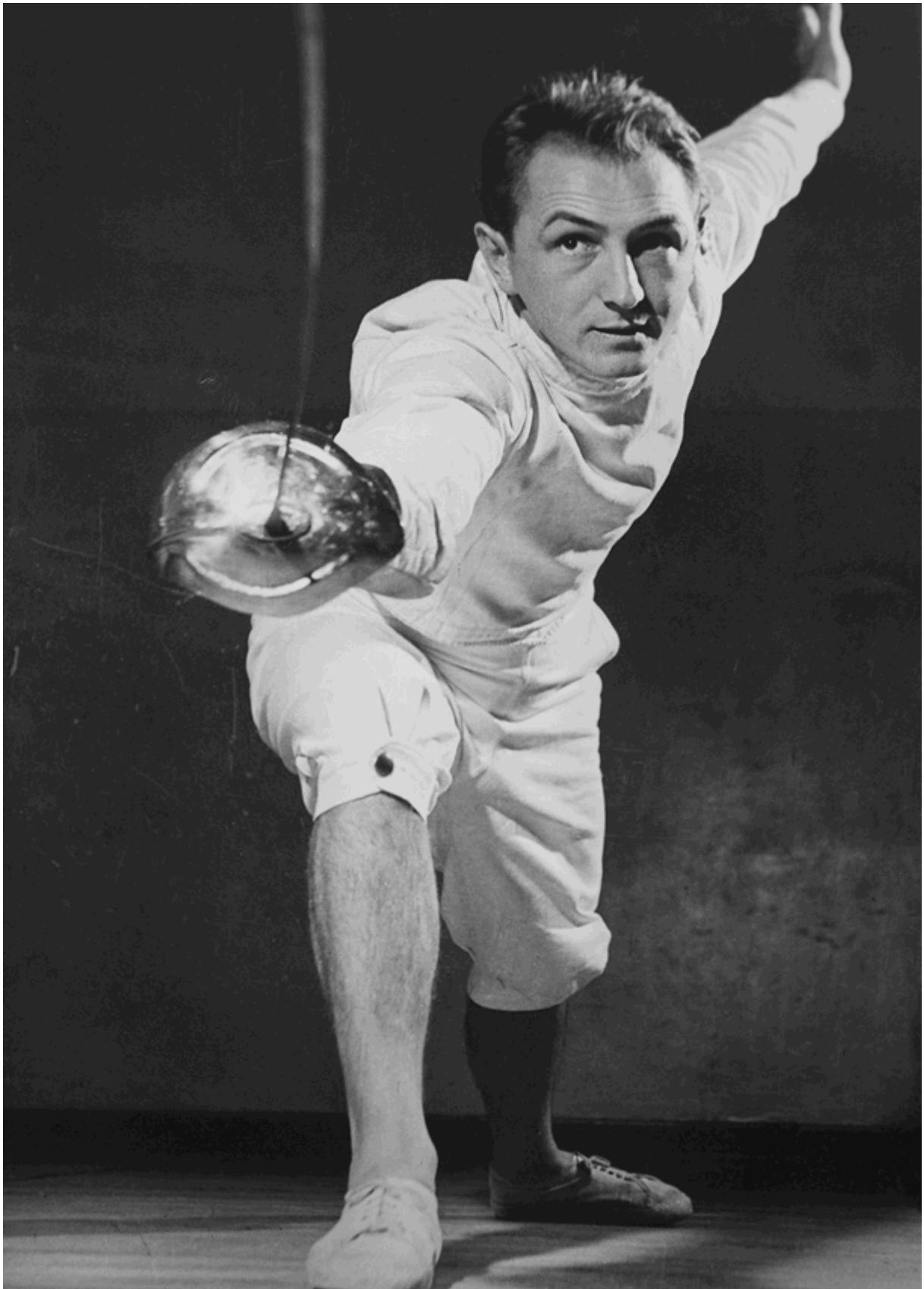
Rosalia Romaniec rozmawiała z Kaczmarkiem przez ponad trzy godziny. Agent nie wykazał żadnej skruchy z powodu wydarzeń sprzed lat. Był oficerem wywiadu i wypełniał rozkazy – uważał, że działał dla dobra ojczyzny. Tłumaczył, że nigdy nie widział swojego sobowtóra, powiedziano mu, iż jest ciężko chory i zapewne długo już nie pożyje. Nigdy też nie oglądał jego zdjęć i nie interesował się jego sprawami prywatnymi. Nie miał również żadnych wyrzutów sumienia wobec swojej rzekomej niemieckiej matki.

„Sądziłem wtedy, że będzie się cieszyła, jeżeli zobaczy mnie jako swojego syna. I tak też było. Ucieszyła się ogromnie. A kiedy ujrzałem, jak bardzo była szczęśliwa, że odnalazła swojego syna, którego odgrywałem, pomyślałem sobie, że dla niej to było coś pozytywnego. Tak właśnie sądziłem” [153](#).

Innego zdania jest natomiast rodzina oryginalnego Heinza Arnolda. Wdowa po nim powiedziała, że żałuje, iż nigdy nie doczekała się słowa przeprosin od agenta – przecież to z jego powodu jej dzieci do dzisiaj nie mają kontaktu ze swoimi niemieckimi kuzynami. A przecież właśnie o tym zawsze marzył jej zmarły mąż.

„Trzy lata po śmierci mojego taty chciałam wyjechać i poznać jego rodzinę – mówiła Dorota, córka Heinza Arnolda. – Myślałam, że w taki sposób będę mogła zrealizować jego marzenia. Zgłosiłam się do nich i nagle dostałam taki cios, bo rodzina się ode mnie odsunęła. Nie chciała mieć ze mną absolutnie kontaktu. Wytłumaczyłam to sobie tym, że mają taką traumę po szpiegu. To dlatego pewnie się odsunęli. To jest takie smutne dla mnie, że tak się wydarzyło” [154](#).

Historia rodziny Heinza Arnolda i wtórnika Jerzego Kaczmarka to wyjątkowo smutny relikwitu epoki zimnej wojny – to afera, która złamała życie przypadkowym osobom wciągniętym w tryby bezwzględnej szpiegowskiej maszyny...



Mistrz olimpijski Jerzy Pawłowski za szpiegostwo skazany na 25 lat więzienia

ROZDZIAŁ 6

MISTRZ SZABLI

To była prawdziwa sensacja, gdy w kwietniu 1975 roku nagle i niespodziewanie zniknął Jerzy Pawłowski – ulubieniec całego kraju, wielokrotny medalista igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, człowiek, któremu przyznano tytuł szablisty wszech czasów. Media milczały na ten temat, a nazwisko szermierza w ogóle przestało być wymieniane. Taka sytuacja zrodziła szeroko kolportowaną plotkę, że sportowiec został zastrzelony przez Służbę Bezpieczeństwa na Okęciu, gdy próbował uciec do Stanów Zjednoczonych. Od lat miał być bowiem amerykańskim szpiegiem, który za sową opłatą przekazywał na Zachód tajne informacje.

Pogłoski o szpiegostwie niebawem się potwierdziły – w połowie czerwca „Trybuna Ludu” zamieściła tekst o prowadzonym przeciwko szablicie śledztwie, pojawiły się również informacje, że Pawłowski został aresztowany i stanie przed sądem. Opinia społeczna spodziewała się najwyższego wymiaru kary (zawodnik był majorem Ludowego Wojska Polskiego), a sprawą dyskusyjną pozostawało tylko to, czy szermierz zostanie powieszony, czy rozstrzelany. Okazało się jednak, że władze wybrały inne rozwiązanie.

DZIWNY WYROK

Niemal dokładnie rok po aresztowaniu, w kwietniu 1976 roku, Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Pawłowskiego na 25 lat

pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat, przepadek mienia oraz degradację do stopnia szeregowca.

„Zdrada Ojczyzny, zbrodnia szpiegostwa – pisano po wyroku na łamach »Żołnierza Wolności« – działania przeciw podstawowym interesom obrony kraju – muszą wywoływać tym surowsze potępienie, gdy czynu tego dopuszcza się człowiek, któremu Polska Ludowa umożliwiła wykształcenie, rozwijanie zamiłowań i wykorzystanie talentu sportowego, awans społeczny i dostatni byt, sukcesy i sławę w ulubionej dyscyplinie sportu. Nie może nie wywoływać odrazy fakt, że Jerzy Pawłowski, reprezentując nasze barwy narodowe na wielu imprezach sportowych, jednocześnie zdradzał Polskę, sprzedając za nędzne, judaszowe srebrniki jej tajemnice. Pawłowski prowadził podwójne życie. Był człowiekiem o dwóch obliczach – istniał inny Pawłowski – karierowicz, bezkrytyczny wielbiciel Zachodu, samolub, dorobkiewicz – Pawłowski, dla którego dobrem najwyższym są pieniądze” [155](#).

Wyrok był jednak w pewnym sensie niezrozumiały, toteż zastanawiano się, dlaczego sportowiec uszedł z tej sprawy z życiem. Czyżby ekipa Gierka obawiała się reakcji światowej opinii publicznej? Ostatecznie nie były to czasy, w których wieszano (czy też rozstrzeliwano) znanych na całym świecie sportowców i idoli społeczeństwa – rządzący mogli się więc obawiać międzynarodowych reperkusji. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Pawłowski był posiadaczem legitymacji partyjnej z osobistym podpisem Władysława Gomułki.

„Publicznie ogłoszono jedynie wyrok, bez uzasadnienia i to było pewne zaskoczenie – wspominał Janusz Atlas. – Oficer służby czynnej przyłapany na szpiegostwie i po udowodnieniu przez sąd winy może dostać tylko jeden wyrok: czapę! Ale sądy Peerelu miały swoje poczucie sprawiedliwości. Pawłowskiemu podarowano głowę za ćwierć wieku odsiadki. Prawdopodobnie na wyroku zaważyły jego wielkie zasługi sportowe, ale w kuluarach sądu rozprawiano także o kręgach wtajemniczenia, do jakich dopuszczany był na wolności: o polowaniach z generałem Jaruzelskim i o spotkaniach towarzyskich z pierwszym garniturem władzy ludowej. Wysoce prawdopodobne, że wysokość wyroku dla »Pawła« ustalał nie sąd wojskowy, tylko Biuro Polityczne KC PZPR, zwłaszcza że miało już wprawę w takiej robocie” [156](#).

Jedni podejrzewali, iż być może w przyszłości Pawłowski będzie potrzebny na wymianę szpiegów, inni natomiast twierdzili, że zdradził

w śledztwie wiele tajemnic, za co kupił sobie życie. Nikt jednak nie przypuszczał, że cała działalność wywiadowcza szablisty jest po prostu tragifarsą, a on sam ma na sumieniu również współpracę z organami bezpieczeństwa i kontrwywiadem PRL-u.

SZABLISTA WSZECH CZASÓW

„W lutym 1949 roku po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwą, sportową szermierkę – wspominał Pawłowski. – Taką na sali, z okrzykami, które strasznie mnie dziwiły. Czemu oni się tak wydzierają? Skaczą, jak opętani, odbijają kij od szczołki od jakiegoś grubego, dużego chłopca, który też bez przerwy ryczy: »To jee (tak w oryginale, krzyczy Węgier) dobre! Doskonale! Tak jest!«” [157](#).

Pawłowski miał szczęście, gdyż trafił pod opiekę znakomitego fachowca, Węgra Jánosa Keveya, który potrafił wydobyć z uzdolnionego chłopaka to, co najlepsze. To właśnie on nauczył Pawłowskiego, jak wykorzystywać na planszy ten wyjątkowy, wrodzony talent. Kevey był uwielbiany przez swoich podopiecznych, których zresztą traktował niemal po ojcowsku.

„W latach 50. nie odstępowałem Keveya na krok – przyznawał Pawłowski. – Wszędzie byliśmy razem. Wielokrotnie zabierał mnie na obiady, do kina. Troszczył się o mnie jak ojciec. Sam mawiał: »Jesteście moje dzieci«. Ale także często: »Cholery można dostać z wami«. Był to zwrot używany w przyпіywie chwilowego gniewu, zabarwiony miłością do nas” [158](#).

Pawłowski okazał się największym odkryciem Węgra, który zdecydował, że jego pupil poświęci się wyłącznie szabli. Było to zresztą zgodne z zainteresowaniami młodego sportowca od dawna marzącego o występach tylko w tej dyscyplinie.

„To ona jest moją koronną bronią. Pozwala na największą improwizację i swobodę ruchów, nie krępuje konwencją i schematyzmem. Floret na przykład broń udziwniona, nienaturalna. A dla mnie wszystko, co schematyczne, przestaje być atrakcyjne. Toteż floret był nie do przyjęcia, choć byłem w nim mistrzem Polski seniorów. Wygrywałem też turnieje w szpadzie, ot tak – dla hecy” [159](#).

Już jako 20-latek Pawłowski zakwalifikował się do drużyny narodowej na olimpiadę w Helsinkach (1952), jednak na podium jeszcze tam nie trafił. Powetował to sobie cztery lata później i podczas igrzysk w Melbourne zdobył srebrny medal indywidualnie i drużynowo. W roku następnym został pierwszym polskim mistrzem świata w szermierce. W 1959 roku na mistrzostwach świata w Budapeszcie to właśnie on zdecydował o zdobyciu przez Polaków tytułu drużynowych mistrzów świata, zwyciężając w ostatniej walce zawodnika gospodarzy, Rudolfa Kárpátiego.

„Zespołowo zdobywaliśmy medale akurat po moich decydujących walkach – opowiadał Pawłowski. – Zwycięstwo drużynowe sprawiało mi chyba większą frajdę niż indywidualne. Nie zbieram znaczków, monet ani medali. Zawsze liczyła się dla mnie sama radość walki, spotkanie dwóch intelektów. Potrafiłem się nawet cieszyć z jednego trafienia (...). Dlatego mniej ważne były dla mnie medale, skupiałem się, żeby zadać jakieś zaskakujące pchnięcie, paraliżujące trafienie, a blaszki wrzucałem do pudeł” [160](#).

Następnie przysłyły kolejne sukcesy na olimpiadach i mistrzostwach świata (łącznie 19 medali!), a ukoronowaniem kariery Pawłowskiego był olimpijski triumf w Meksyku w 1968 roku. Polak stał się najbardziej utytułowanym zawodnikiem w swojej dyscyplinie, w efekcie Międzynarodowa Federacja Szermiercza przyznała mu tytuł szablisty wszech czasów. Ambicje Pawłowskiego sięgały jednak wyżej – chciał zostać najlepszym szermierzem w dziejach i niewiele już mu brakowało, by zgromadzić więcej tytułów niż włoski szpadzista i florecista, Edoardo Mangiarotti (zakończył karierę w 1960 roku). Jednak nie było mu to dane, a zdecydowały o tym względy pozasportowe.

FINANSE MISTRZA

Chociaż w PRL-u sportowcy oficjalnie byli amatorami, praktyka prezentowała się zupełnie inaczej. Pawłowski – jako zawodnik Legii Warszawa – miał etat oficerski (dosłużył się stopnia majora), ukończył również studia prawnicze, dzięki czemu pełnił funkcję adiunkta w Wojskowej Akademii Politycznej. Oczywiście stanowisko to, podobnie jak etat wojskowy, było wyłącznie fikcją umożliwiającą wypłacanie

szabliście wysokich apanaży. Już po sukcesie w Meksyku objął również (jako czynny zawodnik!) stanowisko prezesa Polskiego Związku Szermierczego. Do tego doszło jeszcze wysokie honorarium za wydaną w 1971 roku książkę *Trud olimpijskiego złota* – Pawłowski otrzymał za nią ponad 30 tysięcy złotych, podczas gdy średnia krajowa wynosiła wówczas 2358 złotych.

W epoce PRL-u honoraria i oficjalne pensje nie były jednak najważniejsze – bardziej liczyły się możliwości, jakie otwierały zajmowane stanowiska. Pawłowski nie mógł na to narzekać, bo jako zawodnik światowej elity brał udział w typowo komercyjnych turniejach, w których zamiast nagród rzeczowych odbierał ich równowartość w twardej walucie (za Martini Rossi – 400 dolarów, czyli odpowiednik 20 średnich krajowych pensji). Ale był to tylko dodatek do zarobków mistrza.

„Dał mi się poznać jako osoba robiąca gigantyczne interesy – wspominał jego sąsiad, Gustaw Holoubek – przy czym nie wiadomo było, jakie były to interesy, o jakim charakterze. W każdym razie był on sprytny w robieniu majątkowości. Nie potrafię powiedzieć, z jakiego źródła czerpał on zyski. Osobiście podejrzewam go o robienie pieniędzy przez przemysł. (...) W każdym razie ja oceniam go jako osobę dość zachłanną na karierę i pieniądze” [161](#).

Tak jak niemal wszyscy ówczesni polscy sportowcy Pawłowski zajmował się przemysłem na dużą skalę. Zaczynał już podczas pierwszych wyjazdów zagranicznych, a zarabiał wtedy nawet na kolegach z drużyny.

„W 1951 roku, gdy Pawłowski był pierwszy rok żołnierzem służby zasadniczej, wyjechaliśmy wtedy na zawody do Brukseli – opowiadał trener, Andrzej Przeździecki. – Stwierdziłem tam przypadkowo, że handluje zegarkami, oszukując kolegów. Kupował zegarki w sklepiku żydowskim chyba po 70 lub 75 franków, a sprzedawał po 75 lub 80 franków, zarabiając na tym 5 franków od sztuki” [162](#).

Potem przyszły znacznie poważniejsze interesy, toteż wybitny szablista osiągał dochody wręcz niewyobrażalne dla innych obywateli PRL-u. Nie krył się z tym zbytnio, a po latach wspominał znakomity interes, jaki zrobił bezpośrednio po olimpiadzie w Meksyku. Wykorzystał wówczas fakt, że pozwolono mu (jako złotemu medalistcie) na indywidualny powrót do kraju przez RFN. Razem z Pawłowskim, który zamierzał kupić tam samochód, pojechał brązowy medalista igrzysk, florecista Egon Franke.

„Kupujemy złote monety olimpijskie, licząc na to, że je z pewnym zyskiem sprzedamy w RFN-ie – relacjonował Pawłowski. – Mam cały rulon tych monet, do tego mam jeszcze blisko tysiąc dolarów, które już od jakiegoś czasu kupowałem (oczywiście na czarnym rynku, właśnie z zamiarem kupienia samochodu). Znajomy dziennikarz zagraniczny przewiózł mi te dolary przez granicę. (...) Jestem mistrzem olimpijskim, więc kupię sobie używanego mercedesa – może mi to w Warszawie darują.

Na złotych monetach całkiem niespodziewanie zrobiliśmy znakomity interes. Ja sam zarobiłem na czysto blisko czterysta dolarów. Z tym, co już miałem w kieszeni – mogłem sobie pozwolić na samochód, na który miałem ochotę. (...) W rezultacie kupiłem takiego mercedesa za 1500 dolarów. Proszę pamiętać, które to były lata” [163](#).

W Warszawie opowiadano, że szablista załatwił sobie u premiera Cyrankiewicza zwolnienie z cła za ten pojazd. A chociaż on sam temu zaprzeczał, nie jest to wcale wykluczone. Mercedes nie był zresztą jego największym osiągnięciem, albowiem Pawłowski miał w centrum Warszawy pięciopokojowe mieszkanie umeblowane antykami. Wprawdzie był to tylko lokal kwaterunkowy, ale dostatecznie dobrze świadczył o zaradności mistrza. Po co wydawać duże pieniądze na mieszkanie, skoro praktycznie bezpłatnie można je otrzymać od miasta?

Do tego dochodziła jeszcze działka w Wildze pod Warszawą z całorocznym domem, w którym szablista wypoczywał wraz z rodziną. Nie narzekał również na życie osobiste. Wprawdzie rozpadło się jego małżeństwo z aktorką Teresą Szmigielówną, ale za to z kolejną żoną, ginekolog Iwoną, stworzył udany związek. Przy okazji szeptano również, że Pawłowski ma duże skłonności do płci pięknej i prowadzi życie godne playboya. Jednak ulubieńcowi narodu wszystko wybaczano.

„Cieszył się nieprawdopodobną popularnością nie tylko jako autorytet sportowy, ale nieledwie moralny – opisywał Janusz Atlas. – »Paweł« był człowiekiem niewątpliwie inteligentnym, dowcipnym i kontaktowym; no, po prostu dawał się lubić. Dzięki szermierce – a dokładnie pozycji, jaką sobie wywalczył szablą, był człowiekiem zamożnym, pięknie żyjącym w ogromnym mieszkaniu i jeszcze jakiejś posiadłości wiejskiej. Zmieniającym dla kaprysu samochody i chyba nigdy nienarzekającym na brak forsy. Był prawdziwym wybrańcem fortuny, człowiekiem życiowego sukcesu. W dalszym tle błyszczał walor patriotyczny – Jerzy Pawłowski był

oficerem odrodzonego Ludowego Wojska Polskiego. Słowem – bohater bez skazy” [164](#).

W tej sytuacji Pawłowski mógł sobie pozwolić na spektakularne gesty mające ukazywać jego bezinteresowność:

„Po zdobyciu srebrnego medalu na mistrzostwach świata w Wiedniu oddałem finansową nagrodę dewizową na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Ponad tysiąc marek wschodniemieckich, jakie otrzymałem jako honorarium za film dokumentalny o mnie – przekazałem Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu” [165](#).

Niestety, z upływem lat w charakterze Pawłowskiego zachodziły niepokojące zmiany. Klócił się z trenerami, uważał, że sam wie najlepiej, jak osiągnąć optymalną dyspozycję. Kiedyś uważano, że ma pozytywny wpływ na innych członków reprezentacji, a teraz stawał się elementem rozbijającym jedność drużyny. Ale był szablistą wszech czasów i właściwie wszystko mu było wolno.

„Składał się on jakby z dwóch części: Jerzego Pawłowskiego sportowca i Pawłowskiego człowieka – twierdził Andrzej Przeździecki. – Jeśli chodzi o sportowca, to muszę obiektywnie stwierdzić, że był to sportowiec wielkiej klasy (...). Jeśli chodzi o Pawłowskiego człowieka, to od samego początku naszej znajomości stwierdziłem, że jest to egoista, niezwykle łasy na pieniądze, dbający tylko o siebie. (...) Jego ujemne cechy charakteru i ujemne oddziaływanie na zespół szczególnie objawiło się w latach 1968–1973 i w zasadzie do końca. Stał się wtedy szczególnie zarozumiały, pewny siebie i wprost mogę powiedzieć – brutalny cham” [166](#).

Opinia Przeździeckiego nie była wyjątkiem – inny trener, Zbigniew Czajkowski, uważał, że osobowość szablisty zmieniała się w zastraszającym tempie. Ze skromnego i bezinteresownego sportowca stał się „zawodnikiem, a raczej człowiekiem chciwym, bezwzględny, łasym na pieniądze i korzyści, które mógł wyciągnąć ze sportu”. Twierdzono, że „podejmie się on każdego zadania”, jeżeli tylko będzie „mógł na tym zarobić”.

Otoczenie już dawno zwróciło uwagę, że szermierz wydaje znacznie więcej, niż oficjalnie zarabia. Mogło to być niebezpieczne, bo władze skarbowe PRL-u bywały bezwzględne nawet wobec mistrzów sportu. Ale Pawłowski wyjaśniał, że zarabia duże kwoty na grze w pokera, miało mu też dopisywać szczęście podczas wizyt w zachodnioeuropejskich kasynach.

I faktycznie miał skłonności do hazardu, co potwierdza relacja kulomioty, Władysława Komara:

„Podczas olimpiady w Meksyku zaproponował, żebyśmy zegrali w pokera. Naprzeciwko nas siadł miejscowy Polak, z zawodu jubiler, oraz jako czwarty dziennikarz PAP, Defratyka. Po kilku rozdaniach zorientowałem się, że ów bajecznie bogaty jubiler w sposób nie do końca zgodny z regułami chce wejść w posiadanie naszych diet. Biedak nie wiedział, że swego czasu praktykowałem w Londynie w klubie gąblerskim i wszystkie te numery, które on stosował, to była pierwsza klasa, ale podstawowa. A w tej branży już ja miałem wyższy stopień wtajemniczenia. Rezultat tego spotkania był taki, że pełna pierścieni walizka, którą od niego wygraliśmy, zawierała obrączki tombakowe” [167](#).

WSPÓŁPRACA Z URZĘDEM BEZPIECZEŃSTWA

„Miałem 18 lat, gdy związałem [się] z Wojskową Służbą Wewnętrzną – zeznawał Pawłowski podczas procesu. – Kierowałem się zapotrzebowaniem społecznym, chciałem zwalczać wrogów Polski, entuzjazmowałem się wywiadem jako takim” [168](#).

Po latach, już w wolnej Polsce, wyjaśniał, że nie miał wyboru, albowiem dostał propozycję nie do odrzucenia. Podobno ratował w ten sposób ojca, któremu groziła śmierć z rąk UB.

„Podpisałem zobowiązanie – tłumaczył – ponieważ nie chciałem, żeby dobrali się do mojego ojca, żołnierza AK. W 1950 roku zaczynał się terror. Poinformowałem natychmiast moją rodzinę, że mnie złamali” [169](#).

Kilka lat później oddano go do dyspozycji Wojskowej Służby Wewnętrznej, dla której miał rozpracowywać środowisko sportowe, a także zapobiegać ucieczkom zawodników za granicę. Złożył wówczas przyrzeczenie, że „dobrowolnie zobowiązuje się pomagać organom informacji MON w zwalczaniu wrogów Polski Ludowej”. I faktycznie prowadził działania kontrwywiadowcze w kręgach sportowych, a także realizował „niektóre, fragmentaryczne przedsięwzięcia w stosunku do tajnych współpracowników wywiadu i kontrwywiadu wojskowego przebywających na terenie NRF”.

Według opinii resortu po 1956 roku Pawłowski kontaktował się ze służbami wyłącznie z własnej inicjatywy i sam też decydował, jakie informacje przekazać. Ostatni kontakt miał miejsce latem 1973 roku, kiedy to opowiedział o koledze szermierzu wyprzedającym swój majątek, co miało sugerować zamiar ucieczki na Zachód.

Po latach poraża tematyka donosów szablisty. Informował przełożonych, że Irena Kirszenstein (Szewińska) utrzymuje za granicą kontakty ze środowiskami żydowskimi; donosił na koszykarza Włodzimierza Tramsa, który prowadził hurtowy handel towarami pochodzącymi z przemytu. Podawał również informacje o nielegalnych interesach Władysława Komara i Andrzeja Badeńskiego oraz o tym, że sprawozdawca sportowy Jan Ciszewski miał oszukać w Brukseli jubilera na 200 dolarów. Ze zrozumiałych powodów najwięcej donosów dotyczyło jednak środowiska szermierczego. Proceder ten kontynuował zresztą Pawłowski podczas swojego procesu w 1976 roku, gdy zdradzał metody osiągnięcia dochodów przez swoich kolegów:

„Nie mogę pominąć przy omawianiu znanych mi osób Henryka Nielaby – zawodnika Legii [szpadzisty – S.K.]. Przypominam sobie, że (...) Nielaba, wyjeżdżając za granicę, prowadził hurtową sprzedaż sprzętu szermierczego, przede wszystkim kling. Ponieważ w początkowym okresie był on magazynierem sprzętu szermierczego (...), wybrakował on kilkakrotnie te same klingi i kilkakrotnie je złomował. (...) W zamian [za] złomowane po kilka razy te same klingi, pobierał on nowe klingi i wywoził na handel. Najczęściej odbiorcą tych kling był w RFN działacz sportowy i były szpadzista RFN – Dieter, który w owym czasie był oficerem kontrwywiadu niemieckiego, a obecnie jest szefem specjalnej służby w policji w Düsseldorfie. Poza tym Nielaba wchodził w skład tzw. spółki handlowej, którą prowadził trener kadry narodowej, Mikołaj Pomarnacki. (...) Wiem, że za granicę nasi szermierze wywozili po 40 kamizelek elektrycznych [do floretu – S.K.], które sprzedawali po 8–12 dolarów za sztukę. Nielaba w okolicach Łodzi buduje własną willę” [170](#).

Oskarżał nawet szermierzy Związku Radzieckiego, którzy również zajmowali się nielegalnym handlem. Twierdził, że podczas wyjazdów zagranicznych handlują kawiozem i platyną, natomiast szablista Marek Rakita (Pawłowski pokonał go w finale w Meksyku) miał dodatkowo sprzedawać jeszcze ikony, które „ukradł w cerkwi”.

Najważniejsze, że wśród informacji podawanych przez Pawłowskiego znajdowały się również zarzuty współpracy z obcym wywiadem, co było zupełnie inną kategorią przestępstw niż wykroczenia celne czy skarbowe:

„Dochody Badeńskiego nie wynikały tylko z zajmowania się nielegalnym handlem, ale musiał mieć również inne źródła dochodów i nie można wykluczyć jego powiązań z obcym wywiadem. (...) Badeński szastał dolarami tak samo, jak czynił to Władysław Komar (...). Komar nie ukrywał się z posiadaniem dużej ilości dolarów i tłumaczył, że jego żona Małgorzata z domu Spsychalska oraz teść Marian Spsychalski są dobrze nadziani dolarami” [171](#).

W SŁUŻBIE WYWIADU

Nie bez powodu decydenci polskiego wywiadu upatrzyli sobie Pawłowskiego na współpracownika. Zawodnik szybko awansował w światowej hierarchii szermierczej, co skutkowało licznymi wyjazdami zagranicznymi. Dzięki temu mógł się kontaktować z siecią agentów na terenie RFN-u. Zresztą taka rola bardzo mu imponowała.

„Pierwsze zadanie – w Stuttgarcie. Mamy tam uśpionego agenta, którego mam odnaleźć i skontaktować się. Jadąc, przez cały czas powtarzam sobie w myśli, jak będę postępować. Akompaniamentem jest, przez cały czas, charakterystyczny dźwięk silnika mojej P-70 – enerdowskiej produkcji, poprzedzającej trabanta – która to mydelniczka, dziarsko pyrkając, wiezie mnie po wspaniałych niemieckich szosach” [172](#).

Pawłowski zawsze miał poczucie własnej wartości i nawet spisując swoje wspomnienia w latach 90. ubiegłego wieku, podkreślał, że odgrywał ważną rolę w działaniach wywiadu PRL-u. Czytając jego refleksje, można chwilami odnieść wrażenie, że był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. I że nikt poza nim nie potrafiłby wykonać tego zadania.

„Co mam zrobić, muszę zrobić. W niewielkim podmiejskim osiedlu, gdzieś 25 kilometrów od Düsseldorfu, jest jeszcze jeden uśpiony dotąd agent, którego mam uruchomić. Z naszych danych wiem, że pracuje teraz na budowie przy raketowych bunkrach armii amerykańskiej. Zainteresowało to kogo trzeba – i mam się właśnie z nim porozumieć,

umówić, rozpoznać możliwości, sprawdzić, co się wokół dzieje. I ewentualnie...” [173](#).

Współpraca z polskim wywiadem wojskowym trwała do 1962 roku, a Pawłowski nie okazał się przydatnym agentem. Zupełnie nie nadawał się do szpiegowskiej roboty. Uczciwie zresztą przyznawał, że „bez przerwy klepał jęzorem” i miał skłonności do mitomanii. Ponadto był osobą coraz bardziej znaną na świecie, a to wykluczało jego wykorzystywanie przez wywiad PRL-u.

Przy okazji potrafił jednak doskonale zdyskontować współpracę ze służbami specjalnymi. W rozmowie z zastępcą komendanta do spraw politycznych garnizonu Warszawa, podpułkownikiem Jankiewiczem, oznajmił, że jego mieszkanie wykorzystują „organa kontrwywiadu wojskowego w celach służbowych”. I ten fakt „zamierzał wykorzystać w celu zamiany lokalu”. Natomiast podczas egzaminów wstępnych na Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim wymusił na jednym z kolegów przekazanie mu ściągawki – twierdził, że jest współpracownikiem służb specjalnych, i groził sankcjami z ich strony.

W 1962 roku podpisał zobowiązanie do zachowania w tajemnicy szczegółów współpracy – i na tym zakończyła się jego rola agenta. Po latach wydawał się jednak dumny ze szpiegowskiej kariery, chociaż w epoce III RP deklarował głęboką nienawiść do komunizmu. Psychika ludzka bywa czasami trudna do zrozumienia...

ARCHIWALNE NIEDYSKRECJE

Dokumenty z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej rzucają nowe światło na szablistę wszech czasów. Pozwalają wprowadzić pewne korekty w oficjalnym życiorysie Pawłowskiego, albowiem wbrew powszechnie znanym informacjom szermierz był żonaty nie dwa, lecz trzy razy. Jego pierwszą żoną została przedszkolanka Helena Jakubik, z którą miał córkę. Po rozwodzie ożenił się po raz drugi, a jego wybranką była wspomniana już aktorka Teresa Szmigielówna. Podobno łączyło ich wielkie uczucie, a Pawłowski z powodu ukochanej zamierzał nawet zdawać na Wydział Operatorski łódzkiej filmówki. Ten związek również nie przetrwał.

W archiwach IPN-u zachował się dokument dotyczący życia prywatnego Pawłowskiego po rozwodzie z drugą żoną. W grudniu 1962 roku Szmigielówna złożyła bowiem do prokuratury wojskowej zażalenie na zachowanie byłego męża, żądając skierowania sprawy na drogę postępowania sądowego. Oskarżyła eksmałżonka o „systematycznie znęcanie się nad nią i nad jej matką”, dorzucając przy okazji powiadomienie o handlu dolarami oraz przestępstwach celnych i skarbowych.

„Przemyt rozpoczął od tego – zeznawała Szmigielówna – że otworzył sobie w Londynie konto na nazwisko ojca [jej] matki (...) Zygmunta Nowakowskiego zamieszkałego w Kanadzie (...), na które wpłacał dolary przemycane osobiście, względnie przez dyplomatów NRF lub przez trenera francuskiego Taillandiera.

Mając otwarte konto, zawarł umowę z firmą angielską Dar Export Limited [pisownia oryginalna – S.K.] Challoner Street London W. 14, która przesała mu kilkanaście paczek z zawartością: bluzek Duke, spódniczek Duke, sukienek włoskich po 140 szt. w każdej paczce, w cenie po 1500 zł, futra nylonowe francuskie – około 30 szt., w cenie około 8000 zł, szale wełniane Moheirowe [pisownia oryginalna – S.K.] – ponad 500 szt., w cenie po 300 zł, pończochy elastyczne, masa perłowa po kilkanaście kg w puszcze, w cenie po 1800 zł za słoik oraz szereg innych drogich towarów” [174](#).

Towar przysyłano na adresy kilkunastu osób w kraju, a ich zawartość Pawłowski sprzedawał w sklepach prywatnych. Czerpał z tego procederu ogromne zyski, które powiększał, nie dotrzymując umów z odbiorcami paczek.

„Pozwalał sobie na oszukiwanie swoich kontrahentów – kontynuowała Szmigielówna. – Każde wnoszone pretensje zażegnywał, strasząc swoją wyrobioną pozycją w kontrwywiadzie. Twierdził przy tym, że za dużo jest w Polsce ludzi na wysokich stanowiskach, a nawet w wojsku i wojskowym wywiadzie i kontrwywiadzie, których trzyma w rękę, ponieważ razem kombinują, mają nieczyste sumienie i dlatego jest pewny i zawsze kryty” [175](#).

Rewelacje Szmigielówny potwierdziły jej matka i siostra, a także jedna z osób odbierających paczki. Inny ze świadków zeznał, że wiedział o tym, iż szablista bije żonę, albowiem było powszechnie wiadomo, że „Pawłowski to nietykalny oficer kontrwywiadu, obdarzony szczególnymi

uprawnieniami przez przełożonych, które wykorzystuje do najbardziej brudnych celów osobistych” [176](#).

Kolejny ze świadków dodał, że szermierz jest „łobuzem, łotrem i człowiekiem, dla którego wartość ma jedynie pieniądź”. Ponadto, będąc oficerem służby czynnej, miał w ogóle nie znać takich pojęć jak honor i ojczyzna.

Sprawa nie zyskała jednak dalszego ciągu, bowiem Pawłowski wciąż był osobą nietykalną. Postępowanie umorzono, przekazując je na „drogę resortową”, nie wyciągnięto również żadnych konsekwencji karnoskarbowych.

Nie był to jedyny przypadek powiadomienia władz o nieuczciwości Pawłowskiego. Ten człowiek najwyraźniej miał wręcz chorobliwą skłonność do oszustw finansowych. Potwierdza to dokument z lutego 1973 roku:

„TW Wesołowski w czasie spotkania poinformował mnie – pisał w notatce służbowej podpułkownik Galczak – iż jego kolega, Kiszkurko Stanisław, swego czasu znał się z szermierzem Pawłowskim Jerzym. Przed wyjazdem Pawłowskiego za granicę przekazał mu do sprzedania aparat fotograficzny Praktisix. Pawłowski wykazał podstawowy brak uczciwości, nie oddając mu aparatu ani pieniędzy” [177](#)

AGENT „PAWEŁ”

Podobno już w 1958 roku Amerykanie proponowali Pawłowskiemu pozostanie w Stanach Zjednoczonych, sportowiec miał jednak odmówić. Sześć lat później, w czasie jego pobytu w Nowym Jorku, zaoferowali mu zatem współpracę agenturalną. Do rozstrzygających rozmów doszło podczas turnieju w Padwie, kiedy to szablista ostatecznie wyraził zgodę.

„Omawiamy kontakty, możliwości szybkiego przekazywania informacji. Uzgadniamy, kto będzie moim stałym łącznikiem, sposób wzywania itd. Lundstroem [oficer CIA – S.K.] długo i szczegółowo przedstawia mi, co ich najbardziej interesuje, a ja mu mówię, co z tego może być dla mnie wykonalne” [178](#).

Początkowo wszystko wyglądało bardzo poważnie i funkcjonariuszom amerykańskiego wywiadu wydawało się, że zwerbowali znaczącego agenta.

Pozostawało tylko czekać na dostarczane przez niego materiały.

„Najważniejsze spotkania mamy odbywać dwa, maksimum trzy razy w roku. Decydujemy, że miastem tych kontaktów będzie Bruksela. W innych przypadkach spotkania odbędą się w wybranych przeze mnie miejscowościach w Niemczech Zachodnich. W każdym konkretnym przypadku, po wybraniu miejscowości, powiadomię o tym kartką szyfrową, wysłaną na odpowiedni adres” [179](#).

Pawłowski deklarował się jako zajadły antykomunista, odmówił również pobierania wynagrodzenia za swoje usługi. Miał jedynie otrzymywać zwrot kosztów, za każdym razem kwitując odbiór gotówki.

Wydaje się, że już na samym początku współpracy Pawłowski wykazał się ogromną niefrasobliwością. Jako kryptonim wybrał imię „Paweł” (tak też kwitował odbiór pieniędzy), a pod tym pseudonimem znany był w środowisku sportowym. Przypadek czy też zupełne poczucie bezkarności?

Amerykanie mogli szermierzowi wyłącznie zwracać koszty, założyli jednak dla niego specjalne konto, na które wpłacali dodatkowe pieniądze. Miałyby do nich dostęp tylko w przypadku definitywnego opuszczenia kraju. Przy okazji opłacili Pawłowskiemu i jego żonie pobyt na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie podczas wakacji agent miał przejść profesjonalne szkolenie.

„Tylko siadać i jechać – wspominał szablista. – Nawet samolot mnie nie przeraża. Mistrzostwa w Paryżu dobiegają końca, nie czekamy już na ceremonię zamknięcia. Iwonka na szczęście nie wypytuje mnie za bardzo, zaprosili nas przyjaciele, a na kieszonkowe mam pieniądze za sprzedaną czeską kamerę Admirę, no i trochę z kling szablowych. Jestem, można powiedzieć, potentat finansowy. W sam raz na Côte d’Azur” [180](#).

Pawłowskiemu bez problemów udało się zwieść swoją żonę – pani Iwona najwyraźniej nie podejrzewała, że jej mąż utrzymuje kontakt z CIA. A może po prostu chciała wierzyć, że przepada codziennie na dwie godziny, albowiem realizuje zadania dla polskiego wywiadu? Przyjmowała bez słowa jego wyjaśnienia i nie zadawała dodatkowych pytań.

„Żona została przygotowana przeze mnie do tego, iż podczas pobytu ze mną w Juan-les-Pins będę zajęty dodatkowymi sprawami, które będę załatwiał bez jej udziału – zeznawał w śledztwie. – (...) Powiedziałem to żonie w takiej formie, iż musiała odnieść wrażenie, że ja spotykam się z polskimi pracownikami placówki dyplomatycznej” [181](#).

Podobno jego amerykańscy przełożeni byli zachwyceni umiejętnościami nabytymi przez niego podczas współpracy z polskim wywiadem. Ale do tego rodzaju informacji należy podchodzić z dużą rezerwą, albowiem szermierz już od wielu lat przejawiał cechy skrajnej megalomanii. Tak samo należy potraktować opowieści o jego sukcesach wywiadowczych.

„Omawiamy to, co dotąd udało mi się zrobić. Nadal głównym zadaniem pozostaje zbieranie informacji o jawnych i tajnych przedstawicielstwach Sowietów, o ich powiązaniach i przejawach naszego uzależnienia od ZSRR. To dobrze świadczy o ich (Amerykanów) zrozumieniu naszej psychologii, że właśnie to mi zlecili. Mało jest zadań, które wykonywałbym chętniej” [182](#).

Chcieć coś zrobić, a mieć możliwość zrobienia tego – to jednak dwie zupełnie różne kwestie. Amerykanie szybko zauważyli, że Pawłowski nie ma dostępu do poważnych informacji. O wielu kluczowych dla życia kraju sprawach dowiadywał się od CIA (!), nie zdawał sobie sprawy z istnienia w kierownictwie PZPR frakcji walczących o władzę.

Podobnie było z informacjami typowo wojskowymi – Pawłowski miał wprawdzie stopień oficerski, ale mundur nosił wyłącznie jako zawodnik Legii. W efekcie dostarczał jedynie plotki z życia towarzyskiego, „kto z kim, kiedy i dlaczego”. Oczywiście informacje o upodobaniach czy słabostkach osób z kręgu władzy są cenne, ale to zupełnie inny kaliber szpiegowskiej roboty.

„Ojciec doprowadził do ujawnienia 5 agentów KGB w strukturach natowskich – upierał się syn szablisty, Michał. – Jednym z nich był księgowy w centrali CIA. Kontrolowanie przez KGB wydatków CIA było niedopuszczalnym neglizmem agencji i zagrożeniem dla być może wszystkich jej agentów i operacji na świecie” [183](#).

Nie wiadomo jednak, skąd syn szermierza czerpał takie informacje. Czy człowiek, który nic nie wiedział o frakcjach puławian i natolińczyków, mógł ujawniać sowieckich szpiegów w strukturach NATO? To raczej niemożliwe. Tym bardziej że syn mistrza zdecydowanie zagalopował się w obronie wizerunku ojca i w innych miejscach poświadczał jawną nieprawdę:

„Mercedes à la Cyrankiewicz był przywieziony z Belgii na handel i kosztował bodajże 300 dolarów. To były lata 70., samochód był z lat 60. Ale mercedes, »mercedes Pawłowskiego«” [184](#).

Jak pamiętamy, sam mistrz pisał, że nabył ten samochód w 1968 roku (po olimpiadzie w Meksyku) za 1500 dolarów. I z dalszych jego wspomnień wynika, że jeździł nim niemal do chwili swojego aresztowania...

PROBLEMY

Pawłowski miał jednak dla Amerykanów znaczną wartość propagandową. Toteż gdy zdali sobie sprawę z jego niewielkiej przydatności jako szpiega, zaplanowali, że w pewnej chwili nakłonią go do wybrania wolności. Wiedzieli, jak wielkie korzyści polityczne przyniosłaby wiadomość, że o azyl polityczny poprosił jeden z najlepszych sportowców bloku wschodniego, a przy okazji ulubieniec władz. Ale Pawłowski nie miał ochoty na emigrację.

„Ponieważ zostałem mistrzem olimpijskim w Meksyku – odstąpiłem od zamiaru pozostania za granicą. Po prostu nie chciałem wywołać skandalu w sporcie polskim i zbulwersować całą opinię w Polsce, a także nie chciałem dać w ręce prasy zachodniej możliwości kampanii antypolskiej” [185](#).

Wydaje się jednak, że właśnie w tym czasie Pawłowski ostatecznie zaczął tracić kontrolę nad otaczającą go rzeczywistością. Uważał się już za wielkiego szpiega, za ważne ogniwo w walce wywiadów. Tak przynajmniej można sądzić, gdy się czyta informacje na temat jego pomysłów przedstawianych Amerykanom:

„Od dłuższego czasu myślałem o tym, że przydałby mi się w Polsce taki specjalny mały nadajnik, wmontowany w radio samochodowe. Wiedziałem, że istnieją specjalne modele, które elektronicznie zagęszczają komunikat kilkudziesięciosekundowy – do ułamka sekundy. (...) Powiedziałem Stanleyowi [oficerowi prowadzącemu – S.K.], że dobrze byłoby, gdybym mógł mieć coś takiego na wypadek, gdybym chciał pilnie przesłać jakąś informację” [186](#).

Tylko jaką informację? O nowej kochance jednego z generałów czy o próbie przemytu podjętej przez kolegę sportowca? Ale Pawłowski najwyraźniej stracił już kontakt z realnym światem i snuł wizje potężnej siatki szpiegowskiej, na której czele stałby – oczywiście – on sam.

Tymczasem trwało już rozpracowywanie jego osoby przez polski kontrwywiad, a w październiku 1972 roku wszczęto Sprawę Operacyjnego Wyjaśnienia pod kryptonimem „Gracz”. I wbrew temu, co później mówiono, od samego początku była ona skierowana przeciwko Pawłowskiemu. Zamierzano wyjaśnić jego kontakty z zachodnimi dziennikarzami i dyplomatami, a także przeświecić finanse szablisty. Sprawa okazała się rozwojowa, a do zdemaskowania szermierza wcale nie była potrzebna jego zdrada w szeregach CIA.

Sportowiec czuł, że wokół niego zaczyna się robić gorąco. Twierdził, iż jego rozmowy są podsłuchiwane, a on sam non stop śledzony. Nie zdecydował się jednak na pozostanie na Zachodzie (choć istniała taka możliwość) i za wszelką cenę chciał kontynuować karierę szermierczą. Choć przekroczył już 40. rok życia, nie rezygnował z marzenia, by w sporcie osiągnąć więcej niż Włoch Mangiarotti.

Po latach twierdził, że Służba Bezpieczeństwa chciała go zabić, by uniknąć kłopotliwego procesu. Śmierć miała wyglądać na przypadkową, dlatego przed wyjazdem szablisty do RFN-u usunięto dwie śruby z koła jego samochodu, by w ten sposób spowodować wypadek. A gdy ta akcja się nie powiodła, przygotowano jakoby zamach z użyciem karetki pogotowia wypełnionej cegłami. Pojazd miał niespodziewanie zajechać Pawłowskiemu drogę, nie dając mu szans na przeżycie. Mistrz wyszedł jednak z zagrożenia obronną ręką, a nie byłby sobą, gdyby nie zasugerował, że w pobliżu czaili się funkcjonariusze, których zadaniem było dobić go, gdyby jakimś cudem przeżył wypadek.

„Niech ten nieuchwytny fechtmistrz po prostu zginie w wypadku samochodowym – i ileż kłopotów z głowy! Przede wszystkim nie ma międzynarodowej kompromitacji, nikt w ogóle nie musi się dowiadywać, że ów sławny Pawłowski przeszedł na stronę wrogów komunizmu. Przeciwnie, cały jego dorobek zostanie zapisany właśnie na chwałę PRL, która takich sportowców wychowała” [187](#).

Trudno chyba o lepszy przykład megalomanii szermierza. Służby specjalne znają dziesiątki sposobów uśmiercania niewygodnych ludzi bez pozostawiania jakichkolwiek śladów. Pawłowski mógł przecież umrzeć na atak serca albo wylew i nikt nie zwróciłby większej uwagi na przyczynę jego śmierci. A ze sprowokowaniem takiej sytuacji nie byłoby większych problemów.

Po latach szermierz mógł sobie konfabulować do woli, jednak w 1974 roku wyraźnie czuł, że wokół jego szyi zaciska się pętla. Zapewne z tego powodu nie odniósł większych sukcesów na mistrzostwach świata w Grenoble.

„Jeszcze Witek Woyda (...) oferuje mi ostatnią szansę. Na niego też, jak się okazuje, zawsze mogę liczyć. Tam na sali w Grenoble przychodzi do mnie – nie, żeby mnie pocieszać, ale żeby mnie zmobilizować. Wyrwać z tej ciągłej defensywy, w której jestem już parę lat. To nie jest zgodne z moim charakterem, defensywa to nie dla mnie.

– Paweł, rzuć to wszystko w diabły, jedź na Zachód.

Powinienem go posłuchać. Przynajmniej jego, przyjaciela” [188](#).

Woydzie, dwukrotnemu mistrzowi olimpijskiemu we florecie, swojemu przyjacielowi, miał okazję zrewanżować się rok później. I trzeba przyznać, że było to bardzo specyficzne podziękowanie.

„Wiadomo mi jest, że Witold Woyda – zeznawał Pawłowski podczas śledztwa – poza sprawami związanymi z nielegalnym handlem sprzętem szermierczym i biżuterią, w tym również kamieniami szlachetnymi, zajmował się również przemytem narkotyków. W środowisko handlu narkotykami Woyda wszedł w czasie pobytu w USA, gdy zostało mu załatwione stypendium na Uniwersytecie Nowojorskim (...). Woyda na pewno był dobrym źródłem informacji dla obcego wywiadu ze względu na jego powiązania z polskim środowiskiem żydowskim” [189](#).

ZAKŁAD KARNY W BARCZEWIE

Przez ponad 10 lat współpracy z CIA Pawłowski miał zainkasować od Amerykanów zaledwie 1850 dolarów. Była to kwota śmiesznie niska nawet jak na standardy PRL-u, bo szablista na co dzień zarabiał bardzo dobrze, nie wystawiając się na podobne niebezpieczeństwa. Bez względu bowiem na wartość materiałów, jakie dostarczał, w świetle prawa pozostawał szpiegiem i zdrajcą, a więc człowiekiem, któremu groził najwyższy wymiar kary. W tej sytuacji można zadać pytanie: po co Pawłowski współpracował z Amerykanami? Czy naprawdę był tak zajadłym antykomunistą i wierzył, że jego informacje mają jakąś wartość wywiadowczą? A może potrzebował

tylko codziennej dawki adrenaliny? Albo nieustannego zwiększania poczucia swojej ważności? Tego zapewne nigdy już nie rozstrzygniemy.

Szpiegowska działalność Pawłowskiego skończyła się tak, jak musiała się skończyć. Wiosną 1975 roku kontrwywiad PRL-u posiadał już twarde dowody na kontakty szermierza z pracownikami obcego wywiadu i jego aresztowanie było jedynie kwestią czasu. Zaczęto go wzywać na przesłuchania, które początkowo odbywały się w przyjaznej atmosferze. Ale były to tylko pozory. I właśnie wtedy Pawłowski podjął ostateczną decyzję – urządził w swoim domu wystawne imieniny, po czym zgłosił się na Rakowiecką i przyznał do wszystkiego. Przy okazji oznajmił, że bez względu na to, co zrobił, jego miejsce jest w kraju i „woli dwa metry kwadratowe w Polsce niż wolność na Zachodzie”.

Zapewne był to jeden z elementów gry z wymiarem sprawiedliwości, albowiem od chwili aresztowania sportowiec rozpoczął wzorową współpracę ze śledczymi i starał się maksymalnie złagodzić swój wyrok. I chyba osiągnął cel, bo prokuratura nie wnioskuje o karę śmierci dla niego.

Przy okazji wyszło na jaw, że Pawłowski przeoczył wielką szansę na uniknięcie odpowiedzialności karnej. W lipcu 1974 roku uchwalono bowiem amnestię, a wówczas szablista wiedział już, że jest rozpracowywany – gdyby sam się zgłosił, zapewne nie zostałby skazany. Jednak ten prawnik z zawodu (!) nie zwrócił na to uwagi, a podczas procesu było już za późno na skorzystanie z amnestii.

Wyrok podano do publicznej wiadomości i wówczas rozpoczęła się propagandowa komedia w prawdziwie komunistycznym stylu. Nazwisko skazanego, jako zdrajcy, musiało bowiem zniknąć z mediów, co okazało się zadaniem dość karkołomnym.

„Akurat zbliżała się olimpiada w Montrealu – wspominał Janusz Atlas – i dla potrzeb statystyki robiono różne zestawienia medalowego łupu z przeszłości. A skoro usunięto nazwisko Pawłowskiego, to w żaden sposób to wszystko się nie zgadzało. Jak by nie liczyć, zdobyliśmy więcej medali, niż wypadałoby to z rachunków” [190](#).

W zacieraniu śladów po szabliście wszech czasów posunięto się nawet do tego, że jego nazwisko zniknęło z piątej książki komiksu *Tytus, Romek i A'tomek*. Pierwotnie tytułowi bohaterowie odwiedzili Muzeum Sportu i podziwiali tam szablę mistrza Pawłowskiego, natomiast w kolejnym wydaniu była to już szabla mistrza Zabłockiego...

Upadłemu mistrzowi udało się uchronić przed konfiskatą większość swojego okazałego majątku. Przewornie przepisał go wcześniej na żonę i choć – jak twierdził – jego część uległa jednak przypadkowi, to pani Iwone podobno udało się odkupić od Skarbu Państwa skonfiskowane mienie. Wydaje się więc, że pod względem finansowym szablista jak zwykle wyszedł z opresji obronną ręką.

Wbrew obawom rodziny Pawłowski dość dobrze zaaklimatyzował się w więzieniu. Wyrok odbywał w różnych zakładach karnych, między innymi w Barczewie, gdzie w stanie wojennym poznał osadzonych tam działaczy opozycji. Ci ostatni nie zachowali jednak o nim nadmiernie dobrych wspomnień – uważali, że wysługiwał się służbie więziennej.

Tak się bowiem złożyło, że mistrz podjął wówczas walkę o skrócenie wyroku i starał się utrzymywać jak najlepsze stosunki z władzami zakładu karnego. Z tego też powodu poparł wprowadzenie stanu wojennego, a zrobił to przed kamerami telewizyjnymi, ciepło wypowiadając się o Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego. Całą audycję poprowadził jeden z najbardziej znienawidzonych reżimowych dziennikarzy, Marek Barański. I tego występu nigdy już Pawłowskiemu nie zapomniano...

OSTATNIA WALKA

Uległość została nagrodzona i gdy w maju 1984 roku Pawłowski wystąpił o przerwę w odbywaniu kary, pół roku później otrzymał na nią zgodę. W tym czasie toczyły się rozmowy z Amerykanami na temat wymiany szpiegów, a szablista miał się znaleźć w grupie agentów wymienianych za Mariana Zacharskiego.

Razem z innymi trafił do Berlina, jednak w decydującym momencie zaskoczył wszystkich, bo odmówił przejścia do podstawionego autokaru, oświadczając, że chce pozostać w kraju.

„To my wpadliśmy na ten pomysł – wspominał Czesław Kiszczak – i zaproponowali Pawłowskiemu: ty odmówisz pozostania u Amerykanów, my ci tu gwarantujemy darowanie kary i powrót do normalnego życia. Zależało nam bowiem na propagandowej akcji zohydżającej współpracę z obcymi wywiadami, a Pawłowski do tego znakomicie się nadawał. Bo

właściwie był jedynym znanym powszechnie w Polsce z nazwiska szpiegiem amerykańskim” [191](#).

Po raz kolejny o szabliście zrobiło się głośno, gdy w lutym 1989 roku wziął udział w turnieju szermierczym w Łodzi. Zajął 24. lokatę (na 50 startujących), jednak jego występ wywołał prawdziwą burzę.

Protestowali zawodnicy i działacze, głośno mówiono, że szablista „swoim postępowaniem zhańbił środowisko polskich sportowców” i nie ma prawa startować w żadnych zawodach. Najostrzej oponował Ryszard Parulski, prezes Polskiego Związku Szermierczego.

„Chciałem startować z radości – tłumaczył szablista – chciałem walczyć, szermierka była moją pasją. Zadzwoiłem do Polskiego Związku Szermierczego, rozmawiał ze mną wiceprezes Adam Lisewski. Zapytałem go, czy związek ma coś przeciwko temu, żebym wziął udział w zawodach. Lisewski powiedział: »Nie ma żadnych przeszkód formalnych, startuj«. Potem, jak Judasz, wyparł się wszystkiego” [192](#).

57-letni Pawłowski nie znalazł już klubu, w którym mógłby wznowić regularne treningi, nie dawał jednak o sobie zapomnieć. Na łamach prasy tłumaczył się ze swojego postępowania, a przy okazji atakował swoich oponentów. Ale niebawem znów pojawiły się problemy, bo w pierwszych latach III Rzeczypospolitej odtajniono część jego akt procesowych. Wyszły wówczas na światło dzienne zeznania Pawłowskiego przeciwko kolegom sportowcom, co wywołało kolejną falę oburzenia. Władysław Komar publicznie groził, że „ściągnie mu majtki przez głowę”, a Irena Szewińska nie mogła się nadziwić, „skąd wzięło się w tym człowieku tyle podłości”.

„Zasmuciło mnie – deklarował Komar na łamach »Przeglądu Sportowego« – że dawny przyjaciel i kompan od pokera okazał się sprzedajnym konfidentem – i to na obie strony (...). Niedawno życzyłem Jurkowi Pawłowskiemu wszystkiego najlepszego z okazji świąt. I oto pierwszy raz w życiu zdarza mi się taka sytuacja: publicznie wycofuję swoje życzenia” [193](#).

Pawłowski ostatecznie zrezygnował. Zniknął z życia publicznego, zajął się malarstwem (miał talent plastyczny) i działał jako bioenergoterapeuta. Czasami jednak przypominał o sobie, a w swoich wypowiedziach snuł analogie między sobą i Andrzejem Kmicicem. Uważał, że „Kmicic nie był wiarołomcą”, gdyż dochował „wierności przysiędze danej Radziwiłłowi”. Był zatem „człowiekiem prawym”, albowiem „przysięgę składał w dobrej wierze i musiał się z niej najpierw wywiązać”. Tylko gdzie Pawłowski

widział podobieństwo do siebie? Wprawdzie publicznie twierdził, że jego życie było „kmicicowskie”, jednak trudno znaleźć sensowną analogię. I kto miał być Januszem Radziwiłłem? O tym wiedział chyba tylko sam Pawłowski.

„Wielka szkoda, że nie potrafi zachować umiaru i należytej pokory – pisał o nim Janusz Atlas. – W wielu wywiadach prasowych, bo powrócił na łamy gazet, przedstawia się jako bojownik o prawdziwie niepodległą Rzeczpospolitą. Szpiegostwo za kilkaset dolarów (z równoczesną owocną służbą w Ludowym Wojsku Polskim) przedstawia jako swoisty wallenrodyzm, wyrozumowaną grę z bolszewią, w której ryzykował głową i naprawdę cudem ją ocalił. Niestety, jego rzeczywiście wyrozumowane występy w stanie wojennym dowodzą niezbiecie, że nie był spadkobiercą tradycji Wołodyjowskiego. To był tylko mały człowieczek z wyjątkowym talentem do wymachiwania sportową szabelką. Znacznie za mało, aby zostać narodowym bohaterem” [194](#).

Jerzy Pawłowski zmarł 11 stycznia 2005 roku, w wieku 73 lat. Pochowano go na cmentarzu w warszawskiej Falenicy, choć wielu znacznie mniej zasłużonych sportowców spoczywa przecież na Powązkach. Nie słyhać jednak głosów oburzenia, że nieuchwytny fechtmistrz nie leży tam razem z nimi...



Andrzej Czechowicz przez wiele lat pracował w polskiej sekcji Radia Wolna Europa

ROZDZIAŁ 7

RZEKOMY AS WYWIADU

Chociaż na początku 1971 roku miałem niewiele ponad siedem lat, to jednak doskonale pamiętam medialną wrzawę związaną z osobą kapitana Andrzeja Czechowicza. W telewizji co chwila pojawiały się informacje na jego temat, był stałym gościem audycji radiowych, o jego sukcesach obficie pisała również prasa. Kreowano go na bohatera polskiego wywiadu – człowieka, który wyprowadził w pole zachodnie służby i przez wiele lat przekazywał tajne informacje z siedziby Radia Wolna Europa. Oficjalna propaganda zachłystywała się pochwałami na jego temat, całkiem poważnie porównywano go do kapitana Klossa. Było to bowiem niedługo po emisji serialu o agencji J-23.

Czechowicz sam chyba uwierzył we własną wielkość, przed mikrofonami snuł bowiem analogie do swojego filmowego poprzednika. Skromnie jednak przyznawał, że dzielny kapitan Abwehry miał znacznie ciekawsze przygody.

„Kapitan Kloss działał w innych warunkach i w innej epoce – mówił na antenie Polskiego Radia – ale mimo wszystko sprawy te w praktyce wyglądają nieco inaczej. Rzeczywistość może jest nie taka barwna, jest może bardziej prozaiczna, bardziej szara. Działanie w tych warunkach mniej jest błyskotliwe, zadziwiające wyobraźnię – jest po prostu bardziej rzeczowe, wyrozumowane i konkretne” [195](#).

W rzeczywistości prawda była jednak znacznie mniej barwna, niż to przedstawiał Czechowicz, a cała medialna wrzawa związana z jego osobą okazała się wyłącznie sprytnym zabiegiem propagandowym. Wywiad PRL-u przez wiele lat nie odnosił bowiem większych sukcesów i na

Rakowieckiej uznano, że konieczny jest szpieg bohater, który wykaże opinii publicznej, iż polskie służby działają sprawnie i skutecznie.

Dlatego też na początku 1971 roku odwołano do kraju Andrzeja Czechowicza, agenta ulokowanego w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Dla władz PRL-u nie było ważne, że Czechowicz w Monachium właściwie nic nie osiągnął – liczyło się tylko to, że przez kilka lat tam pracował. I właśnie z powrotu podrzędnego agenta uczyniono wielki medialny show, który przez dłuższy czas był najważniejszym wydarzeniem w kraju.

Czechowicz z dnia na dzień stał się bohaterem narodowym – człowiekiem, który poznał najważniejsze sekrety Wolnej Europy i jej szefa, Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Nic zatem dziwnego, że po całej serii audycji radiowych i telewizyjnych uznano, iż wreszcie nadeszła pora na bezpośredni kontakt agenta ze społeczeństwem. Czechowicz ruszył zatem w dwuletnią (!) triumfalną trasę po kraju, odwiedzając zakłady pracy, domy kultury i szkoły. Wszędzie przedstawiano go jako wyjątkowej kategorii asa wywiadu, który przeniknął w głąb wrogich struktur, by po wykonaniu zadania wrócić nad Wisłę. Przy tej okazji przemilczano – oczywiście – że w rzeczywistości Czechowicz był w Monachium tylko researcherem, a z Polski wyjechał nie jako oficer wywiadu, lecz zwykły emigrant szukający szczęścia na Zachodzie. Jego kariera była bowiem największą mistyfikacją w dziejach polskich służb specjalnych.

STUDENT HISTORII

„Czechowicz Andrzej, immatrykulowany 1.10.1956, nr albumu 31072 – zapisano w biogramie umieszczonym w pracy poświęconej studentom i absolwentom Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. – Urodzony 17 sierpnia 1937 w Święcianach (województwo wileńskie), rodzice: Zbigniew i Olga z domu Szandruk. W 1956 roku matura (liceum ogólnokształcące) w Grójcu, seminarium prof. dra Ludwika Bazyłowa, praca magisterska: *Buchara i Chiwa w rosyjskim systemie państwowym w latach 1867–1873*. 9.10.1962 otrzymał tytuł magistra”.

Przyszły as wywiadu pochodził z osiadłej na Wileńszczyźnie rodziny ziemiańskiej, którą w 1940 roku Sowieci wysiedlili do Kazachstanu. Po II

wojnie światowej Czechowiczowie zostali repatriowani do kraju, gdzie Andrzej po maturze podjął studia na Uniwersytecie Warszawskim. Natomiast z chwilą ukończenia nauki jego późniejsza, oficjalna biografia zdecydowanie odbiegała od rzeczywistego życiorysu.

W swoich wspomnieniach opublikowanych bezpośrednio po powrocie z RFN-u napisał, że wkrótce po otrzymaniu dyplomu rozpoczął pracę w MSW. Podobno zdecydował o tym przypadek, wcześniej bowiem nie rozważał takiej możliwości.

„Nad tym, co będę robił po studiach, zacząłem się zastanawiać stosunkowo późno (...). Rozważałem sam i zastanawiałem się z przyjaciółmi nad swoją przyszłością. Na naszym roku (...) prawie wszyscy marzyli o pracy naukowej. Wysoko notowane było również zatrudnienie w redakcjach czasopism, w radio i TV, a także w wydawnictwach. Najmniej i bez entuzjazmu mówiono o pracy w szkolnictwie” [196](#).

Czechowicz miał jakoby spotkać starszego kolegę, również absolwenta Wydziału Historycznego, który namówił go do pracy w MSW (sam był już tam zatrudniony). Przyszły agent uznał, że będzie to znacznie bardziej interesujące zajęcie niż nauczycielstwo.

„O pracy wywiadu i innych tajnych służb miałem wyobrażenia dość naiwne, oparte głównie na literackich opowieściach o przygodach tajnych agentów zdobywających z narażeniem życia dokumenty, od których zależał los bitew i całych wojen. Dużo przygód, igranie z niebezpieczeństwem, ciągle sprawdzanie się w walce – to niewątpliwie działa na wyobraźnię” [197](#).

Przyszły agent pomyślnie zaliczył ponoć obowiązkowe testy i został zakwalifikowany do pracy w wywiadzie. Podobno w tym czasie przeszedł też intensywne szkolenie, które w przyszłości miało mu przynieść zbawienne efekty podczas pracy szpiegowskiej.

„Uczyłem się psychologii i prowadzenia pojazdów mechanicznych, chwytów judo i sporządzania raportów, obsługi zminiaturyzowanych urządzeń elektronicznych i mikrofotografii, wszystkiego prawie jednocześnie w warunkach, w których nie było mowy o żadnej taryfie ulgowej. Na sen i odpoczynek pozostawało mi parę godzin na dobę. Słowem, dobrze dostałem w kość, mówiąc językiem żołnierskim.

Później zrozumiałem, dlaczego nie można było przedłużyć szkolenia i prowadzić go w wolniejszym tempie. Chodziło po prostu o to, aby łatwiej dało się je ukryć w moim życiorysie, wokół którego koncentrowały się

wszystkie przesłuchania, jakim zostałem poddany na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej. I to się udało” [198](#).

W POSZUKIWANIU AZYLU

Szkoda tylko, że wszystkie te opowieści były zwykłym kłamstwem, gdyż Czechowicz wcale nie zgłosił się do pracy w MSW i nie został oficerem wywiadu. Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej prozaiczna, albowiem zaraz po studiach postanowił wyemigrować na Zachód. Dopiero później dorobiono do tego legendę, twierdząc, że wyjechał, by wypełniać zadania wywiadowcze.

„Materiały dotyczące agenturalnej działalności Czechowicza zostały zniszczone – pisał historyk Paweł Machcewicz – a w każdym razie nie udało się ich do tej pory odnaleźć w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej. Zachowała się natomiast jegoteczka osobowa jako funkcjonariusza MSW założona po powrocie do kraju. Są w niej ślady pozwalające odtworzyć początek współpracy z peerelowskim wywiadem” [199](#).

Czechowicz nie widział dla siebie perspektyw w gomułkowskiej Polsce, a bieda, jakiej zaznał podczas pobytu w Kazachstanie, określiła jego postawę życiową. Interesowały go wyłącznie pieniądze i wygodne życie. A jedyna droga do tego prowadziła przez emigrację.

„Mieliśmy znajomą w Londynie – przyznawał po latach. – Powiedziałem więc do matki, żeby poprosiła ją o zaproszenie. W 1963 roku dostałem paszport i wyjechałem pod pretekstem nauki angielskiego. Chciałem zarobić jak najwięcej, aby w końcu wyjść z nędzy” [200](#).

Rzeczywistość okazała się jednak mniej przyjazna, niż wyobrażał to sobie świeżo upieczony absolwent historii. Ponieważ w Wielkiej Brytanii miał problemy ze znalezieniem pracy, postanowił zalegalizować tam swój pobyt i poprosił o azyl polityczny. Spotkał się jednak z odmową, gdyż wyjechał z PRL-u najzupełniej legalnie. Na niewiele zdało się również przypomnienie o swoim ziemiańskim pochodzeniu i opowiadanie o represjach, jakie spadły na jego rodzinę podczas wojny.

Zdesperowany przeniósł się do RFN-u i trafił do obozu dla uchodźców w Zirndorf. Miejsce to okazało się bardzo odległe od jego wyobrażeń

o wygodnym życiu za żelazną kurtyną.

„Zostałem przydzielony do pokoju, w którym było 6 czy 7 osób. Warunki były potworne i mimo że byłem przygotowany na wszystko, poczułem się co najmniej nieswojo. Nie tylko jeden drugiemu kradł koce, bo było zimno (zgłosiłem się w listopadzie), ale w ogóle panowała atmosfera rezygnacji i beznadziejności. Jedzenie było bardzo kiepskie. Raz na dzień dawali jakąś ciepłą strawę, jakąś zupkę i z odpadków mięsnych jakieś niby drugie danie. Następnie pół bochenka chleba, to było konkretnie pół kilograma, i kawałek kostki margaryny. To miało wystarczyć na cały dzień. (...) A prócz tego ta beznadziejność oczekiwania, myśli i rozterki: udziela azyłu czy nie udziela” [201](#).

Czechowicz szybko doszedł do wniosku, że lepsze będzie jednak życie w kraju. Skontaktował się więc z Polską Misją Wojskową w Berlinie Zachodnim i poprosił o zgodę na powrót do Polski. Twierdził, iż jest „gotów ponieść każdą karę” za nielegalne pozostanie za granicą, deklarował, że „może jeszcze dużo zrobić dla Polski”, i prosił o szansę, by „naprawić zło” wyrządzone socjalistycznej ojczyźnie. Po latach przyznawał, że faktycznie był bardzo rozczarowany warunkami panującymi w obozie, a na jego postawę wpłynęło również nieotrzymanie wizy wjazdowej do Stanów Zjednoczonych.

Zgody na przyjazd do Polski nie uzyskał, pozostał zatem na terenie RFN-u. I właśnie wtedy narodziła się szansa na zmianę sytuacji.

„W tym czasie pojawiła się jednak iskierka nadziei na odmianę losu – wspominał wiele lat później. – W obozie, gdzie mieszkałem, znalazł mnie ukraiński korespondent Radia Wolna Europa. Mówiłem biegle po niemiecku i rosyjsku, więc zaproponował mi, żebym spisywał dla niego relacje innych uciekinierów” [202](#).

Jak na warunki obozowe Czechowicz otrzymywał za to całkiem przyzwoite wynagrodzenie, a zadowolony ze współpracy Ukrainiec zaprotegował go do Wolnej Europy (ostatecznie polski uchodźca był absolwentem renomowanej uczelni). Na zaproszenie Nowaka-Jeziorańskiego Czechowicz pojawił się w Monachium, gdzie pozytywnie przeszedł rozmowy kwalifikacyjne. Obiecano mu, że gdy zwolni się jakiś etat, otrzyma tę pracę. Na razie miał jednak wrócić do obozowej rzeczywistości. Wobec tego złożył podanie o przyjęcie go do służby w brytyjskich kompaniach wartowniczych.

„W centrum w Hamm – wspominał – gdzie znajduje się główna komenda Armii Renu, przeszedłem przeszkolenie w mundurze angielskiej i zostałem przewieziony do miejscowości Steyerberg koło Nienburga. Tak rozpoczął się nowy rozdział mojej wygnańczej włóczęgi. Przebyłem go w mundurze brytyjskiego wartownika, przez dłużące się w nieskończoność 10 miesięcy, oczekując na przyjęcie do Wolnej Europy” [203](#).

Czechowicz rzeczywiście musiał być bardzo zdesperowany, albowiem służba w obcych formacjach militarnych była w PRL-u ciężkim przestępstwem zagrożonym karą więzienia. Polski „wygnaniec” najwyraźniej nie wierzył, że kiedykolwiek wróci do kraju...

ROZGŁOŚNIA Z MONACHIUM

Sekcja polska Radia Wolna Europa powstała w maju 1952 roku, a jej pierwszym dyrektorem został legendarny „kurier z Warszawy”, Jan Nowak-Jeziorański. Rozgłośnia szybko stała się najpopularniejszą zachodnią stacją radiową w Polsce i prawdziwym utrapieniem dla rządzących w kraju komunistów. Zagłuszanie nie przynosiło większych rezultatów, toteż wiadomości podawane przez stację błyskawicznie rozchodziły się wśród społeczeństwa. Audycji nadawanych z Monachium regularnie słuchało prawie 40 proc. Polaków (!), łącznie z dygnitarzami partyjnymi i rządowymi. Do jej stałych odbiorców należał również Władysław Gomułka, który bardzo złościł się z powodu kiepskiej jakości dźwięku, zapominając, że stację zagłuszano na jego polecenie...

Jan Nowak-Jeziorański uważany był przez komunistów za jednego z najważniejszych wrogów PRL-u. Od lat robiono wiele, by go zdyskredytować w oczach społeczeństwa. Przy okazji wyjątkowo obrzydzano mu życie, nie przebierając w środkach. Za najślabszy punkt dyrektora uznano jego żonę, Jadwigę, która w związku z tym przechodziła ciężkie chwile.

„Jej wytrzymałość nerwowa została z czasem wystawiona na ciężką próbę – przyznawał Nowak-Jeziorański. – Była adresatką różnych anonimowych nocnych telefonów albo wyroków śmierci wydawanych na męża jako hitlerowskiego kolaboranta. Kiedy musiałem poddać się jakiemuś zabiegowi operacyjnemu, dostała formularz zakładu

pogrzebowego z życzliwą radą, by wypełnić go zawczasu, bo już wkrótce będzie wdową. Nowym pomysłem nie było końca. Jakaś anonimowa pobożna paniusia z parafii św. Józefa zaklinała się na Pana Jezusa i Matkę Przenajświętszą, że na własne oczy widziała mnie w jakimś pensjonacie w towarzystwie przystojnej brunetki” [204](#).

Służby PRL-u od dawna planowały ulokowanie w Monachium własnego agenta i już w listopadzie 1963 roku zwerbowano spikera rozgłośni, Jerzego Bożekowskiego. Wywiad nie ustawał jednak w dalszych poszukiwaniach i gdy na Rakowiecką dotarła informacja, że etat może tam otrzymać Czechowicz, uznano to za znakomitą okazję. Wprawdzie zdawano sobie sprawę, iż będzie zajmował mało eksponowane stanowisko, ale zapewne już wówczas zaplanowano akcję propagandową z jego udziałem. I gdy wreszcie Czechowicz dostał upragniony etat, na Rakowieckiej zapadły odpowiednie decyzje.

„Sam Czechowicz w latach dziewięćdziesiątych przyznał – pisał Paweł Machcewicz – że nakłoniono go do współpracy jesienią 1965 roku, w kilka miesięcy po rozpoczęciu pracy w RWE. Wywiad PRL miał wykorzystać list wysłany do Polskiej Misji Wojskowej, którego ujawnienie mogło go skompromitować w oczach jego radiowych zwierzchników. Dzisiaj Czechowicz o szantażu już nie wspomina, choć przyznaje, że pamiętał o liście i zdawał sobie sprawę, że może być użyty przeciwko niemu” [205](#).

NA SZPIEGOWSKIEJ DRODZE

W Monachium został zatrudniony w East Europe Research and Analysis Department (Wschodnioeuropejski Wydział Badań i Analiz), co w praktyce oznaczało, że został researcherem przygotowującym na potrzeby audycji radiowych wycinki z prasy wychodzącej w kraju.

„Dział, w którym pracował Czechowicz – wspominał dziennikarz RWE Aleksander Świeykowski – nie wiem, dlaczego szumnie nazywa się Wydziałem Badań i Analiz RWE. Dla nas był to po prostu research, archiwum. Mieścił się w piwnicznej części naszego, polskiego skrzydła budynku. W kilku pokojach siedziało kilka osób, często żony dziennikarzy. Ich praca polegała na codziennym przeglądaniu prasy polskiej, wszystkich, dosłownie wszystkich wychodzących w Polsce gazet. W latach komunizmu

na szczęście nie było tego aż tak dużo jak teraz. Dodatkowo otrzymywali oni zapisy ważniejszych audycji Polskiego Radia albo ich streszczenia sporządzone przez dział Monitoringu. (...) Wszystko po to, by dziennikarz piszący komentarz, felieton czy przygotowujący inną formę audycji miał potrzebne mu dane. To nic nadzwyczajnego w normalnie funkcjonującej redakcji” [206](#).

Jednak gdy kilka lat później Czechowicz wrócił do kraju, propaganda PRL-u zrobiła z działu researchu najbardziej tajny departament rozgłośni znajdujący się pod bezpośrednią kontrolą CIA. Było to konieczne dla zbudowania legendy Czechowicza – nie wypadało bowiem przyznać, że as wywiadu zajmował się wyłącznie gromadzeniem dokumentów, do których każdy Polak miał legalny dostęp. Doskonale o tym wiedzano na Rakowieckiej, ale zadaniem Czechowicza nie było przecież zdobywanie tajemnic Wolnej Europy. Miał tam przetrwać, by w odpowiednim momencie zostać odwołanym do kraju.

Oczywiście zadbano o odpowiedni system kontaktowy, uważano bowiem, że przypadkowo w ręce agenta mogą wpaść naprawdę interesujące dokumenty. Pewnej październikowej nocy 1965 roku w jego mieszkaniu pojawił się nieznajomy osobnik, który – zachowując zasady konspiracji (włączone radio i telewizja, odkręcona woda w łazience) – polecił mu, by stawił się w Wiedniu na spotkanie z oficerem prowadzącym. Takie spotkania miały się odbywać raz na dwa, trzy miesiące. To właśnie podczas nich Czechowicz otrzymywał instrukcje, a zdobyte materiały przekazywał specjalnemu kurierowi.

Pozostaje jednak pytanie, jakie tajne dokumenty mógł przekazywać Czechowicz? Przecież po materiały będące w jego zasięgu nie trzeba było się fatygować do Wiednia czy Monachium. Aleksander Świeykowski nie miał co do tego żadnych wątpliwości:

„Przecież tam, w researchu znajdowały się fragmenty wycinanek z polskiej prasy. Do ich kopiowania czy fotografowania nie potrzebował żadnych pozwoleń, specjalnych aparatów fotograficznych czy technik szpiegowskich. Przecież te materiały każdy mógł wziąć do domu jako lekturę do poduszki. Rozumiem, że ważne dla wywiadu PRL mogły być pierwsze przesyłki. Na ich podstawie w kraju decydenci poznali technikę pracy i funkcjonowania rozgłośni. Po co jednak kontynuowali to potem? Nie wiem, czy to w ogóle jest prawdą. Przecież ta informacja ośmiesza do końca wywiad PRL” [207](#).

Nie przeszkodziło to Czechowiczowi w autokreacji. Po powrocie do kraju snuł mrożące krew w żyłach historie o sposobach zdobywania tajemnic monachijskiej rozgłośni:

„Pracując tam w komórce wywiadowczej – opowiadał w wywiadzie dla »Trybuny Ludu« – musiałem zgodnie z obowiązującymi w niej zasadami posługiwać się odpowiednimi metodami. (...) Raporty nadsyłane przez sieć tzw. korespondentów przechowywane są w specjalnych kopertach oznaczonych numerami. W innych, zalakowanych kopertach przechowuje się dane o informatorze. Obie koperty oznaczone są tym samym numerem. Posługując się specjalną techniką otwierania kopert, udało mi się niepostrzeżenie zaglądać do tych tajnych materiałów. Przywiozłem wiele »pamiętek«. Wiele materiałów udało mi się przekazać do kraju w poprzednich latach. Ujawnienie ich było jednak trudne ze względu na moje bezpieczeństwo. Były – jak wiem – wykorzystywane przez moje kierownictwo” [208](#).

Ta specjalna technika otwierania kopert miała polegać na odpowiednich zabiegach przeprowadzanych za pomocą żelazka (!) i ręcznika. Metoda dobra jak każda inna, tylko właściwie nie wiadomo, jakie koperty miał otwierać Czechowicz. Niemniej twierdził z uporem, że przez sześć lat przekazał do kraju pięć tysięcy dokumentów zawierających ponad 30 tysięcy stron.

„Opisywane dzisiaj przez niego opowieści – tłumaczył Aleksander Świeykowski – o żelazku w biurku, które było mu potrzebne do otwierania kopert zaklejanych taśmą – nie wyobrażam sobie, by w tych kopertach były jakieś istotne informacje – to konfabulacje pana Czechowicza. Wyobrażam sobie, jak po przeczytaniu takich rewelacji pękają ze śmiechu Danusia Krajewska, pani Wantułowa czy inne pracujące w tym dziale po kilkadziesiąt lat osoby.

Zatem wszelkie bajdurzenia Czechowicza o znaczeniu jego misji jako szpiega w Monachium są bajeczką dla grzecznych dzieci. Generalnie opinie czy wrażenia, jakie pozostawił po sobie w monachijskim zespole Czechowicz, ani przez moment nie wskazywały na to, by prowadził jakąkolwiek podejrzaną działalność” [209](#).

Zdarzało się jednak czasami, że do agenta docierały wiadomości ważne dla jego przełożonych w kraju. Były to na ogół informacje o polskich informatorach RWE, chociaż z reguły stanowiły one tylko potwierdzenie wcześniejszych ustaleń Służby Bezpieczeństwa. Dlatego też z perspektywy

lat Jan Nowak-Jeziorański bagatelizował cały problem. Uważał bowiem, że w rozgłosni pracowali znacznie groźniejsi od Czechowicza agenci wywiadu PRL-u:

„Było ich kilku – mowa o latach 70. Czechowicz był najmniej szkodliwy ze wszystkich, bo był tak prymitywny i reprezentował tak niski poziom, że bardziej szkodził bezpieczeństwu, aniżeli nam swymi wystąpieniami. Ale byli inni, którzy byli mistrzami intrygi i rzeczywiście wyrządzali bardzo duże szkody” [210](#).

TRUCIZNY AGENTA

Najważniejsze dla wywiadu PRL-u były przekazywane przez agenta informacje o stosunkach wewnętrznych w Radiu Wolna Europa. Po powrocie Czechowicza do kraju dostrzegli to również specjaliści od państwowej propagandy, robiąc z tego natychmiastowy użytek. Na pierwszy ogień poszedł oczywiście Jan Nowak-Jeziorański.

„Nazywa się go, w rozmowie z zaufanym oczywiście, gangsterem, satrapą, stupajką albo dzierzymordą – opowiadał Czechowicz. – Nie wymyśliłem żadnego z tych określeń. Po prostu słyszałem je niejednokrotnie. Było to wszystko w głębokiej tajemnicy, bo oficjalnie ludzie się go boją. Bo dyrektor potrafi być bezwzględny w postępowaniu z personelem, nie liczy się z nim i wcale tego nie kryje. Potrafi w sposób cyniczny poniżyć czyjąś godność, wyrzucając z pracy, a potem zmuszając do pisania pełnych skruchy listów. Ludzie się go boją” [211](#).

Czechowicz poszedł tak daleko w krytyce Jeziorańskiego, że snuł nawet pewne analogie z Nikodemem Dyzmą! Przy okazji podkreślał interesowność dyrektora, twierdząc, że Jeziorański nie zaniebuje żadnej okazji do zarobienia pieniędzy. Dlatego też często podróżował służbowo, pobierając dzienne diety w wysokości 100 dolarów, co dla ówczesnych Polaków było sumą wręcz niewyobrażalną.

Agent w ponurych barwach odmalował również stosunki panujące w RWE. Według niego było to środowisko ludzi zainteresowanych wyłącznie własną karierą. Dobro ojczystego kraju kompletnie ich nie interesowało, liczyły się tylko pieniądze i wygodne życie.

„Są to ludzie absolutnie bezideowi, niewierzący w nic. Polska, jej sprawy interesują ich o tyle, o ile jest to potrzebne do konkretnej audycji. Wszyscy redaktorzy piszą na zadany temat, dysponują zresztą niewielkim marginesem manewru. Na co dzień ich zainteresowania ograniczają się do jak najwygodniejszego ułożenia sobie życia, najwyższych zarobków i najlepszych perspektyw na przyszłość. W co zainwestować trzymane na koncie marki czy kupić domek, czy nabyć akcje dobrze prosperującego przedsiębiorstwa. Po prostu – jak najlepiej się ustawić. Nic poza tym. Polska widziana stamtąd jest bardzo odległym krajem, którego rzeczywiste problemy nie interesują ich zupełnie” [212](#).

Oczywiście nie mogło zabraknąć typowo kapitalistycznych elementów pracy zespołowej, czyli rywalizacji o stanowiska, wzajemnego podgryzania się, donosicielstwa i zawiści. Z drugiej strony Czechowicz przyznawał jednak, że „Wolna Europa dobrze płaci”. Zatrudniony na podrzędnym stanowisku (o czym oczywiście nie wspominał) dostawał całkiem poważne pieniądze. Jego miesięczna pensja wynosiła bowiem ponad 1600 marek netto, co stanowiło równowartość dwukrotnej średniej krajowej w RFN-ie. A do tego dochodziły jeszcze dodatkowe świadczenia, bo Czechowicz korzystał ze służbowego mieszkania, za „które płaciłby co najmniej 500 marek miesięcznie”. Ale nawet to było dla niego kolejnym dowodem na wyjątkowo podłe zamiary Nowaka-Jeziorańskiego i jego mocodawców. Znakomite zarobki mieli oni wykorzystywać do tego, by szczuć jednych podwładnych na drugich, bo każdy z pracowników chciał się na dobrze płatnej posadzie utrzymać.

Czechowicz nigdzie też nie wspominał, że przez kilka lat pracy w RWE odłożył kilkanaście tysięcy marek, co nad Wisłą stanowiło prawdziwy majątek. Dorobił się również samochodu, który zabrał ze sobą, gdy wyjeżdżał z Monachium. A zachodni pojazd był w PRL-u luksusem, na który niewielu mogło sobie pozwolić.

PRYWATNE ŻYCIE SZPIEGA

„Ze stolicy Bawarii jest tylko krok do Austrii – wspominał agent – trochę dalej, lecz w gruncie rzeczy też blisko do Szwajcarii. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni siadałem za kierownicą i ruszałem przed siebie.

Wyjeżdżałem w piątek po południu, wracałem późnym wieczorem w niedzielę. Odnalazłem parę uroczych miejsc, gdzie było cicho i spokojnie; bardzo ceniłem taki relaks po wyczerpujących dniach” [213](#).

Agent przyznawał, że największą przyjemność sprawiało mu łapanie pstrągów w górskich strumieniach oraz grzybobranie. W tamtejszych lasach było bowiem prawdziwe „zatręsienie grzybów: rydzów, prawdziwków i maślaków”, w wolnych chwilach zajmował się ich smażeniem, „duszeniem w maśle i marynowaniem”. W efekcie „dla gości była to prawdziwa uczta”.

Nie prowadził samotnego życia, bywał w modnych lokalach z wyszynkiem, nie miał też oporów przed zawieraniem przygodnych znajomości. Wiedział bowiem, że jego przełożeni z RWE „swoimi kanałami szybko załatwią z policją każdą awanturę sprowokowaną przez pracownika rozgłośni”.

Oczywiście były w jego życiu również kobiety. Niedługo po rozpoczęciu pracy w Monachium wdał się w romans z żoną jednego z kolegów z RWE. Podobno interweniowała w tej sprawie centrala z Warszawy, uważając całą historię za poważny błąd w sztuce wywiadowczej. I zapewne przełożeni mieli rację, bo obyczajowa awantura na terenie rozgłośni nie byłaby przykładem profesjonalizmu.

Później w życiu Czechowicza pojawiły się inne partnerki – jako młody człowiek miał przecież określone potrzeby. Jego przyjaciółkami zostawały jednak wyłącznie Niemki – ze względów wywiadowczych było to znacznie wygodniejsze. Wreszcie na dłuższy czas związał się z mieszkającą w Monachium Szwajcarką, której w swoich pamiętnikach nadał imię Betty.

Poznali się w nocnym lokalu, a ich znajomość szybko przerodziła się w romans. Ostatecznie były to czasy rewolucji obyczajowej i młodzi ludzie nie przejawiali takiej pruderii jak poprzednie pokolenia.

„Betty była bezinteresowna – oceniał po latach Czechowicz – umiała się cieszyć, charakteryzował ją radosny pęd do życia, do zabawy dla zabawy, a nie po to, aby mogła pochwalić się bliskim koleżankom, że całą noc przetańczyła w Ba-ba-lu, lokalu przy Leopoldstrasse, który uznawany był wówczas za najwytworniejszy” [214](#).

Spędzili razem urlop w Hiszpanii, przebywali w okolicach Alicante, gdzie Czechowicza spotkała zabawna przygoda. Betty przyjaźniła się z mieszkającą tam wiekową wdową po pewnym hiszpańskim arystokracie.

Natomiast pierwszym mężem hrabiny, Niemki z urodzenia, był – jeszcze przed I wojną światową – Polak, ziemianin z Poznańskiego.

„Jak inne kobiety, dawne żony lub kochanki Polaków, znała parę słów polskich. I jak zwykle w takich przypadkach nie były to wyrazy z języka salonowego. Przejechać blisko dwa tysiące kilometrów samochodem, siedzieć na tarasie willi z widokiem na Morze Śródziemne i słuchać, jak hiszpańska hrabina mówi d... i g..., a także kilka innych słów z tego repertuaru – to jednak coś, czego się nie zapomina” [215](#).

Urlop był udany, Czechowicz jednak uznał, że powinien się rozstać z Betty. W życiu agenta brakowało miejsca na prawdziwe uczucie, a wszelkie poważne związki groziły nieobliczalnymi konsekwencjami. Wprawdzie jego działalność wywiadowcza była fikcją, ale dekonspiracja mogła zagrozić planom jego mocodawców. Szpieg miał jasno określone zadanie: za wszelką cenę utrzymać się na etacie w RWE. A przecież kobiety bywają czasami bardzo spostrzegawcze i dociekliwe.

„Czułem się z nią i przy niej znakomicie. Właśnie dlatego był to nasz pierwszy i ostatni urlop. Kiedy zorientowałem się, że bardzo mi zależy na Betty, że coraz trudniej znoszę brak jej towarzystwa, postanowiłem rozstać się z nią. Decyzja, powiedzmy sobie szczerze, nie była ani łatwa, ani prosta, a co najgorsze Betty nie dawała mi żadnych okazji, żebym mógł się pogniewać i w rozdrażnieniu powiedzieć: »Kończymy, kochanie«...” [216](#).

Po Betty pojawiła się Gerda, typowa Niemka, przywiązana „do domowego porządku, czystości i mieszczańskich zwyczajów”. Wspólny urlop w Hiszpanii i Portugalii okazał się porażką, partnerka nie mogła zrozumieć upodobania Czechowicza do miejscowych, podrzędnych lokali.

„Pierwsza awantura z Gerdą wybuchła w wiosce, a raczej osiedlu w pobliżu granicy z Hiszpanią. Oburzało ją, że ciągnę do rybackich knajpek. Te gospody słyną ze znakomitej kuchni i towarzystwa, które w normalnych warunkach można spotkać tylko w filmach o piratach. Przyrządzane tam potrawy ze świeżych ryb, raków morskich i krabów to cały poemat, a podawane wina nie ustępują trunkom w najdroższych restauracjach Paryża. Ich wnętrza nie jest wprawdzie przesycone wonią róż, nie olśniewa blaskiem luster i kryształów, nie zobaczy tam człowiek obwieszonych brylantami dam, ale na tym właśnie polega urok tych knajpek” [217](#).

Gerda widziała w nich tylko śmierzące cebulą i czosnkiem spelunki, w których przesiadywały „obdartusy siorbiące zupę”. Dalej było jeszcze

gorzej, bo na portugalskim wybrzeżu praktycznie już nic jej się nie podobało.

„Tyle kilometrów męczyliśmy się w samochodzie – wypominała Czechowiczowi – żeby w tej zapadłej dziurze nie można było wykąpać się nawet w morzu, żeby mieszkać w nędznym hoteliku, gdzie nie ma wanny i ciepłej wody. Trzeba było, jak robią to wszyscy kulturalni ludzie, polecieć samolotem na Majorkę, a nie siedzieć tutaj między portugalskimi śmierdzielami” [218](#).

Nic zatem dziwnego, że urlop w Portugalii był ich pierwszym i ostatnim wspólnym wyjazdem. Później Czechowicz związał się ze znacznie starszą od siebie Niemką, milczy jednak na jej temat w swoich pamiętnikach. Znajomość zakończyła się nagle, gdy przyszedł rozkaz odwołujący agenta do kraju.

MEDIALNY SHOW

„Warszawa ma nową sensację – zanotował 12 marca 1971 roku w swoim dzienniku Mieczysław Rakowski. – Z Monachium powrócił agent MSW («Express Wieczorny» – »As polskiego wywiadu«), kapitan Andrzej Czechowicz, który przez 6 lat pracował w Wolnej Europie. Jest to raczej rzadkie zjawisko, żeby jakieś państwo ujawniało swojego agenta. Odbyła się już konferencja prasowa, na której kapitan sypał Wolną Europę. Z tego, co powiedział, nie wynika jednak, że dotarł do jakichś rewelacji” [219](#).

Polskie radio wyemitowało sześcigodzinkowy program, w którym agent opowiadał o swojej misji. Wywiady z nim pokazywano w telewizji zamiast popularnego westernowego serialu *Bonanza*, a redakcje gazet prześcigały się w udostępnianiu mu swoich łamów. Czechowicz mówił dużo, ale często podawał też informacje, których raczej nie mógł zdobyć w Monachium. Dla wielu obserwatorów stało się jasne, że oficer wypowiada kwestie nakazane mu przez SB i przeznaczone wyłącznie dla określonych kręgów odbiorców.

Faktycznie całą sprawą osobiście kierował nowy szef MSW Franciszek Szlachcic planujący zdyskredytowanie Wolnej Europy w oczach społeczeństwa i odcięcie rozgłośni od krajowych źródeł informacji.

„W okresie swego pobytu w Monachium – mówił Szlachcic na naradzie sekretarzy propagandy KW PZPR – kapitan Czechowicz przekazał nam

około 5 tysięcy oryginalnych raportów z rozmów prowadzonych z obywatelami wyjeżdżającymi za granicę, którzy tam w sposób świadomy, a bardzo często nieświadomy, udzielali informacji korespondentom czy agentom Wolnej Europy. (...) Wśród [tych] około 5 tysięcy raportów znajduje się około 300 dotyczących obywateli polskich, którzy świadomie, względnie lekkomyślnie, ale systematycznie informowali Wolną Europę. W niektórych przypadkach trzeba będzie wszcząć postępowanie sądowe, ale głównie postanowiono przeprowadzić z zainteresowanymi rozmowy przez kierownictwo instytucji i zakładów pracy oraz sekretarzy partyjnych. Wśród informatorów są również znane nazwiska” [220](#).

Były to jednak wyłącznie zapowiedzi, nikogo bowiem nie pociągnięto do odpowiedzialności karnej. Wydaje się zresztą, że cała sprawa od początku miała wyłącznie prewencyjny charakter i w ten sposób próbowano tylko zastraszyć ludzi współpracujących z monachijską rozgłośnią. Nazwisk informatorów Czechowicz oczywiście nie przywiózł – były one od lat dobrze znane SB.

Ale propagandowy show trwał w najlepsze, a władze okazywały zadowolenie z jego efektów. I ponownie odwoływano się do postaci dzielnego agenta J-23.

„Amerykanie, Anglicy, Niemcy wychowują swoją młodzież na przykładach bohaterów wywiadu czy kontrwywiadu – wyjaśniał Szlachcic. – U nas dobrym eksperymentem, choć niezamierzonym przez MSW, stała się postać kapitana Klossa z serialu telewizyjnego.

Po audycjach Czechowicza wpłynęło dużo listów, których autorzy, chłopcy, a nawet dziewczęta, deklarują gotowość do pracy w wywiadzie. Moim zdaniem, potwierdza to celowość kształtowania odpowiedniej atmosfery wokół działań wywiadu” [221](#).

Przy okazji próbowano zdyskredytować rozgłośnię w oczach społeczeństwa, a największe znaczenie miał bezpośredni atak na Nowaka-Jeziorańskiego. Czechowicz ujawnił, że podczas wojny był on zarządcą dwóch żydowskich kamienic, których właściciele trafili do getta. Nie dodał tylko, że „kurier z Warszawy” pracował na tym stanowisku na polecenie władz podziemia, miała to być bowiem przykrywka dla jego działalności konspiracyjnej.

W wypowiedziach Czechowicza nie zabrakło również elementów antysyjonistycznych, wzorowanych na kampanii z 1968 roku. Według niego Wolną Europę miały utrzymywać żydowska finansjera do spółki z CIA,

a z materiałów rozgłośni korzystał „osławiony Wiesenthal i jego wspólnicy”. Syjoniści mieli zresztą cieszyć się dużym poparciem wśród części ekipy RWE.

„Jest wreszcie grupa tak zajadle antypolska – mówił agent w wywiadzie dla »Trybuny Ludu« – że tylko wyrachowanie Nowaka, który czuwa, by ludzie ci zbyt nie narozrabiali, zmusza ich do utrzymywania się w ryzach regulaminu działania placówki, bądź co bądź »sekcji polskiej«. Jest to grupa uciekinierów i emigrantów z ostatnich trzech lat, wyraźnie związanych z antypolskimi i antyradzieckimi ośrodkami syjonistycznymi. Nie wszyscy zresztą kandydaci z tej emigracji dostali się do Wolnej Europy. Bano się, by i te resztki polskości »sekcji polskiej« nie zostały zatarte” [222](#).

Wydaje się, że władze zdecydowanie przesadziły z nachalną promocją Czechowicza i niebawem wszyscy mieli już dość tego dzielnego agenta i jego rewelacji. Rakowski zauważył, że całą sprawę „od strony propagandowej sknocono” i że „można rzygać, czytając te wypociny”. W efekcie niektórzy działacze partyjni chwalili się publicznie, że „nie oglądali żadnej audycji telewizyjnej, w której występował” Czechowicz.

„Na temat tego asa jest mnóstwo dowcipów – notował Rakowski. – Na przykład: na jakie grupy dzieli się ludność Polski? Na inteligentów, półinteligentów, ćwierćinteligentów i na asów wywiadu. [Albo] W telewizji będą teraz dzieciom opowiadać zamiast Kubusia Puchatka, przygody Kapusia Parchatka” [223](#).

Natomiast w kręgach studenckich popularna stała się piosenka z łatwo wpadającym w ucho refrenem: „Andrzej Czechowicz – Mata Hari z MSW”.

CZŁOWIEK, KTÓRY UWIERZYŁ W SWOJĄ WIELKOŚĆ

Po latach kapitan uważał się za agenta ideowego – za człowieka, który wypełniał szpiegowskie zadania wyłącznie z pobudek patriotycznych. I chyba naprawdę uwierzył, że dobrze przysłużył się ojczyźnie, i był skrzyżowaniem Jamesa Bonda z kapitanem Klossem i Stirlitzem. Nie przeszkadzał mu w tym fakt, że zwierzchnicy odstawili go na boczny tor (jako agent był osobą zdekonspirowaną) i wysłali na stanowisko sekretarza ambasady PRL-u w Ulan Bator. Następnie pełnił funkcję konsula

w Rostocku. W obu przypadkach były to typowe synekury, gdzie kierowano ludzi, których chciano się pozbyć z kraju.

Po upadku komunizmu Czechowicz przeszedł na emeryturę. Wyrażał żal, że nowe władze nie chcą skorzystać z jego doświadczenia operacyjnego.

„Jeden z pierwszych ministrów spraw wewnętrznych RP – opowiadał Aleksander Świeykowski – z dużą dozą niechęci w głosie, podczas spotkania z kilkoma pracownikami RP RWE przywołał dość osobliwe według niego wydarzenie. Siedział w swoim ministerialnym gabinecie za biurkiem, przeglądając ministerialne papiery. Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili je otworzył. Przed ministrem stanął niemłody już mężczyzna. Uderzył obcasami, zasalutował i zameldował: »Panie ministrze, major Andrzej Czechowicz melduje swoją gotowość do dalszej współpracy«. (...) Minister, jak opowiedział, był całkowicie zaskoczony. Oczywiście natychmiast wiedział, z kim ma do czynienia. Rozmowy nie podjął. Nakazał mu natychmiast opuścić gabinet” [224](#).

Na emeryturze Czechowicz zachowywał jednak czujność – gdy pojawiły się artykuły na jego temat, wytoczył „Rzeczpospolitej” proces o zniesławienie, a następnie o naruszenie dóbr osobistych. Sprawy ostatecznie przegrał, co skłoniło go do refleksji, że sąd „podważył jego wiarygodność”, a przecież był „agentem ideowym i nie działał dla pieniędzy”. Przy okazji ogłosił, że to zemsta za oczernianie Nowaka-Jeziorańskiego i Radia Wolna Europa. Wszystko wskazuje na to, że były as wywiadu uwierzył we własne opowieści dyktowane mu przez Służbę Bezpieczeństwa. Co prawda pewien osławiony mistrz propagandy twierdził przed laty, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą, ale nawet on nie utrzymywał, że autorzy konfabulacji z czasem sami zaczynają w nie wierzyć. Przypadek Andrzeja Czechowicza zdaje się jednak potwierdzać taką hipotezę...



Warszawa, 2013 rok, Sąd Najwyższy odrzucił wniosek prokuratora generalnego w sprawie kasacji wyroku Tomasza Turowskiego

ROZDZIAŁ 8

SZPIEG ZA SPIŻOWĄ BRAMĄ

Wprawdzie jeszcze Józef Stalin uważał, że Watykan nie ma znaczenia politycznego, gdyż nie dysponuje realną siłą militarną, ale już jego następcy wyrażali na ten temat odmienne zdanie. Dobrze wiedzieli, że Stolica Apostolska stanowi niezwykle ważny element światowej polityki i w żadnym wypadku nie można ignorować jej roli.

Komuniści głosili jednak konieczność brutalnej ateizacji społeczeństwa i bez większych problemów podporządkowali sobie struktury Kościoła prawosławnego. Katolicy dominowali natomiast na terenie Polski, Czechosłowacji i Węgier, co zdeterminowało działania służb wywiadowczych. Nasz kraj zawsze uchodził za najbardziej katolickie państwo regionu i na Kremlu zdecydowano, że „kierunek papieski” będzie specjalnością funkcjonariuszy wywiadu PRL-u.

Wybór Karola Wojtyły na tron papieski zintensyfikował działania szpiegowskie za Spiżową Bramą. Razem z nowym papieżem znacznie zwiększył się udział polskich księży i zakonników w strukturach państwa kościelnego, co trafnie podsumowano w moskiewskiej centrali:

„Nasi przyjaciele (SB) dysponują silną pozycją operacyjną (agenturą) w Watykanie, co umożliwia im bezpośredni dostęp do papieża i do kongregacji rzymskiej. Oprócz doświadczonych agentów, do których Jan Paweł II jest osobiście dobrze nastawiony i którzy mogą uzyskać audiencję w dowolnym momencie, nasi przyjaciele pozyskali zasoby agenturalne wśród przywódców katolickiego ruchu studenckiego, którzy są w stałych kontaktach z kołami watykańskimi i mają możliwości operacyjne w Radiu Watykańskim oraz w sekretariacie papieskim” [225](#).

„IGNACY” I INNI

Władze Polski Ludowej przywiązywały ogromną wagę do stosunków z Kościołem. Wraz z końcem epoki stalinizmu zrezygnowano z prób brutalnej konfrontacji (sprawa biskupa Kaczmarka, internowanie prymasa Wyszyńskiego, księży patrioci), jednak nadal bardzo poważnie traktowano operacyjne rozpracowywanie hierarchii kościelnej. Podstawowym celem działalności Służby Bezpieczeństwa na tym odcinku miała być „neutralizacja polityczna hierarchii kościelnej i kleru – doprowadzenie do afirmacji przez duchowieństwo i Kościół systemu społeczno-politycznego PRL – sprowadzenie roli Kościoła do zaspokajania potrzeb religijnych ludzi wierzących” [226](#).

Bezstronnie trzeba przyznać, że Służba Bezpieczeństwa osiągnęła znaczne sukcesy. Liczba zarejestrowanych duchownych – współpracownikami tajnych służb – była wręcz niewiarygodna. Szacuje się, że u schyłku PRL-u z bezpieczeńką współpracowało (w zależności od regionu) od 20 do 40 proc. ogółu kleru. Na usługach wywiadu pozostawali również wysocy dostojnicy kościelni, tacy jak późniejszy biskup, sufragan gnieźnieński Jerzy Dąbrowski. To właśnie on, jako „Ignacy”, dostarczał materiały z II Soboru Watykańskiego.

„Byliśmy mile zaskoczeni – wspominał oficer SB Włodzimierz Wilski – gdy podczas pobytu na soborze polskich biskupów »Ignacy« z własnej woli przyniósł i zadeklarował dostarczać kolejno następne protokoły z posiedzeń episkopatu polskiego, odbywanych w Rzymie. Dostarczył materiały prawie ze wszystkich posiedzeń. Były to dokumenty o dużej wartości operacyjnej. W tym okresie »Ignacy« dostarczył też szereg informacji o tematyce watykańskiej” [227](#).

Za swoje usługi biskup otrzymywał stosowne wynagrodzenie. Zachowała się informacja, że w listopadzie 1965 roku odebrał kwotę 70 tysięcy lirów (odpowiednik 112 amerykańskich dolarów), co stanowiło równowartość kilkumiesięcznej pensji w kraju.

Jerzy Dąbrowski nie był jedynym informatorem SB z kręgów wysokiej hierarchii kościelnej. Z wywiadem PRL-u współpracował również biskup włocławski Wiesław Mering (TW „Lucjan”), chociaż „nie była to współpraca szczególnie intensywna”.

„Fundusz operacyjny ze spotkań z duchownymi był rozliczany na podstawie oświadczeń oficerów SB – mówi dziennikarz Cezary Gmyz. – To

zresztą dość zabawna rzecz: na podstawie dokumentów funduszu operacyjnego możemy zobaczyć, kto był uważany za cenniejsze źródło, a kto za agenta pośledniejszego kalibru. Cenni agenci mogli biesiadować z esbekami przy wódce Polonez, rosyjskim kawiorze i cieście od Bliklego, a zwykli – najwyżej przy flaszcze Żytniej i pęcie kiełbasy” [228](#).

Inaczej sprawa wyglądała w dużych miastach, a inaczej na prowincji, gdzie sytuacje, gdy „lokalny ksiądz i ubek razem jadaliby obiady czy nawet razem pili wódkę, nie należały do rzadkości”. Warto jednak pamiętać, że rejestracja przez SB nie zawsze oznaczała podjęcie świadomej współpracy.

OJCIEC KONRAD HEJMO

Najgłośniejszym przypadkiem inwigilacji środowisk watykańskich przez wywiad PRL-u była sprawa ojca Konrada Hejmy. Gdy w czerwcu 2005 roku Instytut Pamięci Narodowej ujawnił fakt jego współpracy z SB, przez kraj przetoczyła się fala oburzenia. Ojciec Hejmo nie był bowiem zwykłym szeregowym duchownym. To współzałożyciel miesięcznika „W drodze”, duszpasterz akademicki, wicedyrektor Delegatury Biura Prasowego Episkopatu Polski w Rzymie, redaktor naczelny pisma „Kronika Rzymska”, dyrektor Ośrodka dla Pielgrzymów Polskich „Corda Cordi” w Rzymie. I właśnie ten człowiek okazał się wieloletnim współpracownikiem SB.

Związki ojca Hejmy z tajnymi służbami sięgały połowy lat 70., kiedy to zaczął regularnie spotykać się z funkcjonariuszami bezpieczeństwa. Początkowo miało to związek z wydawanym przez dominikanina miesięcznikiem – kontakty te umożliwiły wywiadowi pozyskanie wielu cennych informacji. Zakonnik okazał się bowiem wyjątkowym gadułą, który uwielbiał dużo mówić o ludziach ze swojego otoczenia.

„Chętnie rozmawiał na interesujące SB tematy – pisał w raporcie major Wacław Głowacki – przekazywał ciekawe informacje, chociaż o treści raczej ogólnej. Chętnie godzi się na dalsze rozmowy, obiecał skontaktować się ze mną podczas pobytu w Warszawie, nie uczynił tego jednak. W rozmowie jest wylewny, mówi obszernie, chętniej na tematy problemowe niż poszczególnych zakonników” [229](#).

Przy okazji tych spotkań zakonnik otrzymywał prezenty, chociaż trzeba przyznać, że nie były one specjalnie wyrefinowane. Dostał „butelkę

winiaku luksusowego za 300 zł, następnie koniaku za 840 zł, a w końcu panoramę Warszawy w metaloplastyce za 1300 zł” [230](#). Nie udało się jednak znaleźć na Hejmę kompromitujących materiałów. Wprawdzie dominikanin sprawiał wrażenie osobnika niezbyt rozgarniętego, ale nie naruszał norm obyczajowych. Inna sprawa, że ojciec Hejmo wcale nie zamierzał zrywać kontaktów ze służbami. Zdarzało się nawet, iż sam inicjował spotkania.

Naruszał w ten sposób zalecenia episkopatu, który wielokrotnie wypowiadał się przeciwko nieoficjalnym kontaktom kapłanów z funkcjonariuszami państwa. Ale dla zakonnika ważniejsza okazała się możliwość porozmawiania o sprawach zakonu i otaczających go ludzi niż polecenia przełożonych.

„Pierwszą uderzającą rzeczą (...) jest, łagodnie rzecz ujmując – mówił Cezary Gmyz – brak roztropności i gadulstwo. (...) Nie wiem sam, która interpretacja jest gorsza dla ojca Konrada – ta, w której jest groźnym agentem, czy ta, w której jest po prostu kompletnym idiotą. Ja skłaniam się ku drugiej odpowiedzi, że mamy do czynienia z idiotą i gadułą. Zresztą wszyscy, którzy znają ojca Hejmę, wiedzą, że jak już raz zaczniesz gadać, to wpada w rodzaj umysłowej biegunki” [231](#).

Decydujące dla współpracy zakonnika ze służbami PRL-u okazało się przeniesienie go w 1979 roku do Rzymu. To właśnie wówczas jego osobą zajęło się dwóch oficerów: Edward Kotowski („Pietro”, rezydent wywiadu PRL-u w Watykanie) oraz Andrzej Madejczyk („Lakar”). Ich raporty jednoznacznie określają rolę ojca Konrada w procesie gromadzenia informacji na temat Stolicy Apostolskiej.

„Rozmowa odbyła się w wyjątkowo dobrej atmosferze – pisał w raporcie »Pietro«. – (...) bez najmniejszego oporu i skrępowania relacjonował znane mu fakty i nie unikał podawania nazwisk i szczegółów. (Odniosłem wrażenie, że klimat tej rozmowy był lepszy niż z niektórymi źródłami, z którymi pracuje się dłużej. Stwierdziłem, że nabrał do mnie dużo zaufania. Warto sprawę tę kontynuować na dotychczasowej zasadzie)” [232](#).

Wprawdzie zakonnik uwielbiał plotkować i wiele jego wypowiedzi nosiło charakter pomówień, to jednak tego rodzaju sprawy również interesowały SB. Tym bardziej że ze słowotoku Hejmy można było wyłowić istotne informacje na temat hierarchów Kościoła czy polityki Watykanu wobec wschodniej Europy.

Porażająca wydaje się łatwowierność dominikanina. „Pietro” nigdy nie odkrył przed Hejmą swojej prawdziwej tożsamości (spotykał się z nim jako II sekretarz ambasady polskiej w Rzymie), natomiast „Lakar” (oficjalnie zatrudniony w banku w Kolonii) wmówił zakonnikowi, że jest rezydentem wywiadu RFN-u! Ojciec Hejmo uwierzył w te rewelacje, zgadzając się na współpracę.

Dochodziło do kuriozalnych wręcz sytuacji, albowiem Madejczyk za zgodą dominikanina nagrywał ich rozmowy.

„Magnetofon stał na stole – opisywał Gmyz – mało tego, każde nagranie zaczyna się od próby mikrofonu: ojciec Hejmo mówi: »Raz, dwa, trzy, mówi Konrad«. Traktowanie takiej działalności jako tajnej misji superagenta SB byłoby absurdem” [233](#).

Faktem jednak pozostaje gorliwa współpraca zakonnika z polskim wywiadem. Warto również pamiętać, że ojciec Hejmo otrzymywał za swoje usługi wynagrodzenie – wprawdzie rzekomo od wywiadu RFN-u, a w rzeczywistości z kasy Służby Bezpieczeństwa.

Motyw finansowy był chyba zresztą jednym z najważniejszych powodów jego współpracy z „Lakarem”. Zakonnik po przybyciu do Rzymu pełnił wiele funkcji, ale nie otrzymywał za to odpowiedniej zapłaty. Już w 1983 roku popadł w poważne długi i ratowały go pieniądze od „Lakara”. Do 1988 roku zainkasował prawie 20 tysięcy marek zachodnioniemieckich. Zachowały się pokwitowania, a Hejmo podpisywał odpowiednie dokumenty, nie czytając ich i „zwracając tylko uwagę na sumę”...

Zapewne Hejmo nigdy nie zorientował się, z kim współpracuje. Możliwe, że uważał, iż dostarczając informacji zachodnioniemieckiemu wywiadowi, walczy w ten sposób z komunistami. Nie zmienia to jednak faktu, że jego działalność była wyjątkowo szkodliwa. A przy okazji nie świadczyła pozytywnie o jego inteligencji.

Natomiast inni agenci SB w Watykanie nie mieli złudzeń, dla kogo pracują. Ksiądz Józef Penkowski został zwerbowany na własną prośbę (!), okazał się zresztą „agentem niemal doskonałym”. Nie rzucał się w oczy, był postacią dalszego planu, co potwierdza teorię, że najskuteczniejszymi informatorami są ludzie, których nikt nie posądzałby o szpiegowską robotę.

„Najcenniejsza agentura to byli właśnie tacy ludzie jak Penkowski – tłumaczył Gmyz – na których nikt nigdy nie zwracał uwagi. Urzędnicy średniego, a czasem nawet niższego szczebla, którzy mają dostęp do poufnych dokumentów, do kalendarzy spotkań, mogą fotografować

przygotowane dopiero do wygłoszenia przemówienia papieskie. (...) Penkowski całe życie noszący połataną sutannę i przetarty sweterek jest tego najlepszym przykładem. Po cichu robił swoją robotę, a karierę watykańską skończył bardzo wysoko. Nie został wprawdzie biskupem, ale stanął na czele Muzeów Watykańskich, a na piersi nosił order *Pro Ecclesia et Pontifice*, czyli »za papieża i Kościół« – najwyższe odznaczenie watykańskie. Tymczasem tak naprawdę właściwie całe życie zajmował się walką z Kościołem i przeciwko papieżowi. Był to człowiek, który wyrządził niewyobrażalne szkody. Najpierw w Polsce, denuncjując przybywających do nas potajemnie czeskich werbistów, którzy nie mogąc się kształcić w Czechosłowacji, przybywali do polskich seminariów, a po donosie Penkowskiego zostali wydalen i potem zamknięci w czeskich więzieniach. (...) Penkowski trafił potem do Szwajcarii, gdzie szpiegował m.in. ojca Innocentego Bocheńskiego, a potem dopiero trafił do Rzymu” [234](#).

Największym jednak sukcesem wywiadu PRL-u było umieszczenie agenta wśród rzymskich jezuitów. Wprowadzenie do elitarnego zakonu własnego człowieka, i to w bezpośrednie otoczenie Jana Pawła II, słusznie uważano za majstersztyk szpiegowskiej roboty.

EDWARD KOTOWSKI

Funkcjonariusze wywiadu często trafiali do służby w najdziwniejszy sposób. Wspomniany już wcześniej Edward Kotowski („Pietro”) był z zawodu historykiem sztuki, posiadał autentyczny doktorat Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1967 roku został dyrektorem muzeum na zamku w Lidzbarku Warmińskim i dwa lata później odkrył tam cenne polichromie z czasów biskupa Ignacego Krasickiego. Fakt ten zaważył na całym jego późniejszym życiu.

„Znajdowały się one pod warstwą farby położoną zresztą całkiem współcześnie – wyjaśniał Cezary Gmyz. – Odkrycie Kotowskiego stało się głośne na całą Polskę, a jednocześnie przyczyniło się do jego kłopotów. Okazało się bowiem, że istnienie fresków nie było tajemnicą dla ówczesnego lokalnego kacyka – wojewódzkiego konserwatora zabytków Lucjana Czubiela. Co więcej – to Czubieli właśnie kazał je zatynkować” [235](#).

Polska Ludowa była jednak krajem rządzącym się swoimi prawami – po odkryciu polichromii wybuchła afera, w efekcie której pracę stracił nie Czubiel, lecz Kotowski. Ważniejsze okazały się układy konserwatora z lokalnymi władzami i dyrektor muzeum został zwolniony.

„Otrzymałem rodzaj wilczego biletu – wspominał Kotowski – bo gdziekolwiek pytałem o możliwość zatrudnienia, to dawano mi do zrozumienia, że jest to niemożliwe ze względu na konflikt z władzami. Szczególnie aktywnie zaangażował się w zwalczanie mojej osoby Wydział Propagandy KW PZPR. (...) Doszło do tego, [że] gdy już wyczerpałem starania o zatrudnienie mnie w charakterze nauczyciela, pracownika kulturalno-oświatowego czy w ogóle pracownika umysłowego i zwróciłem się do mojego przyjaciela Bogusława Gizy, dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego, aby zatrudnił mnie w charakterze robotnika, to wprost powiedział, że sekretarz Cz. Kisły mu tego zabronił [Czesław Kisły, sekretarz ds. propagandy KP PZPR w Lidzbarku Warmińskim – S.K.] pod groźbą zwolnienia jego samego, gdy pójdzie mi na rękę. Oznaczało to, że władze olsztyńskie podjęły decyzję o pozbyciu się mnie ze swojego terenu. Ponieważ miałem dwoje małych dzieci i mieszkanie, z którego nie mogłem zrezygnować, więc uparłem się, że muszę tu zostać i przyjąć jakąkolwiek pracę. Ktoś mi doradził, aby pójść do KP MO, bo tam może być jakiś wolny etat” [236](#).

Kotowski okazał się wyjątkowo cennym nabytkiem, Milicja Obywatelska odczuwała bowiem „braki na odcinku pracowników z wyższym wykształceniem”. Niebawem Kotowski ukończył szkołę oficerską w Legionowie (z najlepszą lokatą), po czym trafił do Departamentu IV zajmującego się rozpracowywaniem działalności Kościołów i związków wyznaniowych. Przy okazji pracował również nad swoją pracą doktorską (obronił ją w 1974 roku), co było znakomitą przykrywką do działalności w resorcie. Autentyczny doktorant z historii sztuki stanowił w MO prawdziwą sensację.

„Bardzo szybko rozwinął skrzydła – opowiada Gmyz. – Okazał się funkcjonariuszem bardzo kreatywnym i utalentowanym. Zaczął od rzeczy małych – od prowadzenia lokalnej agentury wśród duchownych. Błyskawicznie znajdował z nimi wspólny język, a księża byli szczęśliwi, że mają tak wykształconego i inteligentnego partnera do rozmów” [237](#).

Kotowski odnosił sukces za sukcesem, niebawem kontrolował już agenturę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i Akademii Teologii

Katolickiej. Jako człowiek wykształcony i obracający się od lat wśród kleru, doskonale znał zasady obowiązujące w tym środowisku. Wiedział, do kogo zwracać się „ekscelencjo”, a do kogo „eminencjo”, jakiego słownictwa używać w towarzystwie księży. A to było niezwykle ważne, gdyż wzbudzało do niego zaufanie.

„W Lublinie Kotowski także mógł pojawiać się dzięki swojej przykrywce historyka sztuki – kontynuuje Gmyz – konsultował się z kadrą naukową stosownego wydziału na uczelni, przyjeżdżał do biblioteki, na konferencje. Kotowski był naprawdę utalentowanym oficerem. Miał cechę w tej profesji bezcenną – szybko wzbudzał zaufanie i bez trudu »zaprzyjaźniał się« ze swoimi źródłami. Był dobrym kompanem do dyskusji o sztuce, do przyjacielskich pogawędek i wreszcie do kieliszka. Kiedy miałem okazję z nim porozmawiać osobiście, to kilkakrotnie wspominał, a właściwie narzekał, że w jego profesji trzeba mieć nie tylko fenomenalną pamięć, ale także bardzo wytrzymałą wątrobę. Niektórzy z prowadzonych przez niego księży lubili mocno popijać” [238](#).

Sukcesy Kotowskiego zostały szybko dostrzeżone przez przełożonych, a znakomite kontakty z ludźmi Kościoła spowodowały jego przeniesienie do Watykanu. Przed wyjazdem przeszedł intensywne szkolenie indywidualne i zdał egzamin państwowy z języka włoskiego.

Nad Tybrem kierował rezydenturą wywiadu PRL-u. Jako pierwszy z polskich agentów na poważnie zajął się białym wywiadem, czyli zdobywaniem informacji przy wykorzystaniu legalnych i ogólnodostępnych materiałów – dziedziną, na którą jego poprzednicy w ogóle nie zwracali uwagi.

„W pewnej księgarni watykańskiej – wspominał po latach – ujrzałem *Annuario Pontificio* (rocznik papieski) i okazało się, że można go nabyć za sumę, jeżeli się nie mylę, 50 tysięcy lirów włoskich. Oczywiście po wstępnym przewertowaniu natychmiast go kupiłem. Okazało się, że ta corocznie aktualizowana publikacja, co wynika z jej charakteru, licząca ponad 2 tysiące stron drobego druku, w sposób niezmiernie skrupulatny i metodyczny obrazowała sytuację Kościoła rzymskokatolickiego na całym świecie, będąc jednocześnie doskonałym przewodnikiem po dykasteriach Kurii Rzymskiej. Były tam informacje dotyczące struktury i zakresu działania wszystkich instytucji watykańskich, połączone z wykazem wszystkich ich pracowników, łącznie z numerami ich telefonów i adresami ich prywatnych mieszkań. W tym opracowaniu znajdowały się również

kompletne dane dotyczące dyplomatycznych przedstawicielstw watykańskich na świecie, a także dotyczących przedstawicielstw innych państw akredytowanych przy Watykanie” [239](#).

Kotowski nabywał – oczywiście – kolejne wydania *Annuario Pontificio*. Była to dla niego wyjątkowa pomoc w szpiegowskiej robocie. I nie mógł zrozumieć, dlaczego Watykan nie ukrywa danych osobowych, tak jak miało to miejsce w przypadku polskiego Kościoła.

„Stanowiło to niezwykle ułatwienie mojej pracy – przyznawał. – W porównaniu z tym, co było, gdy chodziło o zdobycie podobnych informacji o strukturach i działalności Kościoła w Polsce, to sytuacja w tym zakresie na terenie Rzymu była wręcz sielankowa” [240](#).

Szybko też doszedł do wniosku, że podstawą jego działalności powinna się stać dokładna analiza oficjalnych publikacji watykańskich. W ten sposób mógł bowiem określić, i to „bardzo precyzyjnie, najważniejsze cele i kierunki działalności strategicznej i taktycznej Stolicy Apostolskiej”.

Nie zaprzestał jednak standardowych metod działania. Inwigilacji duchownych sprzyjały spotkania w gronie korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Rzymie, który często odwiedzali pracownicy kurii papieskiej. A Kotowski okazał się wyjątkowo pomocny dla polskich księży i zakonników.

„Prawdziwy tytuł doktora historii sztuki i pewna klasa intelektualna, którą posiadał – tłumaczy Cezary Gmyz – pozwoliły mu na rozproszenie podejrzeń. Kotowski znał języki, prezentował się dobrze i, co najważniejsze, był bardzo przydatny dla polskich duchownych przebywających w Watykanie. On z kolei starał się być bardzo pomocny, wielu osobom mocno ułatwiał załatwienie najróżniejszych spraw i w ten sposób wkładał się w ich łaski. Załatwiał przedłużenia paszportu, pomagał obejść jakieś biurokratyczne bariery” [241](#).

Podczas pobytu w Rzymie Kotowski nie mógł też narzekać na finanse. Otrzymywał oficjalną pensję dyplomaty, do której dochodził jeszcze niejawni etat w SB. Dysponował również znacznym funduszem operacyjnym, a jego stołeczne mieszkanie wykorzystywał resort, z czego oficer także czerpał dochody.

Kotowski „szybko stał się takim naturalnym elementem pejzażu w Watykanie i znał dobrze większość tamtejszej polskiej kolonii”. Regularnie spotykał się z jej przedstawicielami, dobrze poznał księdza Adama Bonieckiego, redaktora naczelnego polskiej edycji „L’Osservatore

Romano”. Boniecki nie został wprawdzie współpracownikiem SB, powszechnie zresztą znana była jego antykomunistyczna postawa, ale czasami jednak „za dużo mówił”. A takie sytuacje Kotowski potrafił znakomicie wykorzystać.

Interesował się zresztą nie tylko sprawami kościelnymi. Wspominał, że odegrał pewną rolę przy transferze Zbigniewa Bońka do Juventusu Turyn. Nie jest to wykluczone – w czasach PRL-u legalny wyjazd piłkarzy za granicę był bowiem sprawą polityczną.

„Pewien mój znajomy, pracownik włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w czasie naszej okazjonalnej rozmowy, wspominał, że prezes klubu Roma – Viola, i jego syn, wysoko oceniają zdolności piłkarskie Zbigniewa Bońka i chcieliby, aby grał w ich klubie, ale nie wiedzą, jak doprowadzić do rozmów w tej sprawie. Zaoferowałem moją pomoc i stosownym kanałem rezydentury przekazałem informację w tej sprawie do kraju. Nawiązano rozmowy. Sprawa się jednak nie sfinalizowała z uwagi na wysoką cenę, jaką podyktował PZPN. Jednak rozgłos, jaki powstał w związku z tymi rozmowami, spowodował to, że Zbigniewem Bońkiem zainteresował się klub z Turynu, który zgodził się wyłożyć bardzo wysoką sumę (ponad 3 miliony dolarów) i transfer powiódł się. Jestem przekonany, że Zbigniew Boniek nie wie nic o mojej roli w jego sprawie” [242](#).

Kotowski nigdy nie został oficjalnie zdekonspirowany. Po czterech latach pobytu w Rzymie w ramach normalnej wymiany personelu odwołano go do Warszawy. Wywiad nigdy bowiem nie przedłużał kadencji swoich funkcjonariuszy, zawsze mieli sprawiać wrażenie normalnych dyplomatów.

W kraju powrócił do pracy w IV Departamencie, oficjalnie był zatrudniony w Urzędzie do spraw Wyznań. Z tego powodu często podróżował do Włoch, był organizatorem pierwszej pielgrzymki kapelanów wojskowych do Katynia, przygotowywał także konkordat ze Stolicą Apostolską. Doszło nawet do sytuacji, że jego osobę brano pod uwagę jako pierwszego polskiego ambasadora przy Watykanie. Jednak po upadku komunizmu w Polsce sprawa upadła, Kotowski stracił pracę w Urzędzie do spraw Wyznań, nie miał też szans na pozytywną weryfikację jako oficer SB.

„Wydaje mi się, że w tej akurat sprawie – mówi Gmyz – musiało być zawarte jakieś nieformalne porozumienie między Kościołem a solidarnościowym rządem, zapewne tylko ustne. Zastanawiam się tylko,

kiedy? Może tuż przed Okrągłym Stołem, może zaraz po nim. Ale warto zwrócić uwagę, że właściwie cała agentura z rezydentury watykańskiej została wyrzucona z pracy. Wszyscy oficerowie, którzy byli zaangażowani w pracę wywiadowczą przeciw Stolicy Apostolskiej, czy to pracujący w MSZ, czy w MSW, stracili posady. (...) 17 stycznia 1990 roku centrala wysłała do rezydentury watykańskiej szyfrogram polecający zwolnić całą agenturę, wszystkie osobowe źródła informacji z wyjątkiem dwóch cudzoziemców, po czym zwinięto całą siatkę oficerów zajmujących się Watykanem” [243](#).

Kotowski w stopniu podpułkownika przeszedł na emeryturę (miał wówczas 49 lat) i zajął się handlem – jednak bez większego powodzenia. Ostatecznie wraz z żoną zamieszkał na Podlasiu, w Dąbrowie Białostockiej, gdzie poświęcił się malarstwu. Był dobrym specjalistą od historii sztuki, ale talentu plastycznego raczej nie posiadał.

„[Żyje] zupełnie inaczej, niż wyobrażamy sobie emeryturę funkcjonariuszy peerelowskiego reżimu – relacjonuje Gmyz. – Mieszka w małym mieszkanku w bloku – 35 metrów kwadratowych. Przyjechałem do niego zimą, w styczniu czy lutym. Pamiętam, że było wtedy bardzo zimno. Przyjął mnie pyzami. Poznałem także jego żonę. Mieszkanie obwieszane jest od podłogi po sufit obrazami autorstwa samego Kotowskiego, który – powiedzmy to sobie szczerze – nie jest wybitnym malarzem” [244](#).

Dawny agent skarżył się, że gdy na łamach prasy ujawniono jego przeszłość, to „po latach spokoju sąsiedzi patrzą na niego wilkiem”. Dlatego też spisał swoje wspomnienia, chcąc wykazać, że nic złego nie zrobił polskiemu Kościołowi. Chętnie też udzielał konsultacji dziennikarzom interesującym się sprawami infiltracji Kościoła przez SB. Najwyraźniej „Pietro” nadal chciał czuć się ważny i potrzebny. Edward Kotowski zmarł w 2021 roku.

STUDENT Z KRAKOWA

Kotowski mógł być szefem rezydentury wywiadu w Watykanie, ale nawet on nie znał najlepiej zakonspirowanego agenta. Jezuita Tomasz Turowski był bowiem nielegalnym, czyli szpiegiem działającym poza oficjalnymi

strukturami wywiadu. On i jemu podobni stanowili absolutną elitę zawodu – byli to ludzie zwerbowani we wczesnej młodości, którzy przez całe lata pozostawali w uśpieniu, wtapiając się w otaczające ich środowisko.

„W wywiadzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nielegalów w różnych okresach czasu było od jedenastu do czternastu. Działali w USA, Wielkiej Brytanii, we Francji, w Niemczech, Szwecji, Szwajcarii, Austrii i w Watykanie. Ich centrala mieściła się w oddaleniu od głównych budynków MSW przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Szkolenia odbywały się w mieszkaniach operacyjnych, a cykliczne indywidualne odprawy w tajnym ośrodku w Magdalence” [245](#).

Tomasz Turowski idealnie nadawał się do takiej służby. Pochodził z dobrej krakowskiej rodziny, jego ojciec był prawnikiem, członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej, uczestnikiem wojny z bolszewikami w 1920 roku. Następnie pełnił obowiązki sędziego w Równem na Wołyniu, a później sędziego w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. Podczas II wojny światowej działał w szeregach Armii Krajowej, walczył w Powstaniu Warszawskim, a w czasach PRL-u był „adwokatem, członkiem okręgowej rady adwokackiej w Krakowie” [246](#). Turowscy przyjaźnili się z bliskimi Karola Wojtyły, obracali się zresztą w tych samych kręgach towarzyskich co przyszły papież.

„W Krakowie moja rodzina była dobrze zakotwiczona – przyznawał agent – moja ciotka Irena Turowska była przez pewien czas dyrektorem działu Jagiellonki, biblioteki UJ. Znała tutejsze środowisko intelektualno-naukowe, znała także rodzinę Ledóchowskich i kręgi krakowskiej kurii biskupiej” [247](#).

Turowski studiował rusycystykę w Krakowie, aktywnie też uczestniczył w pracach tamtejszego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Nie przeszkodziło mu to jednak we wzięciu udziału w zamieszkach studenckich w marcu 1968 roku. Z tego powodu był też przesłuchiwany przez SB. Istnieją podejrzenia, że właśnie wtedy został współpracownikiem bezpieczeństwa. A gdy wykazał się dużym talentem wywiadowczym, uznano, że może być z niego całkiem dobry oficer.

W gronie znajomych uchodził za „młodego człowieka o duszy artysty”. Opublikował dwa tomiki poetyckie, jego wiersze drukowano w „Studencie”, „Życiu Literackim”, „Poezji”, współpracował też z Piwnicą pod Baranami. Nie ukończył jednak nauki na Uniwersytecie Jagiellońskim, podobno musiał ją przerwać z powodu zaangażowania w studenckie

protesty. Edukację dokończył w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Niewykluczone zresztą, że zmianę uczelni zaplanowali prowadzący go oficerowie SB. Miało to uwiarygodnić Turowskiego w oczach otoczenia.

Sam przyznawał po latach, że do pierwszej próby werbunku doszło pod koniec 1969 roku po wieczorze autorskim Stanisława Wałacha. Ten był partyzant Armii Ludowej i szef krakowskiej SB (!) zaproponował spotkanie, do którego ostatecznie doszło trzy miesiące później.

„Zaprosił mnie do mieszkania kilkaset metrów od placu Wolności – wspominał Turowski. – Poszedłem. Dla mnie było jasne, że nie jestem w prawdziwym mieszkaniu. Miało wystrój typowo mieszczański. Trzy pokoje z kuchnią. Panował tam idealny porządek na półkach, idealny porządek w kuchni, prawie aseptyczny.

I Wałach mówi do mnie tak: »Doszedłem do wniosku, że pan mógłby służyć Polsce, mógłby pan naprawdę coś dobrego dla Polski zrobić. Zastanawiam się, czy pan nie nadawałby się do pracy w wywiadzie«. Odpowiedziałem, że ja się też w tej chwili nad tym zastanawiam” [248](#).

Turowski dostał 24 godziny na podjęcie decyzji, a gdy wyraził zgodę, usłyszał, że warunkiem przyjęcia do służby jest ukończenie studiów na WSP. Przez następne dwa lata nikt się z nim nie kontaktował, aż wreszcie zgłosił się do niego pułkownik Jan Jakowiec. Poinformował, że niebawem rozpocznie się indywidualne szkolenie i od tej pory nie będzie już możliwości wycofania. Ale Turowski nie zamierzał zrezygnować z pracy w wywiadzie.

DYLEMATY

Najlepszym źródłem do poznania psychiki Turowskiego jest wydana w 2013 roku książka Agnieszki Kublik i Wojciecha Czuchnowskiego *Kret w Watykanie*. Dziennikarze Agory przeprowadzili z nim wiele rozmów, czego efektem jest obszerny wywiad rzeka, w którym agent opowiada o swoim życiu. Podaje dużą liczbę intrygujących informacji, często trudnych do zweryfikowania, o wielu sprawach nie chce jednak rozmawiać, zasłaniając się tajemnicą służby. Z lektury wyłania się intrygujący obraz

człowieka, który przez niemal całe życie udawał kogoś innego, niż był w rzeczywistości.

Nie wydaje się zresztą, by kiedykolwiek przeżywał specjalne rozterki duchowe. Po latach tłumaczył swoją decyzję lojalnością wobec państwa polskiego, uważał bowiem, że „dobre rakiety z atomowymi głowicami należące do sprawiedliwych i dobrych krajów były wycelowane w jego kraj”. To pozwalało mu na pracę z czystym sumieniem, gdyż obowiązkiem każdego Polaka była walka z tym zagrożeniem. Przy okazji umniejszał jednak fakt, że z jego działalności korzystało również KGB.

„Jeśli chodzi o służby specjalne polskie, to XIV Wydział I departamentu MSW, wywiad nielegalny, był oazą suwerenności. Rosjanie nie mieli do tego zasobu ludzkiego żadnego dostępu. Oczywiście byłoby naiwnością powiedzieć, że nie używali zdobytych przez nas informacji, ale nie było żadnych bezpośrednich ingerencji” [249](#).

Jest to – oczywiście – nieprawda, gdyż żaden z wywiadów państw demokracji ludowej nie był niezależny. Służby PRL-u, Niemieckiej Republiki Demokratycznej czy Bułgarii miały tylko tyle samodzielności, na ile pozwalała moskiewska centrala.

„[XIV departament] był pod ścisłą kontrolą sowiecką – oburzał się były przyjaciel Turowskiego, Piotr Jegliński. – W ogóle śmieszy mnie to, co ten biedny człowiek roi, gdy mówi, że Sowietci nie wiedzieli o tym departamencie. A przecież to oni go założyli na przełomie 1944 i 1945 roku. On był kopia sowieckiego departamentu nielegalnego. To był pomysł Dzierżyńskiego. Jeden z najlepszych jego pomysłów – pod inną tożsamość podstawiano agentów i dorabiano im legendę” [250](#).

Turowski, opowiadając o swojej służbie, czasami zdradzał również objawy typowo esbeckiej amnezji. Gdy wspominał przysięgę, którą składał jako funkcjonariusz wywiadu, twierdził, że „socjalistyczne elementy w tej przysiędze nie istniały”, natomiast „były elementy dotyczące lojalności i służby państwu polskiemu”. Najwyraźniej zapomniał o kilku interesujących fragmentach roty ślubowania.

„Pracowali w peerelowskim MSW i byli esbekami – mówi o oficerach wywiadu Cezary Gmyz. – Mieli służbowe legitymacje esbeckie, składali taką samą przysięgę jak inni esbecy, w której wprost występowała nazwa »Służba Bezpieczeństwa« – tam były całe takie formułki, że przysięgają jako oficerowie SB – bronić socjalizmu i tak dalej. Taką przysięgę składał również Tomasz Turowski” [251](#).

Nowy nabytek wywiadu nie należał do ludzi kwestionujących polecenia przełożonych. Bez słowa przyjął decyzję, że po odbyciu szkolenia indywidualnego zostanie skierowany do zakonu jezuitów. Zaplanowano bowiem dla niego tak zwaną „przewidywaną ścieżkę kariery”, a absolwent rusycystyki idealnie nadawał się na szpiega w szeregach elitarnego zgromadzenia. Sprawę ułatwiał również fakt, że Turowski był wówczas człowiekiem niewierzącym.

WŚRÓD JEZUITÓW

Wywiad PRL-u doskonale orientował się w sytuacji zgromadzenia Towarzystwa Jezusowego w Rzymie. Wiedzano, że jezuici odczuwają poważne braki w asystencji słowiańskiej nastawionej na pracę na terenie Związku Radzieckiego. Wprawdzie do Włoch przyjeżdżali kandydaci pochodzący z sowieckich republik, ale często podejrzewano ich o współpracę z KGB. W tej sytuacji powołanie zakonne Turowskiego – rusycysty z zawodu – stanowiło okazję, z której jezuici nie mogli nie skorzystać.

Tym bardziej że agent umiejętnie budował własny życiorys. Po studiach przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych. Wydawano tam kwartalnik „Chrześcijanin w Świecie”, na jego łamach Turowski zajmował się tematyką rosyjską. Po pewnym czasie nadeszła pora na wstąpienie do zakonu.

„Zgłosił się najpierw na furkę zakonną w Krakowie – relacjonował Gmyz – ale nie został przyjęty. Zdziwienie wywołał fakt, że absolwent rusycystyki, w dość nietypowym wieku – bo zwykle zgłaszali się młodsi kandydaci – ot tak, puka i mówi, że chce do zakonu, a potem do Rzymu. Kraków, czyli południowa prowincja jezuitów, nie przyjął Turowskiego, ale ten, niezrażony, kilka miesięcy później zgłasza się na furkę w Warszawie, przy Rakowieckiej, czyli do jezuickiej prowincji północnej. Tam zostaje przyjęty przez jednego z ojców, który też najpierw dopytuje się, jak to się stało, że Turowski nagle poczuł powołanie, ale przyszły as wywiadu PRL, ma już do sprzedania ulepszoną historyjkę. Otóż twierdzi, że jego postanowienie jest bardzo mocne, ale boi się, że w związku z tym, że jest

absolwentem rusycystyki, będzie go nachodziła SB. Prosi więc tylko, by wysłano go do nowicjatu w dowolne miejsce za granicą” [252](#).

Mistyfikacja w pełni się udała. Turowski na kilka dni trafił do Kalisza, po czym skierowano go do Włoch. Był do tego doskonale przygotowany, przezornie zaopatrzył się w (autentyczne!) listy polecające od metropolity krakowskiego Karola Wojtyły.

„Poszedłem do niego – wspominał po latach – i powiedziałem, że jadę na kurs języka do Włoch, nie mam jakichś specjalnych warunków finansowych i gdyby można prosić o wsparcie na miejscu, to proszę. I Wojtyła napisał otwartym tekstem, że przyjedzie człowiek i żeby okazać mu wsparcie” [253](#).

Turowski odbył studia językowe, po czym wstąpił do nowicjatu w Ciampino na przedmieściach Rzymu. Przez rok nie utrzymywał żadnych kontaktów z centralą, zresztą pierwsze lata działalności agenta nielegalnego są tak zwanym okresem zamrożenia.

„Stworzenie oficera nielegała to proces kilkunastoletni – tłumaczył szpieg. – Nie chodzi o to, żeby on zdobył jedną informację i wpadł, ale o to, żeby jeśli głęboko wejdzie w środowisko, zdobył takich informacji sto. To jest kupiecka kalkulacja. No dobrze, przekazał, wykonał ruch, który został zauważony, bo nie można nigdy wykluczyć, i na tym się zabawa kończy. Cała ciężka praca, przygotowanie do niczego” [254](#).

Turowski nie miał natomiast większych problemów podczas samego nowicjatu, chociaż w przypadku jezuitów jest to proces wyjątkowo skomplikowany i trudny. Ale oficerowie Służby Bezpieczeństwa, którzy go wyselekcjonowali, byli fachowcami i dobrze wiedzieli, kogo werbują.

„Miałem jasny punkt odniesienia – wyjaśniał agent szpieg – (...) XIV Wydział, nielegalny, to była formuła – nie obawiałbym się użyć tego słowa – zakonna. Tam byli ludzie przekonani, że po pierwsze są w elicie, po drugie lojalnie wykonują swoje zadania, po trzecie służą państwu, które może w tej chwili się nie podobać, ale jest jedynym państwem, przynajmniej w pojęciu tych, którzy tam służą. W związku z tym, jeżeli człowiek jest oficerem, składa przysięgę, to wtedy realizuje zadanie. Więc ja realizowałem zadanie” [255](#).

Nie widział też nic złego w tym, że regularnie spowiadał się i przystępował do komunii. Tłumaczył, że przecież „sakramenty są tylko dla wierzących”, i nie traktował swego postępowania jako świętokradztwa.

Podczas wspólnych modlitw przeprowadzał wewnętrzną refleksję na wzór ćwiczeń z filozofii zen, a kamuflaż ułatwiał mu fakt, że jezuici mają zwyczaj „przyjmować przy modlitwie taką pozycję, jaka najbardziej odpowiada ich ciałom”.

Mimo że okłamywał członków zakonu, nigdy nie uważał się za zdrajcę. Tłumaczył, iż przyszedł do zakonu jako oficer wywiadu, człowiek niewierzący, wobec czego nie mógł zdradzić tych, których rozpracowywał.

„Zdrajcą był na przykład Adam Włoch – mówił Turowski wiele lat później – ksiądz zatrudniony w Radiu Watykańskim i pracujący w środowisku Papieża, zdrajcą był »Russo« [polski jezuita o. Stanisław Szłowieniec – S.K.], który był papieskim tłumaczem z rosyjskiego i był przy wszystkich najważniejszych spotkaniach, zdrajcą był ojciec Hejmo, bo oni zakwestionowali wartości, z którymi się kiedyś identyfikowali. (...) Oni przyjmowali ten sakrament, będąc w sytuacji grzechu śmiertelnego, bo donosili, więc teoretycznie też od czasu do czasu musieli się spowiadać, to byli rzeczywiście zdrajcami. Moja sytuacja była łatwiejsza” [256](#).

W WATYKANIE

Choć nowicjat jezuicki trwa dwa lata, po 12 miesiącach Turowski dostał zgodę na odwiedzenie rodziny w kraju. Nawiązał wówczas kontakt z centralą, a po powrocie do Włoch w sierpniu 1976 roku przeniósł się do Frascati pod Rzymem, gdzie miał odbyć następny etap edukacji zakonnej.

„Budynek stoi na skarpie – wspominał po latach – i ma cudowny widok na Rzym. Czasami patrzyłem z okna mojego pokoju i myślałem sobie, że to jest jak scena kuszenia z *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa: masz tu Rzym na wyciągnięcie ręki” [257](#).

W październiku Turowski rozpoczął studia filozoficzne na Uniwersytecie Gregoriańskim, gdyż „każdy jezuita musi zrobić co najmniej dwa fakultety religijne – nie mówiąc o świeckich, co też jest pożądane”. Przy okazji poznawał odpowiednich ludzi – była to elitarna uczelnia papieska, a jej absolwenci obejmowali najważniejsze watykańskie stanowiska. Wówczas po raz pierwszy spotkał się też z kurierem z Warszawy, nielegalnie pozostawali bowiem poza zwyczajowymi metodami kontaktów służb wywiadowczych. Na zakończenie nowicjatu

złożył pierwsze śluby zakonne, z perspektywy czasu uważał jednak, że do niczego go nie zobowiązywały.

„Mówi się o mnie »eksjezuita«. To tak, jakby powiedzieć o kleryku »eksbiskup«. Żeby zostać jezuitą, oprócz tych pierwszych ślubów, trzeba przejść pełną formację filozoficzną, która trwa minimum trzy lata, a na poziomie magisterskim przynajmniej cztery, plus formację teologiczną, która trwa minimum trzy lata lub pięć i potem następuje rok refleksji, medytacji dodatkowych, no i święcenia następują dopiero po tym wszystkim, a potem złożenie tzw. czwartego ślubu posłuszeństwa papieżowi, oprócz trzech zwyczajowych: ubóstwa, posłuszeństwa i czystości” [258](#).

Nie wszyscy mają jednak podobne zdanie na ten temat. Kapelan Solidarności, jezuita, ojciec Aleksander Jacyniak, twierdzi, że Turowski kłamał, mówiąc, iż nigdy nie był członkiem zakonu.

„Obiektywnie sprawy mają się inaczej – wyjaśniał ojciec Jacyniak. – Pan Tomasz Turowski mija się z prawdą, mówiąc, że nie był jezuitą. Mija się z prawdą, mówiąc, że nie złożył ślubów, gdy tymczasem złożył śluby wieczyste już po dwuletnim nowicjacie i te śluby odnawiał co pół roku” [259](#).

Bez względu na to, czy Turowski był pełnoprawnym członkiem zakonu, czy nie, trzeba przyznać, że jego szpiegowska kariera rozwijała się pomyślnie. Został zatrudniony w sekcji polskiej Radia Watykańskiego, zadecydowały o tym listy polecające oraz znajomości z krakowskich czasów. Bardzo pomocne okazały się również kontakty z redakcją „Chrześcijanina w Świecie” – na łamach kwartalnika publikowało bowiem kilku prominentnych jezuitów. Nikt też Turowskiego nie podejrzewał o pracę dla wywiadu PRL-u. Był tak znakomicie zakonspirowany, że zaczęła go nawet rozpracowywać polska rezydentura w Rzymie.

„Szybko nawiązuje szerokie kontakty wśród polskiego duchowieństwa w Watykanie – relacjonował Cezary Gmyz. – Ta kolonia nie jest jeszcze wtedy wielka – mówimy o czasach przed wyboru Karola Wojtyły na papieża. Staje się osobą, która obraca się głównie między Collegium del Gesù przy głównym kościele jezuickim, gdzie jest pochowany Ignacy Loyola, Fiumicino a innymi jezuickimi ośrodkami rozrzuconymi po całym Rzymie. Oczywiście nie kontaktuje się z ambasadą PRL, gdzie mieściła się rzymska rezydentura wywiadu” [260](#).

Meldunki do Warszawy zaczął nadsyłać w 1976 roku. Podobno zlecono mu nawiązanie kontaktów ze środowiskiem kapelanów NATO (rekrutowali

się z grona jezuitów), co miało mu umożliwić zdobywanie ważnych informacji. Wszystkie te plany runęły jednak w październiku 1978 roku, gdy na papieża został wybrany Karol Wojtyła. Decydenci z warszawskiej centrali wywiadu nagle zrozumieli, jak ważnego szpiega ulokowali w Watykanie.

Po dwóch tygodniach pojawił się kurier, który przywiózł nowe instrukcje. Turowski miał się zainteresować polityką watykańską i za wszelką cenę wejść w najbliższe otoczenie papieża Polaka. Powinien „starać się mieć jak najszerszą informację”.

„W centrali zapada ważna dla mnie decyzja – opowiadał Turowski. – Dostaję polecenie, które, przyznam, bardzo mi odpowiada, a którego bym się nigdy nie spodziewał. Otóż polecono mi dane dotyczące zagrożeń i luk w bezpieczeństwie Jana Pawła II przekazywać bezpośrednio do odpowiedzialnych za nie w Watykanie, czyli do służb watykańskich, konkretnie do ojca Roberto Tucciego, którego już dobrze znałem dzięki temu, że był dyrektorem Radia Watykańskiego” [261](#).

W POBLIŻU JANA PAWŁA II

Po latach szpieg twierdził, że otrzymał rozkaz, by za wszelką cenę chronić papieża przed zamachem. Brzmi to dość nieprawdopodobnie, ale Turowski upierał się przy tych rewelacjach. Podczas kolejnego pobytu w Polsce miał usłyszeć odpowiednie instrukcje od swojego przełożonego, pułkownika Sylwestra Flaka.

„Nam zależy na bezpieczeństwie Papieża. Zależy nam dlatego, że gdyby mu coś się stało, to pierwsze podejrzenie by było: o, to te wredne komuchy z Polski, bo któż inny by miał w tym interes, zrobiły wszystko, żeby tej osobie coś się stało. Otóż nie jesteśmy tym zainteresowani, a to z tego powodu, że mamy w tej chwili podminowaną sytuację społeczną w Polsce” [262](#).

Trudno mieć pełne zaufanie do relacji agenta, ale trzeba przyznać, że wywody Flaka wydają się całkiem logiczne.

„To nie jest kwestia jakiejś specjalnej miłości – kontynuował pułkownik – tylko kalkulacji politycznej. Gdyby się coś temu człowiekowi stało, konsekwencje dla spokoju społecznego w Polsce byłyby straszne, groziłoby

to nawet jakimś niekontrolowanym wybuchem i tym, że ewentualna pomoc naszych sojuszników okazałaby się konieczna” [263](#).

Dziwne natomiast wydaje się zachowanie Turowskiego – zawsze uważał, że „oficer wywiadu ma takie plany, jakie ma centrala”, a teraz twierdził, że odmówiłby zbierania informacji, które mogłyby posłużyć do zamachu na Ojca Świętego. I powoływał się na lojalność jezuitę wobec papieża, chociaż jednocześnie obstawał, że właściwie nigdy nie był zakonnikiem.

Mało wiarygodna wydaje się również jego relacja o kontaktach z ojcem Robertem Tuccim nadzorującym watykańską ochronę.

„Często korzystałem z posiłków w domu pisarzy, gdzie zaglądali radiowcy. Na te same posiłki przychodził ojciec Tucci, a więc starałem się być blisko niego przy stole i opowiadać moje wrażenia. Mówiłem na przykład, że wchodzę do Watykanu przez Bramę Świętej Anny, przechodzę przez dolne drzwi wieży Świętego Mikołaja, idąc krętymi schodami na poziom mniej więcej pięćdziesięciu metrów, i co zauważam? Że na tym odcinku prawie stu metrów schodów, który prowadzi do górnego wyjścia z wieży, otwierającego się na zewnętrzny dziedziniec banku, obok, po lewej stronie, są drzwi do windy prowadzącej bezpośrednio do apartamentów Papieża. Nie ma strażnika, nie ma nic. Dopiero na dziedzińcu jest budka strażnika z żandarmem watykańskim, jedynym, który teoretycznie ma zapewnić bezpieczeństwo dwóch strategicznie ważnych dla państwa watykańskiego punktów” [264](#).

Podobno ojciec Tucci chętnie słuchał uwag Turowskiego, wprowadzając modyfikacje w ochronie papieża. Zadowolili się też prostym wyjaśnieniem, że agent dlatego interesuje się bezpieczeństwem Ojca Świętego, gdyż jest to obowiązek Polaka i jezuitę.

A chociaż członków Towarzystwa Jezusowego obowiązywały śluby ubóstwa, ojciec Tucci miał się odwdzięczyć Turowskiemu materialnie.

„Pewnego dnia zaprosił mnie do swojej rezydencji w wieży San Giovanni, na terenie Watykanu. I nagle mówi: »Ty bardzo wiele robisz«. Ja na to: »Staram się«. I ojciec Tucci wstaje od biurka, odchyła obraz, otwiera sejf schowany za obrazem, wyjmuje dużą paczkę pieniędzy i mówi: »Jesteś zakonnikiem, klerykiem, wiem, że masz żyć w ubóstwie, ale jest zasada, że jak przełożony daje ci coś i mówi, na co masz to wykorzystać, to masz to wykorzystywać«. I mówi: »Tych pieniędzy nie wolno ci włożyć do

wspólnej kasy zakonnej, kup sobie przyzwoite buty, jakiś garnitur dobry, nawet jak chcesz, jedź na wakacje»” [265](#).

Szpieg zawsze podkreślał, że rozpracowywał nie papieża, tylko państwo Watykan. Jednak pewien zachowany dokument wskazuje na coś zupełnie innego. Zaprzecza też twierdzeniu, że agent starał się chronić Jana Pawła II przed niebezpieczeństwem.

„Źródło nr 10862 [Turowski – S.K.] podało:

Według wypowiedzi brygadiera Ferdinando de Luca z 1-szego Reparto Celere di Roma stan komisariatu Polizia di Sicurezza przy Watykanie zostanie powiększony o 10 policjantów i 7 podoficerów. Część z nich będzie wywodzić się z DIGOS [antyterrorysty – S.K.]. Akceptację kandydatów prowadzi prałat Manduzzi” [266](#).

Notatka ta nosi datę 15 lutego 1980 roku. Było to na kilkanaście miesięcy przed zamachem na Jana Pawła II na placu Świętego Piotra...

RAPORTY

„Wchodząc w system wywiadowczy – wspominał Turowski – uważałem, że służę państwu takiemu, jakie jest, bo innego wtedy nie było. Dla mnie idea służenia państwu była nadrzędna. I to samo było w Kościele. Spotkałem swoje zwierciadlane odbicie wśród monsignorów [dostojników – S.K.], w kurii watykańskiej również, czyli ludzi przekonanych do idei Kościoła jako takiego, Kościoła instytucji, ludzi niewierzących absolutnie, którzy zajmowali wysokie stanowiska, ale którzy byli przekonani, że dobrze czynią, służąc instytucji Kościoła” [267](#).

Zachowało się około 200 dokumentów sporządzonych na podstawie raportów Turowskiego. Rusycysta z Krakowa okazał się niezwykle utalentowanym szpiegiem i wkrótce był po imieniu z wieloma miejscowymi prominentami, miał też dobre kontakty z bezpośrednim otoczeniem papieża. Prowadził polską wersję dziennika watykańskiego, co zapewniało mu dostęp do coraz większej liczby dokumentów.

Raporty Turowskiego dotyczyły niemal wszystkich aspektów funkcjonowania Watykanu: polityki zagranicznej, sytuacji wewnętrznej, spraw kadrowych. Szczególne znaczenie miały jednak raporty Turowskiego

na temat polskiego Kościoła oraz kontaktów Stolicy Apostolskiej z wiernymi w Związku Radzieckim.

„Administrację kościelną i Watykan traktowałem jako struktury państwowe – tłumaczył – które (...) są nie mniej grzeszne niż w każdym innym świeckim państwie. Zresztą to widać dziś po wyciekach tajnych dokumentów watykańskich i ich treści, a ówczesnie na przykładzie wielkiego skandalu z mediolańskim Banco Ambrosiano i Bankiem Watykańskim, IOR (Istituto per le Opere di Religione), który się skończył zabójstwami, samobójstwami i ogromnymi nadużyciami.

Rozgraniczałem więc te dwa obszary, sacrum i profanum. I o ile mogłem, starałem się nie włączyć w obszar sacrum” [268](#).

Czy jednak na pewno? Turowski był oficerem wywiadu PRL-u, profesjonalistą i „ani wtedy, ani teraz” nie przeżywał żadnych rozterek duchowych. Działając w kościelnych strukturach, nie mógł oddzielić religii od polityki, nie przejmował się też faktem, że z powodu jego działalności ginęli ludzie.

„Miałem w ręku jego raport – mówił Piotr Jegliński – na temat rozmowy Ojca Świętego z generałem jezuitów na temat rozpowszechniania literatury religijnej na Związek Sowiecki, w którym były wymienione nazwiska osób żyjących w Związku Sowieckim. Chciałbym wiedzieć, co się stało z tymi ludźmi. Jaką cenę zapłacili za jego donos?” [269](#).

Nie był to jednostkowy przypadek, zdarzyło się również, że zdekonspirował działającego potajemnie w Kirgistanie jezuitę, ojca Szulca, który został zatrzymany przez KGB. Nie wiadomo, jakie były dalsze losy tego zakonnika.

Turowski musiał się domyślać efektów swoich raportów na temat wiernych w ZSRR, wiedział bowiem, że trafiają one z Warszawy do Moskwy, a stamtąd do Berlina, Pragi czy Budapesztu. Potwierdzał to były szef Urzędu Ochrony Państwa i Agencji Wywiadu, Zbigniew Siemiątkowski:

„Istnieją dokumenty poświadczające, że na wszystkich forach międzynarodówki wywiadów krajów socjalistycznych, bo coś takiego było, (...) Watykan oceniano jako polską specjalność. I istnieją dokumenty, że ten urobek operacyjny z Watykanu był dostarczany do tych stolic krajów socjalistycznych, które go w danym momencie najbardziej potrzebowały” [270](#).

Szpieg był konsekwentny do samego końca. Ostatni jego donos na filologa radzieckiego Awierincewa pochodzi z marca 1988 roku...

Dużą rolę w działalności Turowskiego w Watykanie odgrywały jego osobiste kontakty. Jako dziennikarz Radia Watykańskiego i zaufany członek zakonu bywał zapraszany na prywatne śniadania do papieża, znał praktycznie każdego tamtejszego Polaka.

„Według informacji źródła 10862 – czytamy w notatce SB z marca 1981 roku – osoby z polskiego otoczenia papieża m.in. ks. ks. J. Paetz i Słaboń twierdzą, że papież w poufnej rozmowie z L. Wałęsą zwrócił jego uwagę na:

– konieczność ugody z władzami, jednak za cenę maximum ustępstw władz,

– potrzebę rozbudowy programu ideowego NSZZ »Solidarność« w oparciu o katolicką naukę społeczną z jednoczesnym ograniczeniem lewicowych idei KSS KOR w »Solidarności«” [271](#).

Zdobywanie informacji nie było dla Turowskiego sprawą zbyt trudną. Wydaje się bowiem, że gadulstwo stanowiło dominującą cechę watykańskich duchownych. Nawet tych najbliższych papieżowi:

„Źródło nr 10862 podało:

(...) według informacji ks. Stanisława Dziwisza, podczas poufnej rozmowy papieża z [prezydentem] Carterem, J.P. II opowiedział się za koniecznością utrzymania pokoju, ale zachował pozycję konfrontacji z komunizmem. Natomiast wypowiedział się przeciwko polityce popierania integryzmu muzułmańskiego, szczególnie w funkcji antyradzieckiej, obliczonej na zaktywizowanie w ZSRR grup muzułmańskich. Podkreślił konieczność uwzględnienia interesów chrześcijan bliskowschodnich” [272](#).

PARYŻ

Szpiegowska aktywność Turowskiego nie ograniczała się wyłącznie do Watykanu. Jesienią 1980 roku został skierowany na studia do Francji, co warszawska centrala przyjęła bez większych emocji. W Polsce trwał karnawał Solidarności, a pobyt agenta w ośrodku jezuickim Meudon pod Paryżem otwierał przed nim nowe możliwości. Było to bowiem wyjątkowe miejsce.

„W Ośrodku Studiów Rosyjskich w Meudon – wyjaśniał Turowski – uczyli się studenci z Georgetown, elitarnego uniwersytetu amerykańskiego, zresztą prowadzonego przez jezuitów. Georgetown to taka kuźnia kadr dyplomacji amerykańskiej. Byli tam też studenci z akademii wojskowej w Saint-Cyr, która z kolei szkoliła większość attaché wojskowych Francji na całym świecie. No i byli tam studenci brytyjscy, oficerowie MI 5 i MI 6” [273](#).

Jednocześnie zajął się rozpracowywaniem polskiej emigracji skupionej wokół Piotra Jeglińskiego i jego wydawnictwa Editions Spotkania. Działalność tej grupy była bowiem wyjątkowo niebezpieczna dla komunistów.

„Dzięki rekomendacji »Tygodnika Powszechnego« – potwierdza Cezary Gmyz – Turowski zaprzyjaźnił się z Jeglińskim, człowiekiem, za którym w owym czasie uganiały się służby całego bloku wschodniego (...). Jegliński miał wtedy wyrok śmierci u komunistycznych służb. Bardzo chcieli go dopaść – Stasi, KGB, polska esbecja. Był uważany za jednego z najważniejszych wrogów komuny. Drukował na Zachodzie i szmuglował do Polski literaturę opozycyjną. Zawsze miał smykałkę do biznesu, stworzył bardzo prężny ośrodek” [274](#).

Editions Spotkania wyrosły na poważną konkurencję dla „Kultury” Jerzego Giedroycia, były też nastawione znacznie bardziej antykomunistycznie. Jegliński i jego współpracownicy często podróżowali do Rzymu, gdzie byli przyjmowani przez papieża i jego otoczenie. A to znacznie ułatwiało Turowskiemu działania.

„[Podobno] jego głównym zadaniem było śledzić NATO poprzez kapelanów – ironizował Piotr Jegliński. – Jest to śmieszne. Cóż on tam mógł śledzić w Centre Russe w Meudon. Mógł najwyżej poznać paru pomniejszych zachodnich agentów. Jego głównym celem było śledzenie opozycji, czyli naszego środowiska. Był zwykłym kapusiem. Przecież te raporty są żałosne, pisane w duchu dialektyki marksistowskiej. Zresztą sam przeczytałem, jak jeszcze niedawno określał się jako marksolog” [275](#).

Po latach Turowski ma na ten temat – oczywiście – inne zdanie. W dodatku twierdzi, że to nie Jegliński miał zostać rozpracowany, lecz jego współpracownik, Rafał Gan-Ganowicz. Podobno takie polecenie dostał podczas kolejnego pobytu w kraju.

„Tam pojawił się człowiek – informowano agenta – co do którego mamy poważne obawy. To dobry fachowiec od sabotażu, oficer, który ma

na koncie wiele misji jako najemnik i dziesiątki, a może setki zlikwidowanych ludzi. I przy tej narastającej fali rozgoryczenia [w Polsce wprowadzono już stan wojenny – S.K.] i agresji boimy się, że od działalności poprzez publikacje podziemne, od pracy przy powielaczach, może w Polsce dojść do aktów przemocy” [276](#).

Rafał Gan-Ganowicz faktycznie służył przez lata w charakterze najemnika w Afryce. Uchodził też za zajadłego antykomunistę, ale w latach 80. porzucił już czynną służbę (miał 50 lat) i pracował jako technik we włoskiej wytwórni kawy. Do Editons Spotkania wciągnął go Jegliński, a zarzuty, że obaj planowali zamachy terrorystyczne w kraju, brzmiały niepoważnie.

Turowski twierdził jednak coś zupełnie odmiennego i nawet zrelacjonował wizytę z Gan-Ganowiczem w pewnej willi pod Paryżem, gdzie razem przestreliwali broń przeznaczoną dla polskiej opozycji. Trudno w to uwierzyć, jednak szpieg całkiem poważnie opisywał, że paryscy opozycjoniści zamierzali obalić komunizm w Polsce za pomocą „parabellum 9 mm ze śrutem zamiast pocisków”...

„To broń przydatna w kontakcie prawie bezpośrednim – twierdził Turowski. – Ona jest skuteczna przy strzale z czterech, pięciu metrów od celu, może ciężko zranić, oślepić” [277](#).

Faktycznie, pistolety na śrut zawsze stanowiły podstawowe wyposażenie partyzantki miejskiej i zapewne miały też posłużyć do rozbijania kolumn ZOMO.

KONTROWERSJE

Mimo że miał przebywać we Francji, Turowski właściwie cały czas krążył między Paryżem a Watykanem. Wiele kontrowersji wzbudziła też jego obecność we Włoszech podczas zamachu na Jana Pawła II. Szpieg kategorycznie jednak temu zaprzeczał, twierdząc, że był wówczas nad Sekwaną.

„Jest raport bodaj z maja 1981 roku – mówił Piotr Jegliński – wysłany do Warszawy przed zamachem na temat wizyty Ojca Świętego w Polsce. Wizyta miała mieć miejsce krótko potem, ale z powodu zamachu do niej nie doszło. I jest dokument, który mówi o głównych tezach wystąpień Ojca

Świętego, więc to wskazuje, że Turowski musiał być w Rzymie. (...) Parę razy, kiedy formalnie był w Paryżu, widywałem go w Rzymie. Na przykład w »L'Osservatore Romano« u księdza Adama Bonieckiego” [278](#).

Gdy była okazja, Turowski przyjeżdżał również do Polski, gdzie nie tylko składał raporty swym przełożonym w Magdalence, lecz znalazł też czas, by pojechać do Gdańska na spotkanie z Aleksandrem Hallem i Bogdanem Lisem. Obaj opozycjoniści ukrywali się przed SB, a Turowski występował wobec nich jako paryski jezuita i gorliwy antykomunista. Zapewne było to dalsze legendowanie, czyli tworzenie biografii wiarygodnej dla przeciwników PRL-u.

„Zrobił na mnie wrażenie bardzo inteligentnego człowieka – wspominał Aleksander Hall. – Pamiętam, że zwróciło moją uwagę, że zachowywał się mało księzowsko, bardzo był zainteresowany polityką” [279](#).

Rzeczywiście, obiegowe opinie na temat zakonników nie pasowały do agenta. Praktycznie przez cały czas chodził ubrany po cywilnemu, rzadko nawet zakładał koloratkę. Zresztą zawsze nosił się w podobny sposób, także wtedy, gdy pracował dla Radia Watykańskiego.

„Nigdy w życiu nie wystąpiłem w sutannie – przyznawał. – Nosilem normalne koszule, na ogół czarne, z koloratką lub bez. Koloratki używałem tylko w miejscach służbowych, to znaczy na terenie Radia Watykańskiego czy podczas spotkań z hierarchami wysokiego szczebla, bo wypadalo. Przyznaję, że budziło to w niektórych przypadkach zgrzytanie zębów ze strony hierarchów, i były sugestie, żeby wkładać sutannę. (...) Przypomnę, że Ignacy Loyola sformułował to tak, że jezuita powinien zachowywać zewnętrzne formy takie jak średniej klasy człowiek swojej epoki, i koniec. A średniej klasy człowiek swojej epoki wtedy, w latach siedemdziesiątych, chodził w garniturze” [280](#).

W Meudon Turowskiemu zdarzały się także inne wykroczenia przeciwko regule zakonnej. Prowadził bujne życie towarzyskie i zwracał dużą uwagę na płeć piękną, nie brakowało tam bowiem urodziwych studentek.

„Ta ostatnia słabość ściągnęła zresztą na Turowskiego kłopoty – potwierdzał Cezary Gmyz. – W pewnym momencie, nie wiedząc czemu, wpadł w panikę. Był wówczas związany właśnie z jedną ze studentek, córką wpływowego francuskiego polityka Michela Rocarda, późniejszego

premiera Francji. Prawdopodobnie Turowski stał się – poprzez ten romans – obiektem zainteresowania francuskiego kontrwywiadu” [281](#).

Skończyło się na tym, że szpieg niespodziewanie opuścił Meudon i przyjechał do Polski. Przełożonym z zakonu oznajmił, iż wybiera życie świeckie, gdyż zakochał się i chce zawrzeć małżeństwo. Ale wcale nie miał na myśli swojej francuskiej dziewczyny.

„Poznałem w Meudon studentkę, Hiszpankę – wspominał – wtedy stypendystkę Polytechnic of Central London. Pomagała mi w organizowaniu kursów rosyjskiego. Potem, jak już skończyło się stypendium, a chciała kontynuować kurs, zaczęła pracować jako bibliotekarka w bibliotece słowiańskiej, Bibliothèque Slave. Czułem do niej daleko idącą sympatię, która może nie była jeszcze czymś, co można nazwać miłością, ale czymś, co ku temu zmierzało, była to już forma głębokiego przywiązania” [282](#).

Pomiędzy bajki należy jednak włożyć jego stwierdzenie, że porzucił jezuitów bez zgody centrali SB w Warszawie. Był bowiem zbyt zdyscyplinowanym agentem, aby pozwolić sobie na podobną niesubordynację. Wszystko to wygląda na odpowiednio zaplanowaną akcję. Oficer wywiadu nie poślubiłby zresztą obywatelki państwa należącego do NATO bez aprobaty przełożonych.

„Turowski i panna de Dios biorą ślub w kościele wizytek – kontynuował Gmyz – a potem goście jadą na wesele. Na tym weselu obecny jest Janusz Krupski, kontakt Editions Spotkania w Polsce. I oto Krupski zaczyna ze zdumieniem przyglądać się przedziwnemu towarzystwu, które na weselu się pojawiło. Impreza odbywa się w Zajeździe Napoleońskim przy ulicy Grochowskiej w Warszawie. Zdaniem Krupskiego, który dzielił się potem z Jeglińskim swymi wątpliwościami, przynajmniej kilku z gości ani trochę nie przypominało brodatych opozycjonistów, bardziej pasowali natomiast na oficerów SB” [283](#).

Tylko czyje tak naprawdę polecenia wypełniał wówczas Turowski? Wyłącznie polskiego wywiadu? Czy także sowieckiego, a może – chociaż brzmi to nieprawdopodobnie – również amerykańskiego? W świetle późniejszych wydarzeń wcale nie jest to wykluczone. I nie wiadomo, czy był wówczas podwójnym, czy może nawet potrójnym agentem...

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Opuszczenie zakonu i małżeństwo nie przerwały szpiegowskiej kariery agenta. Nadal krążył między „Francją, Rzymem a Polską i rozpracowywał dawnych znajomych”. Przy okazji penetrował środowisko związane ze Stronnictwem Demokratycznym. Coraz częściej wyjeżdżał też do Związku Sowieckiego. Oficjalnie używał wówczas legitymacji prasowej „Rzeczpospolitej”, chociaż nigdy nie współpracował z tą redakcją. Nic właściwie nie wiadomo o tych podróżach, a tłumaczenia Turowskiego, że wypełniał tam w tajemnicy przed KGB zadania na rzecz polskiego wywiadu, brzmią wyjątkowo infantylnie.

Przed obradami Okrągłego Stołu dostarczył bezpiece informacje na temat otoczenia Tadeusza Mazowieckiego, relacjonował kulisy utworzenia pierwszego niekomunistycznego rządu. Nadszedł wreszcie rok 1990 i weryfikacja oficerów SB, którą agent przeszedł pozytywnie! Do dzisiaj nie znamy przyczyn takiego obrotu sprawy – czyżby faktycznie miał także innych mocodawców?

„W III RP Turowski odnalazł się znakomicie – przyznawał Gmyz. – W latach dziewięćdziesiątych trafia do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Według moich źródeł został ściągnięty do resortu przez Bronisława Geremka, którego poznał poprzez swoich francuskich przyjaciół. W MSZ Turowski pełnił kolejno dość rozmaite, dość eksponowane funkcje, jak dyrektor departamentu. Często wyjeżdża za granicę, nadal ma świetne kontakty w kręgach kościelnych, pozostaje łącznikiem pomiędzy MSZ a Watykanem, między Kościołem a patriarchatem moskiewskim” [284](#).

Dawny szpieg znał praktycznie wszystkich – zarówno tych z prawej, jak i z lewej strony sceny politycznej. I ze wszystkimi miał dobre stosunki, co niebawem zaowocowało skierowaniem go na placówkę do Moskwy. Brany był pod uwagę także przy obsadzie stanowiska ambasadora przy Watykanie (!), ostatecznie trafił jednak na Kubę. I tam, jako ambasador RP, już na pewno współpracował ze służbami Stanów Zjednoczonych. Gdy zakończył kadencję, minister Anna Fotyga przyznała mu rangę ambasadora tytularnego – najwyższy możliwy do zdobycia tytuł dla polskiego dyplomaty. Trzy lata później Turowski wrócił do pracy w MSZ-ecie i znów trafił do Moskwy. To właśnie on przygotowywał tragiczną wizytę w Katyniu prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W chwili katastrofy był wraz z innymi oficjelami na lotnisku Siewiernyj.

Smoleńska tragedia stanowiła ważną cezurę w życiu Tomasza Turowskiego. Były jezuita zaczął mieć problemy lustracyjne, okazało się, że w swoim oświadczeniu zataił fakt pracy w charakterze oficera wywiadu. Przegrał pierwszy proces, ale „w drugiej instancji sąd ogłosił, że Turowski nie tylko nie był kłamcą lustracyjnym, ale także, że cały proces w ogóle nigdy nie powinien się zacząć”.

Nie znamy przyczyn orzeczenia sądu, uzasadnienie pozostało tajne. Podobno uznano, że Turowski „działał w stanie wyższej konieczności” i ujawniając się, zagroziłby bezpieczeństwu agentury, do której należał. W efekcie do dzisiaj właściwie nie wiemy, komu tak naprawdę służył Tomasz Turowski i czy rzeczywiście w swoim życiu „miał wielu panów”. Chyba że poważnie potraktujemy opinię, iż prawdziwy profesjonalista zawsze znajdzie zatrudnienie – bez względu na panujący ustrój i aktualnie obowiązujące sojusze polityczne...



Zwerbowany przez CIA Leszek Chróst został skazany na 25 lat pozbawienia wolności, choć prokurator domagał się dla niego kary śmierci

ROZDZIAŁ 9

ZDRADA ZA PIENIĄDZE

Wojna wywiadów jest równie stara jak ludzkość, od początku jej celem było zdobycie jak najcenniejszych informacji. Przez całe lata przyzwyczailiśmy się do tego, że to agenci bloku wschodniego usiłowali wykraść nowe technologie, by próbować je skopiować w krajach socjalistycznych. Okazało się jednak, że państwa Zachodu także pilnie obserwowały osiągnięcia przeciwnika, nawet te z dziedziny gospodarki. Informacje na ten temat stanowiły bowiem ważny element polityki, czasami wręcz ważniejszy niż zbrojenia czy zwycięska wojna.

Ideologia, szantaż i przekupstwo to najczęstsze powody zdrady i współpracy z wrogiem. Zresztą ilu szpiegów – tyle motywacji, a każdy przypadek należałoby potraktować indywidualnie. Bohaterem niniejszego rozdziału jest szpieg, który za swoją działalność został skazany na najwyższy wymiar kary, chociaż nie wykraść tajemnic o znaczeniu strategicznym. Sam zresztą traktował agenturalną działalność jako źródło poważnych, dodatkowych dochodów, czyniąc z niej rodzaj prywatnego biznesu. A chociaż ostatecznie nie został stracony, to jednak zapłacił wysoką cenę za współpracę z CIA.

SZKOŁA GŁÓWNA
SŁUŻBY ZAGRANICZNEJ

Leszek Chróst pochodził z Leszna Wielkopolskiego. Na świat przyszedł w październiku 1932 roku, jego ojciec prowadził zakład powroźniczy, natomiast matka zajmowała się domem. Chróstowie przetrwali okupację w rodzinnym mieście i mieli dużo szczęścia, gdyż nie objęły ich hitlerowskie wysiedlenia. Mały Leszek chodził nawet do szkoły dla Polaków i pracował jako goniec w niemieckiej firmie.

„Ojciec w Lesznie posiada jednorodzinny domek – informowano w notatce służbowej dla SB. – W czasie okupacji pracował jako powroźnik w niemieckiej firmie. Po wyzwoleniu otworzył własny zakład powroźniczy. Z kolei przez okres trzech lat warsztat miał zamknięty i pracował, zbijając skrzynie w fabryce cukierków. Ostatnio otworzył ponownie swój warsztat. Biernie ustosunkowany do obecnego ustroju” [285](#).

Leszek Chróst ukończył w Lesznie szkołę podstawową i liceum handlowe. Uważany był za pilnego i zdolnego ucznia, lubił dużo czytać, a wolny czas z reguły spędzał z książką w domu. W 1952 roku podjął pracę w rachunkowości w spółdzielni produkcyjnej jako instruktor wydziału rolnictwa. Za pracę zbierał dobre opinie od przełożonych, zarzucano mu jednak brak aktywności społecznej, gdyż nie należał do żadnej organizacji.

Ambicje młodego Chrósta sięgały jednak dalej niż matura w liceum handlowym i praca w spółdzielni produkcyjnej. Można podejrzewać, że zatrudnił się tam wyłącznie po to, by uzyskać rekomendację na studia, bowiem bez pozytywnej opinii z miejsca pracy raczej trudno byłoby mu się dostać na uczelnię, którą sobie wymarzył.

Każde państwo potrzebuje profesjonalnych kadr urzędniczych i dyplomatycznych – z tego powodu w 1950 roku w Warszawie powołano do życia Szkołę Główną Służby Zagranicznej. Była kontynuacją przedwojennej Szkoły Nauk Politycznych, chociaż w realiach epoki PRL-u stała się uczelnią poddaną indoktrynacji politycznej. Mimo to jej absolwentów uważano na arenie międzynarodowej za wysokiej klasy fachowców od dyplomacji.

Szkołę Główną Służby Zagranicznej zlikwidowano w 1961 roku i Chróst był jednym z ostatnich jej absolwentów. Zaczął studia na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym, co chyba dobrze ilustruje jego ambicje. Przy okazji ten spokojny dotychczas młody człowiek zachłysnął się życiem wielkiego miasta.

„Przystojny, średniego wzrostu – charakteryzował go oficer SB, Stanisław Hrycaj – zawsze elegancko i modnie się ubiera. Potrafi szybko

i zρέcznie nawiązywać kontakty z różnymi ludźmi. Lubi lokale nocne i chętnie je odwiedza, najczęściej bawi się w Kongresowej. Lubuje się w meżatkach. Stałej sympatii jeszcze nie ma. Z zasady szybko zmienia znajome” [286](#).

Taki tryb życia bez wątpienia miał wpływ na wyniki Chrósta na uczelni. Jeden z kolegów określił go jako „studenta raczej mało zdolnego”, który „na czwartym roku po oblaniu egzaminu komisyjnego stanął przed dylematem powtarzania roku”. Do tego promotor „nie przyjął jego pracy magisterskiej ze względu na skopiowanie znanej skądinąd publikacji naukowej”, co spowodowało konieczność przenosin na studia eksternistyczne. W efekcie „egzamin magisterski zdał dopiero w 1961 roku” [287](#). Z drugiej jednak strony – wielu bardzo zdolnych ludzi miało problemy ze studiowaniem i to wcale nie z powodu braku umiejętności... Po prostu wesołe życie ma swoją cenę.

Gdyby Chróst faktycznie był mało zdolnym człowiekiem, to w 1959 roku (jeszcze podczas studiów) nie podjąłby pracy w Centrali Handlu Zagranicznego „Metalexport”. Etat handlowca stanowił furtkę do kariery. Zatrudnienie w Metalexporcie oznaczało częste wyjazdy na Zachód, z tego też powodu było to idealne miejsce do działalności agentury PRL-u. Niebawem osobą Chrósta zainteresowała się Służba Bezpieczeństwa.

WSPÓŁPRACOWNIK SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA

Centrale handlu zagranicznego w PRL-u zawsze były wylęgarnią szpiegów. Pracownik firmy stawał się obiektem zainteresowania ze strony wywiadu lub kontrwywiadu, chociaż mogło to przybierać bardzo zróżnicowaną formę – począwszy od służbowej wymiany informacji po ukadrowienie, czyli wpisanie handlowca w poczet funkcjonariuszy. Chróst wydał się kontrwywiadowi interesujący, gdyż był inteligentny i miał pewne słabości życiowe.

„Zrównoważony o usposobieniu łagodnym – oceniano go w Wydziale I Departamentu II MSW. – Oczytany. Lubi życie lokalowe. Jest bardzo towarzyski i potrafi zdobyć sobie zaufanie otoczenia. Jest kobieciarzem,

lubuje się w mężatkach. Biorąc pod uwagę jego walory osobiste, należy się liczyć, że w najbliższej przyszłości będzie on mógł być nam przydatny” [288](#).

Jak widać, Chróst był dla SB odpowiednim kandydatem na współpracownika. Dobrze zapowiadający się handlowiec o rozrywkowym usposobieniu, a do tego wyjątkowo lubiący pieniądze. Dlatego też nie zwracano uwagi na pewne cechy jego charakteru, które raczej powinny go dyskwalifikować.

„Pedancik, bardzo błyskotliwy – charakteryzował go były kolega ze studiów, funkcjonariusz SB, Zygmunt Rychel. – Cechuje go pewna łąpczywość na pieniądze połączona z zazdrością posiadania ich przez innych. Za pieniądze skłonny jest zrobić wszystko. Jest typem człowieka o dwóch obliczach: na co dzień i na wystąpienia oficjalne. Wyznaje zasadę: cel uświęca środki. Jest zwolennikiem prywatnej własności. Dla otoczenia jest ateistą, a faktycznie człowiekiem wierzącym. W 1961 roku w sposób skryty wziął ślub kościelny” [289](#).

Przed zwerbowaniem czy zaproponowaniem współpracy zawsze przeprowadzano wszechstronny wywiad. Służby brały pod lupę kontakty przyszłego agenta, jego tryb życia, sprawdzały, czy ma krewnych za granicą. Liczyła się też opinia z PZPR-u i macierzystego zakładu pracy. Czasami – przy wykorzystaniu innej sieci agenturalnej – starano się potencjalnego współpracownika dodatkowo zweryfikować, by zyskać pewność, że będzie użyteczny. Praca Chrósta w Metalexporcie, która umożliwia mu kontaktowanie się ze środowiskami zagranicznymi, oraz jego upodobania i słabostki stanowiły dla SB doskonałe połączenie.

Ponieważ Chróst był kandydatem do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i niebawem miał zostać przyjęty w poczet jej członków, dobrowolnie zgodził się na współpracę z kontrwywiadem PRL-u z powodów ideowych, gdyż jako „członek partii nie mógł być traktowany jako współpracownik Służby Bezpieczeństwa angażowany na innych zasadach”. Oczywiście doskonale wiedział, że propozycja SB należała do tych z rodzaju nie do odrzucenia – w razie odmowy jego kariera zawodowa mogłaby się szybko zakończyć. Dla ułatwienia wykonywania obowiązków i „dla ogólnego dobra” przyjął pseudonim Sikorski.

Wprawdzie faktycznie istniał zakaz werbowania członków i kandydatów do PZPR-u, ale zdarzały się wyjątki. Najwyraźniej Chrósta uznano za zbyt obiecujący kontakt, by z niego zrezygnować. Jednak Służba Bezpieczeństwa nigdy nie planowała zrobić z niego pełnoprawnego agenta.

Problemy ze studiami i podjęcie pracy w Metalexportach zdecydowały, że Chróst zmienił swoją postawę. Został aktywnym działaczem ZMS-u i kandydatem do PZPR-u. Uznał, że bez tego nie zrobi kariery, a za wszelką cenę chciał wybić się zawodowo. Z zachowanych dokumentów wyłania się postać konformisty chętnie idącego na kompromisy, by tylko osiągnąć zamierzony cel. Takie postępowanie przyniosło efekty – Służba Bezpieczeństwa pozytywnie zaopiniowała jego wyjazd na kilkuletni kontrakt do Tajlandii.

INDOCHINY

Bangkok, stolica Tajlandii, był największą aglomeracją regionu i miejscem, gdzie koncentrowała się działalność służb wywiadowczych wielu krajów. Po wycofaniu się Francuzów z Wietnamu i Kambodży w całym regionie narastało napięcie, które niebawem miało się przerodzić w krwawą amerykańską interwencję. W Bangkoku krzyżowały się interesy różnych wywiadów, zatem wysłanie tam Chrósta można uznać za dowód zaufania do jego osoby. Tym bardziej że wyjechał tam z żoną. Zresztą w Tajlandii przyszło na świat dwoje ich dzieci.

Chróst vel Sikorski pojawił się w Bangkoku jesienią 1961 roku, podejmując pracę w biurze delegata polskich centrali handlu zagranicznego. Szybko stał się obiektem obserwacji CIA, która bezbłędnie określiła jego słabe punkty: pieniądze i kobiety. Niebawem bliskim znajomym Chrósta został współpracownik amerykańskich służb, obywatel Austrii, Alfred Stein. Oficjalnie był przedstawicielem spółki tajlandzko-austriackiej, w rzeczywistości do jego głównych zadań należało rozpracowywanie przedstawicieli Europy Wschodniej w Bangkoku. Stein szybko stał się nieodłącznym towarzyszem nocnych wypraw „Sikorskiego”.

„Chróst nie miał charakteru oficera wywiadu – wspominał go były oficer SB, Jan Bisztyga. – Wywiad opiera się o zdobywanie dusz i umysłów ludzkich, a nie ciał. Aby ktoś poszedł na współpracę z obcym wywiadem, ryzykując życie, to nie jest łatwe zadanie go zwerbować. Przecież musi on działać przeciwko własnemu państwu, firmie czy grupie ludzi. Oczywiście, że do tego wszystkiego dochodzą pieniądze i wszelkie ułomności, które posiadał Chróst” [290](#).

Czyli odwieczna metoda nakłaniania do współpracy: korek, worek czy rozporek? Chróst był łatwym celem do szantażu, co CIA bezbłędnie wykorzystwała. Stein po mistrzowsku rozegrał całą sprawę, poznał Polaka z Suzy, miejscową prostytutką, dla której handlowiec stracił głowę. Dbął, by Chróst przywiązał się do dziewczyny, a niektóre ich zbliżenia fotografowano z ukrycia. Gdy uznał, że nadszedł odpowiedni czas, wystawił Chrósta swoim amerykańskim mocodawcom. Nastąpiło to trzy lata po przybyciu Polaka do Bangkoku.

Stein z Chróstem udali się do lokalu na kolację. Suzy nie pojawiła się, natomiast Austriak zniknął w odpowiedniej chwili, a Polakiem zajął się kadrowy pracownik amerykańskiego wywiadu, który przedstawił się jako Mike. Okazało się, że Jankeś był bardzo dobrze przygotowany do rozmowy.

„Mike zapytał mnie – wspominał Chróst – czy sprawę przemyślałem, czy zgadzam się na współpracę z nim. Ja odpowiedziałem, że przemyślałem, ale nie widzę możliwości współpracy. Wtedy Mike dał mi do zrozumienia, że dziwi się mojej postawie, gdyż mam młodą żonę i dzieci i nie chciałbym chyba, aby stało się im coś złego. W czasie rozmowy ten drugi, kierowca, położył przede mną na stoliku kilka czarno-białych zdjęć dużego formatu, na których byłem ja w trakcie stosunku z Suzy, prostytutką” [291](#).

Podobno początkowo Chróst kategorycznie odmówił współpracy, jednak ostatecznie pojechał z nowym znajomym do jednej z podmiejskich willi. Na miejscu Mike wykazał się dużą znajomością szczegółów z życia Polaka, a do werbunku doszło kilka dni później w nadmorskiej miejscowości Pattaya.

AGENT CIA

Szantaż był potrzebny, ale chyba zdecydowały finanse. Chróst potrafił liczyć, a gdy Amerykanie zaproponowali mu stałe miesięczne honorarium w wysokości 200 dolarów, zgodził się na współpracę. W 1964 roku czarnorynkowa cena dolara wynosiła 103 złote, średnia krajowa 1816 złotych, czyli niespełna 18 dolarów. Oferta CIA opiewała na ponad 11 średnich krajowych miesięcznie, co – przeliczając na dzisiejsze warunki –

daje prawie 12 tysięcy euro miesięcznie. Do tego dochodziły jeszcze różne bonusy, zatem dla Chrósta była to doskonała oferta handlowa.

Po kilku spotkaniach podpisał zobowiązanie do współpracy i pokwitował odbiór pierwszych 300 dolarów. Przyjął pseudonim Jan Ski, ustalono też zakres zainteresowań Amerykanów i skrzynki kontaktowe. Najważniejszą z nich była szafka na ubrania w ekskluzywnym Royal Sports Club w Bangkoku.

„Był to klub zamknięty – wspominał Chróst – kandydat musiał mieć rekomendację dwóch wieloletnich członków i wyrażoną zgodę przez 15 członków podkomisji klubu. Ja przez tę procedurę przyjęcia przeszedłem pozytywnie. Na jednym ze spotkań Mike wręczył mi klucz do szafki ubraniowej sąsiadującej z moją” [292](#).

Chróst przeszedł podstawowe szkolenie w zakresie procedur szpiegowskich, a główny nacisk położono na sposoby kontaktu z amerykańskimi przełożonymi. Nauczył się odbierać szyfrowane audycje radiowe i sporządzać meldunki za pomocą tajnopisów. Oswajał się także z amerykańską praktyką skrzynek kontaktowych ukrytych w ceglach i kamieniach. Przy okazji zbadano go również wariografem – przeszedł test bez większych problemów. Najwyraźniej Chróst nic nie ukrywał przed pracownikami agencji, zapewne przyznał się również do współpracy z SB.

Już w pierwszym okresie przekazał Amerykanom istotne informacje, z których wywiad Stanów Zjednoczonych mógł wyciągnąć daleko idące wnioski na temat polityki czy obronności USA. Dotyczyły bowiem nie tylko polskiego przedstawicielstwa Metaexportu w Tajlandii, lecz także placówek dyplomatycznych państw bloku wschodniego w całych Indochinach. Co więcej, Chróst wpuszczał przedstawicieli CIA do pomieszczeń służbowych firmy, dzięki czemu bez problemu fotografowali przechowywane tam materiały. Posunął się nawet do tego, że umożliwił dorobienie kluczy do kasy pancernej w placówce.

CIA traktowało Chrósta jako inwestycję na przyszłość. Wprawdzie szpieg zaczął dostarczać pierwsze informacje jeszcze podczas pobytu w Tajlandii, ale Amerykanie instruowali agenta, że jego czas dopiero nadejdzie. Miał się skupić na karierze zawodowej, gdyż awansując, byłby dla nich bardziej przydatny. Oczywiście wiązało się to z dodatkowymi gratyfikacjami.

RYZIKO I KALKULACJA

Tuż przed powrotem do Polski CIA dostarczyła Chróstowi wyposażenie służące do odbierania instrukcji. Oprócz aparatu radiowego marki Sony (zakodowane polecenia miał otrzymywać na długich falach) dostał też bloczki szyfrowe oraz posążek Buddy ze skrytką.

Rodzina Chróstów wróciła do kraju w sierpniu 1965 roku. Przez pierwsze pół roku agent zgodnie z otrzymanymi zaleceniami nie podejmował prób kontaktu, natomiast przyzwyczajał otoczenie do tego, że często słucha radia przez słuchawki. W ciągu kolejnych trzech lat odebrał około 50 zaszyfrowanych instrukcji nadawanych specjalnie dla niego z bazy CIA we Frankfurcie. Dostał też dwie przesyłki w martwej skrzynce zlokalizowanej w Lesie Kabackim, a podczas podróży służbowych do Egiptu, Austrii, Peru i Libanu czterokrotnie spotkał się z pracownikami CIA. W zamian wysłał około 40 raportów sporządzonych tajnopisem na podany mu adres w Brukseli.

Wszystko to jednak wyglądało na nieco amatorskie działania. Jedna martwa skrzynka w tym samym miejscu, 40 raportów na ten sam adres w państwie kapitalistycznym. To nie mogło dobrze się skończyć, przecież w polskim kontrwywiadzie nie pracowali głupcy.

Tym bardziej że w 1967 roku aresztowano pracownika Metalexportu, inżyniera Jerzego Strawę, który od siedmiu lat współpracował z amerykańskim wywiadem. W grudniu tego samego roku skazano go na karę śmierci i w maju 1968 roku rozstrzelano. Fakt ten wywarł ogromne wrażenie na Chróstcie, który natychmiast zerwał współpracę z CIA i zniszczył część otrzymanego wyposażenia. Przy okazji zachował się skandalicznie wobec rodziny skazańca – jako szef organizacji partyjnej Metalexportu odmówił wdowie wypłacenia zasiłku. Głośno przy tym wyrażał oburzenie, że „żona szpiega ośmiela się prosić o pieniądze”.

Można przypuszczać, że Chróst skalkulował ryzyko i uznał, iż spotkanie z plutonem egzekucyjnym nie jest warte otrzymywanych pieniędzy. Zwłaszcza że żyło mu się coraz lepiej, a początek lat 70. zapowiadał dalsze sukcesy. Chróst ugruntował swoją pozycję w Metalexporcie, cieszył się znakomitą opinią przełożonych, a młodzi pracownicy, tacy jak Marian Zacharski, patrzyli na niego z pewną zazdrością.

„Był raczej milczący, zamknięty w sobie – wspominał Zacharski. – Miał taki tik, nerwowy ruch głową. Pomyślałem wtedy, że praca tutaj,

w Metalexporcie może być źródłem silnego stresu. Oschły, jakby ciągle wystraszony. Traktowałem go neutralnie, bo był człowiekiem, którego trudno lubić, ale też i nie było powodów, by go nie lubić” [293](#).

Chróstowi powodziło się coraz lepiej, czego dowodem był dom wybudowany przy ulicy Augustyna Locciego na warszawskich Stegnach. Jeździł też zachodnim samochodem i powszechnie był uważany za człowieka zamożnego. Podobno jednak wykazywał dużą skrupulatność w wydatkach dla rodziny, ale jak wiadomo – pens jest ojcem gwinei. Wydaje się jednak, że strach przed dekonspiracją nie był jedynym powodem zerwania współpracy z CIA. Duże znaczenie miał zapewne fakt, że Amerykanie wpłacali jego wynagrodzenie na specjalne konto w USA, a do ręki Chróst dostawał tylko premie.

HELSINKI

Kariera handlowca nabierała rozpędu, z ramienia firmy Chróst odwiedził łącznie ponad 30 krajów w różnych zakątkach globu. W maju 1973 roku przez trzy miesiące organizował placówkę Metalexportu w Helsinkach, by we wrześniu objąć tam stanowisko kierownika delegatury firmy. Przy okazji został członkiem egzekutywy, a następnie pierwszym sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej przy polskiej ambasadzie. Jego spokojny tryb życia zakłóciła jednak CIA, która po trzech latach pobytu Chrósta w Finlandii przypomniła sobie o jego istnieniu.

„W umówionym czasie – wspominał – przybyłem na spotkanie, czekał tam na mnie pracownik wywiadu, który przedstawił się jako Henry. Powiedział, że w pobliżu czeka jego samochód, którym pojedziemy do jego mieszkania, gdzie spokojnie porozmawiamy. Samochód zatrzymał się na ulicy Nylandsgatan, weszliśmy do bramy i pojechaliśmy na ostatnie piętro” [294](#).

Chróst dla przyzwoitości stawiał opór, ale ostatecznie zgodził się na wznowienie współpracy. Zapewne zadecydowała o tym informacja, że na jego koncie w USA zgromadzono już 10 tysięcy dolarów, czyli ponad 300 tysięcy euro. Jednocześnie zaproponowano mu podwyżkę uposażenia miesięcznego do wysokości 350 dolarów, czyli około 10 tysięcy euro.

Z zachowanych dokumentów wynika, że Chróst był człowiekiem bardzo interesownym. Wiadomo również, iż nie należał do najwierniejszych mężów, co zapewne generowało dodatkowe koszty. Zatem ponowną ofertę Amerykanów musiał przyjąć z zadowoleniem, tym bardziej że czas zatarł już nieco wspomnienie o losie Jerzego Strawy.

Funkcjonariusze CIA ponownie wyposażyli Chrósta w odpowiednie akcesoria, agent przeszedł też kolejne przeszkolenie w zakresie technik szpiegowskich. Odbywało się ono w zakonspirowanym mieszkaniu w Helsinkach. Przy okazji Amerykanie wyrazili swoje oczekiwania związane z jego karierą zawodową. Sugerowano mu nawet rozpoczęcie studiów w Wyższej Szkole Nauk Społecznych – partyjnej uczelni będącej kuźnią kadr PZPR-u.

I ponownie trudno się oprzeć wrażeniu, że działaniom wywiadu USA brakowało profesjonalizmu. Wyznaczono tylko jeden adres skrzynki kontaktowej – tym razem był to kamień przy szosie do Warszawy w miejscowości Stara Miłosna. Do tego adres w Bostonie, na który Chróst miał wysyłać tajnopisy oraz pocztówki podpisane „Ola”, w których informowałyby o włożeniu instrukcji do pojemnika. CIA przejawiała dziwne zaufanie do wiadomości przesyłanych za pośrednictwem poczty. Przy okazji warto zauważyć, że w przyszłości już nie popełniano podobnych błędów – świadczą o tym losy pułkownika Kuklińskiego czy kapitana Sumińskiego.

CORAZ WAŻNIEJSZY AGENT

Wydawało się, że Amerykanie idealnie trafili z ponownym werbunkiem Chrósta. A może mieli dobrych informatorów w środowisku władzy PRL-u? Jeszcze podczas pobytu w Helsinkach handlowiec dowiedział się, iż przeznaczono dla niego fotel wicedyrektora Departamentu Handlu Zagranicznego i Współpracy z Zagranicą Ministerstwa Przemysłu Maszyn Ciężkich i Rolniczych. Był to poważny awans, a nowe miejsce pracy dawało Chróstowi dostęp do informacji szczególnie interesujących amerykański wywiad. Określenie „maszyny ciężkie” obejmowało bowiem także produkcję czołgów, bojowych wozów piechoty i artylerii na potrzeby polskiej armii oraz na eksport.

Był to punkt zwrotny w szpiegowskiej działalności Chrósta, chociaż Amerykanów nie interesowały zbytnio technologiczne osiągnięcia polskiego przemysłu zbrojeniowego. Wywiad Stanów Zjednoczonych wyjątkowo cenił informacje o dostawach dla państw Trzeciego Świata, co oznaczało, że od tego momentu Chróst nie będzie wyłącznie szpiegiem gospodarczym. W ten sposób rozpoczęła się gra, która mogła doprowadzić go przed pluton egzekucyjny.

Ministerstwo, w którym był zatrudniony, koordynowało bowiem praktycznie całość produkcji zbrojeniowej, a Chróst miał bezpośredni dostęp do dokumentów. Jeździł po kraju, obserwował i zapoznawał się z planami produkcyjnymi, a wiadomości te przekazywał CIA. To pozwalało Amerykanom mieć wgląd w produkcję uzbrojenia w Polsce, a co za tym idzie – w zadania stawiane przed polskim przemysłem przez Związek Sowiecki w ramach Układu Warszawskiego oraz RWPG. I co więcej – wgląd w możliwości eksportowe PRL-u. Dla Amerykanów liczyło się przede wszystkim to, komu i jaką broń sprzedaje Polska.

Zgodnie z założeniami sztuki wywiadowczej Chróst nie spieszył się specjalnie z podjęciem pracy wywiadowczej. Po powrocie do Warszawy odczekał sześć miesięcy i odbieranie szyfrowanych audycji rozpoczął w listopadzie 1977 roku. Dostawał je dwa razy w tygodniu – w środy i soboty o godzinie 23. Do chwili aresztowania Chróst wysłał 11 tajnopisów na podany adres w Bostonie, dwukrotnie też podjął materiały ze skrzynki kontaktowej. Oprócz instrukcji znajdowały się tam także dolarowe premie dla agenta. Ostatni raz skontaktował się z CIA w czerwcu 1979 roku. Poinformował wówczas, że na pewien czas wyjedzie do Wielkiej Brytanii. Poprosił też o tysiąc dolarów gotówką w używanych banknotach, o niskich nominałach, chociaż zarabiał wówczas ogromne jak na czasy PRL-u pieniądze. W 1979 roku – bez premii i bonusów wyjazdowych – 12,5 tysiąca złotych miesięcznie, czyli prawie 3 tysiące euro.

PRZYPADEK I RUTYNA

Chróst nie wiedział, że były to jego ostatnie chwile na wolności, a dekonspiracja okazała się dziełem rutynowych działań służb PRL-u. Zawiodła łączność z Amerykanami, ktoś skojarzył adresy, koperty

i charakter pisma, jakim były adresowane, co natychmiast postawiło polską centralę w stan gotowości.

„W wyniku systemowych badań korespondencji krajowej prowadzonej przez Wydział I Departamentu II na zawartość cech korespondencyjnej łączności wywiadowczej w dniu 19 czerwca 1979 roku spośród kilkuset badanych dokumentów wyłowiono list wrzucony na terenie Warszawy adresowany do wyżej wymienionego. Dokonana przez Wydział V Departamentu Techniki MSW ekspertyza wykazała, iż jest to korespondencja z Ośrodka CIA przeznaczona dla agenta w kraju” [295](#).

Kontrola korespondencji odbywała się w sposób wyrywkowy, ale na list do Chrósta natrafiono w pewnych ściśle określonych okolicznościach. Jakiś czas wcześniej kilka przesyłek adresowanych do innego amerykańskiego szpiega, Stanisława Dembowskiego, zostało przejętych przez biuro W. zajmujące się kontrolą korespondencji. Były one bardzo zbliżone: jeden charakter pisma, identyczny sposób sporządzania treści jawnej, a do tego taki sam rodzaj adresowania i wygląd kopert. Już wcześniej przygotowano modelowy zestaw, który powinien zwrócić uwagę kontrolerów, zatem list do Chrósta natychmiast przekazano do komórki zajmującej się wywoływaniem tajnopisów. Po odczytaniu ukrytej treści stało się jasne, że była to korespondencja szpiegowska.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie i już następnego dnia wdrożono sprawę operacyjnego rozpracowywania pod kryptonimem „Tramp”. Na podstawie tajnopisu odnaleziono martwą skrzynkę w Starej Miłosnej, a ukryte w niej materiały kompletnie pograżyły Chrósta. Były tam instrukcje szpiegowskie oraz tysiąc dolarów, o które wcześniej prosił. Zarządzono ścisłą obserwację agenta, natychmiast też zebrano materiały na jego temat dostępne w archiwach MSW-u i MSZ-et.

Chróst nigdy nie był wcześniej w kręgu podejrzeń polskich służb, o czym świadczy pewien dokument z archiwum IPN-u. Okazało się, że rok wcześniej Wydział II wytypował go nawet do wykonywania tajnych prac o charakterze obronno-wojskowo-mobilizacyjnym i zasięgał informacji na jego temat. Zanim jednak doszło do współpracy, Chróst został zdemaskowany.

Aresztowano go trzy dni po odkryciu korespondencji z CIA. Zatrzymano go w drodze do pracy, a całą akcję sfilmowano. Centrala dysponowała już wówczas bogatym materiałem i zdecydowano się tak rejestrować śledztwo, by w przyszłości przygotować film szkoleniowy dla

potrzeb Służby Bezpieczeństwa. Tydzień po aresztowaniu Chróst został oficjalnie zwolniony z pracy w Ministerstwie Przemysłu Maszyn Ciężkich i Rolniczych.

W OCZEKIWANIU NA EGZEKUCJĘ

Sprawa Chrósta jest chyba najlepiej udokumentowaną aferą szpiegowską w naszym kraju. W zasobach IPN-u znajduje się pełne archiwum z przebiegu śledztwa i procesu, dostępny jest również film z aresztowania agenta. Jak wartościowa była to dokumentacja, najlepiej świadczy fakt, że wkrótce po procesie jeden z oficerów zaangażowanych w operację „Tramp” przygotował pracę na jej temat przeznaczoną dla młodych adeptów kontrwywiadu.

Śledztwo trwało 11 miesięcy, a proces przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego rozpoczął się 23 czerwca 1980 roku. Trwał zaledwie cztery dni, Chróst przyznał się do wszystkiego, chociaż starał się pomniejszyć swoją winę. Tłumaczył, że został zmuszony do zdrady szantażem, przy okazji zaprzeczył, że przekazywał Amerykanom plany sprzedaży polskiego uzbrojenia. Odrzucił też tezę, iż współpracował z CIA z pobudek ideologicznych. Z odpowiedzi, jakich udzielał prokuratorowi, wynikało, że kierowały nim wyłącznie względy finansowe.

Prokurator zażądał kary śmierci, sąd jednak nie przychylił się do tego wniosku. 30 czerwca Chrósta skazano na 25 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat i konfiskatę majątku. Od wyroku odwołali się zarówno prokurator, jak i obrońca. Jednak 25 sierpnia 1980 roku Izba Wojskowa Sądu Najwyższego miała inne zdanie niż sąd pierwszej instancji – Leszek Chróst został skazany na karę śmierci i utratę praw publicznych na zawsze.

Do Rady Państwa o łaskę wystąpił sam Chróst oraz jego nieletni synowie. Wniosku nie złożyła natomiast żona, Hanna, co potwierdza fakt złego pożycia małżonków. Mimo negatywnej opinii prokuratury Rada Państwa w styczniu 1981 roku skorzystała z prawa łaski i przywróciła pierwotny wyrok.

Analizując przepychanki sądowe, warto pamiętać, że w grze wywiadów rzadko decydują wyłącznie względy operacyjne. Gdzieś w tle albo nawet na

pierwszym planie zawsze pojawia się polityka, co ma wpływ na wyroki w sprawach szpiegowskich. Wprawdzie Chróst nie był najwybitniejszym czy najważniejszym agentem, ale orzeczenia w jego sprawie wskazują na grę polityczną. Nie bez powodu nie skazano go pierwotnie na karę śmierci, by później podnieść wyrok, a następnie go obniżyć. Zapewne wpływ na to miał fakt, że pod koniec lat 70. XX stulecia Służba Bezpieczeństwa wpadła na trop wielu szpiegów – dyplomatów, urzędników czy oficerów (Andrzej Badowski, Stanisław Dembowski, Zenon Celegrat) – i być może uznano, że zaostrzenie wyroku dla Chrósta będzie stanowić odstraszący przykład. Natomiast późniejsze obniżenie kary miało już miejsce w karnawale Solidarności, a zatem w okresie pewnej liberalizacji. Można podejrzewać, że kilka czy kilkanaście miesięcy później nie byłoby to możliwe, szczególnie po uciezkach pułkownika Kuklińskiego i kapitana Sumińskiego oraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Prawdopodobnie wówczas kara śmierci dla Chrósta nie tylko zostałaby utrzymana, lecz także wykonana.

Niebawem zresztą władze Stanów Zjednoczonych dały nieformalnie do zrozumienia, że są zainteresowane ulaskawieniem agenta i wywiezieniem go z Polski. Sprawa zaczęła przybierać realne kształty po aresztowaniu i skazaniu w USA Mariana Zacharskiego. Chróst wraz z Jerzym Pawłowskim znaleźli się w gronie 25 szpiegów wytypowanych do wymiany na berlińskim moście Glienicke. W tej sytuacji w listopadzie 1984 roku Rada Państwa skorzystała z prawa łaski, nakazując zwolnienie Chrósta z więzienia. Mimo to nie opuścił celi – przebywał za kratami aż do dnia wymiany, czyli 11 czerwca 1985 roku. Najwyraźniej obawiano się jego ucieczki na Zachód, co zakłóciłoby przebieg całej operacji.

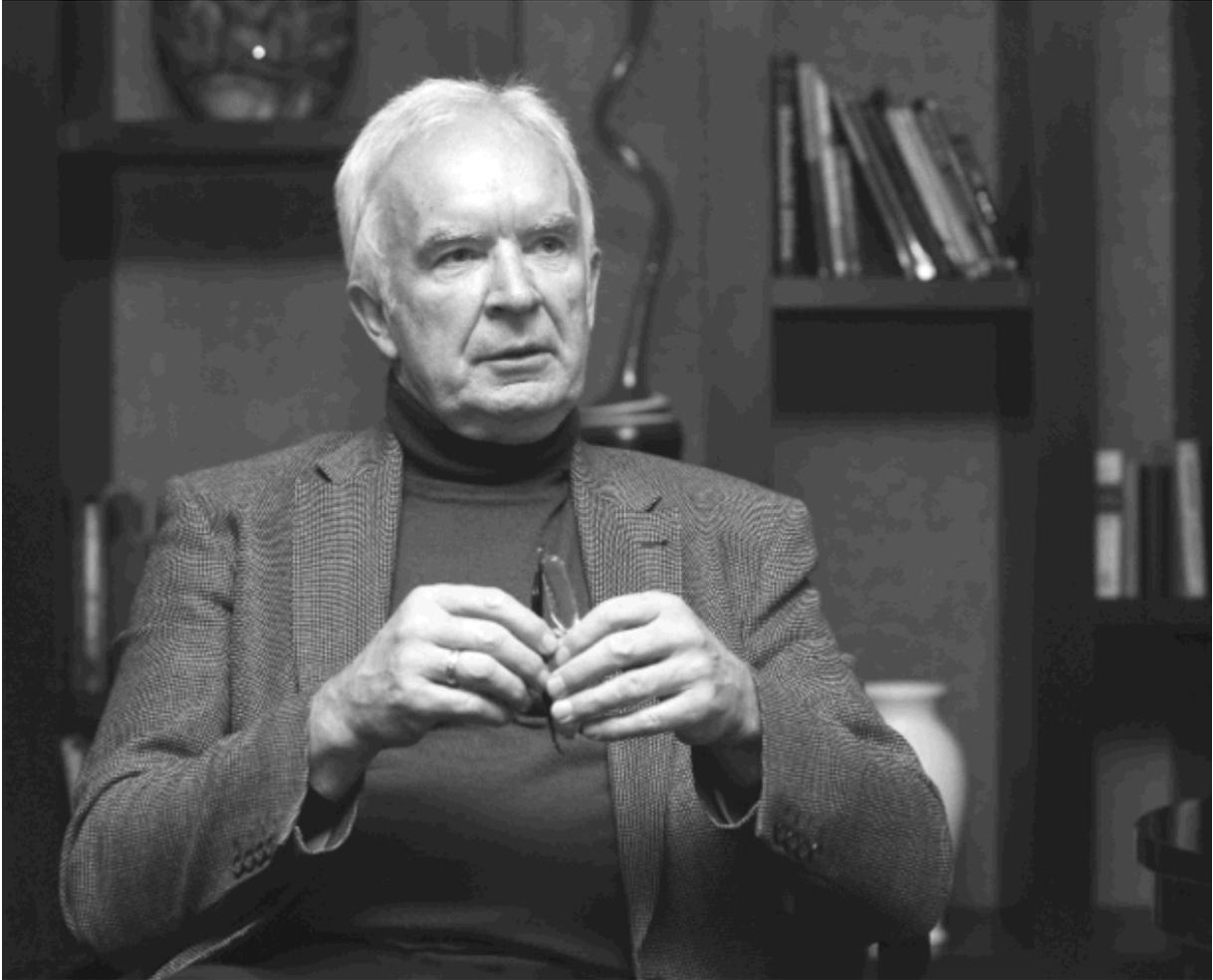
Podpisane porozumienie zapewniało wyjazd z Polski także najbliższym wymienianych agentów, z czego mieli skorzystać dwaj synowie Chrósta. Porozumienie nie dotyczyło jednak jego żony, która jeszcze podczas pobytu szpiega w więzieniu przeprowadziła z nim rozwód i ponownie wyszła za mąż, zmieniając nazwisko na Skrzypkowska.

Do wymiany doszło w ustalonym wcześniej terminie. Po wschodniej stronie słynnego mostu szpiegów Glienicke na granicy Berlina Zachodniego i Wschodniego stanęło 25 amerykańskich agentów, a po stronie zachodniej – Marian Zacharski i trzech innych przetrzymywanych na Zachodzie. W ostatniej chwili z wymiany zrezygnował Jerzy Pawłowski. Leszek Chróst nie miał podobnych wątpliwości. Wkrótce odleciał do

Stanów, gdzie niebawem dołączyli do niego synowie. Od tej pory ślad po nim zaginął, nigdy nie udało się bezspornie ustalić, jak potoczyły się jego dalsze losy.

Mimo powodzenia całej akcji polskie służby aż do 1990 roku nie zamknęły operacji „Tramp”. Wprawdzie nie wiadomo, co z Chróstem działo się w USA, jednak polskie służby zdobyły informację, że jego synów odwiedzała w Stanach ich matka. Natomiast sam był agent mieszkał ponoć pod Waszyngtonem. Jeśli nadal żyje, ma dziś 91 lat.

Leszek Chróst traktował szpiegostwo w kategoriach biznesu, a ideologia pozostawała dla niego sprawą całkowicie drugorzędną. Gdy go aresztowano, wiedział, że przegrał. Wszystko podporządkował wówczas próbom ocalenia życia. Chociaż osiągnął swój cel, a potem mógł wyjechać do Stanów Zjednoczonych, to chyba nigdy nie zapomniał miesięcy śledztwa i oczekiwania na łaskę Rady Państwa. Zapewne odbiło się to na jego zdrowiu. Nie wiemy zresztą, jak przyjął konfiskatę majątku, rozwód, ruinę swojego dotychczasowego życia, do czego sam zresztą doprowadził. Tym bardziej że Amerykanie wprawdzie chronią swoich agentów, ale nie lubią wydawać zbyt dużo pieniędzy na ludzi, którzy już odegrali swoją rolę i nie będą im więcej potrzebni. Czy zatem szpiegostwo – szczególnie z powodów finansowych – popłaca?



Generał Marian Zacharski okazał się samorodnym talentem szpiegowskim

ROZDZIAŁ 10

NAJSKUTECZNIEJSZY SZPIEG PRL-U

Uchodzi za agenta wywiadu, który odniósł największe sukcesy. Jego osoba do dzisiaj wzbudza kontrowersje, chociaż ich powodem są wydarzenia, do których doszło już po upadku komunizmu. Marian Zacharski, jako funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa, wziął bowiem czynny udział w aferze „Olina” (oskarżenie premiera Józefa Oleksego o działalność szpiegowską na rzecz Rosji). Za zaangażowanie w tę akcję zapłacił dymisją, zmieniło się też postrzeganie go przez społeczeństwo.

Przy okazji wyciągnięto wiele innych „grzechów” pana Mariana – zarówno finansowych, jak i operacyjnych. Pojawiły się pogłoski o nielegalnych interesach, swoje dołożyli również dawni koledzy zazdrośni o jego sukcesy – w efekcie trudno dzisiaj odróżnić prawdę od fałszu. Sam Zacharski od wielu lat pozostaje na emigracji. I chociaż długo i wiernie służył władzom komunistycznej Polski, to dzisiaj największą antypatię czują do niego postkomuniści.

MŁODOŚĆ AGENTA

Marian Zacharski urodził się w sierpniu 1951 roku w Gdyni. Pochodził z inteligenckiej rodziny, a jego ojciec, absolwent Politechniki Gdańskiej, miał za sobą chlubną przeszłość wojenną. Był członkiem Armii Krajowej, walczył w Powstaniu Warszawskim, a po wojnie osiadł na Wybrzeżu.

Mimo okupacyjnej działalności zrobił niezłą karierę zawodową – Zacharscy byli bardzo dobrze sytuowani, mieli nawet własny dom w Sopocie.

Marian nie mógł narzekać na warunki materialne, w jakich dorastał – w zgrzebnej epoce Gomułki pobierał prywatne lekcje tenisa, jego pierwszą rakieta była angielski slazenger. A przecież były to czasy, gdy tenis uważano za burżuazyjny przeżytek niegodny socjalistycznego społeczeństwa.

Po latach Zacharski podkreślał rolę rodziców w kształtowaniu swojego światopoglądu. To właśnie od nich miał przejąć przekonanie, że Polska jest jedna, a jej ustrój nie odgrywa głównej roli.

„Z domu wyniosłem szacunek dla ojczyzny. Moi rodzice, a także ich przyjaciele przeszli przez wojenną gehennę. Wycierpieli niejedno, raz z ręki obcych, raz z ręki swoich. Ale nigdy nie usłyszałem z ich ust słów potępienia, pogardy czy złości. Przeciwnie, uczyli nas, że Polska jest jedna. Mówili, że różne państwa przechodzą przez zakręty historii, ale swój kraj należy szanować i, jak trzeba, walczyć o niego. Budować, dbać o jego dobro, bo to nasz kraj. Innego nie mamy i nie chcemy. Mój ojciec, kiedy mówił: »Polska«, nie dodawał przymiotników. Nigdy nie mówił »Polska Ludowa« czy »Polska Sanacyjna«. Tylko »Polska«” [296](#).

Przyszły agent trafił do elitarnego liceum w Gdyni, w którym uczył się razem z dziećmi „kapitanów żeglugi wielkiej, architektów, lekarzy, profesorów wyższych uczelni”. Wprawdzie trafiali tam również potomkowie „zupełnie zwykłych ludzi”, ale pozostawali w mniejszości. W szkole panowała znakomita atmosfera, uczniowie tworzyli zgrany klub towarzyski.

„Rodzice wysłali mnie do Anglii – wspominał – żebym doskonalił angielski i poczuł, że jestem obywatelem świata. Spędziłem tam sześć tygodni, najpierw w Leicester, a potem w Londynie” [297](#).

KONTROWERSJI CZĘŚĆ PIERWSZA

Marian nie poszedł w ślady ojca i nie zajął się naukami technicznymi. W październiku 1970 roku podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, a dwa miesiące później doszło do tragicznych wydarzeń na Wybrzeżu, które zakończyły epokę Władysława Gomułki. Rzeź na ulicach

Trójmiasta nie zraziła go do panującego ustroju – postrzegał ją raczej jako punkt zwrotny i początek przechodzenia od starego do nowego.

„Rozpoczyna się era Edwarda Gierka. Gierek otwiera Polskę na świat, przewietrza. Czuję wokół siebie przyływ optymizmu, nowego oblicza kraju. Wydaje się wówczas, że mamy szansę wyrwać się z zakłętego kręgu i zacząć budować nową Polskę. Chcę w tym uczestniczyć” [298](#).

W rzeczywistości prawo niespecjalnie go interesowało, a gdy wybierał kierunek studiów, rozważał także handel zagraniczny i dziennikarstwo. Chciał podróżować, poznawać świat – uznał więc, że studia prawnicze będą dobrym wstępem do realizacji tych planów.

Ostatecznie trafił jednak do handlu zagranicznego, a pomogły mu w tym kontakty ojca. Zaraz po ukończeniu nauki rozpoczął pracę w Centrali Handlu Zagranicznego „Metalexport”. Przy czym niewykluczone, że decydująca okazała się jednak całkiem inna protekcja. Od pewnego czasu stał się bowiem obiektem zainteresowania wywiadu PRL-u.

„Kilka zdań na tematy ogólne i on przedstawia mi się jako oficer wywiadu – wspominał swoje pierwsze spotkanie z funkcjonariuszem MSW. – Mówi, że jestem idealnym kandydatem do pracy. Perfekcyjny angielski, szeroka wiedza, umiejętność nawiązywania kontaktów. Jeszcze niedowierzanie, nie jestem pewien, czy dobrze słyszę. Ale tak jest: on składa mi propozycję podjęcia dodatkowych obowiązków na rzecz polskiego wywiadu cywilnego działającego w ramach struktur Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czuję się poniekąd jak bohater książek, którymi się zaczytywałem” [299](#).

Zacharski nie namyślał się długo, zawsze bowiem marzył o takim zajęciu. Oferta współpracy z wywiadem wyjątkowo mu imponowała, poczuł, że w jego życiu zaczyna się nowy, intrygujący rozdział.

„Zawsze lubiłem wyzwania – tłumaczył po latach – uważałem, że taka propozycja jest czymś fascynującym dla młodego człowieka. Zdecydowałem się na tę pracę z powodu patriotyzmu, jak również adrenaliny” [300](#).

Metalexport był typowym produktem socjalistycznej gospodarki. Centrale handlu zagranicznego miały prawo prowadzenia obrotu gospodarczego w dewizach, co oznaczało, że pośredniczyły w kontaktach krajowych firm z zagranicą. Z tych powodów – jak już wiemy na przykładzie Chrósta – było to idealne miejsce do działalności agentury

PRL-u, toteż w każdej centrali na niejawnych etatach pracowali agenci wywiadu. I właśnie jednym z nich miał się stać również Zacharski.

Problemem pozostaje natomiast określenie jego statusu. Pan Marian zawsze podawał się za oficera wywiadu, tłumacząc, że odbył indywidualne szkolenie. Potwierdzał to Czesław Kiszczak, twierdząc, że Zacharski „był kadrowym oficerem wywiadu i pracował pod przykryciem jako handlowiec” [301](#). W rzeczywistości było chyba nieco inaczej.

„Zacharski to był jednak szpieg amator – wyjaśniał historyk IPN-u, Władysław Bułhak. – (...) We wspomnieniach pisze, że był oficerem wywiadu wysłanym do USA, a to nieprawda. Po prostu młody pracownik handlu zagranicznego Marian Zacharski został zwerbowany przez wywiad MSW jako tzw. kontakt operacyjny, czyli w pewnym sensie »agent krajowiec«. Jakieś przeszkolenie przeszedł, ale nie takie jak zawodowi oficerowie wywiadu” [302](#).

Nie umniejsza to jednak jego osiągnięć jako agenta. Dziwnym trafem łupem tego amatora miało paść znacznie więcej zdobyczy niż wszystkich kadrowych szpiegów razem wziętych.

NA SZEROKIE WODY

„Zacząła rodzić się koncepcja utworzenia firmy i sprzedaży naszych obrabiarek w Stanach – wspominał Zacharski. – Dobrym przykładem był Toolmex – już działający w USA oddział Metalexportu zajmujący się sprzedażą narzędzi. Mieścił się w Natick w stanie Massachusetts i w owym czasie już osiągał bardzo dobre wyniki sprzedaży. Zresztą Metalexport pracował wtedy przez swoje firmy już w wielu krajach europejskich: Belgia, Włochy, Skandynawia. Także Kanada. Ale USA to wyzwanie dla firmy, a dla mnie szansa na zupełnie nową jakość mojej pracy” [303](#).

Zapewne nie bez powodu 24-letni (!) Zacharski został wydelegowany w podróż rozpoznawczą do Stanów Zjednoczonych. Owszem, mógł być zdolnym pracownikiem, ale w firmie było przecież wielu ludzi o znacznie większym doświadczeniu handlowym. Perfekcyjna znajomość angielskiego również nie miała tu większego znaczenia – istnieją przecież zawodowi tłumacze.

Niedługo później Zacharski ponownie pojawił się za oceanem, tym razem na dłużej. Niedawno poślubiona żona, Barbara, zdążyła się już przyzwyczaić do jego ciągłej nieobecności.

„Chcieliśmy być razem w każdej możliwej chwili. Ale nie było ich tak wiele, moja praca wiązała się z ciągłymi wyjazdami zagranicznymi (...), jeździłem nie tylko po całej Europie Zachodniej, ale również do Azji i do Ameryki. Moje życie było niezwykle intensywne” [304](#).

W kolejną podróż wyruszył już jako przedstawiciel Polamco (Polish-American Machinery Corporation), spółki córki Metalexportu. Szukał siedziby dla firmy, a przy okazji poznawał kraj.

„Poruszam się swobodnie. Nikt mnie o nic nie pyta. Najwyraźniej wszyscy wychodzą z założenia, że skoro tu jestem, to mogę być. W końcu w Ameryce tylko Indianie są naprawdę u siebie. Reszta przybyła z różnych zakątków świata” [305](#).

W październiku 1976 roku wraz z żoną i córką przeniósł się na stałe do USA. Został szefem sprzedaży na Zachodnie Wybrzeże i zamieszkał w Playa del Rey, nadmorskiej dzielnicy Los Angeles.

„Nieduże, ładnie położone osiedle, odległe o 5 minut jazdy od oceanu. Na jego terenie basen dla dzieci, basen dla dorosłych, korty tenisowe i klub. Kameralne, trzypiętrowe bloki” [306](#).

ZAMROŻENIE

Pierwsze dwa lata były okresem beczynności wywiadowczej. Zacharski mógł się tylko pilnie rozglądać po nowym otoczeniu, poznawać i zapamiętywać ludzi. Wiedział, że czas szpiegowskiej roboty niebawem nadejdzie – nie bez powodu mieszkał u wrót słynnej Doliny Krzemowej. Na brak pracy zresztą nie narzekał, ponieważ dla każdej firmy wchodzenie na nowy rynek jest okresem najtrudniejszym.

„Start firmy w Los Angeles był naprawdę udany. Ale wymagało to ode mnie pełnego poświęcenia. W Stanach w interesach obowiązuje wiele zasad, najważniejsze są oczywiście te niepisane. A jedną z nich jest tzw. pierwsze wrażenie. Masz trzy minuty od poznania nowego człowieka i albo będzie twoim kontrahentem, albo nie. Trzeba od pierwszej chwili, od podania sobie ręki zainteresować sobą, sprawić, by chcieli rozmawiać

i słuchać. Nie reprezentowałem firmy giganta, światowego potentata, któremu się nie odmawia. Przyjechałem z Polski, gdzie obowiązywała gospodarka socjalistyczna. Nikt nas nie uczył, jak pracować na rynku tak odmiennym od naszego” [307](#).

Zacharski rzeczywiście musiał mieć talent biznesowy, bo już niebawem sam generował 60 proc. obrotu firmy. Nawiązywał wiele nowych znajomości, poznawał też oryginalnych ludzi.

„Miałem już szerokie grono klientów. Wśród nich zdarzali się ludzie bardzo osobliwi. Jeden z nich przyjeżdżał do mnie dwa razy do roku. Wysiadał z najnowszego rolls-royce’a Silver Shadow w stroju, delikatnie ujmując, roboczym. Nigdy nie widziałem go ogolonego, zawsze miał na sobie minimum pięciodniowy nierówny zarost, w ręku styropianowy kubek z kawą (...). Podchodził do różnych obrabiarek, pytał o kilka szczegółów technicznych i wskazywał palcem te, które chce kupić. Zawsze było ich kilka” [308](#).

Nietypowy klient miał również oryginalne obyczaje płatnicze. Płacił od ręki gotówką, nawet kwoty oscylujące w granicach 100 tysięcy dolarów. A były to czasy, gdy „wyjęcie w supermarkecie banknotu studolarowego wywoływało u kasjerki panikę i prowadziło do nieuniknionego spotkania z kierownikiem sklepu”.

SZPIEDZY I TECHNOLOGIE

Agenci pokroju Zacharskiego byli wysyłani w szpiegowskie misje w ściśle określonym celu. Ich działalność nie służyła wzmocnieniu obronności kraju, liczyły się tylko finanse. Kradzież zachodnich technologii miała zwiększać zyski polskiego przemysłu zbrojeniowego, planowano bowiem produkcję nowocześniejszej broni na eksport.

„Jedną z najbardziej opłacalnych gałęzi eksportu jest sprzęt i urządzenia wojskowe – przyznawał były szef wywiadu, generał Władysław Pożoga. –

Polska zawsze sporo zarabiała na handlu bronią. Rozumowaliśmy następująco: skoro potrafimy zarabiać, sprzedając, co tu dużo mówić, sprzęt nie pierwszej jakości, to gdy zdobędziemy najnowsze technologie, możemy zadziwić świat. Nasi naukowcy, o których było przecież głośno, dostawszy gotowe plany, opracują je i podbiją rynki, zarabiając miliardy” [309](#).

Kradzież obcych technologii od dawna była wpisana w działalność agenturalną, a szpiegostwo przemysłowe funkcjonowało niezależnie od uwarunkowań politycznych. Walka toczyła się o zbyt duże pieniądze, by przejmować się etyką czy prawami patentowymi. Nie dotyczyło to zresztą wyłącznie sfery militarnej, bo jeśli bliżej przyjrzymy się osiągnięciom technicznym Polski Ludowej, okaże się, że wiele rozwiązań pojawiło się w wyniku działalności służb specjalnych.

„Kradzież technologii wojskowych nie była głównym zadaniem wywiadu PRL – mówił Piotr Łysakowski z IPN-u. – Receptura aspiryny, proszku Ixi, pralka Frania, a także technologia produkcji układów scalonych, łożysk czy całych silników samochodowych, to największe osiągnięcia wywiadu. Najpierw szpiedzy przywozili projekty, receptury czy produkty, a końcowym efektem ich działań była masowa produkcja towarów powszechnego użytku. Gospodarka PRL mogła funkcjonować głównie dzięki ukradzionym na Zachodzie technologiom” [310](#).

Wydaje się, że warszawska centrala początkowo nie wiązała większych nadziei z działalnością Zacharskiego. Wprawdzie osiedlenie u wrót Doliny Krzemowej wskazywało, iż ukierunkowano go na szpiegostwo technologii militarnych, ale pan Marian miał się raczej skoncentrować na rozpracowywaniu miejscowego środowiska naukowego. Jego zadaniem było przekazywanie informacji na temat pozycji zawodowej, rodzinnej, a szczególnie problemów finansowych poszczególnych osób. I przy okazji – poszukiwanie ciekawostek o zabarwieniu obyczajowym, które w przyszłości mogłyby posłużyć jako element szantażu.

TENIS I DRINKI

Zacharski potwierdził swoje predyspozycje do pracy wywiadowczej, a to, że nie przeszedł pełnego przeszkolenia, było jednym z powodów jego sukcesów.

„Okazał się jednak samorodnym talentem – przyznawał Władysław Bułhak. – Mówiąc »amator«, nie dyskredytuję go, broń Boże, bo właśnie tacy amatorzy jak Zacharski byli w wywiadzie PRL najskuteczniejsi. Być może dlatego, że »zawodowcy« byli właśnie zawodowcami. Większość z nich przez lata obsadzała różne zagraniczne placówki PRL i była znana

zachodnim kontrwywiadom. Wpadka groziła odstawieniem do kraju i przerwaniem strumyka dolarowych diet. Stąd ostrożność i niechęć do ryzyka” [311](#).

Pan Marian nie mógł raczej narzekać na poziom swojego życia w Kalifornii. Był to świat nieporównywalny do tego, który pozostawił w Polsce. Eleganckie mieszkanie na zamkniętym osiedlu nad Pacyfikiem, przyjazny klimat, zarobki, które pozwalały na zupełną bez troskę. A gdy Barbara postanowiła odżywiać się niemal wyłącznie pomarańczami (spodziewała się właśnie drugiego dziecka), to w USA – w przeciwieństwie do Polski – nie było z tym żadnych problemów.

„Wieczory w Kalifornii są najprzyjemniejszą porą dnia. Ciepło, lekki wietrzyk. Wymarzone warunki na spotkania na świeżym powietrzu. Ludzi nie było dużo, a co najważniejsze, klimat tych spotkań nigdy nie był sztywny. Ktoś przychodził, wychodził, dzieci biegały za piłką, psy za dziećmi, gwar, śmiech. Mężczyźni mogli odreagować cały tydzień ciężkiej pracy, kobiety dni spędzane tylko w domu. Dla nich była to okazja do wyjścia. Ubierały się niezwykle starannie, by przez tych kilka godzin poczuć się kimś więcej niż tylko żoną i matką” [312](#).

Zacharscy szybko zaaklimatyzowali się wśród miejscowej społeczności. Prowadzili ożywione życie towarzyskie, a pan Marian planował, że w ten sposób nawiąże interesujące kontakty. Na osiedlu był klub, gdzie spędzano czas wieczorami, i tam też Zacharscy poznali małżeństwo Heffronów.

„Mieli synka w wieku Małgosi, Seana, co szybko zbliżyło nasze rodziny do siebie, z czasem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Spotykaliśmy się wieczorami, jedliśmy wspólne kolacje, w weekendy siedzieliśmy razem przy basenie, gdzie dzieci bawiły się w wodzie. Michael grywał w tenisa i gdy dowiedział się, że ja też, już mnie pilnował, bym mu towarzyszył na korcie. Zawsze lubiłem tenisa, nieźle grałem, a teraz był dla mnie dobrą formą odreagowania napięć wynoszonych z pracy. Kiedyś Michael wspomniał, że nasz wspólny sąsiad, Bill Bell, jest szychą w przemyśle aeronautycznym. »Geniusz, mówię ci geniusz«. Dobrze zapamiętałem tę informację” [313](#).

To była okazja, na jaką Zacharski czekał. Przełożył biznesowe spotkania i pojawił się na kolejnej imprezie w klubie. Poznanie Billa nie było trudne – okazał się człowiekiem wyjątkowo towarzyskim. Sytuację ułatwiało również to, że Bell grywał w tenisa, a ponadto miał pozytywny stosunek do polskiej wódki.

WILLIAM BELL

Od niepamiętnych czasów powody, dla których decydowano się na współpracę z obcym wywiadem, pozostawały niezmiennie: pieniądze, ideologia, szantaż lub poczucie niedowartościowania. W przypadku Billa Bella w grę wchodziły przede wszystkim pieniądze, bo borykał się z dużymi problemami finansowymi.

„Zmęczona twarz i podkrążone, lekko nieprzytomne oczy człowieka, który myślami jest zupełnie gdzie indziej – opisywał go Zacharski. – Jasna, sportowa koszulka miała odjąć mu lat, ale tylko podkreślała jego ciężką sylwetkę sześćdziesięciolatka, który zbyt wiele czasu spędza za biurkiem” [314](#).

Zacharski szybko zorientował się, że w przypadku Bella „pewne słowa nigdy nie mogą zostać wypowiedziane”. Był to człowiek, który wolał myśleć, że sprzedaje tajemnice „polskiemu przemysłowi”, a nie obcemu wywiadowi. Czy był do tego stopnia naiwny, czy też wybrał metodę samooszukiwania? Tego już nigdy się nie dowiemy.

William Bell zbliżał się do 60. roku życia, z czego blisko 30 lat przepracował w Hughes Aircraft – jednej z najważniejszych firm amerykańskiego przemysłu lotniczego i zbrojeniowego. Miał za sobą burzliwe życie prywatne, a ostatnie lata były dla niego szczególnie trudne.

„Rozwiódł się z żoną po 29 latach małżeństwa i musiał płacić alimenty w wysokości 200 dolarów tygodniowo – pisano kilka lat później na łamach »Security Awareness Bulletin«. – Debet na koncie zmusił go do ogłoszenia bankructwa w czerwcu 1976 roku. W poprzednim roku rodzina Bella przeżyła straszną tragedię, kiedy to 19-letni syn Bella zginął w wypadku na kempingu w Meksyku. Dodatkowo po powrocie do Los Angeles Bell zaczął się czuć jak outsider. W firmie doszło bowiem do głosu młode pokolenie, a on po przyjeździe z Europy został zamknięty w cichym gabinecie” [315](#) (tłum. M. Czerwieniec).

Wprawdzie ten cichy gabinet oznaczał nominację na stanowisko dyrektorskie, ale Bell poczuł się odstawiony na boczny tor. Uważał też, że zarabia zbyt mało, szczególnie w sytuacji gdy po kilkuletnim pobycie w Europie ścigał go urząd skarbowy. Zignorował bowiem przepisy o podwójnym opodatkowaniu dochodów uzyskiwanych poza granicami kraju, w efekcie czego miał do spłacenia 16 tysięcy dolarów zaległych podatków (plus odsetki). Do tego chciał imponować drugiej, dużo młodszej

żonie. Wszystko to sprawiło, że stał się łatwym celem dla polskiego wywiadu.

„Zacharski z żoną wprowadzili się do kompleksu apartamentów i zacząłem z nim codziennie grywać w tenisa – wspominał Bell. – Powoli stał się moim najlepszym przyjacielem. Był w podobnym wieku do mojego najstarszego [nieżyjącego już wtedy] syna, który był blisko z matką, a dystansował się ode mnie od czasu naszego rozvodu” [316](#). Zacharski po mistrzowsku rozegrał całą sprawę. Na początek zaproponował pośrednictwo przy sprzedaży obrabiarek dla Hughes Aircraft – Bell miał się dowiedzieć, jakich modeli firma potrzebuje. Następnie Bill przekazał Zacharskiemu prywatny numer telefonu jednego z dyrektorów, umawiając go jednocześnie na rozmowę. Każda przysługa była sownie wynagradzana, a Bell szybko przyzwyczał się do kolejnych zastrzyków gotówki.

„W przypadku Billa od początku sytuacja była jasna – wspominał Zacharski – potrzebował pieniędzy. Zdradzał wszystkie objawy dyskomfortu życia wywołanego brakiem pieniędzy. (...) Ale jednocześnie widziałem, że jest wrażliwym facetem. Z takimi trzeba było ostrożnie. (...) W sytuacji skrajnej mogą im puścić nerwy. Do tego Bill był typem naukowca, którego fascynowała praca. W Hughes Aircraft był ceniony, ale nie aż tak, jak potrzebował. Zresztą gdyby naprawdę doceniali jego talent i możliwości, skierowaliby go do projektów indywidualnych i – co tu kryć – zdecydowanie lepiej płacili” [317](#).

Zacharski uznał, że nadeszła pora na wizytę w kraju i konsultację z przełożonymi z MSW. Kierownictwo polskiego wywiadu szybko zaakceptowało jego zamiary, uznając Bella za kontakt operacyjny (pseudonim Lambda). Wyglądało na to, że pan Marian trafił na prawdziwy skarb – na informatora, o jakim marzył każdy szpieg.

Początkowo Bell przekazywał informacje jawne, ale praktycznie w ogóle niedostępne. Do Warszawy powędrowała kopia *Radar handbook* – podręcznika radarowego wydanej z okazji rocznicy działalności Hughes Aircraft. Zacharski otrzymał również książkę telefoniczną firmy oraz regularny dostęp do jej wewnętrznych biuletynów. A była to istna kopalnia wiadomości. Prawdziwy przełom nastąpił jednak wtedy, gdy Bell dostarczył mu dokumentację systemu kierowania ogniem, nad którym aktualnie pracował. Został za to sownie wynagrodzony, co sprawiło, że odrzucił ostatnie skrupuły.

„Zaczął mi dostarczać kolejne materiały z taką częstotliwością, że musiałem harować jak w kamieniołomach – opowiadał wiele lat później Zacharski w jednym z wywiadów. – Kwity płynęły dosłownie drzwiami i oknami. A przecież jako szef filii Polamco na Wybrzeżu Zachodnim i tak miałem dużo roboty” [318](#).

Faktycznie, po pierwszych sukcesach handlowych przyszły trudne chwile. Polskie obrabiarki były stosunkowo tanie, ale poważny problem stanowiła ich awaryjność. Ujawniły się typowe bolączki socjalistycznej gospodarki, czyli niedbałe wykonanie i przestarzałe rozwiązania techniczne. Szczególnie zawodne okazały się szafy sterownicze wyposażone w porcelanowe bezpieczniki. Zacharski musiał poświęcać wiele czasu na łagodzenie niezadowolenia klientów, a przy okazji udało mu się również wywalczyć znaczne ustępstwa ze strony producentów. Mimo wzrostu kosztów polskie maszyny miały być w Stanach wyposażane w miejscowy osprzęt elektryczny, co znacznie zredukowało liczbę reklamacji. Przy okazji pan Marian zdobył kontrakt, który w przyszłości mógł zaowocować sukcesami na jego drugim, niejawnym etapie – polskie obrabiarki miały trafić na wyposażenie tajnego ośrodka badań nuklearnych w Nevadzie. Nic zatem dziwnego, że kilka lat później amerykańscy dziennikarze uznali to za wyjątkowy skandal.

„Nie było żadnej kompromitacji – zaprzeczał rzecznik amerykańskiego Departamentu Energetyki. – Za 250 tysięcy dostaliśmy maszyny, które mogły nas kosztować miliony” [319](#).

W biznesie liczą się przecież głównie pieniądze, a Amerykanie zawsze potrafili dobrze liczyć koszty...

SZPIEGOSTWO I FINANSE

Niebawem los zdecydował o jeszcze bliższej współpracy Bella z Zacharskim. Dotychczas obaj panowie wynajmowali mieszkania w kompleksie Cross Creek Village w Playa del Rey, którego właściciele zaoferowali najemcom przymusowy wykup mieszkań, proponując zresztą dogodne warunki kredytu. Problem był tylko jeden: z powodu ogłoszonego bankructwa i zadłużenia wobec urzędu skarbowego Bell pozostawał poza systemem kredytowym. Nie dysponował również kwotą 77 tysięcy dolarów

w gotówce, a to oznaczało, że będzie musiał opuścić swój lokal i raczej nie znajdzie czegoś o podobnym standardzie.

Nadarzyła się okazja, jakiej Zacharski nie mógł przepuścić. Błyskawicznie poleciał do Warszawy – pod jego naciskiem centrala wywiadu zgodziła się sfinansować zakup dotychczasowego mieszkania Bella. Fizyk miał otrzymywać pieniądze stopniowo, w miarę dostarczania kolejnych dokumentów. Przy okazji Zacharski załatwił dalszy pobyt w Playa del Rey dla siebie i swojej rodziny. Jego mieszkanie wykupił z kolei Metalexport.

Uszczęśliwiony Bell wnosił teraz z firmy wręcz nieprawdopodobne ilości dokumentów. Nie miał problemów z ich pozyskiwaniem, bo wśród starych pracowników Hughes Aircraft panowała zasada dzielenia się swoimi osiągnięciami. W zdobywaniu materiałów pomagały Billowi również jego inteligencja i fenomenalna pamięć, był bowiem „w stanie rozrysować system, o którym kumpel opowiedział mu przy obiedzie”.

Zacharski otrzymywał od Bella dokumentację rozwiązań, które miały się znaleźć na wyposażeniu armii USA do 2000 roku. Zdarzało się nawet, że gdy Warszawa prosiła o plany konkretnych systemów, okazywało się, że jako przestarzałe zostały już wycofane z użytku. Natomiast najnowsze technologie sprawiały polskim specjalistom wiele problemów.

„Daliśmy więc uczonym w żołnierskich mundurach najnowsze światowe osiągnięcia w dziedzinie obronności – wspominał generał Pożoga. – Niestety, spotkał nas zawód. Nawet najwybitniejsi specjaliści poproszeni o zapoznanie się ocenę pozyskanej dokumentacji, nie dali sobie z tym rady. Nie pozostało nam nic innego, jak poprosić o pomoc” [320](#).

Prośbę skierowano – oczywiście – do Sowietów, przekazując im jednocześnie materiały zdobyte przez Zacharskiego. Przy okazji tradycyjnie zawyżono koszty uzyskania dokumentacji (podobno polski wywiad z reguły dobrze zarabiał na handlu z wielkim bratem). Oczywiście pod warunkiem że miał mu do zaoferowania naprawdę interesującą zdobycz.

Współpraca z Bellem rozwijała się z dnia na dzień, toteż wkrótce powstał problem ze sprawnym transportem materiałów do rezydentury wywiadu w Chicago. Doszło nawet do absurdalnej sytuacji, że Zacharski osobiście przewiózł w dwóch walizkach ponad 30 kilogramów szpiegowskich dokumentów. Wnosił je do samolotu na oczach obserwujących go agentów FBI, a przecież nie dysponował paszportem

dyplomatycznym, co w przypadku rewizji musiałyby skutkować wieloletnim więzieniem.

Wydaje się zresztą, że to, co wcześniej stanowiło atut agenta, teraz obracało się przeciwko niemu. Pan Marian nie przeszedł jednak regularnego szkolenia i czasami zachowywał się mało profesjonalnie. Wiedział, że – podobnie jak wszyscy cudzoziemcy zza żelaznej kurtyny – jest obserwowany przez FBI, a mimo to zdarzały mu się ryzykowne i prowokujące zachowania. A na coś takiego wykwalifikowany szpieg nigdy nie może sobie pozwolić.

„Prowokował obserwację FBI – oceniał były oficer wywiadu Vincent Severski (Włodzimierz Sokołowski). – Sam mówił, że któregoś razu podszedł do agentów FBI siedzących w aucie i im coś nagadał. On był przez FBI prowadzony »po japońsku«, jak to się mówi w naszym slangu. To znaczy, że obserwacja jeździła za nim zderzak w zderzak. Niewinny człowiek idzie w takiej sytuacji do szeryfa i mówi: »Jacyś faceci za mną jeżdżą, proszę mi pomóc, bo nie wiem, co mogą mi zrobić«. Tak trzeba było robić” [321](#).

Zadziwić może również zachowanie Bella, który podobno nadal wierzył, że dostarcza dokumentację na potrzeby polskiego przemysłu. A przecież ten człowiek zetknął się już w swoim życiu z działalnością wywiadowczą.

„Bell miał 57 lat i 25 lat doświadczenia w pracy dla obronności kraju, kiedy poznał Zacharskiego – przypominano na łamach »Security Awareness Bulletin«. – Przeszedł przeszkolenie o zagrożeniu ze strony obcych wywiadów, ale nie dostrzegł tego w prawdziwym życiu. Nie przyszło mu do głowy, że kolega od tenisa (który przypominał mu starszego syna) mógłby nie być tym, za którego się podawał” [322](#) (tłum. M. Czerwieniec).

Niebawem usprawniono system przekazywania dokumentacji. Żmudne kopiowanie zostało zastąpione fotografowaniem, a Bella przejęli dwaj oficerowie z Warszawy, którzy cyklicznie mieli się z nim spotykać na terenie Austrii. Wybór tego miejsca nie był przypadkowy – tamtejsze służby przymykały bowiem oko na wszystko, co nie dotyczyło bezpośrednio spraw obronności ich kraju.

Do pierwszego spotkania doszło w Innsbrucku, wtedy też ustalono zasady wynagradzania Bella. Bez względu na ilość dostarczonych materiałów miał otrzymywać 3 tysiące dolarów miesięcznie i raz do roku dalsze 60 tysięcy w złotych monetach. Było to ponad trzy razy więcej, niż

zarabiał w Hughes Aircraft. Łącznie zainkasował od służb PRL-u 170 tysięcy dolarów, z czego 110 tysięcy w gotówce.

KONTROWERSJI CIĄG DALSZY

Lista materiałów, które zdobył Zacharski, jest imponująca. Do Polski miała trafić dokumentacja oprzyrządowania radarowego dla samolotów budowanych w technice *stealth* (niewidzialne dla radarów przeciwnika), a także plany rakiety przeciwlotniczej Hawk, myśliwca F-15, bombowca B-1 oraz sonarów dla atomowych okrętów podwodnych. Zacharski dostarczył również amerykańską analizę sowieckiego myśliwca Mig-25, który wpadł w ręce NATO. Agentowi przypisuje się również udział w kradzieży i przetransportowaniu do Polski najnowszego czołgu armii USA, M1 Abrams. I chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, taki pojazd ponoć faktycznie w całości trafił nad Wisłę.

„[czołg] płynął do Turcji, która jest krajem NATO, z dokumentami, że jest przeznaczony dla ośrodka badawczo-naukowego wojsk pancernych – wyjaśniał Czesław Kiszczak. – Po drodze statek zawinął do Janiny w Grecji, która też jest krajem NATO, [tam] wyładowywano jakieś towary i przy okazji, »omyłkowo«, ten czołg. Tam też załadowano [go] na statek płynący przez Warnę. Jak już jest w Warnie, to tak, jakby był w Polsce” [323](#).

Podobno koszt tej operacji wyniósł milion dolarów, co nie wydaje się zbyt wygórowaną sumą. Ale czy brał w tym udział Zacharski i czy w ogóle była to prawda, tego – niestety – już nie wiadomo...

Na pewno jednak Zacharski nie miał nic wspólnego ze zdobyciem planów systemu antyrakietowego Patriot, co czasami również mu się przypisuje.

„Była jeszcze jedna osoba, która miała jeszcze większe osiągnięcia, a o niej się nie pisze – mówił generał Gromosław Czempiński. –

Zacharskiemu przypisuje się błędnie część osiągnięć zupełnie innego oficera. Ale skoro Zacharski został już bohaterem, to na jego konto zaliczyło się wszystkie zdobycze. Tamten drugi miał spokój, chociaż Amerykanie doskonale znali jego osiągnięcia w USA” [324](#).

I rzeczywiście – plany systemu Patriot wykradł inny agent polskiego wywiadu, podpułkownik Zdzisław Przychodzień. Ten człowiek miał chyba

jeszcze mniej skrupułów niż Zacharski, albowiem wykorzystał w tym celu zakochaną w nim Ruby Louise Schuler zatrudnioną w kalifornijskiej firmie Systems Controls. A sam – oczywiście – zniknął zaraz po otrzymaniu interesującej go dokumentacji.

Przy okazji warto dodać, że Przychodzień wykradł plany projektu, którego autorem był inny Polak, Zdzisław Starostecki. Okazało się więc, że na obu biegunach afery byli Polacy – zarówno konstruktor, jak i szpieg – co oczywiście wzbudziło podejrzenia FBI. Z czasem jednak wyjaśniono wszystkie wątpliwości co do osoby Starosteckiego, a on sam został oczyszczony z zarzutów.

Ciekawym wątkiem szpiegowskiej kariery Zacharskiego są pewne podejrzenia wyrażane przez jego kolegów po fachu. Od pewnego czasu pojawiają się bowiem głosy, że FBI przez dłuższy czas z rozmysłem tolerowało szpiegowski proceder w Hughes Aircraft. Amerykańskie służby miały kontrolować przecieki, podsuwać Bellowi odpowiedni materiał i dbać o to, by wybrana dokumentacja docierała przez Warszawę do Moskwy.

„Jest wielu zwolenników tej teorii w naszym środowisku wśród oficerów, ale też wśród znawców polityki rozbrojeniowej – mówił Severski. – Nie zdziwiłbym się. To by się komponowało z programem inspirowania i dezinformowania Rosjan w sprawach zbrojeniowych, który Amerykanie prowadzili. Wojny gwiazdne, broń neutronowa. (...) Chodziło o to, żeby wciągać Rosjan w kosztowny wyścig zbrojeń, który skończył się upadkiem ZSRR. Oczywiście w tym nie byłoby żadnej winy Zacharskiego. Podparciem takiej hipotezy jest to, że Amerykanie w sprawie Zacharskiego zachowywali się dość dziwnie. (...)”

FBI dość szybko objęło go »opieką«. Długo pozwalali sobie na jego działalność. (...) Dla FBI wyłapanie, z kim kontaktuje się Zacharski, to nie byłby duży problem” [325](#).

Bez względu na to, jak było naprawdę, szpiegowska przygoda Zacharskiego w USA dobiegła końca u schyłku czerwca 1981 roku. Miał właśnie odlecieć do Chicago, by objąć stanowisko prezesa Polamco, gdy do jego domu wtargnęło FBI. Został aresztowany i oskarżony o szpiegostwo.

DOŻYWCIE

Podobno Zacharskiego wydał kapitan Jerzy Koryciński z MSW, który od dawna był na żołdzie amerykańskim (później zbiegł na Zachód). Pracował w jednym pokoju z oficerem prowadzącym pana Mariana, wiedział o nim bardzo dużo i swoją wiedzę przekazał Amerykanom. Nie wiadomo jednak, kiedy to zrobił, dlatego też nie można ustalić, jak długo FBI obserwowało Zacharskiego i Bella.

Na pierwszy ogień poszedł Amerykanin, który szybko się załamał i w zamian za obietnicę złagodzenia wyroku poszedł na współpracę. W swojej lojalności posunął się do tego stopnia, że wydał szpiegowski sprzęt otrzymany od Zacharskiego, a na spotkanie z polskim agentem poszedł zaopatrzony w specjalne urządzenie nagrywające. Treść zarejestrowanych rozmów wystarczyła do aresztowania Polaka.

Była to prawdziwa sensacja dnia – o sprawie poinformowały ogólnokrajowe media, a na łamach „Time’a” i „Newsweeka” opublikowano specjalne artykuły. I chociaż dowody winy Zacharskiego niezbyt przekonywały (nagranie Bella było nie najlepszej jakości, a pan Marian okazał się tego dnia wyjątkowo małomówny), nie ulegało wątpliwości, że sąd orzeknie wyroki skazujące. Miał to być zresztą wielki medialny show, w którym musiały zapaść surowe kary.

„Mój adwokat Edward Stadum powiedział, iż żadnych dowodów winy w tej sprawie nie ma, bo być nie może – wspominał Zacharski. – Jest tylko zeznanie Williama Holdena Bella. I zapyta przysięgłych o wiarygodność zeznań człowieka, który w życiu zdradził wszystkich: swoją ojczyznę, firmę, w której pracował, pierwszą żonę i nawet drugą żonę. A teraz także przyjaciela, którego oskarża o szpiegostwo” [326](#).

Nie miało to jednak większego znaczenia – proces trwał miesiąc, po czym przysięgli jednomyślnie orzekli, że Marian Zacharski jest winny szpiegostwa przeciwko Stanom Zjednoczonym. Po kolejnym miesiącu (!), dzień po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, Bell został skazany na osiem lat więzienia, natomiast Zacharski otrzymał karę dożywocia.

William Bell nie odsiedział wyroku w całości, został zwolniony po czterech latach i zmarł niedługo później, bo w 1986 roku. Według niesprawdzonych informacji był kompletnie rozbity psychicznie i zapił się na śmierć.

WYMIANA

„Nie do końca jest prawdą, o czym zapewnia Czesław Kiszczak, że swoje uwolnienie zawdzięcza usilnym staraniom strony polskiej – mówił z goryczą Zacharski. – Jestem przekonany, że gdyby to zależało wyłącznie od Warszawy, siedziałbym w amerykańskim więzieniu jeszcze długo. Do mojego uwolnienia, czyli wymiany na 25 zachodnich szpiegów na berlińskim moście Glienicke, doprowadził wybitny enerdowski adwokat, Wolfgang Vogel, oraz szef wywiadu Stasi – Markus Wolf. Jestem im za to dozgonnie wdzięczny” [327](#).

Zacharski wspominał również, że gdy jego żona i matka trafiły do Wojciecha Jaruzelskiego i powiedziały mu, że dzieci płaczą z tęsknoty za ojcem, generał poradził, by „kupić im czekoladę”. Inna sprawa, że wymiana szpiegów nigdy nie jest prostą operacją, a FBI uważało, że wolność Zacharskiego ma swoją cenę. Doszło nawet do tego, że w więzieniu złożono mu bardzo nietypową propozycję.

„Amerykanów interesowało najbardziej, co udało mu się wykraść – mówił Czesław Kiszczak. – I za tę informację gotowi byli na wszystko – łącznie z wypuszczeniem go na wolność, z nowym życiorysem, nową twarzą i milionem dolarów w kieszeni” [328](#).

FBI faktycznie złożyło Zacharskiemu pewną propozycję, ale wcale nie chodziło o ustalenie, co agent przekazał do Warszawy. Pan Marian miał bowiem dla Amerykanów wyłącznie wartość propagandową. Jego proces odbił się szerokim echem na świecie, a w Polsce trwał stan wojenny. W tej sytuacji informacja, że superszpieg PRL-u zdecydował się na pozostanie w Stanach, miałyby dla Amerykanów dużą wartość. Zacharski jednak odmówił.

Na marginesie można dodać, że dość ciekawą postacią był wspomniany przez agenta adwokat Wolfgang Vogel. Jego wschodniobrzeńska kancelaria specjalizowała się bowiem w prowadzeniu delikatnych spraw dotyczących wielkiej polityki.

„Mecenas (...) jest w świecie wysokiej dyplomacji kimś doskonale znanym, będąc jednocześnie jedną z najbardziej tajemniczych postaci zimnej wojny – wyjaśniał Zacharski. – W czasie gdy Wschód i Zachód podążały od jednego konfliktu do drugiego, profesor Wolfgang Vogel, nie bawiąc się w politykę, potrafił stać się mężem zaufania obydwu stron. (...) Nieoficjalnie mówi się, iż potrafi umiejętnie pociągać za sznurki zarówno

w Waszyngtonie, Bonn, jak i w Berlinie. Jest zaufanym i kanclerzy RFN, i Ericha Honeckera w NRD. Od wielu lat stał się cenionym pośrednikiem, kimś, bez pomocy kogo trudno się obejść w sprawach wymagających największej dyskrecji. A takimi są wymiany ludzi pomiędzy światem podzielonym żelazną kurtyną” [329](#).

Marian Zacharski wraz z trójką innych szpiegów bloku wschodniego został wymieniony na moście Glienicke w czerwcu 1985 roku. Na jego powrót do kraju złożyły się służby całego bloku wschodniego – to właśnie wtedy Jerzy Pawłowski odmówił przejścia na Zachód.

EMERYTURA AGENTA

Zacharskiego powitano w kraju z honorami, ale nie bardzo wiedziano, co dalej z nim zrobić. Wprawdzie jeszcze podczas pobytu w więzieniu dostał stopień kapitana, stając się oficerem wywiadu, ale nie było konkretnych planów dotyczących jego dalszej kariery. Wreszcie znalazło się wyjście: jako dobry handlowiec i zasłużony agent otrzymał nominację na dyrektora generalnego Peweksu. Przy okazji prowadził szkolenia dla adeptów wywiadu w Kiejkutach.

Na nowym stanowisku Zacharski rozwinął skrzydła, a jego firma zanotowała dobre wyniki finansowe. To właśnie za jego kadencji w sklepach Peweksu pojawiła się japońska elektronika (Sony, Sanyo, Panasonic, Technics) w dość przystępnych cenach, co zadecydowało o wysokich obrotach firmy.

W 1990 roku Zacharski został pozytywnie zweryfikowany i w stopniu pułkownika trafił do UOP. Był zamieszany w skandal związany z firmą Inter-Arms, który przyczynił się do upadku rządu Waldemara Pawłaka. Mianowano go również dyrektorem Zarządu Wywiadu UOP. Ten ostatni awans spotkał się jednak z protestami niektórych polityków (także amerykańskich), wobec czego Zacharski po kilku tygodniach złożył dymisję. Jego karierę ostatecznie zahamowała słynna sprawa „Olina”, po której zrezygnował z pracy w wywiadzie. Na emeryturę odszedł w stopniu generalskim, a nominację otrzymał w ostatnim dniu prezydentury Lecha Wałęsy.

Wyjechał z kraju i do dzisiaj żyje na emigracji. Podjął współpracę z miesięcznikiem „Historia Do Rzeczy”, regularnie wydaje również książki. Napisał opowieści o swoich losach, a następnie zajął się historią wywiadu II Rzeczypospolitej. Okazał się niezwykle zdolnym pisarzem, toteż gdy czytam jego książki, zawsze zastanawiam się, czy ma większy talent literacki, szpiegowski, czy handlowy...

Po więcej ebooków wpadnij na pijafka.pl



Ryszard Kukliński przed Grobem Nieznanego Żołnierza
w Warszawie

ROZDZIAŁ 11

WSZYSTKIE KOBIETY PUŁKOWNIKA

Klaus Fuchs – niemiecki fizyk, a zarazem tajny współpracownik radzieckiego wywiadu – powiedział, że bycie agentem to schizofrenia kontrolowana. Zapewne miał rację, gdyż przeznaczeniem agenta jest życie pod wieloma nazwiskami, w różnych przestrzeniach językowych, kulturowych, zawodowych, a często nawet rodzinnych. Zachwycając się barwnymi biografiami szpiegów, rzadko myślimy o kosztach takiego życia, przede wszystkim tych osobistych. Historia Ryszarda Kuklińskiego – nieszablonowa nawet jak na szpiega – może pomóc zrozumieć konsekwencje psychologiczne, jakimi obciążony jest ten zawód. Warto więc z nieco innego punktu widzenia przyjrzeć się tej postaci, wychodząc poza szablonowe rozważania typu: bohater czy zdrajca? A przy okazji odpowiedzieć na pytanie, czy pułkownik rzeczywiście był typem wyjątkowego playboya, czy też – jak chcą jego obrońcy – po prostu maskował w ten sposób swoją szpiegowską działalność? Warto też dodać, że o tym aspekcie życia Kuklińskiego nie było nawet wzmianki w słynnym filmie *Jack Strong* wyreżyserowanym przez Władysława Pasikowskiego.

W RODZINIE KUKLIŃSKICH

Kariera wojskowa Ryszarda Kuklińskiego rozpoczęła się we Wrocławiu, gdzie trafił pod koniec II wojny światowej. Jako kilkunastoletni chłopak

wstąpił do Oficerskiej Szkoły Piechoty, z której został relegowany tuż przed końcem nauki, podobno za opowiadanie dowcipów o kolektywizacji wsi. Po kilku miesiącach otrzymał jednak promocję na stopień chorążego.

Prezentował wówczas „słuszną ideologicznie postawę” i był gorliwym aktywistą PPR-u, a później PZPR-u. W 1953 roku mianowano go na stanowisko szefa sztabu batalionu w Brygadzie Przeciwdesantowej w Kołobrzegu, gdzie najwyraźniej sprawdzał się w służbie, bo szybko awansował. W efekcie skierowano go na studia do Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie, a po ich ukończeniu otrzymał awans na stopień majora i przydział służbowy do Sztabu Generalnego.

Jeszcze przed wyjazdem do Kołobrzegu zawarł związek małżeński, a jego wybranką została młodsza o dwa lata Joanna Christ, nazywana przez niego Hanną. Niebawem też urodziło się im dwóch synów – Waldemar i Bogusław (Bogdan).

Kuklińscy zamieszkali w Warszawie w służbowym mieszkaniu przy ulicy Jana Olbrachta. W małżeństwie nie układało się najlepiej, bo Ryszard był typem pracoholika, a ponadto miał skłonności do zdradzania żony.

„Był miłym, sympatycznym człowiekiem – opowiadała Krystyna J., mężatka, pracownica Sztabu Generalnego – podobał się kobietom. Po około roku jego pracy w naszym oddziale nawiązała się między nami bliższa znajomość. Spotykaliśmy się w kawiarniach na kawie lub wyjeżdżaliśmy jego samochodem poza miasto. Przed wyjazdem jego do Wietnamu w latach 1968–1969 Ryszard Kukliński wyjeżdżał ze mną do lasu samochodem, który wtedy posiadał, to jest wartburgiem. Spotykaliśmy się przeciętnie dwa-trzy razy w miesiącu” [330](#).

Oboje dbali o zachowanie pozorów i nie pozwalali sobie na poufałość w miejscu pracy. A okazji nie brakowało, często bowiem zostawali razem po godzinach. Inna sprawa, że w tych czasach Kuklińskiego najbardziej interesowała kariera zawodowa.

„Był niepozornym, drobnym, łysiejącym blondynem – wspominał Czesław Kiszczak. – Nigdy nie odzywał się nie pytany, niczym się nie wyróżniał. Idealny agent.

Byłem z nim na »ty«, studiowaliśmy razem na kursie w Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Był cichy, uczynny, skromny, pracowity, służbisty, ładnie malował mapy. Ściągał buty i w skarpetkach chodził po olbrzymich mapach leżących na podłodze. Robił je dla siebie i kilkunastu kolegów. Miał też fenomenalną pamięć.

Jak teraz na to patrzę, to widzę, że był aż nadto służbisty. Pamiętam, jak kiedyś zjawił się u mnie w biurze z teczką (przypiętą łańcuszkiem do ręki) tajnych dokumentów. Podsunął mi dokument otwarty na stronie, którą miałem przeczytać i pokwitować fakt zapoznania się z nim. Ciekawiło mnie, co jest na innych stronach, usiłowałem namówić Kuklińskiego na kawę, kieliszek koniaku... Nawet nie usiadł” [331](#).

Problemy rodziny Kuklińskich nie ograniczały się do pracoholizmu czy zdrad Ryszarda. Kłopoty sprawiali też obaj synowie – starszy z chłopców, Waldemar, student prawa, był typem introwertyka. Blisko związany z matką, pozwalał sobie na różne demonstracje pod adresem ojca. Bywało, że mieszkając z nim pod jednym dachem, miesiącami się do niego nie odzywał. Natomiast Bogdan – chociaż stwarzał duże problemy wychowawcze – był ulubieńcem pułkownika.

„Chodziliśmy razem do warszawskiego liceum imienia Gottwalda – wspominała Grażyna Szaniawska. – Był od nas dwa lata starszy. Dołączył do naszej klasy w połowie liceum, po tym jak musiał powtarzać rok. Nauka nie bardzo mu szła. Był po uszy zakochany w Grażynie, córce generała Hermaszewskiego, którego młodszy brat Mirosław był kosmonautą. Przez całe liceum byli nierozłączną parą. Gdy okazało się, że Bogdan nie przejdzie do trzeciej [klasy], Grażyna zaniedbała naukę i też musiała repetować” [332](#).

Bogdan nie dostał się na medycynę, a ojciec wyreklamował go od zasadniczej służby wojskowej. Przez rok pracował w jakimś laboratorium, by zdobyć punkty preferencyjne, jednak kolejny egzamin również zakończył się porażką. Ojciec chyba nie chciał mu pomóc w zdobyciu indeksu Akademii Medycznej, nie doszli także do porozumienia w sprawie ewentualnej nauki Bogdana w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. W efekcie chłopak nigdzie nie pracował na stałe, zajmując się „składaniem i sprzedawaniem starych poniemieckich motocykli”. A do tego „hodował króliki i Bóg wie, co jeszcze” robił.

Po rozstaniu z Grażyną Hermaszewską związał się z Izabellą Zawadzka. To właśnie ona miała zostać synową pułkownika i matką jego jedyne wnuka.

WIETNAM

„CIA najwięcej naszych ludzi zwerbowała w Wietnamie – twierdził generał Władysław Pożoga. – Kukliński był w Wietnamie, zrobił błyskawiczną karierę, zajmował odpowiedzialne stanowisko, był łakomym kąskiem dla służb specjalnych i chociażby z tego powodu należała mu się kontrwywiadowcza ochrona. Mieliśmy sporo informacji o amerykańskich staraniach w stosunku do naszych oficerów pracujących w Wietnamie. Amerykanie dobrze płacili. Za samą zgodę na współpracę można było dostać kilka tysięcy dolarów. To powinno być sygnałem dla kontrwywiadu” [333](#).

W czerwcu 1967 roku Kukliński trafił do Wietnamu, gdzie pracował w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru. Mieszkał w Sajgonie w hotelu Catinat, w którym zakwaterowani byli również Amerykanie. Prowadził normalne życie towarzyskie, spotykał się z oficerami US Army, brał udział w organizowanych przez nich spotkaniach. Niektórzy z nich (w tym urodziwa pracownica ambasady panna Levandowsky) świetnie mówili po polsku i bez wątplenia byli kadrowymi pracownikami wywiadu. Podejrzenia o zwerbowanie Kuklińskiego nie znajdują jednak potwierdzenia w późniejszych relacjach pułkownika i funkcjonariuszy CIA. Wydaje się zresztą, że w tym czasie Kukliński miał zupełnie inne zainteresowania.

„Od początku zauważyłem – twierdził pułkownik Henryk Radomski – że Kukliński ma wyjątkowe inklinacje do nawiązywania kontaktu z kobietami. Powszechnie mówiło się, że Kukliński »ma wszystko za darmo i nie musi płacić«. Chodziło tu o osobiste jego kontakty z naszą pracownicą, która pracowała w charakterze maszynistki” [334](#).

Wątpliwe również, by Ryszard brał udział w innym procederze, który cieszył się dużą popularnością w środowisku polskiej kolonii w Sajgonie. Jak przystało na prawdziwych Polaków, nasi rodacy szybko dostrzegli ekonomiczne możliwości pobytu w Wietnamie.

„Przede wszystkim nasi tam handlowali – wyjaśniał Kiszczak – a każda wpadka groziła międzynarodowym skandalem (...). W Polsce takie nadużycia ostro karano, Amerykanie w to grali i umożliwiali naszym oficerom interesy. Przykładowo, między Wietnamem i Laosem były ogromne różnice w kursie dolara. Podobnie było z cenami towarów” [335](#).

Nawet jeżeli pułkownik nie brał udziału w handlu, to i tak niezłe zarobił na pobycie w Indochinach. Diety płacono bowiem w dolarach, a oficerowie niewiele wydawali. Samo to oznaczało już poważne oszczędności.

„Kukliński pobierał diety w tej samej wysokości co i ja – zeznawała radca w MSW Krystyna Garbowicz. – Uważam, że dysponował on za cały czas pobytu w Sajgonie kwotą około 2 tysięcy dolarów, a może i mniej. Wiem, że zakupił samochód opel rekord za 1800 dolarów. Taki sam samochód nabyłam ja, Wawrzyniak, Kukliński i jeszcze ktoś z członków naszej delegacji. Nadmieniam, że w podaną przeze mnie kwotę zarobionych pieniędzy przez Kuklińskiego 2000 dolarów USA wliczam należność przekazaną z tytułu zamiany klasy pierwszej na turystyczną, w wysokości 400 dolarów” [336](#).

Warto zapamiętać powyższą relację i wymienione kwoty.

POD ŻAGLAMI

Jeszcze podczas służby w Kołobrzegu Kuklińskiego zafascynowało żeglarstwo. Udało mu się nabyć zdewastowany kadłub ponemieckiego kutra, który wyremontował i przebudował na jacht. Pływał nim do czasu przeniesienia do Warszawy, ostatecznie sprzedał jednostkę do Szwecji za niezłe pieniądze.

Pasję żeglarską kontynuował również w późniejszych latach – pływał na jeziorach mazurskich, zawsze jednak pociągało go morze. Po powrocie z Wietnamu został komandorem wojskowego klubu żeglarskiego Atol. Wraz z innymi oficerami wypływał na jachcie Legia w rejsy po Bałtyku i Morzu Północnym, zawsze jako kapitan jednostki.

Wyprawy te prawdopodobnie finansował polski wywiad, a załoga wykonywała zadania szpiegowskie. Zgodnie bowiem z obowiązującą doktryną wojenną Układu Warszawskiego w przypadku konfliktu zbrojnego polska armia miała być użyta na północnym teatrze działań. A to oznaczało konieczność dokładnego poznania wybrzeży Republiki Federalnej Niemiec i Danii. Członkowie załogi byli doświadczonymi oficerami. Oczywiście w ich książeczkach żeglarskich nie wpisano stopni wojskowych ani zawodu.

„Podczas kilkudniowego postoju w Hamburgu – wspominał uczestnik rejsu, późniejszy generał Mieczysław Dachowski – załoga pod pretekstem turystycznych wycieczek wyszukiwała i opisywała miejsca najbardziej przydatne do prowadzenia operacji militarnych w rejonie Hamburga.

Z pokładu jachtu za pomocą precyzyjnej echosondy dokonano dokładnych pomiarów głębokości przepraw wodnych na Łabie. Dodatkowo zdokumentowano rejon Helgolandu i znajdującego się tam ośrodka radarowego NATO” [337](#).

Na części zachowanych zdjęć z rejsu w tle widoczne są zarysy instalacji wojskowych i strategicznego mostu na Łabie. Dla wywiadu każda taka informacja była niezwykle cenna. Zorganizowano kilka podobnych wypraw, a centrala w Warszawie była bardzo zadowolona z dostarczonych materiałów. Jednak w 1975 roku zakazano tych rejsów – podobno szefostwo obawiało się, że zachodnie służby wykryły szpiegowski proceder. Kuklińskiemu udało się jednak wypłynąć jeszcze kilka razy, tym razem już zupełnie prywatnie.

Paradoksalne, że pułkownik, wykonując zadania szpiegowskie dla polskiego wywiadu, nawiązał kontakt z CIA. I wykorzystywał następne rejsy do odbywania kolejnych spotkań z Amerykanami...

KOBIETY W ŻYCIU PUŁKOWNIKA

Po powrocie z Wietnamu Kukliński wznowił romans z Krystyną J., a związek ten trwał na poprzednio obowiązujących zasadach przez kilka następnych lat. Spotkania stawały się jednak coraz rzadsze, aż wreszcie około 1973 roku pani Krystyna uznała, że związek już się wypalił. Była w stanie tolerować żonę Ryszarda, ale inne panie już niekoniecznie.

„Przyczyną tego stanu rzeczy były moje zastrzeżenia do pułkownika Kuklińskiego – zeznawała w 1982 roku. – Po prostu podejrzewałam, że utrzymuje bliskie kontakty towarzyskie również z innymi kobietami” [338](#).

Bywając w jego gabinecie, słyszała, jak telefonowały do niego inne kobiety, a rozmowy te nie sprawiały wrażenia przypadkowych. Poza tym zauważyła, że w jego życiu pojawiła się stała partnerka, Barbara J. Kiedyś miała nawet okazję ją poznać, co przypieczętowało jej decyzję. Mimo to „jeszcze dwa-trzy razy uległa pułkownikowi Kuklińskiemu”.

Krystyna zachowała dobre wspomnienia z romansu z Kuklińskim. Uważała, że w „stosunkach z kobietami był śmiały” i zachowywał się „jak normalny mężczyzna”, co zapewne oznaczało, że związek dał jej dużo satysfakcji. Przy okazji zauważyła, że często narzekał, iż „żona choruje na

choroby kobiece i reumatyzm”, co miało być jedną z przyczyn nieudanego małżeństwa.

Wnikliwi badacze doliczyli się kilkunastu (raczej bliżej 20 niż 10) nieformalnych związków pułkownika z kobietami. Dla większości historyków jest to dowód, że oficer budował w ten sposób legendę lekkoducha, co miało odwrócić uwagę otoczenia od jego kontaktów z CIA. Kobięciarz mógł przecież bywać w różnych miejscach o dziwnych porach i nikomu nie przyszłoby do głowy, że w tym czasie wysyła meldunki lub przekazuje materiały szpiegowskie. Identyczną opinię o Kuklińskim wyrażali również ci, którzy w przyszłości mieli go znienawidzić z całego serca.

„Uchodził za niezłego kogucika – mówił generał Kiszczak. – Stale wywoził do lasu sekretarki, maszynistki, inne atrakcyjne kobiety. Nie afiszował się z tym, ale pozwalał wszystkim dostrzec, że jest z tych, co to lubią na boku. Tyle tylko, że on z tymi kobietami nie spał. No, może na początku, żeby romans obiecująco zacząć. Później brał taką na wycieczkę samochodem, wchodzili do lasu i kiedy ona była przekonana, że za chwilę wciągnie ją w krzaki, przepraszał, znikał na chwilę, niby za potrzebą, a po powrocie nagle zaczynało mu się spieszyć do domu” [339](#).

Faktycznie, Kukliński miał swoje ulubione miejsca w okolicach Warszawy. Odwiedzał je w damskim towarzystwie, co z perspektywy czasu mogło sugerować, że traktował kobiety instrumentalnie, a wyjazdy z nimi za miasto były dobrą przykrywką dla jego kontaktów z CIA.

„Te panienki były mu potrzebne tylko dla ubezpieczenia wyjazdów do skrytek – kontynuował Kiszczak. – Wystarczyło tylko się szybko i niepostrzeżenie schylić, podnieść wydrążony kamień (ulubiony sposób Amerykanów na kontakt), który znajdował się w umówionym miejscu” [340](#).

Jednak nie wszystkie panie ulegały pułkownikowi. Wprawdzie podobał się płci pięknej, ale zdarzało mu się również ponosić porażki. Najczęściej dostawał kosza od kobiet pozostających w nieformalnych związkach. Ale mężatki były raczej mało odporne na jego urok.

„Pułkownik Kukliński w osobistych kontaktach ze mną – zeznawała Hanna W. – dążył do nawiązania stosunków charakteru intymnego i w tym zakresie stawiał mi niedwuznaczne propozycje, a nawet próbował doprowadzić do zbliżenia intymnego i to działo się w moim mieszkaniu. Faktycznie jednak do stosunków osobistych między nami nie doszło i to

tylko z mej przyczyny. Miałam i mam narzeczonego i w związku z tym nie byłam zainteresowana osobą Kuklińskiego” [341](#).

Jej zamężnymi koleżankami nie targały takie wątpliwości – bez większych oporów dołączały do galerii zdobywcy pułkownika. Wiele z nich wymagało jednak wyłączności (oczywiście nie licząc żony), toteż zrywały znajomość, gdy okazywało się, że w jego życiu istnieją jeszcze inne panie.

„Z opowiadań w naszym zarządzie wiem, że prawdopodobnie pułkownik Kukliński utrzymywał bliższe osobiste kontakty z kreślarką w Oddziale Szkolenia, ob. Krystyną Ch. – mówiła dalej Hanna W. –

Wymieniona, po zniknięciu Kuklińskiego, przyszła do mnie i powiedziała do mnie, że kiedyś kochała się w Kuklińskim, jednak z uwagi na to, że zorientowała się, że Kukliński romansuje z innymi kobietami, zerwała z nim. Wydaje mi się, że Ch. wspomniała o tych sprawach dlatego, że uważała, iż ja również byłam jedną z kochanek Kuklińskiego” [342](#).

Niewiele brakowało, by romans z Krystyną Ch. zakończył się tragedią. Dziewczyna miała bowiem wyjątkowo zazdrosnego męża. Mężczyzna zaczął ją śledzić, a był człowiekiem dość porywczym.

Kukliński dzierżawił w tym czasie kawałek ziemi na wschód od Mińska Mazowieckiego. Oficjalnie miał tam remontować jacht, a w rzeczywistości uznał, że będzie to dobre miejsce na intymne schadzki (rodzina nic nie wiedziała o tej działce). Postawił tam letni domek, do którego regularnie przywoził dziewczęta.

„Raz jednak taka randka pod Mińskiem – wspominał po latach – o mało nie skończyła się tragicznie i dla mnie, i dla mojej towarzyszki. (...) Coś tam wypiliśmy, pieczemy kiełbaski na ogniu, upał straszny, toteż oboje byliśmy dość skąpo odziani. Nagle z lasu wyskakuje facet z bronią. Był po cywilnemu, sądziłem więc, że to tajniak. »Ręce do góry!«, krzyczy. Wolno się podniosłem, całe życie przeleciało mi przed oczami. Byłem pewien, że to koniec. Trochę się tylko dziwiłem, że działał sam. To nie są ich metody, z za tych krzaków powinno ich wyskoczyć dziesięciu, piętnastu. Oczekiwałem, że się to za chwilę stanie. I nagle słyszę: »Heniek, daj spokój!«. Okazało się, że to zazdrosny mąż, który nas śledził. Jakoś z tego wybrnąłem, a raczej dziewczyna załagodziła. Była w sztabie kreślarką, całe noce pracowaliśmy razem” [343](#).

Przy okazji cała sprawa okazała się doskonałym kamuflażem, a Kukliński ugruntował swoją sławę playboya. Dla otoczenia było to

potwierdzenie, że lubi pozamałżeński seks i głównie właśnie jemu poświęca swój wolny czas. Taka opinia była mu potrzebna.

„Historia błyskawicznie rozniosła się po sztabie, co było mi bardzo na rękę – potwierdzał Kukliński. – Ona opowiedziała to koleżance, ta puściła to dalej. Wszyscy się po cichu podśmiewali, że zazdrosny mąż jednej z kreślarek chciał się z Kuklińskim strzelać” [344](#).

Gdy czyta się zeznania jego partnerek, można jednak odnieść wrażenie, że pułkownik rzeczywiście lubił przygody męsko-damskie i chyba zbytnio nie wzdragał się przed nawiązywaniem nowych znajomości. Problem stanowiło jednak to, że niektóre panie nie zgadzały się na prymitywne warunki intymnych spotkań. Wprawdzie wspólne wyjazdy do lasu można uznać za przejaw romantyzmu, ale nie każdej partnerce odpowiadało zbliżenie erotyczne w samochodzie czy na mchu. Mirosława G., która poznała Kuklińskiego w sierpniu 1981 roku, miała ochotę na skonsumowanie znajomości, ale niekoniecznie w takim miejscu.

„Przyjechał wieczorem około godziny 17.00 w pobliże mojego domu – opowiadała. – Następnie pułkownik Kukliński powiedział, że pojedziemy na spacer poza Warszawę. Pamiętam, że pojechaliśmy przez Bemowo i po przejechaniu około 40 kilometrów zatrzymaliśmy się na skraju Kampinosu. Pułkownik Kukliński wprowadził samochód pomiędzy drzewa tak, aby nie był widoczny z drogi. Pozamykał okna od samochodu, włączył magnetofon, z tym że zasłonił skalę odbiornika tak, aby nie było widać światła. W samochodzie piliśmy wino, słuchaliśmy muzyki i całowaliśmy się. Z jego zachowania wynika, że dążył do zbliżenia intymnego, jednak oświadczyłam mu stanowczo, że nie odpowiadają mi takie warunki” [345](#).

Kukliński nie zmienił obyczajów aż do chwili wyjazdu z Polski. Z Mirosławą G. spotkał się po raz kolejny na kilka dni przed ewakuacją, w Święto Zmarłych. Ponownie pojechali za miasto i pani Mirosława znów odmówiła, tłumacząc, że seks w lesie jej nie interesuje. Wobec tego umówili się, że „spotkają się pod koniec tygodnia i pojadą na całą noc do jakiegoś motelu”. A gdy nie zadzwonił, pani G. uznała, że pułkownikowi brakuje taktu...

BASIA

„Okolo 13 lat temu bylam na wczasach w Międzyzdrojach – zeznawala w lutym 1982 roku Urszula M. – Podczas pobytu na wczasach poznałam i zaprzyjaźniłam się z Barbarą J. Wspólnie chodziłyśmy na spacer. W czasie jednego ze spacerów poznałyśmy pułkownika Kuklińskiego. Wymieniony był ze swoimi kolegami na jachcie. (...) Barbara umówiła się z pułkownikiem Kuklińskim i po powrocie do Warszawy zaczęli się spotykać” [346](#).

W ten sposób rozpoczęła się zapewne największa miłość pułkownika Kuklińskiego. Młodsza o 16 lat Barbara J. stała się jego nieodłączną towarzyszką, o wiele bliższą niż małżonka. Nie planowali jednak wspólnej przeszłości, a pułkownik podobno „oświadczył jej wręcz, że nigdy nie rozwiedzie się ze swoją żoną”.

„Kukliński nigdy nie obiecywał J. zawarcia związku małżeńskiego i ona o tym doskonale wiedziała – potwierdzał pułkownik Włodzimierz Bauer. – Barbara nie mogła mieć dzieci. (...) Z opowiadań Kuklińskiej wiem, że orientowała się ona w kontakcie prywatnym jej męża z Barbarą J.” [347](#).

Nie wiadomo, jak na losy ich związku wpłynęła bezpłodność Barbary. Sądząc po częstych wzmiankach na ten temat w wypowiedziach jej znajomych, bardzo to przeżywała. Tym bardziej że pośrednim sprawcą nieszczęścia był sam Kukliński, który miał ją zmusić do aborcji, gdy zaszła z nim w ciążę. Nie myślała jednak o rozstaniu z pułkownikiem, albowiem wydaje się, że on również był miłością jej życia. Zapewne z tego właśnie powodu obojgu zdarzało się zapominać o otaczającym ich świecie.

„W czasie spaceru Ryszard powiedział mi – opowiadała Urszula M. – że [kiedyś] otrzymał propozycję wyjazdu na placówkę dyplomatyczną. W związku z tym mieli go wezwać gdzieś na rozmowę. W trakcie tej rozmowy, jak wynikało z wypowiedzi Ryszarda, pokazano mu film, na którym uwidocznił on i Barbara, jak biegają nago po lesie. To właśnie miało zadecydować o tym, że nie wysłano go na placówkę dyplomatyczną” [348](#).

Kochankowie wykorzystywali każdą wolną chwilę, aby być razem. Barbara towarzyszyła pułkownikowi w wyjazdach służbowych, również tych zagranicznych. Zdarzyło się nawet, że „odwiedziła go w Moskwie, kiedy był on tam na jakimś kursie”, towarzyszyła mu także podczas niektórych rejsów. Znajomym mówiła, że chociaż wie, iż pułkownik nigdy się nie rozwiedzie, to „sposób, w jaki spotyka się z Ryszardem, w zupełności jej wystarcza”.

Kukliński wspomagał ją finansowo i obsypywał prezentami zakupionymi w peweksie lub przywiezionymi z zagranicy. Zaangażowanie pułkownika stało się szczególnie widoczne, gdy jego partnerka otrzymała mieszkanie.

„J. po otrzymaniu mieszkania własnościowego otrzymała od Kuklińskiego 60 tysięcy złotych na urządzenie – zeznawał pułkownik Bauer. – (...) Wyposażenie mieszkania J., a szczególnie glazura została nabyta w PKO. Projektantem urządzenia mieszkania był pułkownik Kukliński” [349](#).

Ryszard bywał również częstym gościem w domu rodzinnym kochanki, toteż dobrze znali go zarówno jej ojciec, jak i brat (matka wówczas już nie żyła). Obaj panowie domyślali się charakteru związku Barbary z Kuklińskim, orientowali się też w jego sytuacji rodzinnej. Ale nie protestowali – być może liczyli na to, iż pułkownik wreszcie rozwiedzie się z żoną. Tym bardziej że Kukliński czasami dawał im to do zrozumienia.

„W czasie spotkań – zeznawał ojciec Basi – Ryszard Kukliński opowiadał, że nie bardzo układają mu się stosunki rodzinne. Wspominał kilka razy, że ma zamiar rozwieść się z żoną. Nie podawał jednak, dlaczego chce to zrobić” [350](#).

Romans Ryszarda Kuklińskiego i Barbary J. trwał około 10 lat. Choć w tym czasie pułkownikowi zdarzały się liczne przelotne związki, zawsze wracał do kochanki. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy ich znajomości, gdyby w kwietniu 1979 roku Barbara nie zmarła na wylew krwi do mózgu. Kukliński bardzo to przeżył, pomagał przy organizacji pogrzebu i to właśnie on zajął się przygotowaniem tablicy nagrobnej.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że dość szybko pocieszył się w ramionach innej kobiety. Zainteresował się bowiem przyjaciółką ukochanej, nie przerwał też pasma swoich przelotnych podbojów.

„W kilka miesięcy po śmierci Barbary zaprosił mnie na spotkanie – wspominała Urszula M. – (...) Pojechaliśmy jego samochodem poza Warszawę. W tej chwili nie pamiętam do jakiego lokalu (...). Wypiliśmy po lampce alkoholu, a następnie udaliśmy się do części hotelowej. Tam doszło między nami do zbliżenia intymnego. Całe spotkanie trwało około dwóch godzin. Podobnych spotkań mogło być około pięciu. W czasie wyjazdów poza Warszawę zawsze wstępowaliśmy do (...) lokalu, a następnie udawaliśmy się do części hotelowej. Sprawy związane z załatwieniem pokoju zawsze załatwiał Ryszard. Nigdy nie doszło między nami do

zblizenia w lesie. (...) Za miasto wyjeżdżaliśmy jedynie wtedy, kiedy nie mieliśmy możliwości spotkania u mnie w domu” [351](#).

Nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę tkwi w duszy drugiego człowieka. Kukliński zawsze miał luźny stosunek do kwestii wierności męsko-damskiej, ale do Barbary J. był jednak szczerze przywiązany. Po śmierci partnerki utrzymywał kontakt z jej ojcem, a tuż przed ewakuacją – mimo narastającego zagrożenia – znalazł czas, by się z nią pożegnać.

„Pamiętam, że będąc na cmentarzu na grobie córki, zauważyłem na jej grobie kwiaty od Ryszarda – mówił ojciec Basi. – Poznałem to dlatego, że Ryszard zawsze na grobie mojej córki składał wiązankę róż” [352](#).

FINANSE RYSZARDA KUKLIŃSKIEGO

„Statystycznie niemal co dwa miesiące – pisał Sławomir Cenckiewicz – Kukliński dostawał nagrody finansowe (od 2,5 tysiąca do 4 tysięcy złotych) i pisemne pochwały od przełożonych. A to za przygotowanie ćwiczeń, za zaangażowanie w prace sztabowe i operacyjne, za wkład pracy czy przygotowanie posiedzenia Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego, a opiniujący go przełożeni – głównie szef Sztabu Generalnego generał Florian Siwicki i jego zastępcy – ścigali się między sobą na pochwały” [353](#).

Sprawy finansowe pułkownika do dzisiaj rozpalają emocje. Jego przeciwnicy twierdzą, że brał pieniądze od CIA, podczas gdy obrońcy uważają, że przekazywał materiały nieodpłatnie. Sam zainteresowany twierdził, iż od Amerykanów nigdy nie wziął żadnej gotówki, co potwierdzał prowadzący go agent CIA, David Forden:

„Nikt mu za to nie płacił. Bardzo szybko zrozumieliśmy, zarówno ja, jak i moi koledzy, że mógłby to potraktować jako zniewagę” [354](#).

Poziom życia rodziny Kuklińskich oceniano bardzo różnie. W czasach, gdy zajmowali służbowy lokal przy ulicy Olbrachta w Warszawie, ich znajomi z kręgów oficerskich określali jego wyposażenie jako przeciętne. Natomiast gościom niezwiązanym z wojskiem mieszkanie Kuklińskich wydawało się niemal luksusowe. Najwyraźniej ocena zależała od standardów przyjętych w danym środowisku.

Dziesięć lat po powrocie Kuklińskiego z Wietnamu jego rodzina przeprowadziła się do segmentu na Nowym Mieście. Była to niezwykle ekskluzywna lokalizacja, w samym centrum Warszawy, a jednocześnie przy cichej i spokojnej uliczce.

„Mieszkałem przy ulicy Rajców 11, na Nowym Mieście, w domu zbudowanym w latach siedemdziesiątych przez Oficerskie Spółdzielcze Zrzeszenie Budowy Domów Jednorodzinnych »Skarpa« – wspominał pułkownik. – Mój dom, jeden z ośmiu, wybudowałem przez sześć lat z pieniędzy za sprzedany jacht, z rekompensaty za rezygnację z kwatery wojskowej, która mi przysługiwała – a to było 30 procent wartości domu, płatne z góry – z pożyczki hipotecznej oraz z pracy mojej, żony i synów” [355](#).

Czy jednak Kuklińscy mogli sobie pozwolić na spłatę i wykończenie domu z własnej pracy? Nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Hanna zarabiała powyżej średniej krajowej (pracowała zawodowo do połowy 1978 roku), a Ryszard otrzymywał wysoką pensję i regularne nagrody? Informację o udziale synów trzeba chyba przyjąć z przymrużeniem oka, bo ich finansowy wkład w budowę willi w latach 70. mógł być co najwyżej symboliczny. Oczywiście spółdzielnia oficerska oferowała preferencyjne ceny, a Kuklińscy mieli dostęp do tańszych materiałów, lecz mimo to koszty inwestycji wydają się przekraczać ich możliwości finansowe.

Nawiasem mówiąc, niedawno ukazało się ogłoszenie o sprzedaży jednego z domów przy ulicy Rajców. Czasy się wprawdzie zmieniły, ale cena prawie 3 milionów złotych robi dość duże wrażenie...

Postawienie domu to jednak nie wszystko – prawdziwe problemy zaczynają się przy jego urządzaniu. Wprawdzie sąsiadka pułkownika, Teresa Hermaszewska, twierdziła, że wyposażenie segmentu Kuklińskich było „na raczej przeciętnym poziomie”, to jednak inne są standardy i wymagania generalicji, a inne oficerów niższych szarż. Tymczasem pani Teresa była żoną generała Władysława Hermaszewskiego, dowódcy I Korpusu Obrony Powietrznej Kraju. Nie ulega natomiast wątpliwości, że na oficerach niższym stopniem willa Kuklińskich wywierała ogromne wrażenie.

„Ogólnie orientowałem się, że posiada on domek prywatny w okolicach Starego Miasta – zeznawał podwładny Kuklińskiego, pułkownik Marian Janik. – Nigdy jednak nie byłem zaproszony, jak również służbowo Kuklińskiego nie odwiedzałem. Ogólnie panowała opinia, że Kukliński

wkłada dużo pracy w ten domek, sam wspominał, że wiele prac wykonuje osobiście. (...) Na polecenie zarządu zostałem wytypowany do uczestniczenia podczas przeszukiwania dokonywanego przez oficerów WSW. Dopiero wówczas przekonałem się, że Kukliński posiada nie żaden domek, lecz bardzo komfortową willę, wyposażenie willi luksusowe, meble, moim zdaniem, wykonywane na zamówienie. Takiej willi sposobem gospodarskim się nie wykona” [356](#).

Wiadomo jednak, że Kukliński zaciągał kredyty na prace wykończeniowe, co potwierdza zeznanie jego kolegi, pułkownika Ryszarda Fornalczyka:

„W 1974 roku lub 1975 roku, daty bliżej nie pamiętam, Kukliński zwrócił się do mnie, abym był jednym z żyrantów pożyczki pobranej z banku czy KKOP [Koleżeńska Kasa Oszczędnościowo-Pożyczkowa – S.K.]. Wiem, iż chodziło o kwotę 150 tysięcy złotych. Pożyczka była związana z budową willi. Jestem przekonany, że pożyczka została zwrócona. Słyszałem, że ktoś jeszcze żyrował Kuklińskiemu różne pożyczki, lecz bliżej tego nie znam” [357](#).

Pułkownik rzeczywiście stworzył coś w rodzaju prywatnej piramidy finansowej – zaciągał nowe kredyty (często żyrowane przez oficerów Sztabu Generalnego), by spłacać poprzednie. Do tego notorycznie pożyczal od znajomych duże kwoty, które oddawał zresztą niezwykle punktualnie. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że gdyby faktycznie potrzebował prywatnych pożyczek, zdarzałyby mu się opóźnienia w ich spłacie. Tymczasem można podejrzewać, że był to jedynie rodzaj parawanu mającego zasłonić jego prawdziwą sytuację finansową...

Pułkownik Mieczysław Janik nie miał wątpliwości, że Kuklińscy nie mogli w legalny sposób osiągnąć swojego statusu materialnego. Warto zwrócić uwagę na tę opinię, albowiem pochodzi ona od podwładnego, który wiedział, ile zarabia jego przełożony:

„Każdy, kto tylko był w domu pułkownika Kuklińskiego, powinien odnieść wrażenie, że ten luksus nie pochodzi z legalnego źródła. Takie jest moje odczucie jako oficera, który orientuje się, ile zarabiał pułkownik Kukliński i jaką kwotą mógł dysponować z tytułu nakładów otrzymywanych od MON” [358](#).

Nie była to odosobniona opinia, albowiem wyposażenie domu stanowiło dużą niespodziankę dla osób odwiedzających Kuklińskich po raz pierwszy.

„Wystrojem mieszkania byłem bardzo zaskoczony – przyznawał podpułkownik Mieczysław Kacprzyński. – Wnętrze było luksusowo wykończone. Pokazywał mi piękne meble, wykończenie pokoi, kuchni, a nawet garażu. Na moje pytanie, skąd wziął pieniądze na taki luksus, odpowiedział mi jak poprzednio, że dużo zarabia, że otrzymuje nagrody” [359](#).

Oceniano, iż tylko za samą dębową boazerię w przedpokoju i na schodach pułkownik musiał zapłacić około 100 tysięcy złotych (bez kosztów montażu). Jednak choć w 1978 roku średnia krajowa wynosiła zaledwie 4887 złotych, to Kukliński zarabiał znacznie lepiej i rzeczywiście regularnie otrzymywał wysokie nagrody. Mógł więc przekonywać otoczenie, że wybudował i wyposażył dom za pieniądze pochodzące z legalnych źródeł.

„Zawsze twierdził, że ma do spłacania pożyczki, [i] że pożyczki związane są z kontynuacją budowy domku – mówił pułkownik Wit Lewandowski. – Uchodził zatem Kukliński [za] oficera zadłużonego i to znajdowało potwierdzenie w jego zaciąganych pożyczkach” [360](#).

Tak więc jeśli pożyczki te były kamuflażem, to niezwykle skutecznym, bo w resorcie nie zwracano większej uwagi na finanse pułkownika. Dla przełożonych liczyło się tylko to, że ich podwładny regularnie spłaca długi, a jego sytuacja materialna nie odbija się negatywnie na efektach jego pracy. I jeżeli rozmawiano o prywatnych sprawach Kuklińskiego, to raczej o jego podbojach erotycznych, czego po latach miał żałować Czesław Kiszczak:

„Gdybyśmy dokładniej się zainteresowali jego samochodem, jego poziomem życia, jego niektórymi zwyczajami... Jeździł sfatygowanym fordem taunusem [według innych źródeł oplem rekordem – S.K.], ale po jego ucieczce okazało się, że to marne opakowanie kryło w sobie znakomity nowy silnik z nowym zawieszeniem. Miał luksusową willę przy ulicy Rajców i okazały sad pod Warszawą. To był majątek. Jedna sprawa zdemaskowałaby go bardzo szybko, gdybyśmy tylko na to zwrócili uwagę” [361](#).

Prawdziwym problemem dla rzeczników finansowej nieskazitelności pułkownika okazał się jednak nie segment przy ulicy Rajców, lecz sad w Stefanówce koło Wiązowny. Posiadłość o powierzchni ponad 10 hektarów oficjalnie kupiono na Bogdana Kuklińskiego za niewyobrażalną kwotę 2 milionów złotych. Do tego doszło jeszcze obciążenie hipoteczne

w wysokości 450 tysięcy złotych. Transakcję sfinalizowano na przełomie lat 1980 i 1981, gdy Hanna Kuklińska od dwóch lat już nie pracowała.

Średnia krajowa wynosiła wówczas 6040 złotych, co oznacza, że gdyby pułkownik dokonywał zakupu obecnie, musiałyby zapłacić prawie 1,5 miliona złotych. Do tego dochodziła jeszcze hipoteka w wysokości ponad ćwierć miliona...

Bogdan Kukliński (oficjalnie bez zatrudnienia) zapłacił 250 tysięcy zadatku, po czym ojciec zakończył transakcję. Pieniądze przekazał w swojej warszawskiej willi, a dotychczasowy właściciel sadu zapamiętał, że otrzymał banknoty posegregowane i że każdy plik miał banderolę bankową. Przy okazji Kukliński wyjaśnił mu, że pieniądze na kupno sadu zarobił przed laty w Wietnamie. Natomiast Teresa Hermaszewska usłyszała od pułkownikowej Kuklińskiej, że zakup ten sfinansowała jej matka...

Wiadomo również, że tuż przed ostatecznym rozliczeniem Kuklińskiemu zabrakło nieco gotówki. W tej sytuacji poprosił o pomoc ojca nieżyjącej już Basi.

„W kilka dni po tej rozmowie – opowiadał Czesław J. – Ryszard odwiedził mnie ponownie i powiedział mi, że potrzebuje trochę pieniędzy. Pożyczyłem mu wtedy 150 tysięcy złotych. Po kilku dniach Ryszard przyszedł do mnie ponownie i poprosił mnie jeszcze o pożyczenie 50 tysięcy złotych, gdyż, jak twierdził, zabrakło mu na opłacenie rejenta. Wszystkie pożyczone pieniądze zostały zwrócone przez Ryszarda w przeciągu jednego miesiąca od czasu udzielenia mu pożyczki” [362](#).

Sadem rzeczywiście zajmował się Bogdan, który w międzyczasie zdobył uprawnienia rolnicze (był to warunek przeprowadzenia transakcji na jego nazwisko). Wiadomo, że usprzętował nieco gospodarstwo – kupił nowy traktor, dysponował również dwoma samochodami (warszawa kombi i tarpan). Takie wydatki generowały kolejne, wcale niemałe koszty. Gdy bowiem kilka miesięcy później rodzina szykowała się do ewakuacji, Bogdan pospiesznie sprzedał ciągnik. Uzyskał za niego 120 tysięcy złotych, a nabywca był bardzo zadowolony z tak okazyjnej ceny.

Franciszek Puchała, emerytowany generał Ludowego Wojska Polskiego, w swojej – delikatnie mówiąc – bardzo krytycznej biografii Kuklińskiego przytacza opinię anonimowego oficera kontrwywiadu:

„Proszę nie wierzyć, że nie brał pieniędzy. Musiał brać, bo skąd miałyby na willę, jacht, samochód i hektary sadów. Poza tym wiedział, że w Waszyngtonie ma swoje konto, na które wpływają dolary. I że jak

wyjedzie, to w USA czekać będzie na niego obywatelstwo i pełne konto w banku. I będzie urządzony do końca życia” [363](#).

Dziwnym jednak trafem ludzie wyrażający podobne opinie niemal zawsze pozostają anonimowi. Przypadek? Bardzo wątpliwe. Przy okazji warto też przypomnieć, że dla Kuklińskiego droga do „urządzenia się do końca życia” była wówczas bardzo daleka, a o wiele bliższy i bardziej realny wydawał się pluton egzekucyjny.

Nie rozstrzygając ostatecznie kwestii, czy pułkownik był finansowany przez Amerykanów, czy też nie, warto zauważyć, że jego ewentualne przyznanie się do brania pieniędzy przyniosłoby mu fatalne skutki wizerunkowe. Inaczej bowiem traktuje się złamanie przysięgi wojskowej z powodów ideowych, a inaczej, gdy w tle pojawiają się pieniądze. A każdy, kto choć trochę zna komunistyczną frazeologię, bez trudu może sobie wyobrazić pełne oburzenia wypowiedzi o „judaszowych srebrnikach, za które pułkownik sprzedał swoją ojczyznę”.

Tak czy inaczej, trudno racjonalnie wyjaśnić, w jaki sposób Kuklińscy weszli w posiadanie swojego majątku. Równie trudno oprzeć się wrażeniu, że wydawanie ocen w tej sprawie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby kwestia dotyczyła innego kraju. Nad Wisłą bowiem ideowość i patriotyzm nader rzadko idą w parze z finansową pomyślnością...

KAMUFLAŻ I SAMOTNOŚĆ

Współpraca z CIA narzucała Kuklińskiemu wiele ograniczeń i wyzwań. Jednym z nich było wypracowanie rytmu pracy, który umożliwiałby bezpieczne przygotowywanie materiałów dla Amerykanów. Oznaczało to pracę po godzinach urzędowania i w dni wolne. Z czasem te nietypowe obyczaje pułkownika przestały kogokolwiek dziwić i wszyscy w Sztabie Generalnym wiedzieli, że można go spotkać w biurze późnym wieczorem, a nawet w święta.

„Były przypadki i to dość częste, że pułkownik Kukliński wzywał mnie do pracy w soboty wolne i w niedziele i prosił o dostarczenie mu różnych dokumentów – mówiła starsza referentka w Zarządzie I Sztabu Generalnego, Hanna Więch. – Przeważnie dotyczyło to dokumentów, które były przygotowywane na posiedzenia Układu Warszawskiego” [364](#).

Wydaje się, że przy okazji opracował również taktykę, która usprawiedliwiała przetrzymywanie ważnych dokumentów. Ten obdarzony znakomitą pamięcią analityk zachowywał się wobec podwładnych jak człowiek kompletnie rozkojarzony.

„Pułkownik Kukliński – kontynuowała Więch – nie przywiązywał większej wagi do obiegu dokumentów tajnych i tajnych specjalnego znaczenia, przekazując te dokumenty wbrew przepisom o prowadzeniu biurowości w wojsku. (...) Były przypadki, że poszukiwałam danego dokumentu, i pytając się pułkownika Kuklińskiego o dany dokument, ten twierdził, że dokumentu nie posiada, a kiedy nalegałam, okazywało się, że dokument posiadał w szafie pancерnej” [365](#).

Kamuflaż nie ograniczał się tylko do relacji z referentką, toteż praktycznie wszyscy w biurze Kuklińskiego wiedzieli, że szef nigdy nie przestrzega zasad obiegu dokumentów, chociaż nigdy ich nie gubi. I chyba z czasem zaczęto uważać to za coś zupełnie normalnego.

„W pracy nad dokumentami – zeznawał starszy sierżant Stanisław Ziemka – pułkownik Kukliński okazywał duże roztargnienie. Po prostu jeżeli potrzebny był jakiś dokument innemu oficerowi, a miał go u siebie pułkownik Kukliński, to jeżeli poszedłem po ten dokument, to kilka razy pułkownik Kukliński potwierdził, że ma go u siebie, jednak musiał długo go szukać w swoim sejfie. Zdarzało się, że pożyczał dokumenty innym oficerom, nie odnotowując tego” [366](#).

Przełożeni byli jednak zadowoleni z efektów jego pracy, a dowództwo interesowały wyłącznie wyniki. Dzięki temu miał dostęp do dokumentacji, która pozostawała w gestii innych wydziałów. A na tym Kuklińskiemu najbardziej zależało.

„[Był] wysoko ceniony przez przełożonych i lubiany – przyznawał podpułkownik Wit Lewandowski – i odnosiło się wrażenie, że bez Kuklińskiego nie mogą się obyć. Były mu zlecane zadania, które nie należały do kompetencji kierowanego przez niego oddziału. Niektóre zadania były mu przekazywane do osobistego załatwienia i nikt z podwładnych nie był zorientowany, co on wykonuje” [367](#).

Przy okazji cieszył się autentyczną popularnością wśród podwładnych. Uważano, że „posiadał dar zjednywania ludzi”, był sprawiedliwy i wykazywał troskę o podkomendnych. O sobie mówił niewiele, nigdy też nie narzekał na warunki pracy.

Tryb życia Kuklińskiego musiał się odbić na życiu towarzyskim jego rodziny. Pułkownik miał mało wolnego czasu (część zabierały mu zresztą kochanki), w efekcie praktycznie nie posiadał bliższych znajomych. Po wprowadzeniu się do domu przy ulicy Rajców Kuklińscy utrzymywali jednak w miarę bliskie kontakty z Hermaszewskimi. Zbliżeniu rodzin sprzyjał fakt, że Bogdan spotykał się wówczas z Grażyną Hermaszewską.

„Z rodziną Kuklińskich utrzymywaliśmy dobre sąsiedzkie kontakty towarzyskie – potwierdzała matka dziewczyny. – Spotykaliśmy się przy okazji uroczystości rodzinnych, imienin, raz nawet wspólnie zorganizowaliśmy sobie zabawę sylwestrową. (...) W czasie naszych spotkań towarzyskich pułkownik Kukliński nigdy nie nadużywał alkoholu, a raczej był wstrzemięźliwy w picu. Potrafił bardzo ciekawie prowadzić rozmowy towarzyskie” [368](#).

Większe grono znajomych miała Hanna – mąż z reguły przywoził ją na spotkania towarzyskie, a po pewnym czasie odbierał. Zawsze jednak gdzieś się spieszył, czasami tylko wypijał kieliszek wódki czy koniaku. Nie zwracał przy tym uwagi, że według ówczesnych przepisów jazda nawet po najmniejszej dawce alkoholu była zakazana.

Coś jednak zmieniło się w życiu Ryszarda w 1981 roku, bowiem żona zaczęła się skarżyć swoim znajomym, że mąż często wraca z pracy pijany. Odgrażała się nawet, że „wie, gdzie zadzwonić”, by „uspokoili całe to towarzystwo”. Nie orientowała się, że pułkownik nie wytrzymał psychicznie napięcia. W kraju zanosilo się na konfrontację, Kukliński opracowywał plany wprowadzenia stanu wojennego. Od lat współpracował z Amerykanami, z czego nie mógł nikomu się zwierzyć. Za najbliższego przyjaciela uważał prowadzącego go z ramienia CIA Davida Fordena, z którym w ciągu kilku lat rozmawiał łącznie przez zaledwie 20 minut...

DYSKUSJE I SPORY

Amerykanie twierdzą, że od Kuklińskiego otrzymali w sumie około 40 tysięcy stron dokumentów. I właściwie do dzisiaj nie wiadomo, co pułkownik im przekazał, a zdania w tej kwestii są bardzo podzielone. Ciekawą teorię miał na ten temat nieżyjący już profesor Paweł Wieczorkiewicz. Warto ją przytoczyć w dłuższym fragmencie:

„W swoim czasie zespół badawczy profesora Jerzego Poksińskiego [w którym brałem udział] odbył kilkadziesiąt godzin rozmów z czołową generalicją polską lat 60., 70. i 80. Właśnie na temat paktu [Układu Warszawskiego – S.K.] i udziału w nim Polaków. Na ich podstawie można sformułować jeden pewnik: nawet najwyżsi rangą generałowie, przewidywani na dowódców liniowych w przyszłej wojnie, o jej planach sporządzanych w Moskwie nie mieli pojęcia, ponieważ nie widzieli ich na oczy. O skali zaufania (czy też raczej nieufności) do Polaków w dowództwie Armii Sowieckiej świadczy fakt, że pierwszy przedstawiciel LWP przy dowództwie Układu Warszawskiego, generał Pióro w ramach swojej pracy wchodził do biura, dostawał zeszyt w kratkę (który po zakończeniu urzędowania musiał zdać do depozytu), ołówek i najnowsze wydanie »Prawdy«. Owe dokumenty, o których piszą akolici, pułkownik musiałby zatem dostać od wysokich rangą oficerów sowieckich, inaczej zdobyć ich nie miał sposobu” [369](#).

Dlatego można podejrzewać, że Kukliński dostarczał dokumenty dotyczące polskiego udziału w planowanej przez Sowietów wojnie, a sztabowcy amerykańscy na ich podstawie mogli sobie wyrobić sąd o zakresie i charakterze przyszłego konfliktu. Ten właśnie fakt spowodował już w wolnej Polsce kolejną falę dyskusji na temat osoby pułkownika. Zarzucono mu bowiem, że jego agenturalna działalność przyczyniłaby się w przypadku konfliktu zbrojnego do rzezi polskich oddziałów.

„Nie miał, bo nie mógł mieć dostępu do generalnych planów operacyjnych całego Układu Warszawskiego, a jedynie dojście do pewnej ich części, która dotyczyła zaangażowania naszych Sił Zbrojnych – mówił Janusz Onyszkiewicz. – W związku z tym wydał niejako plany operacyjne Wojska Polskiego. Jaki byłby tego efekt, można się łatwo domyślić. To nasze siły stałyby się głównym przedmiotem ataku, i to one mogłyby wówczas ponieść największe straty” [370](#).

Zapewne najważniejszym dokumentem, jaki Kukliński dostarczył CIA, były plany wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Z perspektywy czasu możemy ten fakt uznać za najważniejszą zasługę pułkownika, albowiem właśnie dzięki tej informacji Amerykanie zorientowali się, że Sowietci nie planują interwencji w Polsce, co oznaczało rezygnację z gwałtownych działań mogących zakończyć się wybuchem III wojny światowej. I paradoksalnie wydaje się, że ten przeciek przyniósł korzyści każdej z zaangażowanych stron.

„Wszyscy byli ogromnie zadowoleni – pisał Paweł Wieczorkiewicz. – Sami Amerykanie, ponieważ mogli przestać bać się interwencji sowieckiej w Polsce i groźby, że rozpędzające się nad Bugiem czołgi z czerwoną gwiazdą ochłodzą silniki dopiero w wodach kanału La Manche. Szczęśliwi byli Kubańczycy, bo dzięki temu prezydent Reagan zrezygnował z retorsyjnej inwazji ich wyspy. Powody do satysfakcji mieli także Sowieci, wiedząc, że świadomi tego, co się zdarzy, ich rywale zachowają się w sposób przewidywalny” [371](#).

Nie zmienia to jednak faktu, że w przypadku dekonspiracji Kukliński zostałby osądzony i stracony jako zdrajca. W polityce bowiem los jednostek nie jest nadmiernie ważny...

UCIECZKA

2 listopada 1981 roku Kuliński dowiedział się, że polskie władze otrzymały informację o szpiegu działającym w Sztabie Generalnym. Na odprawie w wąskim gronie osób generał Józef Skalski ogłosił, że Amerykanie weszli w posiadanie planów wprowadzenia stanu wojennego. Dla Kuklińskiego oznaczało to natychmiastową ucieczkę, był bowiem jedną z dwóch osób mających dostęp do pełnej wersji dokumentów.

Skontaktował się z CIA, prosząc o ewakuację wraz z rodziną, po czym odbył z żoną długą rozmowę, podczas której przyznał się do współpracy z Amerykanami. Następnie to samo powtórzył synom i chyba musiał poczuć ulgę, mogąc po latach ukazać rodzinie swoje prawdziwe oblicze.

Wydarzenia potoczyły się szybko i do dzisiaj właściwie nie wiadomo, w jaki sposób CIA wywiozło Kuklińskich z kraju. Niewykluczone nawet, że wyjechali osobno – oddzielnie pułkownik, oddzielnie jego rodzina. Prawdopodobnie miało to miejsce w nocy z 7 na 8 listopada 1981 roku.

Tuż przed ewakuacją Kukliński odwiedził jeszcze ojca Basi. Tym razem miał do niego prywatną prośbę, a chodziło o ulubienicę całej rodziny, czyli suczkę Zulę. Niedoszłemu teściowi powiedział, że wyjeżdża na kilka lat na placówkę do RFN-u i nie może zabrać pudliczki ze sobą.

„Powiedział mi – zeznawał Czesław J. – że chciałby, abym ja się nią opiekował w czasie jego nieobecności w kraju, dlatego że pies ten był ulubieńcem mojej córki i razem z córką moją Ryszard go kupował” [372](#).

Przy pożegnaniu Kukliński nieoczekiwanie rozpląkał się, czym wprawił swojego rozmówcę w niemałą konsternację. Pan Czesław nie wiedział, że pułkownik żegna się właśnie z całym swoim dotychczasowym życiem, a symbolem tego jest pies, który spędził u niego 13 lat i którego kupował, będąc z ukochaną kobietą...

Zula nie zagrzała jednak miejsca u swojego nowego opiekuna. Bardzo tęskniła za właścicielami, nocami wyła, pogryzła też wykładzinę. Pan Czesław oddał ją więc do schroniska na Paluchu, gdzie po kilku dniach suczkę uspio.

STANY ZJEDNOCZONE

Amerykanie dotrzykali słowa i rodzina Kuklińskich na stałe osiadła w USA. Zadbali nawet o sprawy uczuciowe Bogdana. Nawiązano dyskretny kontakt z jego pozostającą w kraju narzeczoną i przygotowano jej wyjazd do Stanów. Akcję przeprowadzono perfekcyjnie – dziewczyna niezauważalnie pozałatwiała swoje sprawy, po czym we wrześniu 1983 roku wyjechała na oficjalną wycieczkę do Rumunii i tam zniknęła.

Kilka miesięcy później Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Kuklińskiego na karę śmierci, degradację, utratę praw publicznych oraz konfiskatę mienia. Willę przy ulicy Rajców otrzymał ówczesny premier Zbigniew Messner, co było jawnym pogwałceniem prawa. Połowa domu należała przecież do Hanny Kuklińskiej, ale władze PRL-u nie przejmowały się takimi drobiazgami.

Iza i Bogdan wzięli ślub, niestety – ich małżeństwo po paru latach się rozpadło. Niebawem też doszło do tragedii, które ciężko doświadczyły pułkownika. W styczniu 1994 roku Bogdan Kukliński zaginął podczas rejsu morskiego u wybrzeży Florydy, natomiast kilka miesięcy później Waldemar zaginął w tajemniczym wypadku samochodowym (sprawcy nigdy nie odnaleziono). Od razu pojawiły się podejrzenia, że za ich śmiercią stały dawne służby Układu Warszawskiego.

Nie brakowało jednak sceptyków, którzy uważali, że śmierć młodych Kuklińskich sfingowano, a synowie pułkownika spokojnie żyją z nową tożsamością. Pojawiła się również hipoteza, że po tragicznym zgonie

Bogdana na wszelki wypadek zabezpieczono życie Waldemara. Jak było naprawdę – zapewne już nigdy się tego nie dowiemy.

Z powodu krajowych rozgrywek politycznych bardzo opornie szła również rehabilitacja pułkownika. Już w wolnej Polsce, w 1990 roku, zdecydowano się jedynie na złagodzenie kary, zamieniając karę śmierci na 25 lat więzienia! Dopiero pięć lat później wyrok uchylono, przywracając Kuklińskiemu stopień wojskowy, a następnie całkowicie go zrehabilitowano. Uzasadnienie decyzji pozostało jednak tajne.

Ryszard Kukliński zmarł 11 lutego 2004 roku w wieku 74 lat. Przyczyną śmierci był udar mózgu. Przywiezioną ze Stanów Zjednoczonych urnę z jego prochami złożono na cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Pułkownik do dzisiaj budzi skrajne emocje. Jedni uważają go za zdrajcę, inni za bohatera narodowego. Dla jego przeciwników najważniejszy pozostaje fakt złamania przysięgi wojskowej, co uważane jest za najcięższą zbrodnię. Nie wdając się w dyskusję na ten temat, warto zauważyć, że obowiązującą przysięgę złamali również Romuald Traugutt, Józef Bem, Piotr Wysocki, Ignacy Prądzyński, Józef Sowiński i wielu, wielu innych. I gdyby z naszego panteonu narodowego usunąć wszystkich, którzy na przestrzeni ostatnich 200 lat postąpili podobnie, musielibyśmy na nowo pisać podręczniki do nauki historii. I byłyby one o wiele uboższe...



Przejsie Jerzego Sumińskiego na stronę CIA oznaczało kompletny paraliż działań polskich służb w większości państw Zachodu

ROZDZIAŁ 12

NAJGROŹNIEJSZY UCIEKINIER

W ciągu prawie 50 lat istnienia demokracji ludowej z polskiej armii na Zachód zbiegło 61 oficerów. Być może to niewielka liczba wobec tysięcy osób cywilnych, które zrezygnowały z powrotu do kraju, ale wojskowym takie okazje nie zdarzały się zbyt często. Z reguły jeżeli wyjeżdżali za granicę, to głównie do państw Układu Warszawskiego, gdzie raczej nie proszono o azyl. Pozostanie na Zachodzie osoby cywilnej rzadko też pociągało za sobą konsekwencje karne, natomiast ucieczka oficera była traktowana jako dezercja i zdrada, karę często ponosili również rodzina, przełożeni i koledzy uciekiniera.

Rok 1981 nie bez powodu można określić rokiem ucieczek. Na początku listopada Polskę opuścił szef Oddziału Planowania w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego, pułkownik Ryszard Kukliński. Dwa miesiące wcześniej z krajem pożegnał się pułkownik Włodzimierz Ostaszewicz, były zastępca szefa wywiadu do spraw informacji, sąsiad Kuklińskiego. Posługując się paszportem dyplomatycznym, wyjechał z rodziną na urlop do Jugosławii, a stamtąd przez Wielką Brytanię do Kanady. Z kolei 11 sierpnia 1981 roku w Republice Federalnej Niemiec pozostał emerytowany generał, Leon Dubicki.

Listę zbiegów 1981 roku otworzył kapitan Jerzy Sumiński, a jego ucieczka była chyba najdotkliwszym ciosem dla służb PRL-u. Przejście tego wyjątkowo dobrze poinformowanego oficera kontrwywiadu na stronę CIA oznaczało kompletny paraliż działań polskich służb w większości

państw Zachodu. I po raz kolejny można sobie zadać pytanie: dlaczego człowiek, który z wielu powodów nie miał prawa otrzymać pracy w wywiadzie czy kontrwywiadzie, został ich wzorowym oficerem?

Po latach Czesław Kiszczak traktował dzień ucieczki Jerzego Sumińskiego jako moment swojej największej klęski. Na domiar złego kapitan był ulubieńcem generała, który patronował jego błyskotliwej karierze.

AMBICJE CZOŁGISTY

Sprawca całego zamieszania przyszedł na świat w listopadzie 1949 roku w Poznaniu. Jego ojciec był urzędnikiem samorządowym, matka krawcową, a Jerzy po ukończeniu szkoły podstawowej uczył się w Technikum Mechanicznym. Nie wiemy, czy już od dziecka marzył o oficerskich stopniach, wiadomo jednak, że przed maturą, w kwietniu 1968 roku, złożył podanie o przyjęcie do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu.

„Jestem aktywnym członkiem Związku Młodzieży Socjalistycznej – informował Sumiński w załączonym życiorysie – i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Za granicą nie przebywałem oraz krewnych za granicą nie posiadam. Interesuje mnie współczesna technika, a w szczególności zagadnienia dotyczące budowy silników spalinowych i sprężarek powietrznych. Chciałbym zostać wysoko kwalifikowanym oficerem Ludowego Wojska Polskiego. Interesuję się pracą społeczno-polityczną w ramach działalności programowej ZMS” [373](#).

Jerzy Sumiński miał siedem lat, gdy w jego rodzinnym mieście doszło do buntu robotniczego krwawo stłumionego przez milicję i wojsko. Podczas walk ulicznych zginęło kilkudziesięciu demonstrantów, a wśród oddziałów tłumiących powstanie znaleźli się podchorążowie z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami utworzyli grupy interwencyjne z czołgami i transporterami opancerzonymi, które szczególnie wykazały się przy odblokowywaniu obleganego przez demonstrantów budynku Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Jerzy musiał wiedzieć o tych tragicznych wydarzeniach, ostatecznie mieszkał wraz z rodzicami w domu przy ulicy Szamarzewskiego, a zajadłe walki toczyły się zaledwie kilometr dalej. Rodzice Jerzego nie należeli do PZPR-u, trudno zatem przypuszczać, by byli zwolennikami „odrabiania ręki podniesionej na władzę ludową”, jak żądał tego premier Józef Cyrankiewicz w swoim słynnym wystąpieniu. Tragiczne wspomnienia nie przeszkodziły jednak młodemu Jerzemu wstąpić do Szkoły Oficerskiej, której słuchacze kilkanaście lat wcześniej tłumili robotniczy protest.

„Absolwenci szkół oficerskich czy akademii wojskowych – wyjaśniał generał dywizji Franciszek Puchała – nie posiadali pełnej wiedzy na temat niedawnych wydarzeń w kraju, zatem bazowali na informacjach przekazanych w trakcie procesu kształcenia. Jeśli jednak chodzi o wspomnienia z Czerwca 1956 roku, to zapewne w rodzinie Sumińskiego były bardzo żywe. Trudno, by też nic nie wiedział na temat tłumienia Praskiej Wiosny przez Ludowe Wojsko Polskie” [374](#).

KARIERA PRZEDE WSZYSTKIM

Śledząc zawodowy życiorys Sumińskiego, nie odnosimy wrażenia, że planował swoje życie ze specjalnym wyrachowaniem. Chciał zrobić karierę wojskową i wiedział, jak ma postępować. W 1972 roku ukończył szkołę oficerską i w stopniu podporucznika został dowódcą plutonu czołgów w 27 Pułku Czołgów Średnich w Gubinie. Najwyraźniej nie zrobiły na nim wrażenia także wypadki na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku.

„Uprzejmie proszę – zwracał się do przełożonych – o przekwalifikowanie mnie z korpusu osobowego wojsk pancernych do organów Wojskowej Służby Wewnętrznej. Podczas studiów w szkole oraz podczas pracy zawodowej interesowałem się pracą organów Wojskowej Służby Wewnętrznej. W wyniku tych zainteresowań doszedłem do wniosku, że służba w organach WSW dawałaby mi większe zadowolenie i satysfakcję, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie będzie ona łatwa” [375](#).

Wojskowa Służba Wewnętrzna był kontrwywiadem, instytucją mającą infiltrować niebezpieczeństwa zagrażające siłom zbrojnym PRL-u. Trzeba przyznać, że młody oficer mierzył wysoko – najwyraźniej uznał, iż kariera w kontrwywiadzie rokuje lepsze widoki na przyszłość niż służba czołgisty.

Inna sprawa, że od samego początku pobytu w wojsku Sumiński zbierał znakomite opinie od przełożonych i w ciągu zaledwie kilku miesięcy służby w Gubinie aż cztery razy został nagrodzony przez dowódcę dywizji.

„W związku z zaistniałą sytuacją – zwracał się z kolejną prośbą do przełożonych – proszę o skierowanie mnie po ukończeniu Kursu Przekwalifikowania Oficerów w Mińsku Mazowieckim do pracy w mieście Poznań. Prośbę swą motywuję ciężką chorobą ojca, człowieka mającego 68 lat, który wymaga ciągłej opieki. Nadmieniam również, że matka moja jest kobietą chorą na serce, ma 64 lata. Rodzeństwa żadnego nie posiadam. Rodzice mieszkają w Poznaniu, rodzina to ludzie jeszcze starsi od moich rodziców lub już nie żyją” [376](#).

Także w Mińsku przełożeni wypowiadali się o Sumińskim w samych superlatywach, co zapewne miało wpływ na uzyskanie przydziału do Poznania. Uznano go za oficera o znakomitej pamięci, zdolnego, inteligentnego, pracowitego, „spozstrzegawczego i dociekliwego”. Zawsze „pracował szybko i dokładnie, a zmiana zajęcia nie sprawiała mu problemów”. Do tego uchodził za „zdyscyplinowanego i ambitnego”, zaś w „życiu partyjnym i pracy społecznej – aktywnego i zaangażowanego”. Nie dziwi zatem, że ostatecznie określono, iż „nadaje się do kontrwywiadu wojskowego” [377](#).

W 1974 roku Sumiński trafił do Poznania, gdzie został pomocnikiem Szefa Wydziału I WSW, specjalizując się w osłonie kontrwywiadowczej wielkopolskich jednostek wojskowych. Ponownie zbierał entuzjastyczne opinie na temat swojej służby, nie można mu było też niczego zarzucić pod względem ideologicznym. Został nawet kierownikiem grupy szkolenia partyjnego jednostki oraz opiekunem Koła Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

Był tak pełen entuzjazmu, że rozpoczął nawet studia na Wydziale Religioznawczo-Etycznym Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu przy Komitecie Wojewódzkim PZPR w Poznaniu. Najwyraźniej zamierzał zwalczać każdą dywersję ideologiczną w armii – uznał, że również Kościół katolicki zagraża bezpieczeństwu Ludowego Wojska Polskiego...

ŻONA, TEŚCIOWA I SZWAGIERKA

Wiosną 1975 roku Sumiński poznał studentkę filologii angielskiej, Barbarę Przybylską. Wysoka szatynka o piwnych oczach zawróciła mu w głowie. Wydarzenia potoczyły się szybko – niebawem młodzi zaczęli planować wspólną przyszłość. Niestety, matka i siostra dziewczyny od dłuższego czasu przebywały w USA, gdzie starsza pani Przybylska leczyła się z rzadkiej choroby, akromegalii. Nie zamierzała wracać do kraju, co dla Sumińskiego stanowiło poważny problem.

Stosownie do przepisów wojskowych Jerzy poprosił przełożonych o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego. W notatce służbowej napisał, że teściowa i szwagierka od 1974 roku czasowo przebywają w Stanach Zjednoczonych, a powrót planują w 1976 roku. Od tego momentu nikt nie sprawdzał tych informacji, a sam Sumiński nie uznał za zasadne, by zawiadomić przełożonych, że matka i siostra żony jednak nie wróciły do kraju. Tymczasem – mimo poważnej choroby poświadczanej przez amerykańskich lekarzy – teściowa ułożyła sobie życie w USA: znalazła pracę, a nawet wyszła tam za mąż.

Jerzy poślubił ukochaną 20 września 1975 roku, a dwa lata później Barbara ukończyła studia. W październiku 1977 roku na świat przysła ich córka, Kinga. Zapewne z powodu studiów, a następnie macierzyństwa Barbara nie podjęła pracy zawodowej. Zresztą niebawem rodzina miała się przenieść do Warszawy, co wiązało się z awansem Jerzego.

„Oficer ambitny, sumienny i zdyscyplinowany – oceniali go przełożeni. – Wnikliwy, potrafi logicznie myśleć i wnioskować. Prace wykonuje sprawnie i terminowo. Czyni widoczne postępy w nauce języka angielskiego. Doskonale rozumie postawę patriotyzmu i internacjonalizmu. Zajmuje zdecydowanie materialistyczny pogląd na świat. Wrażliwy na przejawy zła. Bez nałogów” [378](#).

Trzeba przyznać, że Sumiński dbał o to, by funkcjonować w środowisku zawodowym jako człowiek wyjątkowo lojalny. Jego przełożeni z zadowoleniem zauważyli, że swoją rodzinę zaczął konsekwentnie wychowywać w duchu światopoglądu materialistycznego. W 1977 roku Sumiński został słuchaczem dwuletniego kursu specjalnego w Zarządzie II Sztabu Generalnego przeznaczonego dla najbardziej zaufanych i rokujących nadzieję oficerów. Po jego ukończeniu został oficerem Wydziału VI szefostwa WSW.

Świetlana kariera miała jednak słabą stronę – Sumiński ukrył przecież fakt, że najbliższa rodzina jego żony odmówiła powrotu ze Stanów

Zjednoczonych. Z tego powodu powinien być wykluczony z pracy w wywiadzie czy kontrwywiadzie wojskowym, a na pewno nie mógłby pracować w takiej komórce jak Wydział VI zajmujący się służbą porządkowo-prewencyjną. Być może ciągle niebezpieczeństwo ujawnienia tego kompromitującego faktu miało wpływ na jego późniejsze decyzje?

KARIERA I MAŁŻEŃSKIE KŁÓTNIE

Mimo tego zagrożenia Sumiński stał jednak u progu wielkiej kariery. Coraz bardziej go doceniano, średnio dwa razy do roku otrzymywał wysokie nagrody finansowe. Żona zatrudniła się jako lektorka języka angielskiego w Krajowej Spółdzielni Pracy „Oświata”. Chociaż w Warszawie wszystko było droższe niż w Poznaniu, to jednak standard życia rodziny znacznie się poprawił. Początkowo mieszkali przy placu Konstytucji, później otrzymali lokum na Bemowie.

„Śledząc przebieg jego kariery – oceniał generał Puchała – można dostrzec, że Sumiński wcale nie awansował w nadzwyczajny sposób, jeśli chodzi o kolejne promocje oficerskie. Jednak w ówczesnym wojsku polskim istniał fundusz przyspieszonego rozwoju, potocznie nazywany złotym funduszem, ale dotyczył on innej ścieżki awansu niż stopnie oficerskie. Sumińskiego zapewne do niego zakwalifikowano i dzięki temu mógł liczyć na przyspieszony rozwój kariery. Wprawdzie nie awansował szybciej niż inni, ale zajmował coraz bardziej eksponowane i lepiej płatne stanowiska” [379](#).

Władza ludowa dbała o swoich wiernych synów i Sumińscy zrealizowali marzenie milionów Polaków – otrzymali mieszkanie spółdzielcze. Wprawdzie czterdzieści kilka metrów kwadratowych powierzchni, czyli dwa pokoje z kuchnią i łazienką plus balkon, obecnie nie wywołuje wielkiego wrażenia, ale warto pamiętać, że akcja tego rozdziału przypada na koniec lat 70. XX stulecia. Nie wiadomo, czy Sumiński wiedział, jak mieszkają oficerowie wyżsi rangą i stanowiskiem, ale zapewne mógł się tego domyślać. On jednak dopiero zaczynał karierę, niedawno został awansowany do stopnia kapitana i nie miał jeszcze 30 lat. Z zachowanych informacji wynika także, że żona Jerzego, Barbara, była

osobą o wygórowanych ambicjach, a to – jak wiadomo – często ma decydujący wpływ na karierę męża.

Sumińscy przez cały czas utrzymywali kontakt korespondencyjny z matką i siostrą Barbary osiadłymi w Stanach Zjednoczonych. Listy i paczki przychodziły na adres dalszej rodziny, tą samą drogę szły też listy od małżonków. Otoczenie Jerzego uważało Barbarę za kobietę wywyższającą się, wyjątkowo niesympatyczną megalomankę. Była zafascynowana światem Zachodu. Podczas studiów przebywała w Londynie, podobno miała tam przyjaciół, którzy przysyłali jej „zagraniczne ciuchy”. Zachowały się też informacje, że nielegalnie sprzedawała towary przysyłane jej zza żelaznej kurtyny i nawet specjalnie się z tym nie ukrywała. W grę wchodziły zapewne niewielkie ilości kosmetyków czy ubrań. Jednak najważniejsze było to, że Sumiński szczerze kochał swoją żonę.

„Poznałem w znacznym stopniu jego żonę – zeznawał kolega Sumińskiego, kapitan Sławomir Michalski – którą oceniłem jako osobę agresywną w stosunku do swojego męża, kłótniwą. W rozmowach z nią wyraźnie dało się odczuć, że zachwyca się wszystkim tym, co jest na Zachodzie. Podkreślała, że jej talenty, to jest znajomość języka angielskiego, marnują się w kraju. Stosunek kapitana Sumińskiego do niej był bardzo poprawny, mimo że niemal przy każdej wizycie u nich w mieszkaniu dochodziło pomiędzy nimi do sprzeczek, a nawet awantur” [380](#).

Trudno oprzeć się wrażeniu, że cała sytuacja zaczęła przypominać sprawę Władysława Mroza. Ponownie był to niemal klasyczny przypadek *cherchez la femme* – czyli jeżeli nie widać jasnych powodów postępowania mężczyzny, należy sprawdzić działania jego kobiety. Najwyraźniej pracownicy wywiadu nie powinni zakładać rodzin... Chociaż warto pamiętać, że cytowane wspomnienie o Barbarze to fragment zeznania świadka już po ucieczce rodziny na Zachód. Przesłuchiwani nie mogli przecież wyrażać pozytywnych opinii o uciekinierach, stąd też zapewne uwypuklano negatywne cechy charakteru pani Sumińskiej.

NAJWAŻNIEJSZA DECYZJA

Epoka Leonida Breżniewa była okresem dalszej zimnowojennej konfrontacji między Wschodem i Zachodem. Niebawem po przeprowadzce Sumińskich do Warszawy doszło do sowieckiej interwencji w Afganistanie. Na całym świecie toczono wiele tak zwanych zastępczych wojen i chociaż światu raczej nie groził globalny konflikt, to jednak służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego działały bez wytchnienia.

Sumiński często pracował w soboty i niedziele, co przekładało się na wysokie nagrody pieniężne. Niebawem stać go już było na kupno używanego fiata 126p, a wkrótce potem otrzymał talon uprawniający go do nabycia nowego egzemplarza samochodu tej marki. Dostał też służbowego fiata 125, zatem nie mógł narzekać.

W listopadzie 1980 roku został przeniesiony na stanowisko starszego oficera w VI Wydziale WSW. Oznaczało to ogromne przyspieszenie kariery zawodowej. Sumińskiemu powierzano coraz bardziej odpowiedzialne zadania – był jednym z dwóch oficerów obiektowych Zarządu II, miał zatem wgląd we wszystkie teczki osobowe oficerów wywiadu. Mógł nawet werbować informatorów, zakładać podsłuchy, prowadzić obserwację.

Decyzję o przeniesieniu Sumińskiego zapewne podjął osobiście sam Czesław Kiszczak, wówczas szef Wojskowej Służby Wewnętrznej. Młody oficer uchodził za jego ulubieńca – inna sprawa, że z analizy otrzymywanych materiałów generał miał prawo wyrobić sobie o Sumińskim jak najlepsze zdanie. Kariere kapitana przyspieszył także fakt, że ze względu na przebyte przeszkolenie Sumiński posiadał przygotowanie zarówno z dziedziny wywiadu, jak i kontrwywiadu, co było rzadkością w ówczesnych polskich służbach.

W efekcie Sumiński zdobył ogromną, bezcenną wiedzę. Poznał całą strukturę personalną i organizacyjną Zarządu II, przykryciowców wywiadu, czyli agentów ulokowanych w dyplomacji oraz Centralach Handlu Zagranicznego. A do tego ich adresy zamieszkania, fałszywe dane personalne, najważniejsze sprawy operacyjne i agenturę WSW uplasowaną w Zarządzie II. Przy okazji poszerzał swoją wiedzę w nieformalnych rozmowach z innymi oficerami, odwiedzał nawet wojskowego psychologa, wypytyując go o kolegów. Właściwie trudno wskazać drugiego oficera polskiego wywiadu czy kontrwywiadu, który poznałby tak wiele ściśle tajnych informacji bardzo użytecznych dla obcych służb.

Tymczasem Barbary Sumińskiej wciąż nie satysfakcjonował poziom życia, jakie wiodła w Polsce, chociaż stopa życiowa Sumińskich poprawiała

się z roku na rok. Symbolem ich awansu finansowego był nie tylko zakup nowego fiata 126p, lecz także działki pracowniczej na warszawskim Paluchu. Posiadanie własnej działki uchodziło w tamtych czasach za dowód bardzo dobrych dochodów oraz symbol aspiracji do ówczesnej klasy średniej.

„Z uwagi na podeszły wiek – zeznawała rok później Marianna Ścisło – i trudności w uprawianiu działki ogłosiłam w 1980 roku w »Życiu Warszawy«, że chcę sprzedać tę działkę. Na to ogłoszenie w prasie zgłosił się do mojego domu młody mężczyzna i razem pojechaliśmy na Paluch. Wyraził chęć nabycia jej. Jak twierdził, kupował tę działkę dla żony i córki. Za działkę zażądałam 40 tysięcy złotych, po targach zgodziłam się ją sprzedać za 30 tysięcy. Po kilku dniach od przyjęcia zaliczki mężczyzna przyjechał do mnie samochodem marki Fiat 126p i razem udaliśmy się do Zarządu Pracowniczego Ogrodu Działkowego na Paluchu, gdzie ja zrzekłam się własności działki, a on wziął ją na siebie” [381](#).

Sumiński opowiadał znajomym, że działką będzie zajmowała się Barbara. Być może miał jeszcze wówczas nadzieję, że w ten sposób uspokoi trochę sytuację w domu. O kłótniach rodzinnych wspominali bowiem niemal wszyscy znajomi Sumińskich, podkreślając wysokie aspiracje żony oficera. Okazało się jednak, że plany pani kapitanowej wykraczały dalece poza działkę pracowniczą na terenie Warszawy. Nie ukrywając tego przed znajomymi, często wyrzucała mężowi, że nie potrafi sobie załatwić przeniesienia na Zachód.

W latach 1980–1981 Sumiński wyjeżdżał kilka razy służbowo za granicę. Odwiedził wówczas Austrię, Włochy, Berlin Zachodni, Finlandię, Szwecję, Norwegię i Danię. Posługiwał się paszportem dyplomatycznym, który każdorazowo miał obowiązek zdać po powrocie do kraju. Podczas wyjazdu kurierskiego do Wiednia i Rzymu (październik 1980) towarzyszący mu pracownik MSZ-etu zeznał, że „bardzo wychwalał Lecha Wałęsę” i z uznaniem wyrażał się o ruchu solidarnościowym. Szczególnie ważna wydaje się wizyta w grudniu 1980 roku w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim. Podczas tego pobytu kapitan dość długo przebywał bez żadnej kontroli, co mogło mieć wpływ na późniejsze wydarzenia.

Sumiński wiedział bowiem naprawdę bardzo wiele, znał struktury zarówno wojska, jak i służby wewnętrznej, a niebawem miał otrzymać etat w Zarządzie II. Z tego powodu wziął udział w dwuletnim kursie przygotowawczym, podczas którego poznał wielu oficerów tej instytucji,

w tym także kandydatów do służby. Podczas kursu musiał odbyć praktyki w niektórych komórkach Zarządu II, co znacznie poszerzyło zakres jego wiedzy. Uczciwie trzeba przyznać, że podobne informacje z dziedziny wywiadu i kontrwywiadu nigdy nie powinny się stać udziałem jednego oficera. Na domiar wszystkiego Sumiński ze względu na estetyczny charakter pisma prowadził całą ewidencję Wydziału VI, której nie rejestrowano ani w zestawieniach szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej, ani w jej biurze.

Był to jednak tylko wierzchołek góry lodowej, gdyż tak naprawdę trudno ustalić, co wiedział Sumiński. Czesław Kiszczak przyznał, że zdobył on informacje teoretycznie niemożliwe do połączenia: o wywiadzie i kontrwywiadzie. Osobiście znał kilkudziesięciu oficerów wypełniających tajne misje na Zachodzie oraz adresy lokali kontaktowych w wielu państwach Europy. Polskie służby specjalne nie miały przed nim tajemnic.

BŁĄD ZA BŁĘDEM

Nie wiadomo, kiedy rozpoczęła się współpraca Sumińskiego z CIA. Nie wiemy też, czy to Amerykanie go zwerbowali, czy też kapitan sam się do nich zgłosił. Kontakt na pewno ułatwiała mu dobra znajomość angielskiego. W Polsce trwał kryzys gospodarczy, nieunikniona wydawała się konfrontacja rządu z Solidarnością. Sierpień 1980 roku był dla władz PRL-u wstrząsem, w Sztabie Generalnym mówiło się o kapitulacji władzy. Trwały dyskusje o możliwej sowieckiej interwencji oraz ewentualnym udziale wojsk NRD i Czechosłowacji.

Sumiński miał prawo się obawiać, że w kraju zbliża się próba sił, a co gorsza – że grozi nam wkroczenie Sowietów. Być może nie chciał brać udziału w rozprawie z własnym narodem. Wszystko bowiem wskazywało na to, że niebawem polscy oficerowie będą zmuszeni stanąć przed bolesnym wyborem. A może po prostu przeważył strach o rodzinę, zwłaszcza o czteroletnią Kingę? Nie wiadomo, czy kiedykolwiek się tego dowiemy, ale pewne jest, że wiosną 1981 roku Jerzy Sumiński był już zdecydowany na ucieczkę z kraju.

19 marca 1981 roku doszło do największego kryzysu od chwili zarejestrowania Solidarności. Podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej

w Bydgoszczy milicja pobiła działaczy Solidarności z Janem Rulewskim na czele. Cały kraj ogarnęło pogotowie strajkowe, a 27 marca do Polski przybył marszałek Wiktor Kulikow i zakomunikował o niezadowoleniu władz ZSRS z przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego. Sumiński zdawał sobie sprawę, że politycy z Kremla nigdy nie zgodzą się na obalenie socjalizmu w Polsce. Położenie geograficzne naszego kraju na linii komunikacyjnej łączącej Związek Radziecki z Niemiecką Republiką Demokratyczną zwiastowało krwawą interwencję.

Dokumenty z archiwum IPN-u dotyczące Jerzego Sumińskiego są bardzo interesujące, ale brakuje w nich odpowiedzi na najważniejsze pytania dotyczące jego współpracy z CIA. Możemy jednak na ich podstawie zrekonstruować ostatnie dni kapitana i jego rodziny w Polsce. Bardzo ważny jest zachowany akt notarialny z początku maja 1981 roku, w którym Sumiński wyraża zgodę na wyrobienie córce paszportu, by mogła polecieć z matką do Wielkiej Brytanii. Najwyraźniej przygotowania do ucieczki były już zaawansowane.

„Przed wyjazdem Sumińskiego na Zachód – kontynuował kapitan Michalski – w kwietniu 1981 roku zostałem zaproszony z żoną do jego mieszkania. Wówczas to po raz pierwszy zauważyłem, jak Sumiński pił whisky w większych dawkach niż zazwyczaj. Był bardzo rozgoryczony, rozgorączkowany, niemalże zbulwersowany. W czasie rozmowy poruszył on temat służbowy, twierdząc, że w pracy jest bałagan, że ma kłopoty, gdyż może powstać taka sytuacja, że może mu połowa ludzi pozostać za granicą. Nie podawał szczegółów ani nazwisk osób, które mogłyby pozostać za granicą. Również żona Sumińskiego w czasie tej wizyty była niezbyt przyjemna, była bardziej niż zwykle wybuchowa i niemila dla swojego męża” [382](#).

Kapitan oddał też do gruntownego przeglądu swojego malucha, tłumacząc, że przygotowuje się do podróży na wakacje. Nikogo to nie dziwiło, gdyż wraz z żoną i córką wyjeżdżał wcześniej do krajów socjalistycznych. Pozostaje tylko zadać pytanie, dlaczego Amerykanie nie ewakuowali kapitana wraz z rodziną, tak jak to było w przypadku Ryszarda Kuklińskiego?

Wszystko wskazuje na to, że współpraca Sumińskiego z CIA była wówczas stosunkowo świeża. Amerykanie dopiero rozpracowywali kapitana, nie wiedząc, jaką właściwie wiedzą dysponuje i w jakim stopniu będzie dla nich użyteczny. Ponadto nie mieli jeszcze pewności, czy oficer

faktycznie jest zdecydowany na ucieczkę, czy też toczy się tylko gra wywiadów.

Sumiński nie chciał jednak czekać – obawiał się, że jeśli dojdzie do konfrontacji w kraju, wyjazd stanie się niemożliwy. Z drugiej strony zachowywał spokój, gdyż był przekonany, że jego wiedza zapewni mu dostatnie życie i ochronę w Stanach Zjednoczonych, dlatego też z rozważą planował kolejne posunięcia. Doskonale jednak wiedział, że próba ucieczki wraz z żoną i dzieckiem będzie skazana na niepowodzenie. Uznał zatem, że Barbara z córką muszą legalnie wyjechać na Zachód, a on sam dołączy do nich nieco później. Dysponował przecież służbowym paszportem, który wprawdzie po pobycie w Skandynawii musiał zdać, ale wiedział, że w odpowiedniej chwili uda mu się go odzyskać.

Większy problem stanowiły dokumenty dla żony i dziecka. Ale tutaj przydały się znajomości Barbary, która cały czas pracowała jako lektorka. Jedną z jej uczennic była żona porucznika Bryniarskiego, oficera Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sumińska poprosiła ją o pomoc w przyspieszeniu wydania paszportu dla siebie i dziecka. Oficjalnie składała dokumenty na wyjazd do Wielkiej Brytanii, przy czym zataiła w nich, że jej mąż jest oficerem WSW. Podała, iż pracuje jako technik w Zakładzie Konserwacji Miejskiego Przedsiębiorstwa Dźwigów Osobowych w Warszawie. I chociaż trudno w to uwierzyć, nikt nie zweryfikował tych informacji. A przecież Barbara podała swój prawdziwy adres zamieszkania, który był jednocześnie adresem kapitana Sumińskiego.

Porucznik Bryniarski zwrócił się do swojego kolegi, kapitana Kozuby, który wcześniej pracował w milicji i zachował wiele przydatnych znajomości. Kozuba faktycznie interweniował w sprawie Sumińskiej u zastępcy Wydziału Paszportowego Komendy Stołecznej, majora Augustyniaka. Wstawiennictwo przyniosło efekt – Barbara Sumińska otrzymała paszport dla siebie i córki.

Stołeczny urząd paszportowy w 1981 roku przeżywał oblężenie, gdyż wielu naszych rodaków starało się o wyjazd w celach zarobkowych. Opóźnienia w wydawaniu dokumentów sięgały wielu tygodni, a Sumińska obawiała się jeszcze, że służby – badając dokładnie jej wniosek – wykryją prawdziwe miejsce zatrudnienia męża oraz zatajenie informacji o matce i siostrze przebywających od kilku lat w Stanach. W takim wypadku efekt domina pogrzyłby oboje małżonków.

To wręcz niewiarygodne, ale chaos i przepracowanie urzędników były tak wielkie, że nie sprawdzono dokładnie wniosku żony i córki Sumińskiego. Być może rzeczywiście pomogły jej znajomości, ale bardziej szokujący wydaje się po latach inny fakt. Okazało się bowiem, że wiedza na temat pobytu rodziny Barbary w USA była dostępna kontrwywiadowi wojskowemu w Poznaniu, ale w Warszawie nikt na to nie zwrócił uwagi.

Był jeszcze jeden problem. Zgodnie z ówczesnymi przepisami osoba z wyższym wykształceniem składająca wniosek o paszport do krajów Zachodu musiała przedstawić weksel podpisany przez żyrentów, którzy w razie pozostania jej za granicą mieli zwrócić państwu koszt jej edukacji. W przypadku Barbary Sumińskiej chodziło o 75 tysięcy złotych. Średnia krajowa wynosiła wówczas około 6 tysięcy. W tej sytuacji weksel podpisał jej brat cioteczny, Marian Woźniak, który właśnie wrócił ze Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkał u jej matki. Drugim żyrentem został sam kapitan Sumiński.

„Nie obawiałem się tej operacji – zeznawał kilka miesięcy później Woźniak – gdyż miałem finansowe zobowiązanie wobec Barbary Sumińskiej, a mianowicie jej matka przysłała przez drugą ciotkę, Eugenię Jachimiak z Gdyni, pieniądze w kwocie 130 tysięcy złotych dla Sumińskich. Pieniądze te ja przejąłem od ciotki za jej zgodą, o czym również poinformowałem listownie matkę Barbary Sumińskiej. Oczywiście Sumińscy o tym nie wiedzieli. Z biegiem czasu miałem zwrócić te pieniądze Barbarze Sumińskiej” [383](#).

Patrząc na całe zamieszanie związane z ucieczką Sumińskich, trudno oprzeć się wrażeniu, że ich wyjazd byłby niemożliwy bez pomocy znajomych i przyjaciół. Oczywiście była to pomoc nieświadoma, polegająca na niewykonywaniu oraz nieprzestrzeganiu obowiązków i procedur. Ale jednak pomoc.

MALUCHEM DO AUSTRII

Sumińscy postanowili wyjechać z kraju na początku czerwca, dlatego jeszcze w maju Jerzy bez większych problemów ponownie dostał do ręki swój dyplomatyczny paszport. Miał na tyle mocną pozycję w WSW, że nie była mu do tego potrzebna zgoda przełożonych. Chociaż osoba zajmująca

się sprawami paszportowymi przypominała mu o konieczności zwrotu dokumentu, Jerzy zatrzymał go przy sobie. 29 maja Sumińscy odwiedzili w Poznaniu rodziców Jerzego, którym przekazali swój telewizor, tłumacząc, że wyjeżdżają na kilka lat za granicę. Na parę dni zostawili pod ich opieką córkę, a sami wrócili do stolicy, by przygotować ucieczkę.

2 czerwca Barbara odebrała wreszcie paszport dla siebie i Kingi. Dzień później rodzice Jerzego przywieźli wnuczkę do Warszawy i zatrzymali się w mieszkaniu syna. Następnego dnia Jerzy poprosił swojego przełożonego, pułkownika Aleksandra Śliwińskiego, o wolny dzień, okłamując go, że musi przywieźć córkę z Poznania, gdyż u rodziny panuje jakaś choroba zakaźna. Zgody nie otrzymał, jednak wieczorem 4 czerwca dyskretnie odwiózł Barbarę i Kingę na Dworzec Centralny, gdzie obie wsiadły do pociągu do Wiednia. Nad ranem 5 czerwca przekroczyły granicę w Zebrzydowicach.

„Sumiński – zeznawał pułkownik Śliwiński – był obecny na zebraniu partyjnym 4 czerwca i 5 czerwca normalnie wykonywał obowiązki służbowe. W godzinach rannych zapytał mnie, czy może jechać do Poznania. Wyraziłem zgodę, mówiąc, że może wyjechać około godziny 14-15. Oświadczył mi, że wróci w sobotę, najpóźniej w niedzielę” [384](#).

Kapitan pożegnał się z rodzicami, wręczając im list zaadresowany do generała Kiszczaka na jego prywatny adres. Ojciec miał go wrzucić do skrzynki w dniu swojego powrotu do Poznania, czyli 7 czerwca. Wiedział, że w tym czasie cała trójka będzie już na terenie Austrii. W piątek, 5 czerwca, w godzinach popołudniowych kapitan Sumiński wsiadł do swojego malucha i ruszył przed siebie. Trzy dni później w warszawskich biurach WSW zaczęło się prawdziwe trzęsienie ziemi.

Rano stwierdzono nieobecność Sumińskiego w pracy, około południa pułkownik Śliwiński udał się do jego mieszkania, nikt jednak mu nie otworzył. Wobec tego zostawił w drzwiach kartkę z prośbą o pilny kontakt, co – oczywiście – nie przyniosło żadnych rezultatów. Około godziny 22 raport o zaginięciu kapitana trafił do Szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej, chociaż łądzono się jeszcze, że być może Sumiński nie zdążył „powrócić na czas z powodu ważnych spraw osobistych”.

Szefem WSW był protektor Sumińskiego, generał Czesław Kiszczak. Wieczorem następnego dnia w swoim domu przeczytał list podpisany inicjałami „J.S.”. Jego treść nie pozostawiała żadnych złudzeń: kapitan Jerzy Sumiński zbiegł za granicę. Hipotezę tę potwierdziło przeszukanie

mieszkania przy Wyki 9 na Bemowie. Trzyosobowa komisja, która po sforsowaniu drzwi weszła do lokalu, stwierdziła brak telewizora oraz znacznej części odzieży. Nie znaleziono także żadnych pamiątek rodzinnych. Wszystko wskazywało na to, że domownicy opuścili mieszkanie, wiedząc, że nigdy tam nie wrócą.

JAK KAMIEŃ W WODĘ

Zgodnie z procedurami wszczęto oficjalne dochodzenie o kryptonimie „Kurier”. Przesłuchano wszystkich członków rodziny Sumińskich, rodzice kapitana odmówili składania zeznań. Mocno musieli się tłumaczyć oficerowie zaangażowani w wyrobienie paszportu dla Barbary Sumińskiej. Śledztwo, które kilkakrotnie przedłużano, wykazało wiele zaniedbań proceduralnych w działalności WSW, za co przesunięciem na niższe stanowisko zapłacił bezpośredni przełożony Sumińskiego, pułkownik Śliwiński.

Dezercja Sumińskiego w największym stopniu obciążała generała Czesława Kiszczaka, który jako szef WSW odpowiadał za ochronę kontrwywiadowczą wywiadu. W normalnym systemie generał podałby się do dymisji lub został zwolniony dyscyplinarnie. Tymczasem w PRL-u Czesława Kiszczaka awansowano – pod koniec lipca 1981 roku został ministrem spraw wewnętrznych. Tym samym stał się najbliższym współpracownikiem generała Jaruzelskiego, który za kilka miesięcy miał dzierżyć pełnię władzy w kraju.

W późniejszych wspomnieniach Kiszczak przyznał, że dezercja Sumińskiego przyniosła większe straty niż ucieczka Ryszarda Kuklińskiego. Nie wiadomo jednak, jakie były dalsze losy pupila generała. Z ustaleń polskiego wywiadu wynika, że od razu po przyjeździe do Wiednia zgłosił się do ambasady Stanów Zjednoczonych, a potem został przerzucony do kwatery głównej CIA w Langley. Na pewno był na bieżąco informowany o losach swojej rodziny w Polsce, bo gdy w sierpniu 1981 roku zmarła jego matka, na adres wujostwa kapitana nadszedł telegram o treści: „Wiemy o śmierci mamy. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy. Basia i Jurek”. Była to ostatnia informacja od nich. Od tamtego momentu rodzina Sumińskich zapadła się pod ziemię.

Tymczasem w kraju skonfiskowano ich mienie, a w lutym 1983 roku sąd wojskowy skazał Jerzego za zdradę na karę śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze. Wydano list gończy za kapitanem i próbowano także ustalić, gdzie przebywa w USA, zapewne chcąc go zlikwidować. Zabiegi te nie przyniosły rezultatu. Sumińscy otrzymali nową tożsamość, prawdopodobnie przeszli też operacje plastyczne, podczas których zmieniono im rysy twarzy. Natomiast w Polsce po upadku komunizmu przeprowadzono w 1990 roku rewizję wyroku, zmieniając go na 25 lat pozbawienia wolności i 10 lat utraty praw publicznych.

Tak jak nie wiemy, co dokładnie Sumiński przekazał Amerykanom, tak też zapewne nigdy nie ustalimy, dlaczego po zmianie ustroju nie starał się o rehabilitację. Zapewne podobnie jak Kukliński osiągnąłby cel, ale najwyraźniej tego nie chciał. Niewykluczone, że nie miał ambicji zostać pewnego rodzaju celebrytą jak jego poprzednik. Inna sprawa, że nie wiemy też, jak układało się w Stanach jego prywatne życie. Znając wymagania Barbary, niewykluczone, że mogła być rozczarowana amerykańską wdzięcznością.

Możliwe też, że Sumiński jednak uznał, iż zdrada przysięgi wojskowej nie jest godna chwały, i nie chciał być bohaterem? Informacje, które przekazał Amerykanom, być może okazały się nawet ważniejsze pod względem operacyjnym niż te, które dostali od słynnego Jacka Stronga, ale pozostał szpiegiem znanym tylko specjalistom. Możliwe też, że – po tragedii synów pułkownika Kuklińskiego – Sumiński obawiał się o bezpieczeństwo rodziny i wybrał spokojne życie w Ameryce z nową twarzą oraz nowym nazwiskiem.

Pytań jest wiele, na większość z nich nigdy nie poznamy odpowiedzi – losy kapitana Jerzego Sumińskiego wciąż pozostają fascynującą zagadką. Jedno nie ulega wątpliwości: swoim czynem Sumiński skompromitował samego Kiszczaka i upokorzył system wojskowych służb specjalnych. Pokazał, że nie był on żadnym murem ochronnym, lecz – co najwyżej – budowlaną fuszerką z licznymi wyłomami.



W październiku 1972 roku zaczęła działać szkoła szpiegów w Starych Kiejkutach, miała tam trafić elita elit

ROZDZIAŁ 13

SZKOŁA SZPIEGÓW

Słynny filozof chiński Sun Zi w swoim dziele *Sztuka wojny* zauważył: „Mądrzy władcy i przebiegli dowódcy pokonują przeciwników, ponieważ z wyprzedzeniem zdobywają wiedzę o wrogu” ³⁸⁵. Szpiegowanie – jakkolwiek skuteczne i potrzebne – od zawsze było traktowane jako podejrzana moralnie działalność oparta na kłamstwie, manipulacji i przekupstwie. Czy słusznie? Bez względu jednak na etyczną ocenę tego zawodu należy z całą pewnością stwierdzić, że nie jest to profesja dla każdego.

Dla polskiego czytelnika zaskoczeniem może być fakt, że wywiad PRL-u końca lat 70. klasyfikowano w ścisłej światowej czołówce. Dominowały służby amerykańskie i sowieckie, natomiast polskie, jeśli w ogóle ustępowały brytyjskim, izraelskim czy francuskim, to tylko minimalnie. Nie było to dziełem przypadku – ekipa Edwarda Gierka przywiązywała bowiem ogromną wagę do działań wywiadowczych oraz do kształcenia zawodowych kadr szpiegowskich.

Epoka propagandy sukcesu obfitowała w inwestycje, których oddanie do użytku było szeroko nagłaśniane. Media urządziły z tego powodu wielką pompę, co miało być dowodem na to, że Polska należy do czołówki światowych potęg. Ale jedna z najważniejszych inauguracyj tamtego okresu nie została w ogóle odnotowana. W październiku 1972 roku rozpoczął

bowiem swoją działalność Ośrodek Kształcenia Kadr Wywiadu w Starych Kiejkutach na Mazurach, popularnie nazywany szkołą szpiegów.

6 PAŹDZIERNIKA 1972 ROKU, WARSZAWA

Rankiem tego dnia w warszawskiej siedzibie Nadwiślańskiej Brygady MSW im. Czwartaków Armii Ludowej pojawiło się 50 kandydatów na przyszłych agentów wywiadu. Wyselekcjonowano ich spośród tysiąca zgłoszeń otrzymanych z terenu całego kraju. To właśnie oni mieli już wkrótce stanowić o sile polskich służb wywiadowczych i to właśnie im miały one zawdzięczać swoje sukcesy. Czy była to jednak tylko kwestia odpowiedniego szkolenia, czy również wrodzonego talentu uczniów? Na to pytanie trudno dać jednoznaczną odpowiedź.

Poprzednia ekipa partyjno-rządowa i jej szef, Władysław Gomułka, w ogóle nie przywiązywali wagi do pracy wywiadu. Uważali, że Polsce jest to niepotrzebne, odmawiali też środków na konieczne inwestycje. W efekcie za czasów „Wiesława” działania wywiadowcze wyglądały mało profesjonalnie, a na pewno zaniedbano regularne szkolenie przyszłych kadr. Edward Gierek miał jednak inne zdanie na ten temat. Pierwszy sekretarz, chcąc unowocześnić kraj, otwierał się na Zachód i nowoczesne technologie. Wiedział jednak, że Polski nie będzie zawsze stać na kupowanie tych ostatnich, i dlatego uznał, że szpiegostwo mogą w znacznym stopniu pomóc nadrobić opóźnienia cywilizacyjne. Szpiegostwo technologiczne bowiem oznaczało ogromne oszczędności finansowe i zapewne z tego powodu wyraził zgodę na budowę ośrodka w Starych Kiejkutach.

Szczególnie nalegał na to nowy szef MSW, Franciszek Szlachcic, mający jasną wizję silnego wywiadu, którego funkcjonariusze przyniosą Polsce wielkie zyski. Z tego też powodu nie żałowano środków na budowę szkoły szpiegów, uważając ją za inwestycję, która bardzo szybko się zwróci. Ośrodek miał być zupełnie odcięty od świata, dzięki czemu skoszarowani słuchacze całkowicie poświęcaliby się nauce nowej profesji, a ich wykładowcy mogliby znaleźć odpowiedź na pytanie, czy ich podopieczni nadają się do pracy w wywiadzie.

Szpiegostwo jest wyjątkowo wyczerpującym zawodem, czasami od sprawności fizycznej zależy nie tylko powodzenie przedsięwzięcia, lecz także wolność czy życie agenta. Wprawdzie szpieg powinien pracować głównie umysłem, a nie biegać z rewolwerem po ulicach, ale w rzeczywistości różnie z tym bywa. Doskonale wiedzieli o tym twórcy ośrodka w Starych Kiejkutach, dlatego przed podjęciem szkolenia kandydatów wysyłano na dwa tygodnie obozu wojskowego.

Do Starych Kiejkut mieli trafić tylko najlepsi z najlepszych, którzy powinni opuścić szkołę jako elita służb decydująca o obliczu polskiego wywiadu w następnych latach.

STARE KIEJKUTY

Szkołę szpiegów zbudowano na Mazurach, ponieważ zgodnie z postanowieniami Układu Warszawskiego ważne obiekty – na wypadek wojny podlegające mobilizacji – musiały być zlokalizowane na wschód od linii Wisły. Bezkrzesne lasy zapewniały możliwość ukrycia obiektu przed wzrokiem osób niepowołanych, liczyły się też walory rekreacyjne i krajobrazowe okolicy. Nie zdecydowano się jednak na adaptację istniejącej już jednostki wojskowej – ośrodek został wzniesiony od podstaw.

Przed II wojną światową Stare Kiejkuty były typową wsią letniskową, znakomicie położoną między dwoma jeziorami – Starokiejkuckim i Wałpuszem. Był to prawdziwy raj dla wędkarzy, przybywało tu dużo młodzieży, we wsi działał młyn, a mieszkańcy zajmowali się pszczelarstwem.

Dotychczasowe miejsca szkolenia szpiegów – placówka w Legionowie i pałacyk przy ulicy Ksawerów w Warszawie – nie nadawały się do profesjonalnego kształcenia kadr wywiadu. Zajęcia odbywały się tam w warunkach prowizorycznych, tymczasem coraz bardziej potrzebne były nowoczesne, dobrze przygotowane pracownie specjalistyczne, laboratoria fotograficzne, sale do audiowizualnych lektoratów, odpowiednia baza do nauki obserwacji i kontroobserwacji. Gdy wreszcie zapadła decyzja o budowie nowego ośrodka, resort postanowił zrealizować ją własnymi siłami.

„Zatrudniono 4 inżynierów i 8 majstrów, a robotnikami zostali żołnierze jednostek nadwiślańskich MSW – wspominał generał Józef Osek. – Żołnierze tej formacji byli odpowiednio przeszkoleni w pracach saperskich, wykorzystywano ich w czasie powodzi i podobnych zagrożeń. (...) Zorganizowano dla żołnierzy kursy na murarzy, cieśłów, ślusarzy i w wielu innych specjalnościach potrzebnych na takim placu budowy” [386](#).

Ośrodek powstał w rekordowym (jak na warunki gospodarki socjalistycznej) tempie. W półtora roku od rozpoczęcia inwestycji był gotów na przyjęcie słuchaczy. W niczym nie przypominał wcześniejszych placówek szkoleniowych.

„Własna studnia głębinowa – kontynuował Osek – własny system kanalizacyjny, przeciwatomowy schron podziemny z olbrzymimi kazamatami, gdzie można, nie wychodząc na powierzchnię, przeżyć wiele miesięcy. Kiejkuty to świetnie przygotowane miejsce do życia dla 500-700 osób. Przewidywano, że na każdym kursie będzie 80 studentów, jak nazywano osoby szkolone. Stała kadra miała liczyć około 50 osób. Do tego załoga radiostacji i kompania wojska do całodobowej ochrony, 300 chłopca. (...) Dla studentów przygotowano 40 dwuosobowych apartamentów z łazienkami. Mieli do dyspozycji kryty basen, salę gimnastyczną i luksusową stołówkę – restaurację” [387](#).

Zatrudniono nawet szefa kuchni warszawskiego Grand Hotelu, który zamieszkał na terenie ośrodka wraz z żoną. Przyrządzał dania z całego świata tak, aby słuchacze poznawali sposób jedzenia i smak różnych potraw, co w przyszłości mogło się okazać im potrzebne. Do ich dyspozycji był też dobrze zaopatrzony, bezpłatny bar czynny od godziny 17 do północy, co z kolei umożliwiało oswojenie się przyszłych oficerów wywiadu z różnymi rodzajami alkoholu.

„Niektórzy się upijali – opowiadał absolwent pierwszego rocznika, Aleksander Makowski. – Z raz czy dwa były jakieś pijackie incydenty, ale też temu ten bar służył, żeby kadra mogła zorientować się, kto potrafi upić się w sposób kontrolowany, a kto dostaje świra. W wywiadzie trzeba umieć pić alkohol” [388](#).

Teren szkoły w Starych Kiejkutach sprawiał wrażenie dziwnej oazy na tle peerelowskiej szarżyny i nie był podobny do żadnej jednostki wojskowej czy ośrodka szkoleniowego. Aleksander Makowski, syn rezydenta wywiadu, który był przyzwyczajony do zachodnich standardów życia, nie ukrywał swojego zdziwienia po przyjeździe na Mazury.

„Miałem wrażenie, że trafiłem do jakiegoś kurortu – wspominał. – Wszystko było supernowe i nowoczesne. Trwały jeszcze jakieś prace wykończeniowe, ale wszystko było gotowe do zamieszkania. Olbrzymi teren, budynki świeżutko otynkowane, takie w stylu skandynawskim, dużo drewnianych elementów. Alejki, rzeźby jak w parku pałacowym” [389](#).

Inwestycja okazała się jednak przekleństwem dla mieszkańców wsi, w której wprowadzono nadzwyczajne obostrzenia: o każdej osobie z zewnątrz należało natychmiast meldować władzom, nie można było prowadzić małej gastronomii, sprzedawać działek, budować i remontować domów. Po Starych Kiejkutach ciągle krążyły patrole Wojskowej Służby Wewnętrznej, a każdy przyjezdny był zatrzymywany i legitymowany. To w zupełności wystarczyło, by odstraszyć stąd turystów. Sąsiednie wioski zarabiała na letnikach, natomiast mieszkańcy Starych Kiejkut solidarnie przeklinali szkołę szpiegów.

SELEKCJA

Do Kiejkut miała trafić elita elit, zatem selekcja była wyjątkowo surowa. Wytypowano około tysiąca kandydatów – „absolwentów prawa, handlu zagranicznego i najlepszych politechnik”. A chociaż na roku przewidziano 80 miejsc, to na pierwszy kurs zakwalifikowało się tylko 50 kandydatów, podczas gdy reszta została odrzucona jako nieprzydatna do służby w wywiadzie.

W pierwszym rzędzie sprawdzano spostrzegawczość i pamięć, uznając je za najważniejsze cechy szpiega. Dopiero potem następowały testy na kojarzenie faktów, analityczne myślenie, rozmowy z psychologami. Ważne też było sprawdzenie, jak potencjalny adept szpiegostwa zachowuje się w chwilach stresu i jaka jest jego odporność psychiczna. Znajomość języków obcych czy pobyt na Zachodzie stanowiły znaczące atuty, ale nie uznawano ich za konieczne przy wstępnej selekcji. Nie było też żadnych pytań o sprawy ideologiczne, albowiem do Kiejkut kwalifikowano przyszłych szpiegów, a nie specjalistów od doktryn politycznych.

Mimo zachowywania przez Polaków ścisłej tajemnicy zachodnie służby doskonale zdawały sobie sprawę, że nasz kraj szykuje się do gry o dużą

stawkę. Wywiady francuski i niemiecki z różnych źródeł otrzymywały raporty o budowie ośrodka szkoleniowego na Mazurach.

„Moje źródło z polskiego MSW twierdzi, że znacznie powiększono budżet ministerstwa – informował rezydent francuskiego wywiadu w Warszawie. – Pieniądze przeznaczone są na inwestycje. Nie prowadzą zakupów sprzętu, wydatki na transport w normie. Prawdopodobnie chodzi o inwestycje trwałe. Źródło uważa, że zostanie zbudowany nowy obiekt, budynek lub zespół budynków i ma to związek z reformą polskiej służby wywiadowczej” [390](#).

Gdy 50 zakwalifikowanych studentów stawilo się w jednostce wojskowej MSW w Warszawie, występowali już pod zmienionymi nazwiskami i nawzajem nic o sobie nie wiedzieli.

„Od tej pory nikt nie ma prawa znać waszej prawdziwej tożsamości – nakazywano kandydatom podczas indywidualnych rozmów – nie ma gadek o rodzicach, miastach, szkołach. Nie możecie mieć żadnych przedmiotów, które zdradzą waszą tożsamość. Prawdziwej tożsamości macie bronić jak niepodległości” [391](#).

Przed rozpoczęciem regularnej nauki zaliczyli jeszcze dwutygodniowy obóz wojskowy w Ciechanowie. Z jednym wyjątkiem, bo pewien kursant trafił na Mazury z opóźnieniem – szkolenie wojskowe ominęło Gromosława Czempińskiego, przyszłego szefa Urzędu Ochrony Państwa. Jego kolegami z pierwszego kursu w Kiejkutach byli między innymi Bogdan Libera oraz Aleksander Makowski.

KANDYDACI

„Kolegów z kursu dzielę na trzy nieformalne grupy – wspominał absolwent jednego z późniejszych roczników, Vincent V. Severski (Włodzimierz Sokołowski). – Pierwsza z nich to byli oficerowie kierowani przez jednostki SB z terenu i centrali. Trzymali się razem. Wśród nich byli oficerowie o wybitnym poziomie intelektualnym, ale byli też tacy, którzy delikatnie mówiąc, odstawali. Najstarszy miał chyba 35 lat” [392](#).

Według Severskiego drugą grupę tworzyli „kandydaci, którzy byli związani rodzinnie z Departamentem I, dzieci wyższych oficerów wywiadu”. Tych ludzi można było uznać za absolutną elitę elit, gdyż ich

ojcowie najczęściej byli rezydentami wywiadu za granicą. Wychowani na placówkach kończyli tam szkoły, a czasami nawet studiowali. Doskonale znali języki obce, świat Zachodu, często też specyfikę zawodu szpiega. Natomiast do trzeciej grupy należeli ci, którzy trafili do Starych Kiejkut na zasadzie zdarzeń losowych.

„Jakiś wujek blisko resortu, jakiś przypadek – kontynuował Severski. – Nas było takich kilku, szybko się wyczuliśmy. W stosunku do innych byliśmy opóźnieni. Tamci wiedzieli więcej, mieli już swoje doświadczenia, a my jak *tabula rasa*. Na początku było nam trudno, nawet mówiliśmy trochę innym językiem” [393](#).

Podobno 80 procent populacji nie ma predyspozycji do zawodu szpiega. Ale czy statystyka zawsze odzwierciedla prawdę? W ten sposób można uznać, że większość ludzi pracuje w zawodach, których nie powinni wykonywać. W Starych Kiejkutach nie było jednak miejsca na pomyłki, toteż ci, którzy się nie nadawali, musieli odpaść w trakcie szkolenia. Pomyłka przy selekcji mogła bowiem zbyt drogo kosztować.

„Przestrzegaliśmy konspiracji – tłumaczył Severski – używaliśmy fałszywych tożsamości i chroniliśmy tajemnice. Był na kursie specjalny oficer, który zajmował się naszym bezpieczeństwem. Ostrzegano nas, że będzie kontrolował naszą korespondencję, nasze pokoje, rzeczy osobiste. (...) Braliśmy to bardzo poważnie. [Złamanie tajemnicy groziło] wypadnięciem z kursu, a to znaczyło koniec marzeń. Koledzy odpadali, takie rzeczy zawsze się zdarzają” [394](#).

KUŹNIA AGENTÓW

W epoce PRL-u wszystko odbywało się pod egidą partii. Dlatego też podczas inauguracji ośrodka w Starych Kiejkutach główną rolę odegrał Stanisław Kania, ówczesny sekretarz KC PZPR. Słuchacze kursu zapamiętali to przemówienie, gdyż Kania ani słowem nie wspomniał w nim o komunizmie, Związku Radzieckim i sojuszach z państwami bloku wschodniego. W zamian dużo mówił o patriotyzmie, poświęceniu i przyszłości Polski. Podobnie było podczas regularnych zajęć. Wprawdzie zdarzały się obowiązkowe wykłady ideologiczne, jednak zredukowano ich liczbę do minimum i nikt nie zwracał na nie większej uwagi. Adepti szkoły

szpiegów mieli być profesjonalistami, a nie komunistami wierzącymi w dogmaty marksizmu.

Zadbano też o odpowiednią oprawę ślubowania słuchaczy szkoły. Każdego roku odbywało się ono w świetle pochodni przy ustawionym na terenie ośrodka posągiem Światowida. Bóstwo o czterech twarzach symbolizowało bowiem działalność wywiadowczą, jako że wszystko widziało i nic nie mogło się przed nim ukryć.

Dzień w Starych Kiejkutach zaczynał się od zaprawy fizycznej, czyli ponad trzech kilometrów biegu po lesie. Potem toaleta, śniadanie i dwie godziny zajęć językowych, do których przykładano ogromną wagę, bo przecież oficer wywiadu musi biegle posługiwać się językami obcymi. Ściągnięto więc znakomitych lektorów, a podczas nauki wykorzystywano metody audiowizualne. Potem, do godziny 14, odbywały się zajęcia specjalistyczne. Następnie obiad i praca własna, a od godziny 17 – czas wolny.

Chociaż najważniejsze było zachowanie tajemnicy, to podczas dziewięciomiesięcznego kursu kilka razy organizowano słuchaczom wycieczki. Zachodziła bowiem obawa, że ciągły pobyt w jednym miejscu fatalnie odbije się na ich psychice.

„To był ośrodek zamknięty – tłumaczył Makowski. – Tam żyło się wywiadem przez siedem dni w tygodniu, przez 24 godziny na dobę. Nic nie robiło się z doskoku, na wrywki” [395](#).

W Starych Kiejkutach nic nie pozostawiano przypadkowi. Do lamusa odeszły stare, przetłumaczone z języka rosyjskiego skrypty, na bazie których uczono szpiegostwa w Legionowie i przy ulicy Ksawerów. W zamian pojawiły się nowe, specjalnie opracowane podręczniki. Poza tym ośrodek odwiedzali wprawieni oficerowie wywiadu, którzy dzielili się swoimi doświadczeniami. Analizowano sukcesy i porażki, szczególną wagę przykładając do przypadków zdrady i przewerbowania agentów przez stronę przeciwną. Szkolenie w Kiejkutach składało się z trzech poziomów.

„Pierwszy z nich – wspominał Severski – szkolenie operacyjne. Nauka werbowania, prowadzenia rozmów z kandydatami na agentów. (...) Symulacje takich werbunków. Jeden werbował, drugi był werbowany. (...) Na podstawie autentycznych spraw, które się zdarzyły, czytano teczki z dokumentacją i potem odgrywano jak w teatrze” [396](#).

Każdego człowieka rozpracowywano indywidualnie, gdyż nie ma dwóch takich samych ludzi, tak jak nie ma dwóch takich samych spraw.

Oficerowie wywiadu też byli różni i odmiennie reagowali w podobnych sytuacjach.

Drugi poziom stanowiły zagadnienia techniczne, nauka języków obcych i polityka. Kwestie ideologiczne w ogóle nie były wówczas poruszane, natomiast duży nacisk kładziono na sprawy polityki międzynarodowej. Dobry oficer wywiadu musiał się orientować w aktualnych wydarzeniach, gdyż „od tego często mogło zależeć powodzenie jego misji”.

„Poziom trzeci – kontynuował Severski – szkolenie praktyczne w terenie. Polegało na budowaniu tzw. trasy sprawdzeni owej, każdy musiał napisać raport, swoje obserwacje, kogo ustalił. Byli tacy, którzy przychodzili i pisali, że widzieli dwudziestu obserwujących, charakteryzowali ich wygląd i zachowanie. Potem okazywało się, że w ogóle nie mieli założonej obserwacji. To gorsza wpadka niż przypadek, że ktoś nikogo nie zobaczył, a powinien, bo obserwowało go faktycznie dwudziestu ludzi” [397](#).

Poza nauką tajników szpiegowskiego fachu nie zanedbywano też innych rodzajów szkolenia. Oficer wywiadu może przecież się znaleźć w różnych sytuacjach życiowych, dlatego studentów szkolono w zakresie prowadzenia samochodu – po zmroku, w fatalnych warunkach, po wiejskich okolicznych drogach.

„Jeździliśmy fiatami 125p – relacjonował Makowski – ale miały one mocniejsze silniki niż w seryjnych modelach. Był też jeden zachodni samochód, chyba mercedes. To były próby z instruktorem, który uczył nas szybkiej jazdy, poślizgów. Jeździliśmy po mazurskich drogach sto dwadzieścia, sto trzydzieści na godzinę. Ile dała fabryka. (...) Głównie po ciemku. Te jazdy zaczynały się około szesnastej, siedemnastej. Cały kurs w Kiejkutach zaczynaliśmy w listopadzie. Późną jesienią, zimą, jeździliśmy, gdy wokół było ciemno” [398](#).

METODY WERBUNKU

Dla szpiega zawsze najważniejsza jest wiedza, albowiem bez niej oficer wywiadu nie istnieje. Dobry szpieg to taki, który ma dobrych informatorów, gdyż to właśnie oni decydują o jego sukcesach. Informacja jest najważniejszym towarem, a werbunek – najtrudniejszą częścią pracy

wywiadowcy. Dlatego zanim oficer przystąpi do działania, musi dokładnie rozpracować potencjalnego współpracownika. Zaczyna od ustalenia wszystkiego, co tylko może znaleźć na jego temat: daty urodzenia, sytuacji rodzinnej, gustów kulinarnych, filmowych i literackich. Szuka też potencjalnych słabych punktów: kosztownych zainteresowań, upodobania do alkoholu albo płci pięknej. Dopiero wtedy można stwierdzić, czy dany człowiek kwalifikuje się do werbunku.

Pewien prokurator o bardzo złej sławie powiedział kiedyś, że wystarczy mu wskazać człowieka, a paragraf na niego się znajdzie. W normalnym życiu nie ma ludzi bez wad, każdy ma swoje słabości – i oficer wywiadu potrafi je wykorzystać. Zdarzają się też tacy, którzy wprawdzie nie wykazują słabości do dóbr materialnych i uroków życia, ale są za to wrażliwi na ideologię lub na argumenty o dobru ludzkości czy pokoju na świecie.

Dobry oficer nigdy bez potrzeby nie ryzykuje, więc gdy przystępuje do werbunku, musi być niemal pewny powodzenia. Niemal – bo przecież nigdy do końca nie wiadomo, jak zachowa się osoba, która usłyszy propozycję współpracy w charakterze agenta obcego wywiadu.

Werbunek to działanie zespołowe, toteż jednego człowieka rozpracowuje czasem cała rezydentura. Niezwykle ważny jest także wybór odpowiedniej metody: szantaż, argumenty finansowe, a może jeszcze inne? Zresztą przy werbunku rzadko stosuje się jeden środek, częściej są łączone.

Podstawową zasadę stanowi szacunek do potencjalnego współpracownika. Więc jeśli nawet sięga się po szantaż, to nigdy nie można powiedzieć tego wprost. Wskazane jest również, by pewnych spraw nie nazywać po imieniu – nie używać słów „wywiad” ani „wynagrodzenie”. Dlatego też rzadko pojawiają się pokwitowania odbioru pieniędzy, gdyż dobry oficer nie wymaga tego od swojego informatora.

Słowa użyte podczas rozmów werbunkowych są bardzo istotne. Potencjalny współpracownik powinien mieć przekonanie, że „zdradzając, właściwie nie zdradza”. Czyli powinny zostać zachowane „podstawowe zasady poszanowania uczuć informatora”. Wskazane jest, by agent mógł we własnym sumieniu się usprawiedliwić i myśleć, że robi to „dla dobra ludzkości albo z jakichś wyższych pobudek”, a przekazywane informacje są bez znaczenia dla obronności jego kraju, natomiast mogą zapobiec nieszczęściu.

Oddzielny problem stanowią pracujące na rzecz wywiadu kobiety. Często potrafią odegrać ogromną rolę w zdobywaniu informacji, ale wymagają zupełnie innego traktowania. Zresztą współpraca z nimi bywa czasami bardziej niebezpieczna niż z mężczyznami.

„Przy werbowaniu kobiety na agenta – tłumaczył Makowski – wszystko zależy od sytuacji, jak daleko można się posunąć. Każde przekroczenie zasad, przerodzenie się znajomości w romans, natychmiast niesie emocje. Na początku każdego romansu jest dobrze, ale potem mogą pojawić się problemy. Jeżeli kobieta się zakocha, to miewa różne pomysły, na przykład wymyśli sobie, że zostanie żoną szpiega. W przypadku nielegała to nawet korzystne, ale oficer wywiadu nie powinien brnąć w takie związki. Musi pamiętać, że jak rozkocha w sobie kobietę i nie spełni jej oczekiwań, to naraża się na dużą kontrę. Najgorsza rzecz to zawiedziona miłość agentki: staje się wówczas nieobliczalna” [399](#).

Aby osiągnąć zamierzony cel, często potrzebny jest werbunek wielostopniowy. Na początku nawiązuje się współpracę z kimś stosunkowo mało ważnym, dysponującym wąskim zasobem informacji. I dopiero z pomocą tego człowieka dociera się do jego przełożonego, który od początku był głównym celem zabiegów wywiadu.

„Bywało nawet, że dochodziło do dwóch werbunków tylko w celu lepszego rozpracowania – kontynuował Makowski. – Ale wówczas chodzi z reguły o cele z najwyższej półki, czasami na poziomie ministrów obrony. (...) Jeżeli werbujemy urzędnika ministerstwa obcego państwa i operacja nie wyjdzie, to jest niezbyt dobrze. Zaraz pojawiają się protesty, skandale i zaczyna marudzić MSZ” [400](#).

Agent powinien czuć zaufanie do prowadzącego go oficera. Musi wiedzieć, że ten troszczy się o niego, dba o jego bezpieczeństwo, nie naraża bez powodu. Najlepiej, gdy osoba werbowana zdaje sobie sprawę, że oficer namawiający ją do współpracy przewyższa ją intelektualnie, a jednocześnie jest stuprocentowym profesjonalistą.

„Gdy już to wszystko wiadomo – opowiadał dalej Makowski – trzeba wymyślić miejsce do werbowania i podjąć próbę. Miejsce też jest istotne. W grę wchodzi dwie opcje: albo łowimy go na terenie jego kraju, albo czekamy, aż wyjedzie. Ta druga opcja, werbunek na terenie kraju trzeciego, jest oczywiście bezpieczniejsza. Nie ma zagrożenia ze strony kontrwywiadu albo jest mniejsze, poza tym gdyby delikwent chciał się poskarżyć swoim służbom, to jednak miałyby dalej” [401](#).

Najlepszą motywacją są pieniądze – czysty układ handlowy z lekkim elementem szantażu. Werbujący ma tę przewagę, że z reguły doskonale zna potrzeby swojego potencjalnego współpracownika i wie o nim coś kompromitującego. Ale z drugą formą nacisku nie należy przesadzać – powinno się tylko dać to do zrozumienia i nie kontynuować tematu. Ważne jest też zachowanie umiaru. Zdarza się bowiem, że zwerbowany będzie chciał dostawać jak najwięcej pieniędzy i straci kontrolę nad swoim zachowaniem. A to może być bardzo niebezpieczne.

Tak naprawdę centrali nie interesują żadne koszty – ani te typowo finansowe, ani osobiste – ponoszone przez zwerbowanych agentów. Liczą się tylko efekty działania, czyli napływające informacje. Natomiast oficerowie wywiadu nigdy nie powinni uważać swoich współpracowników za gorszych od siebie, gdyż właśnie od nich zależy ich los.

„W stosunku do źródła informacji nigdy nie czułem pogardy – potwierdzał Aleksander Makowski. – To, że jest ono zdrajcą, w ogóle mnie nie interesowało. Dla mnie mój informator jest wybitnie pozytywną jednostką. On świadczy mi usługi, a ja mu za nie płacę. Taki mamy układ. (...) Dla źródła trzeba mieć najwyższy szacunek. Tego nas uczono w szkole. (...) Nie masz agentów – nie masz sukcesów” [402](#).

PRYMUSI I ZDRAJCY

Chociaż pierwszy rocznik w Starych Kiejkutach liczył tylko 50 starannie wyselekcjonowanych kandydatów, to jednak nie wszyscy z nich się sprawdzili. Kilku absolwentów zrezygnowało ze służby z powodów etycznych – „nie odpowiadało im to, że mają podsłuchiwać, kłamać, namawiać do zdrady, szantażować”. Dla nich praca szpiega powinna bardziej przypominać dyplomację, „gdzie obowiązują zupełnie inne obyczaje”. Byli też słuchacze, którzy nie pasowali do zachodniego stylu życia i po kursie trafili do centrali, ewentualnie do krajów wschodnioeuropejskich.

Zdarzali się również zdrajcy... Andrzej Kopczyński wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec i zniknął. Okazało się, że tam wystąpił o azyl polityczny, nawiązał współpracę z miejscowym wywiadem, a potem z CIA. Uznano, że cały rocznik kształcący się razem z nim w Starych Kiejkutach

może być zagrożony, i dlatego wielu agentów przebywających na placówkach odwołano wówczas do kraju. W ten sposób przerwano misję Gromosława Czempińskiego, który był wtedy rezydentem w Chicago. Wprawdzie Kopczyński nie znał prawdziwych nazwisk swoich kolegów, ale zachodziła obawa, że mógłby ich rozpoznać.

Schyłek komunizmu w Polsce nie był najlepszym okresem dla wywiadu. Przemiany ustrojowe sprawiły, że dotychczasowa struktura służb specjalnych straciła rację bytu, a funkcjonariuszy czekała weryfikacja. Do powstającego Urzędu Ochrony Państwa zakwalifikowano ostatecznie 60 procent kadry, przy czym weryfikacji nie przeszedł Aleksander Makowski, który wcześniej był zaangażowany w działalność przeciwko opozycji.

Upadek PRL-u skutkował tym, że niedawni sojusznicy stali się wrogami, a dotychczasowi wrogowie – kandydatami na sojuszników. Nic zatem dziwnego, że służby Stanów Zjednoczonych z dużą rezerwą podchodziły do współpracy z wywiadem III RP. Jednak tę sytuację całkowicie zmieniła agresja Iraku na Kuwejt i pierwsza wojna w Zatoce Perskiej.

OPERACJA „SAMUM”

Inwazja iracka na Kuwejt zaskoczyła Amerykanów – najwyraźniej ich wywiad szwankował w tym rejonie świata. W efekcie na pograniczu kuwejcko-irackim została odcięta grupa oficerów CIA zbierających informacje o ruchach wojsk Saddama Husajna. Nie mieli oni paszportów dyplomatycznych, a więc w przypadku trafienia do niewoli zapewne zostaliby zamordowani. CIA prosiła o pomoc swoich europejskich sojuszników, jednak Francuzi i Brytyjczycy odmówili, tłumacząc, że akcja ratunkowa jest niemożliwa. Ostatecznie zdesperowani Amerykanie zwrócili się do władz polskich, wiedząc, że firmy z naszego kraju przez wiele lat prowadziły w Iraku różnego rodzaju inwestycje.

Gromosław Czempiński, jeden z najzdolniejszych absolwentów pierwszego rocznika szkoły w Starych Kiejkutach, pełnił w tym czasie obowiązki zastępcy szefa wywiadu UOP-u. Dlatego to właśnie on miał rozpoznać tę sprawę i ocenić, czy warto wdawać się w międzynarodową awanturę grożącą nieobliczalnymi konsekwencjami. Uznał, że właśnie

nadeszła znakomita okazja do nawiązania normalnej współpracy z Amerykanami, którzy traktowali polski wywiad z dużą dozą nieufności, i zdecydował się osobiście pokierować operacją. W jego przekonaniu była to akcja typowo humanitarna, której celem miało być uratowanie od śmierci obywateli Stanów Zjednoczonych.

Czempiński wyjechał z paszportem dyplomatycznym do Bagdadu i spotkał się tam z miejscową rezydenturą polskiego wywiadu. Wyniki jego rozmów z naszymi agentami nie były zachęcające – wyjaśnili bowiem, że akcja nie ma szans na powodzenie, a służby irackie bardzo gorliwie poszukują Amerykanów. Czempiński doszedł jednak do wniosku, że operacja może się zakończyć sukcesem.

Postanowił, że Amerykanie zostaną ewakuowani jako nasi budowlańcy, którzy przez Turcję jadą do Polski na urlop. Taka przykrywka wydawała się dość wiarygodna, ponieważ w tym czasie wiele firm znad Wisły prowadziło różne inwestycje w Iraku, w związku z czym przebywało tam wielu naszych rodaków. Akcja wiązała się jednak z poważnymi problemami logistycznymi, bo Amerykanów należało wyposażyć w polskie paszporty, odzież, a nawet papierosy. Poza tym trzeba było wprowadzić ich dane do systemu komputerowego miejscowej policji. Największy zaś problem stanowiło odnalezienie ich i przekonanie do całego przedsięwzięcia.

Plan zakładał, że funkcjonariuszom CIA będą towarzyszyć trzej polscy oficerowie. Niestety, Amerykanie w ogóle nie mówili po polsku, a wielu Irakijczyków znało trochę nasz język, bo mieli liczne kontakty z polskimi firmami. Zdarzali się również tacy, którzy kończyli studia nad Wisłą.

Tymczasem nadal nie było wiadomo, gdzie ukrywają się Amerykanie. W tej sytuacji Czempiński zamienił paszport dyplomatyczny na zwykły, gdyż jako pracownik polskiej firmy miał większą swobodę poruszania się po Iraku, choć z takimi papierami groziło mu znacznie większe niebezpieczeństwo. W międzyczasie doszedł jeszcze jeden problem – centrala w Warszawie nie chciała zaakceptować opracowanego planu.

W tej sytuacji Czempiński postawił wszystko na jedną kartę. Kolejny plan wysłał do Warszawy w ostatniej chwili, a rozkazu odwołującego akcję w ogóle nie odebrał. Była to jawna niesubordynacja, lecz uznał, że działa w sytuacji wyższej konieczności. W przypadku powodzenia polski wywiad mógł zyskać ogromną renomę wśród nowych sojuszników, a takiej okazji nie można było zmarnować.

Gdy wreszcie Polacy odnaleźli ukrywających się Amerykanów, przystąpiono do działania. Cała grupa ruszyła dwiema toyotami do granicy z Turcją. Droga była długa i niebezpieczna, bo każdy patrol mógł zatrzymać samochody i wylegitymować pasażerów. Na dodatek oficerowie CIA – chociaż wypili ogromną ilość alkoholu, by na granicy wyglądać jak nasi rodacy jadący na urlop do kraju – dziwnym trafem pozostawali trzeźwi. Na szczęście służby graniczne Iraku nie przyłożyły się do kontroli i nikt nawet nie przejrzał ich paszportów. Pasażerów obu toyot uznano za przyjaciół Iraku i przepuszczono na turecką stronę. W ten sposób Amerykanie przez Ankarę i Warszawę szczęśliwie wrócili do Stanów Zjednoczonych, a polski wywiad zdobył przy tej okazji szczegółowe mapy Bagdadu z opisanymi i oznaczonymi instalacjami wojskowymi.

Operacja „Samum” spowodowała prawdziwy przełom w relacjach polskiego wywiadu z CIA, a także z agencjami wywiadowczymi krajów NATO. Rząd amerykański zrewanżował się, doprowadzając do umorzenia 20 mld dolarów polskiego długu zagranicznego. Dodatkowo Amerykanie sfinansowali budowę i wyposażenie polskiej jednostki szybkiego reagowania GROM, a także wsparli ją logistycznie i przeszkolili oficerów, którzy dowodzili tym oddziałem. Na czele GROM-u stanął podpułkownik Sławomir Petelicki, który publicznie wyznał, że jednostkę nazwano tak na cześć Gromosława Czempińskiego. Oficjalne rozwinięcie skrótu GROM brzmi: Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego. Czempiński został też odznaczony przez prezydenta George’a Busha.

W 1999 roku Władysław Pasikowski nakręcił film *Operacja „Samum”*, a Gromosław Czempiński był przy tej produkcji konsultantem, jednak dystansował się wobec scenariusza. I trudno się temu dziwić, skoro szczegóły tej operacji do dzisiaj pozostają tajne, a pewne jest tylko to, że była ona pierwszym krokiem Polski do NATO.

Terenem dawnej szkoły szpiegów zarządza obecnie Agencja Wywiadu. W Starych Kiejkutach można już stawiać domy, powoli zmienia się cała okolica. Ośrodek Kształcenia Kadr Wywiadu na stałe zapisał się w najnowszych dziejach Polski. Bez względu na to, jak później potoczyły się losy jego absolwentów, które często były bardzo dramatyczne. Ale to już zupełnie inna historia...

ZAKOŃCZENIE

Teraz, gdy Państwo kończą lekturę tej książki, ja zapewne piszę już następną pozycję z cyklu o PRL-u. Mimo że dotychczas ukazało się łącznie 14 moich książek o dziejach Polski Ludowej, a bohaterowie tamtych lat występowali także w innych moich publikacjach, wciąż pojawiają się nowe tematy. Ostatecznie PRL funkcjonował przez prawie pół wieku, a jedną z niewielu spraw, jaka udała się komunistom, jest likwidacja analfabetyzmu nad Wisłą. Zatem jeżeli ponad 30 milionów nauczonego czytać i pisać, to logiczne, że w tak ogromnej masie znajdą się ludzie obdarzeni autentycznym talentem literackim, muzycznym czy plastycznym. Właśnie o nich będą traktować moje kolejne książki.

Wspólnie z Markiem Sierockim planujemy zatem kontynuację bestsellera o przebojach muzycznych PRL-u. Do tego dojdzie jeszcze pozycja prezentująca przerwane biografie znanych postaci Polski Ludowej – przerwane nie tylko z powodu nagłej śmierci, lecz także ze względów politycznych czy obyczajowych. W kolejce czeka też książka o zakrapianym PRL-u, gdyż – jak wiadomo – tamtych czasów nie można było przeżyć bez solidnej dawki procentów.

Mam w planach kolejne tytuły, ale nie chcę przedwcześnie o nich wspominać. Na pewno jednak nie zabraknie mi pomysłów na długie lata, z czego zresztą szczerze się cieszę. Uwielbiam bowiem dzielić się z Czytelnikami swoimi odkryciami i przemyśleniami, a do tego wysoko cenię ich opinie. Podczas spotkań autorskich zawsze z dużym zainteresowaniem wysłuchuję ich uwag – nie ukrywam, że kilka takich wieczorów zainspirowało mnie do napisania książek. I jestem moim Czytelnikom za to bardzo wdzięczny.

WAŻNIEJSZA BIBLIOGRAFIA

1. Atlas J., *Atlas kryminalny*, Warszawa 1992.
2. Bagieński W., *Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945–1961*, t. 1, Warszawa 2017.
3. *Bank pana Janosza*, Katowice.naszemiasto.pl/archiwum/bank-pana-janosza,790126,t,id.html
4. Bereś W., Skoczylas J., *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991.
5. *Bilet do III RP... za 20 mld dolarów. Rachunek sumienia generała Gromostawa Czempińskiego*, „Angora” 31/2011, 32/2011.
6. Bosak H., *Wnuk generała. Z tajemnic polskiego wywiadu 1977–1979*, Warszawa 2000.
7. Cenckiewicz S., *Długie ramię Moskwy*, Warszawa 2011.
8. Cenckiewicz S., *Kobiety jako kamuflaż*, „Do Rzeczy” 21/2014.
9. Ciszak P., *Kontenery srebra, kilogramy złota do opłacenia akcji MSW i zlecenie na Michnika. Oto największa afera z udziałem służb*, Menstream.pl/wiadomosci-reportaze-i-wywiady/kontenery-srebra-kilogramy-zlota-do-oplacenia-akcji-msw-i-zlecenie-na-michnika-oto-najwieksza-afere-z-udzialem-sluzb,0,1480275.html
10. Connolly K., *Podstawiony za młodu*, Polityka.pl/tygodnikpolityka/swiat/1538215,1,podstawiony-za-mlodu.read
11. Crowdy T., *Historia szpiegostwa i agentury*, Warszawa 2010.
12. Czechowicz A., *Siedem trudnych lat*, Warszawa 1972.
13. Dubiński K., *Ryszard Kukliński. Bohater czy zdrajca*, Warszawa 2014.
14. Dubiński K., Jurczenko I., *Oko Pentagonu: rzecz o pułkowniku Ryszardzie Kuklińskim*, Warszawa 1995.
15. Dygat S., *Jezioro Bodeńskie*, Warszawa 1980.
16. Gmyz C., Gociek P., *Zawód: dziennikarz śledczy*, Warszawa 2013.
17. Gontarczyk P., *Ludzie z „Żelaza”*, „Wprost” 16/2006.

18. Grajewski A., Machcewicz P., Żaryn J., *Raport: Sprawa ojca Konrada Hejmo. Działania Służby Bezpieczeństwa przeciwko Kościołowi katolickiemu w latach 1975-1988*, lpn.gov.pl/publikacje/publikacje-internetowe/raport-sprawa-ojca-konrada-hejmo.-dzialania-sluzby-bezpieczenstwa-przeciwko-kosc
19. Tvp.pl/opole/kultura/schlesien-journal/wideo/odc-69-rosalia-romaniec/15275485
20. IPN 0649/14, t. 1, 2, 6, 7, 14.
21. IPN 2320/188, t. 1, 2.
22. IPN BU 00168/72.
23. IPN BU 003175/16.
24. IPN BU 003175/443.
25. IPN BU 00756/93.
26. IPN BU 01220/144.
27. IPN BU 02108/11.
28. IPN BU 02294/113.
29. IPN BU 0449/31/7.
30. IPN BU 0449/53/18.
31. IPN BU 0449/81.
32. IPN BU 1217/8.
33. IPN BU 2366/2.
34. IPN BU 2386/15733.
35. IPN BU 2386/16530.
36. IPN BU 483/59.
37. IPN S 46/14/24.
38. Jałowiczor J., *Operacja propagandowa Tomasza Turowskiego*, rozmowa z Piotrem Jeglińskim, Frona.pl/a/operacja-propagandowa-tomasza-turowskiego,31198.html
39. Jarosz D., Pasztor M., *Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948-1953*, Toruń 2001.
40. Jerzy Kowalski, *der Mann, den es zweimal gab*, Welt.de/vermischtes/article114328416/Jerzy-Kowalski-der-Mann-den-es-zweimal-gab.html
41. Jurczenko I., Kilijanek K., *Ludzie z „Żelaza”. Największa afera w polskim wywiadzie*, Warszawa 1991.
42. Kaczyńska M., *Poznań – miasto wciąż ma szansę przejąć MTP*, Poznan.naszemiasto.pl/artykul/poznan-miasto-wciaz-ma-szanse-przejac-mtp-video,935611,t,id.html
43. *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, Warszawa 1971.

44. Koehler J.O., *Chodzi o papieża. Szpiegdy w Watykanie*, Kraków 2008.
45. Komar W., *Alfabet Władysława Komara. Sportowcy, artyści, prominenci*, Warszawa 1991.
46. Kotowski E., *Wspomnienia (1971-1990)*, Warszawa 2007.
47. Krajewski A., *Szpieg PRL w Radio Wolna Europa*, Polska.newsweek.pl/szpieg-prl-w-radio-wolna-europa,74085,1,1.html
48. Krajewski A., *Zasługa dla Polski. Pułkownik Ryszard Kukliński opowiada swoją historię*, b.m.w. 2014.
49. Kublik A., Czuchnowski W., *Kret w Watykanie. Prawda Turowskiego*, Warszawa 2013.
50. „Kurier Szczeciński”, 23.11.1949.
51. Latkowski S., Majewski M., *Zacharski nie był dobrze przygotowany do szpiegowania w Ameryce*, rozmowa z Vincentem Severskim, Wprost.pl/ar/421111/Zacharski-nie-byl-dobrze-przygotowany-do-szpiegowania-w-Ameryce/?pg=2
52. Łozowski A., *Zgłosiłem się sam*, Rp.pl/artukul/945084.html?p=1
53. MacEachin D.J., *Amerykański wywiad i konfrontacja w Polsce 1980–1981*, Warszawa 2011.
54. Machcewicz P., *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, „Rzeczpospolita” 4–5.01.2006.
55. Maciorowski M., *Szpiegdy tacy jak my*, Wyborcza.pl/magazyn/1,133156,14188326,Szpiegdy_tacy_jak_my.html
56. Majewski M., Reszka P., *Zawód: szpieg. Rozmowy z Aleksandrem Makowskim*, Warszawa 2014.
57. *Mieczysław Janosz zaatakował reportera „Dz”. Posłuchajcie, co miał do powiedzenia*, Katowice.naszemiasto.pl/archiwum/mieczyslaw-janosz-zaatakowal-reportera-dz-posluchajcie-co,476804,t,id.html
58. Morawski J., *Afera Żelazo*, TVP 2006.
59. Morawski J., *Złota afera*, Warszawa 2007.
60. Natorski R., *Kim był Marian Zacharski. Niezwykła historia polskiego Bondy*, Facet.wp.pl/kat,69514,wid,15770395,wiadomosc.html?ticaid=11341c
61. *Nowak-Jeziorański o agentach w RWE*, Wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Nowak-Jezioranski-o-agentach-w-RWE,wid,261236,wiadomosc.html?ticaid=112f82
62. Nowak-Jeziorański J., *Polska z bliska*, Kraków 2003.
63. Nowak-Jeziorański J., *Wojna w eterze*, Kraków 1991.
64. Odolska W., *Francuski wywiad infiltruje Polskę?! Sensacyjne odkrycie...*, Polskieradio.pl/39/156/Artykul/748899,Francuski-wywiad-infiltruje-Polske-Sensacyjne-odkrycie

65. Paczkowski A., *Aparat bezpieczeństwa w latach 1944–1956*, t. 1, Warszawa 1994.
66. Pawlik I., *Jerzy Pawłowski. Szpieg w masce*, Warszawa, b.d.w.
67. Pawlikowicz L., *Kontrwywiad Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1948-1954 według relacji płk. Stefana Antosiewicza*, „Rzeszowskie Zeszyty Naukowe”, 17/1995.
68. Pawlikowicz L., *Tajny front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964*, Warszawa 2004.
69. Pawłowski J., *Najdłuższy pojedynek. Spowiedź szablisty wszech czasów – agenta CIA*, Warszawa 1994.
70. Pawłowski J., *Trud olimpijskiego złota*, Warszawa 1973.
71. Piecuch H., *Imperium służb specjalnych. Od Gomułki do Kani*, Warszawa 1997.
72. Piecuch H., Pożoga W., *Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie*, Warszawa 1992.
73. *Polscy szpiegzy 2. Jerzy Sumiński*, Canal+ 2018.
74. *Polscy szpiegzy 2, Leszek Chróst*, Canal+, 2018.
75. *Polscy szpiegzy 2, Władysław Mróz*, Canal+, 2018.
76. *Polscy szpiegzy PRL-u. Pamiątka z Bangkoku. Leszek Chróst*, Youtube.com/watch?v=f1mD2aRrz2U
77. *Polscy wywiad. Wielcy agenci i zawistne miernoty*, „Focus Śledczy” 5/2011.
78. Pożoga W., *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*, Warszawa 1987.
79. *Pranie „Żelaza”*, „Tygodnik Spotkania” 21/1992.
80. „Przegląd Sportowy” 5.08.1992.
81. Puchała F., *Szpieg CIA w polskim Sztapie Generalnym. O Ryszardzie Kuklińskim bliżej prawdy*, Warszawa 2014.
82. *Pułkownik Kukliński. Wywiady – opinie – dokumenty*, Lublin 1998.
83. Putrament J., *Pół wieku. Zagranica*, Warszawa 1969.
84. Pytlakowski P., *Mistrz, który przegrał życie*, „Polityka” 3/2005.
85. Pytlakowski, *Szkoła szpiegów*, Warszawa 2014.
86. Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001.
87. Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1984–1986*, Warszawa 2005.
88. Romaniec R., *Meine Familie und der Spion*, 2013.
89. Rusin K., *Wywiad z Davidem Fordenem*, Player.pl/programy-online/tylko-w-player-pl-odcinki,522/odcinek-9,wywiad-z-davidem-fordenem,S0009,19995.html
90. „Rzeczpospolita” 233/1992.

91. Sasiński M., Ryniak S., *Sprawa szpiegowska kryptonim „Paweł”. Niektóre uwagi dotyczące form i metod działalności wywiadu USA na przykładzie sprawy Pawłowskiego*, cz. 2, IPN BU 483/59.
92. Słowiński P., *Bohaterowie i zdrajcy: Polacy w służbach różnych wywiadów*, Chorzów 2012.
93. Stenogram posiedzenia Zgromadzenia Narodowego z dnia 13 grudnia 1949 roku [w:] „Journal Officiel de la République Française. Débats Parlementaires. Assemblée Nationale”, Année 1949. N° 110 A.N. 14 décembre 1949, s. 6775.
94. Stokłosa P., *Prawda o Jerzym Pawłowskim*,
Ksiazkisportowe.blogspot.com/2012/09/prawda-o-jerzym-pawowskim.html
95. Suworow W., *Akwarium*, Warszawa 2010.
96. Szaniawski J., *Samotna misja – pułkownik Kukliński i zimna wojna*, Warszawa-Chicago 2003.
97. Szlachcic F., *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990.
98. *Szpieg w Wolnej Europie*, Rwe.salon24pl/289934,szpieg-w-wolnej-europie
99. *The Case of William Bell and Marian Zacharski, Security Awareness in the 1980's. Featured Articles from the Security Awareness Bulletin, 1981–1989.*
100. „Trybuna Ludu” 13.02.1950 i 29.03.1971.
101. Weiser B., *Ryszard Kukliński. Życie ściśle tajne*, Warszawa 2009.
102. Wieczorkiewicz P., Błażejowska J., *Przez Polskę Ludową na przelaj i na przekór*, Poznań 2011.
103. „Więź” 11/1994.
104. *Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego, czyli od agenta wywiadu PRL do godności dyplomaty w III RP. Jan Pospieszalski i jego goście ujawniają nowe fakty*, Wpolityce.pl/polityka/157651-wszystkie-twarze-tomasza-turowskiego-czyli-od-agenta-wywiadu-prl-do-godnosci-dyplomaty-w-iii-rp-jan-pospieszalski-i-jego-goscie-ujawniaja-nowe-fakty
105. Zacharski M., *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Poznań 2009.
106. Zadworny A., *Sprawa Robineau*, „Ale Historia”,
Wyborcza.pl/alehistoria/1,135757,15252043,Sprawa_Robineau.html
107. Zychowicz P., *Jak służby PRL zabiły podwójnego agenta*,
Rp.pl/artykul/569094.html?print=tak&p=0
108. „Żołnierz Wolności” 9.04.1976.

Przypisy

1. W. Suworow, *Akwarium*, Warszawa 2010, s. 10. [\[wróć\]](#)
2. *Ibidem*, s. 11. [\[wróć\]](#)
3. *Ibidem*, s. 12. [\[wróć\]](#)
4. C. Gmyz, P. Gociek, *Zawód: dziennikarz śledczy*, Warszawa 2013, s. 213–214. [\[wróć\]](#)
5. W. Suworow, *op. cit.*, s. 31. [\[wróć\]](#)
6. W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 28. [\[wróć\]](#)
7. *Ibidem*, s. 29. [\[wróć\]](#)
8. Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *Kret w Watykanie. Prawda Turowskiego*, Warszawa 2013, s. 31. [\[wróć\]](#)
9. Za: *ibidem*, s. 31. [\[wróć\]](#)
10. M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Poznań 2009, s. 44. [\[wróć\]](#)
11. W. Bereś, J. Skoczylas, *op. cit.*, s. 51. [\[wróć\]](#)
12. Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 28. [\[wróć\]](#)
13. M. Zacharski, *op. cit.*, s. 71. [\[wróć\]](#)
14. Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
15. Za: *ibidem*, s. 37. [\[wróć\]](#)
16. Za: L. Pawlikowicz, *Tajny front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964*, Warszawa 2004, s. 225. [\[wróć\]](#)
17. J. Nowak-Jeziorański, *Wojna w eterze*, Kraków 1991, s. 90. [\[wróć\]](#)
18. *Ibidem*, s. 90. [\[wróć\]](#)
19. Za: L. Pawlikowicz, *op. cit.*, s. 239. [\[wróć\]](#)
20. Za: *ibidem*, s. 239–240. [\[wróć\]](#)
21. Za: *ibidem*, s. 240–241. [\[wróć\]](#)
22. Za: *ibidem*, s. 251. [\[wróć\]](#)
23. Za: *ibidem*, s. 288. [\[wróć\]](#)
24. Za: F. Szlachcic, *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990, s. 116. [\[wróć\]](#)
25. Za: H. Piecuch, *Imperium służb specjalnych. Od Gomułki do Kani*, Warszawa 1997, s. 247. [\[wróć\]](#)
26. F. Szlachcic, *op. cit.*, s. 116–117. [\[wróć\]](#)
27. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 235. [\[wróć\]](#)
28. Za: L. Pawlikowicz, *Tajny front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964*, Warszawa 2004, s. 170. [\[wróć\]](#)
29. IPN BU 003175/16. [\[wróć\]](#)
30. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
31. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)

32. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
33. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
34. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
35. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
36. Za: W. Bagiński, *Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945–1961*, t. 1, Warszawa 2017, s. 75. [\[wróć\]](#)
37. IPN S 46/14/24. [\[wróć\]](#)
38. Za: L. Pawlikowicz, *op. cit.*, s. 171. [\[wróć\]](#)
39. IPN S 46/14/24. [\[wróć\]](#)
40. Za: W. Bagiński, *op. cit.*, s. 74. [\[wróć\]](#)
41. Za: *Polscy szpiedzy 2*, Władysław Mróz, Canal+, 2018. [\[wróć\]](#)
42. Za: L. Pawlikowicz, *Kontrwywiad Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1948-1954 według relacji płk. Stefana Antosiewicza*, „Rzeszowskie Zeszyty Naukowe”, 17/1995, s. 136. [\[wróć\]](#)
43. W. Pożoga, *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*, Warszawa 1987, s. 286–287. [\[wróć\]](#)
44. Za: W. Odolska, *Francuski wywiad infiltruje Polskę?! Sensacyjne odkrycie...*, Polskieradio.pl/39/156/Artykul/748899,Francuski-wywiad-infiltruje-Polske-Sensacyjne-odkrycie [\[wróć\]](#)
45. Za: *ibidem.* [\[wróć\]](#)
46. S. Dygat, *Jeziro Bodeńskie*, Warszawa 1980, s. 21. [\[wróć\]](#)
47. *Ibidem*, s. 17. [\[wróć\]](#)
48. *Ibidem*, s. 18–19. [\[wróć\]](#)
49. Za: W. Odolska, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
50. Za: A. Zadworny, *Sprawa Robineau*, „Ale Historia”, Wyborcza.pl/alehistoria/1,135757,15252043,Sprawa_Robineau.html [\[wróć\]](#)
51. Za: W. Odolska, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
52. IPN BU 01220/144. [\[wróć\]](#)
53. Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948–1953*, Toruń 2001, s. 155–156. [\[wróć\]](#)
54. Stenogram posiedzenia Zgromadzenia Narodowego z dnia 13 grudnia 1949 roku [w:] „Journal Officiel de la République Française. Débats Parlementaires. Assemblée Nationale. Année 1949”, No 110 A.N., 14 décembre 1949, s. 6775. [\[wróć\]](#)
55. Za: A. Zadworny, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
56. „Kurier Szczeciński”, 23.11.1949. [\[wróć\]](#)
57. Za: W. Odolska, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
58. Za: A. Zadworny, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
59. Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *op. cit.*, s. 160. [\[wróć\]](#)
60. Za: W. Odolska, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
61. J. Putrament, *Pół wieku. Zagranica*, Warszawa 1969, s. 405. [\[wróć\]](#)
62. Za: W. Odolska, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
63. „Trybuna Ludu”, 13.02.1950. [\[wróć\]](#)

64. Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *op. cit.*, s. 161. [\[wróć\]](#)
65. *Afera Żelazo*, reż. J. Morawski, TVP 2006. [\[wróć\]](#)
66. Za: *Pranie „Żelaza”*, „Tygodnik Spotkania” 21/1992. [\[wróć\]](#)
67. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
68. Za: J. Morawski, *Złota afera*, Warszawa 2007, s. 90. [\[wróć\]](#)
69. Za: *ibidem*, s. 95. [\[wróć\]](#)
70. Za: *ibidem*, s. 96. [\[wróć\]](#)
71. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
72. Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 11. [\[wróć\]](#)
73. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
74. Za: *ibidem.* [\[wróć\]](#)
75. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
76. IPN 0649/14, t. 2. [\[wróć\]](#)
77. Za: J. Morawski, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
78. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
79. Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 107. [\[wróć\]](#)
80. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
81. IPN 0649/14, t. 1. [\[wróć\]](#)
82. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
83. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
84. Za: *ibidem.* [\[wróć\]](#)
85. Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 8. [\[wróć\]](#)
86. Za: *ibidem*, s. 13. [\[wróć\]](#)
87. Za: *ibidem.* [\[wróć\]](#)
88. IPN 0649/14, t. 1. [\[wróć\]](#)
89. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
90. IPN 0649/14, t. 1. [\[wróć\]](#)
91. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
92. Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 31. [\[wróć\]](#)
93. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
94. Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 37. [\[wróć\]](#)
95. IPN 0649/14, t. 7. [\[wróć\]](#)
96. IPN 0649/14, t. 6. [\[wróć\]](#)
97. Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 35. [\[wróć\]](#)
98. IPN 0648/14, t. 14. [\[wróć\]](#)
99. Za: *Afera...* [\[wróć\]](#)
100. Za: *ibidem.* [\[wróć\]](#)
101. Za: *ibidem.* [\[wróć\]](#)
102. Za: *ibidem.* [\[wróć\]](#)
103. IPN 0649/14, t. 14. [\[wróć\]](#)
104. Za: P. Cizak, *Kontenery srebra, kilogramy złota do opłacenia akcji MSW i zlecenie na Michnika. Oto największa afera z udziałem służb*, Menstream.pl/wiadomosci-

- reportaze-i-wywiady/kontenery-srebra-kilogramy-zlota-do-oplacen-ia-akcji-msw-i-zlece-nie-na-michnika-oto-najwieksza-af-er-a-z-udzialem-sluzb,0,1480275.html [\[wróć\]](#)
105. IPN 0649/14, t. 14. [\[wróć\]](#)
106. J. Morawski, *op. cit.*, s. 47. [\[wróć\]](#)
107. IPN 0649/14, t. 14. [\[wróć\]](#)
108. Za: I. Jurczenko, K. Kilijanek, *Ludzie z „Żelaza”*. *Największa af-er-a w polskim wywiadzie*, Warszawa 1991, s. 46. [\[wróć\]](#)
109. Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 123. [\[wróć\]](#)
110. P. Gontarczyk, *Ludzie z „Żelaza”*, „Wprost” 16/2006. [\[wróć\]](#)
111. M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1984–1986*, Warszawa 2005, s. 171. [\[wróć\]](#)
112. Za: *ibidem*, s. 172. [\[wróć\]](#)
113. Za: *Mieczysław Janosz zaatakował reportera „Dz”*. *Posłuchajcie, co miał do powiedzenia*, Katowice.naszemiasto.pl/archiwum/mieczyslaw-janosz-zaatakowal-reportera-dz-posluchajcie-co,476804,t,id.html [\[wróć\]](#)
114. *Bank pana Janosza*, Katowice.naszemiasto.pl/archiwum/bank-pana-janosza,790126,t,id.html [\[wróć\]](#)
115. Za: S. Cenckiewicz, *Długie ramię Moskwy*, Warszawa 2011, s. 150. [\[wróć\]](#)
116. Za: *Meine Familie und der Spion*, reż. R. Romaniec, 2013. [\[wróć\]](#)
117. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
118. IPN BU 02108/11. [\[wróć\]](#)
119. Za: *Meine...* [\[wróć\]](#)
120. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
121. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
122. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
123. H. Bosak, *Wnuk generała. Z tajemnic polskiego wywiadu 1977–1979*, Warszawa 2000, s. 22. [\[wróć\]](#)
124. IPN BU 003175/443. [\[wróć\]](#)
125. Za: S. Cenckiewicz, *op. cit.*, s. 152. [\[wróć\]](#)
126. Za: *Meine...* [\[wróć\]](#)
127. IPN BU 003175/443. [\[wróć\]](#)
128. Za: K. Connolly, *Podstawiony za młodu*, Polityka.pl/tygodnikpolityka/swiat/1538215,1,podstawiony-za-mلودu.read [\[wróć\]](#)
129. IPN BU 003175/443. [\[wróć\]](#)
130. Za: *Jerzy Kowalski, der Mann, den es zweimal gab*, Welt.de/vermischtes/article114328416/Jerzy-Kowalski-der-Mann-den-es-zweimal-gab.html [\[wróć\]](#)
131. Za: *Meine...* [\[wróć\]](#)
132. Rozmowa telefoniczna autora z Rosalią Romaniec, 23 lipca 2014 roku. [\[wróć\]](#)
133. Za: *Meine...* [\[wróć\]](#)
134. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
135. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
136. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
137. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)

138. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
139. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
140. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
141. Za: Typ.pl/opole/kultura/schlesien-journal/wideo/odc-69-rosalia-romaniec/15275485
[\[wróć\]](#)
142. Za: *Meine...* [\[wróć\]](#)
143. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
144. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
145. IPN BU 02108/11. [\[wróć\]](#)
146. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
147. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
148. IPN BU 003175/443. [\[wróć\]](#)
149. Rozmowa... [\[wróć\]](#)
150. M. Kaczyńska, *Poznań – miasto wciąż ma szansę przejąć MTP*,
Poznan.naszemiasto.pl/artykul/poznan-miasto-wciaz-ma-szanse-przejac-mtp-wideo,935611,t,id.html [\[wróć\]](#)
151. Za: *Meine...* [\[wróć\]](#)
152. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
153. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
154. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
155. „Żołnierz Wolności”, 9.04.1976. [\[wróć\]](#)
156. J. Atlas, *Atlas kryminalny*, Warszawa 1992, s. 56. [\[wróć\]](#)
157. J. Pawłowski, *Trud olimpijskiego złota*, Warszawa 1973, s. 10. [\[wróć\]](#)
158. *Ibidem*, s. 38. [\[wróć\]](#)
159. Za: I. Pawlik, *Jerzy Pawłowski. Szpieg w masce*, Warszawa, b.d.w., s. 14. [\[wróć\]](#)
160. Za: *ibidem*, s. 19. [\[wróć\]](#)
161. Za: *ibidem*, s. 65. [\[wróć\]](#)
162. Za: *ibidem*, s. 85. [\[wróć\]](#)
163. J. Pawłowski, *op. cit.*, s. 193. [\[wróć\]](#)
164. J. Atlas, *op. cit.*, s. 56–57. [\[wróć\]](#)
165. Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 20. [\[wróć\]](#)
166. Za: *ibidem*, s. 84–85. [\[wróć\]](#)
167. W. Komar, *Alfabet Władysława Komara. Sportowcy, artyści, prominenci*, Warszawa 1991, s. 79–80. [\[wróć\]](#)
168. Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 23. [\[wróć\]](#)
169. Za: P. Pytlakowski, *Mistrz, który przegrał życie*, „Polityka” 3/2005. [\[wróć\]](#)
170. Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 48-49. [\[wróć\]](#)
171. Za: *ibidem*, s. 50–51. [\[wróć\]](#)
172. J. Pawłowski, *Najdłuższy pojedynek. Spowiedź szablisty wszech czasów – agenta CIA*, Warszawa 1994, s. 81. [\[wróć\]](#)
173. *Ibidem*, s. 85–86. [\[wróć\]](#)
174. IPN BU 00756/93. [\[wróć\]](#)
175. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)

176. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
177. IPN BU 2386/15733. [\[wróć\]](#)
178. J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 137. [\[wróć\]](#)
179. *Ibidem*, s. 137. [\[wróć\]](#)
180. *Ibidem*, s. 144. [\[wróć\]](#)
181. Za: M. Sasiński, S. Ryniak, *Sprawa szpiegowska kryptonim „Paweł”*. *Niektóre uwagi dotyczące form i metod działalności wywiadu USA na przykładzie sprawy Pawłowskiego*, cz. 2, IPN BU 483/59. [\[wróć\]](#)
182. J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 147. [\[wróć\]](#)
183. Za: P. Stokłosa, *Prawda o Jerzym Pawłowskim*, Ksiazkisportowe.blogspot.com/2012/09/prawda-o-jerzym-pawowskim.html [\[wróć\]](#)
184. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
185. Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 68. [\[wróć\]](#)
186. J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 202. [\[wróć\]](#)
187. *Ibidem*, s. 242. [\[wróć\]](#)
188. *Ibidem*, s. 256–257. [\[wróć\]](#)
189. Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 50. [\[wróć\]](#)
190. J. Atlas, *op. cit.*, s. 60. [\[wróć\]](#)
191. J. Atlas, *op. cit.*, s. 60. [\[wróć\]](#)
192. W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 185. Za: A. Łozowski, *Zgłosiłem się sam*, Rp.pl/artukul/945084.html?p=1 [\[wróć\]](#)
193. „Przegląd Sportowy” 05.08.1992. [\[wróć\]](#)
194. J. Atlas, *op. cit.*, s. 61. [\[wróć\]](#)
195. Za: *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, Warszawa 1971, s. 21. [\[wróć\]](#)
196. A. Czechowicz, *Siedem trudnych lat*, Warszawa 1972, s. 15. [\[wróć\]](#)
197. *Ibidem*, s. 16. [\[wróć\]](#)
198. *Ibidem*, s. 19. [\[wróć\]](#)
199. P. Machcewicz, *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, „Rzeczpospolita” 4-5.01.2006. [\[wróć\]](#)
200. Za: A. Krajewski, *Szpieg PRL w Radio Wolna Europa*, Polska.newsweek.pl/szpieg-prl-w-radio-wolna-europa,74085,1,1.html [\[wróć\]](#)
201. *Kapitan...*, s. 22–23. [\[wróć\]](#)
202. Za: A. Krajewski, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
203. *Kapitan...*, s. 38. [\[wróć\]](#)
204. J. Nowak-Jeziorański, *Polska z bliska*, Kraków 2003, s. 198. [\[wróć\]](#)
205. P. Machcewicz, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
206. Za: *Szpieg w Wolnej Europie*, Rwe.salon24.pl/289934,szpieg-w-wolnej-europie [\[wróć\]](#)
207. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
208. Za: „Trybuna Ludu” 29.03.1971. [\[wróć\]](#)
209. Za: *Szpieg w...* [\[wróć\]](#)
210. Za: *Nowak-Jeziorański o agentach w RWE*, Wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Nowak-Jezioranski-o-agentach-w-RWE,wid,261236,wiadomosc.html?ticaid=112f82 [\[wróć\]](#)
211. *Kapitan...*, s. 57. [\[wróć\]](#)

212. *Ibidem*, s. 56. [\[wróć\]](#)
213. A. Czechowicz, *op. cit.*, s. 321. [\[wróć\]](#)
214. *Ibidem*, s. 323. [\[wróć\]](#)
215. *Ibidem*, s. 324–325. [\[wróć\]](#)
216. *Ibidem*, s. 325. [\[wróć\]](#)
217. *Ibidem*, s. 326. [\[wróć\]](#)
218. Za: *ibidem*, s. 327. [\[wróć\]](#)
219. M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001, s. 385. [\[wróć\]](#)
220. Za: *ibidem*, s. 420. [\[wróć\]](#)
221. Za: *ibidem*, s. 421. [\[wróć\]](#)
222. „Trybuna Ludu” 29.03.1971. [\[wróć\]](#)
223. M. Rakowski, *op. cit.*, s. 401. [\[wróć\]](#)
224. Za: *Szpieg w...* [\[wróć\]](#)
225. Za: A. Grajewski, P. Machcewicz, J. Żaryn, *Raport: Sprawa ojca Konrada Hejmo. Działania Służby Bezpieczeństwa przeciwko Kościołowi katolickiemu w latach 1975–1988*, Ipn.gov.pl/publikacje/publikacje-internetowe/raport-sprawa-ojca-konrada-hejmo.-dzialania-sluzby-bezpieczenstwa-przeciwko-kosc [\[wróć\]](#)
226. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
227. Za: J.O. Koehler, *Chodzi o papieża. Szpiegdy w Watykanie*, Kraków 2008, s. 22. [\[wróć\]](#)
228. C. Gmyz, P. Gociek, *Zawód: dziennikarz śledczy*, Warszawa 2013, s. 153. [\[wróć\]](#)
229. Za: IPN 2320/188, t. 1. [\[wróć\]](#)
230. Za: A. Grajewski, P. Machcewicz, J. Żaryn, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
231. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 191. [\[wróć\]](#)
232. Za: IPN 2320/188, t. 2. [\[wróć\]](#)
233. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
234. *Ibidem*, s. 197. [\[wróć\]](#)
235. *Ibidem*, s. 208. [\[wróć\]](#)
236. E. Kotowski, *Wspomnienia (1971–1990)*, Warszawa 2007. [\[wróć\]](#)
237. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 209. [\[wróć\]](#)
238. *Ibidem*, s. 213. [\[wróć\]](#)
239. E. Kotowski, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
240. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
241. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 216. [\[wróć\]](#)
242. E. Kotowski, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
243. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 223. [\[wróć\]](#)
244. *Ibidem*, s. 226. [\[wróć\]](#)
245. A. Kublik, W. Czuchnowski, *Kret w Watykanie*, Warszawa 2013, s. 4. [\[wróć\]](#)
246. „Więź” 11/1994. [\[wróć\]](#)
247. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 26. [\[wróć\]](#)
248. *Ibidem*, s. 23. [\[wróć\]](#)
249. *Ibidem*, s. 11. [\[wróć\]](#)

250. Za: J. Jałowiczor, *Operacja propagandowa Tomasza Turowskiego*, rozmowa z Piotrem Jeglińskim, Fronda.pl/a/operacja-propagandowa-tomasza-turowskiego,31198.html [\[wróć\]](#)
251. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 233. [\[wróć\]](#)
252. *Ibidem*, s. 237. [\[wróć\]](#)
253. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 41. [\[wróć\]](#)
254. *Ibidem*, s. 57–58. [\[wróć\]](#)
255. *Ibidem*, s. 51. [\[wróć\]](#)
256. *Ibidem*, s. 59. [\[wróć\]](#)
257. *Ibidem*, s. 68. [\[wróć\]](#)
258. *Ibidem*, s. 74–75. [\[wróć\]](#)
259. Za: *Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego, czyli od agenta wywiadu PRL do godności dyplomaty w III RP. Jan Pospieszalski i jego goście ujawniają nowe fakty*, Wpolarityce.pl/polityka/157651-wszystkie-twarze-tomasza-turowskiego-czyli-od-agenta-wywiadu-prl-do-godnosci-dyplomaty-w-iii-rp-jan-pospieszalski-i-jego-goscie-ujawniaja-nowe-fakty [\[wróć\]](#)
260. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 240. [\[wróć\]](#)
261. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 117–119. [\[wróć\]](#)
262. Za: *ibidem*, s. 136–137. [\[wróć\]](#)
263. Za: *ibidem*, s. 137. [\[wróć\]](#)
264. *Ibidem*, s. 120. [\[wróć\]](#)
265. *Ibidem*, s. 122. [\[wróć\]](#)
266. IPN BU 0449/81. [\[wróć\]](#)
267. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 44. [\[wróć\]](#)
268. *Ibidem*, s. 45. [\[wróć\]](#)
269. Za: *Wszystkie...* [\[wróć\]](#)
270. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
271. Za: IPN BU 0449/31/7. [\[wróć\]](#)
272. Za: IPN BU 0449/53/18. [\[wróć\]](#)
273. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 182. [\[wróć\]](#)
274. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 242. [\[wróć\]](#)
275. Za: J. Jałowiczor, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
276. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 186. [\[wróć\]](#)
277. *Ibidem*, s. 194. [\[wróć\]](#)
278. Za: J. Jałowiczor, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
279. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 219. [\[wróć\]](#)
280. *Ibidem*, s. 156. [\[wróć\]](#)
281. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 243. [\[wróć\]](#)
282. A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 186. [\[wróć\]](#)
283. C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 245. [\[wróć\]](#)
284. *Ibidem*, s. 248. [\[wróć\]](#)
285. IPN BU 00168/72. [\[wróć\]](#)
286. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)

287. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
288. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
289. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
290. Za: *Polscy szpiedzy 2*, Leszek Chróst, Canal+, 2018. [\[wróć\]](#)
291. Za: *Polscy szpiedzy PRL-u. Pamiątka z Bangkoku*. Leszek Chróst, Youtube.com/watch?v=f1mD2aRrz2U [\[wróć\]](#)
292. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
293. M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski*, Marian Zacharski. *Wbrew regułom*, Poznań 2009, s. 43. [\[wróć\]](#)
294. Za: *Polscy szpiedzy PRL-u...* [\[wróć\]](#)
295. Za: *ibidem*. [\[wróć\]](#)
296. M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski*. Marian Zacharski. *Wbrew regułom*, Poznań 2009, s. 32–33. [\[wróć\]](#)
297. *Ibidem*, s. 35. [\[wróć\]](#)
298. *Ibidem*, s. 36–37. [\[wróć\]](#)
299. *Ibidem*, s. 38. [\[wróć\]](#)
300. Za: R. Natorski, *Kim był Marian Zacharski. Niezwykła historia polskiego Bondy*, Facet.wp.pl/kat,69514,wid,15770395,wiadomosc.html?ticaid=11341c [\[wróć\]](#)
301. W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 22. [\[wróć\]](#)
302. Za: M. Maciorowski, *Szpiedzy tacy jak my*, Wyborcza.pl/magazyn/1,133156,14188326,Szpiedzy_tacy_jak_my.html [\[wróć\]](#)
303. M. Zacharski, *op. cit.*, s. 45. [\[wróć\]](#)
304. *Ibidem*, s. 44. [\[wróć\]](#)
305. *Ibidem*, s. 47. [\[wróć\]](#)
306. *Ibidem*, s. 51. [\[wróć\]](#)
307. *Ibidem*, s. 57. [\[wróć\]](#)
308. *Ibidem*, s. 55. [\[wróć\]](#)
309. Za: H. Piecuch, W. Pożoga, *Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie*, Warszawa 1992, s. 133. [\[wróć\]](#)
310. Za: P. Słowiński, *Bohaterowie i zdrajcy: Polacy w służbach różnych wywiadów*, Chorzów 2012, s. 292. [\[wróć\]](#)
311. Za: M. Maciorowski, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
312. M. Zacharski, *op. cit.*, s. 59. [\[wróć\]](#)
313. *Ibidem*, s. 59. [\[wróć\]](#)
314. *Ibidem*, s. 60. [\[wróć\]](#)
315. Za: *The Case of William Bell and Marian Zacharski, Security Awareness in the 1980's. Featured Articles from the Security Awareness Bulletin, 1981–1989*, s. 44. [\[wróć\]](#)
316. *Ibidem*, s. 44. [\[wróć\]](#)
317. M. Zacharski, *op. cit.*, s. 64. [\[wróć\]](#)
318. Za: *Polski wywiad. Wielcy agenci i zawistne miernoty*, „Focus Śledczy” 5/2011. [\[wróć\]](#)
319. Za: P. Słowiński, *op. cit.*, s. 287. [\[wróć\]](#)

320. Za: H. Piecuch, *op. cit.*, s. 133. [\[wróć\]](#)
321. Za: *Zacharski nie był dobrze przygotowany do szpiegowania w Ameryce*, rozmowa Sylwestra Latkowskiego i Michała Majewskiego z Vincentem Severskim, Wprost.pl/ar/421111/Zacharski-nie-był-dobrze-przygotowany-do-szpiegowania-w-Ameryce/?pg=2 [\[wróć\]](#)
322. Za: *The Case...*, s. 43. [\[wróć\]](#)
323. W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 31. [\[wróć\]](#)
324. Za: *Bilet do III RP... za 20 mld dolarów. Rachunek sumienia generała Gromostawa Czempieńskiego*, „Angora” 31/2011. [\[wróć\]](#)
325. Za: *Zacharski...* [\[wróć\]](#)
326. M. Zacharski, *op. cit.*, s. 334. [\[wróć\]](#)
327. Za: *Polski...* [\[wróć\]](#)
328. W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 190. [\[wróć\]](#)
329. M. Zacharski, *op. cit.*, s. 380. [\[wróć\]](#)
330. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
331. W. Bereś, J. Skoczyła, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 172. [\[wróć\]](#)
332. Za: K. Dubiński, *Ryszard Kukliński. Bohater czy zdrajca*, Warszawa 2014, s. 76-77. [\[wróć\]](#)
333. Za: H. Piecuch, W. Pożoga, *Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie*, Warszawa 1992, s. 135. [\[wróć\]](#)
334. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
335. W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 173. [\[wróć\]](#)
336. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
337. Za: K. Dubiński, *op. cit.*, s. 26. [\[wróć\]](#)
338. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
339. W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 175. [\[wróć\]](#)
340. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
341. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
342. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
343. Za: S. Cenckiewicz, *Kobiety jako kamuflaż*, „Do Rzeczy” 21/2014. [\[wróć\]](#)
344. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
345. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
346. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
347. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
348. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
349. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
350. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
351. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
352. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
353. S. Cenckiewicz, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
354. Za: K. Rusin, *Wywiad z Davidem Fordenem*, Player.pl/programy-online/tylko-w-player-pl-odcinki,522/odcinek-9,wywiad-z-davidem-fordenem,S00E09,19995.html

- [\[wróć\]](#)
355. Za: A. Krajewski, *Zasługa dla Polski. Pułkownik Ryszard Kukliński opowiada swoją historię*, b.m.w. 2014, s. 57. [\[wróć\]](#)
356. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
357. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
358. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
359. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
360. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
361. W. Bereś, J. Skoczylas, *op. cit.*, s. 174–175. [\[wróć\]](#)
362. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
363. Za: F. Puchała, *Szpieg CIA w polskim Sztabie Generalnym. O Ryszardzie Kuklińskim bliżej prawdy*, Warszawa 2014, s. 252. [\[wróć\]](#)
364. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
365. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
366. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
367. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
368. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
369. P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, *Przez Polskę Ludową na przelaj i na przekór*, Poznań 2011, s. 32. [\[wróć\]](#)
370. Za: „Rzeczpospolita” 233/1992. [\[wróć\]](#)
371. P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, *op. cit.*, s. 33. [\[wróć\]](#)
372. IPN BU 2366/2. [\[wróć\]](#)
373. IPN BU 02294/113. [\[wróć\]](#)
374. Za: *Polscy szpiedzy 2. Jerzy Sumiński*, Canal+ 2018. [\[wróć\]](#)
375. IPN BU 1217/8. [\[wróć\]](#)
376. IPN BU 2386/16530. [\[wróć\]](#)
377. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
378. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
379. Za: *Polscy...* [\[wróć\]](#)
380. IPN BU 2386/16530. [\[wróć\]](#)
381. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
382. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
383. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
384. *Ibidem.* [\[wróć\]](#)
385. Za: T. Crowdy, *Historia szpiegostwa i agentury*, Warszawa 2010, s. 26. [\[wróć\]](#)
386. Za: P. Pytlakowski, *Szkoła szpiegów*, Warszawa 2014, s. 45. [\[wróć\]](#)
387. Za: *ibidem*, s. 46–47. [\[wróć\]](#)
388. Za: *ibidem*, s. 29. [\[wróć\]](#)
389. Za: *ibidem*, s. 27. [\[wróć\]](#)
390. Za: *ibidem*, s. 83. [\[wróć\]](#)
391. M. Majewski, P. Reszka, *Zawód: szpieg. Rozmowy z Aleksandrem Makowskim*, Warszawa 2014, s. 59. [\[wróć\]](#)
392. Za: P. Pytlakowski, *op. cit.*, s. 155. [\[wróć\]](#)

393. *Ibidem*, s. 156. [\[wróć\]](#)
394. *Ibidem*, s. 157. [\[wróć\]](#)
395. Za: M. Majewski, P. Reszka, *op. cit.*, s. 54. [\[wróć\]](#)
396. Za: P. Pytlakowski, *op. cit.*, s. 159. [\[wróć\]](#)
397. Za: *ibidem*, s. 159. [\[wróć\]](#)
398. Za: M. Majewski, P. Reszka, *op. cit.*, s. 72–73. [\[wróć\]](#)
399. Za: P. Pytlakowski, *op. cit.*, s. 32. [\[wróć\]](#)
400. Za: M. Majewski, P. Reszka, *op. cit.*, s. 10–11. [\[wróć\]](#)
401. Za: *ibidem*, s. 11. [\[wróć\]](#)
402. Za: *ibidem*, s. 18. [\[wróć\]](#)